

Wojciech Dutka

KREW FARAONÓW

Prolog

W szóstym roku panowania faraona Mencheperre Totmesa III nad granicą syryjską zaszły niespodziewane wypadki, które zmąciły spokój Egipcjan, wysłanych przez niego do podbitych królestw północnej Syrii. Na rozkaz faraona i ja musiałem opuścić garnizon stacjonujący w forcie nad środkowym Eufra-tem i ruszyć na spotkanie tego, co zgotowali mi bogowie.

Miałem w sercu gorycz i strach, chociaż wiedziałem, że krzyk sokoła w przestworzach, który zawsze słyszałem, i tym razem będzie mi towarzyszył. Nareszcie poczułem się wolny. Moje przeznaczenie nie przyniosło mi śmierci, której pragnąłem. Dało mi życie, o jakim nigdy nie marzyłem. Życie wybrańca bogów. Teraz już wiem, dlaczego budziłem się przez tysiące poranków, słysząc krzyk sokoła, świętego ptaka Horusa — przyzywał mnie. Zostałem przez niego naznaczony.

Od lat przebywam na wygnaniu. Teraz, zatajając moje imię, będące w ziemi Kem imieniem zdrajcy, rozpocznę opowieść o mrocznych i strasznych wydarzeniach, których byłem świadkiem. Te wspomnienia są wszystkim, co mi zostało. Nie czuję już do nikogo nienawiści. I zanim umrę, chcę zapisać te papirusy, ponieważ pamięć jest darem i nawet bogowie nie mogą mi jej odebrać.

Część pierwsza

ROZDZIAŁ 1

Znak ibisa

W kraju Kem panowała królowa Maatkare Hatszepsut. Na jej dworze roiło się od wszelkiej maści dworaków, intendentów, urzędników, cuchnących etiopskimi pachnidłami jak kotki ze świątyni bogini Bastet, i ministrów, załatwiających sprawy urzędowe w przerwach między zapasami w łożach nierządnic.

Jednym z chłopców przygotowujących się do pierwszego stopnia wtajemniczenia w rytuał znaków i tańców ku czci boga Sobka w Fajum był Anchnum. Pod względem fizycznym nie różnił się od innych egipskich dzieci. Miał ciemną, spaloną słońcem skórę, delikatną twarz, ciemne kręcone włosy i oczy czarne jak węgle.

Pewnego dnia Minhotep, kapłan wychowawca, powiedział mu, że zostanie wysłany z najbliższą karawaną pocztową na dalszą naukę do samej stolicy. Kapłani Sobka utrzymywali kontakty z wieloma kupcami i życzliwymi urzędnikami w dużych miastach, którzy co rok przyjeżdżali do świątyni lub wysyłali podarki dla świętych zwierząt boga — krokodyli. Właśnie do jednego z takich urzędników, wyznawców Pana Wody, trafić miał Anchnum. Przed chłopcem z prowincji otwierała się możliwość zobaczenia wielkiej stolicy wielkiego świata.

Urzędnik, który zaprosił chłopca, sprawował urząd intendenta na dworze królowej. Nazywał się Minmose. Jego żona była Nubijką. Nie mieli dzieci, jednak damy tebańskie wiedziały, jak bardzo Satre pragnie je mieć. Co miesiąc składała w ofierze jagnię antylopy i miód dla bogini Hathor, Pani Domowego Ogniska. Minmose brak dzieci rekompensował sobie karierą na dworze i dobrymi kontaktami z wyżej postawionymi sekretarzami w poszczególnych domenach faraona, którzy regularnie zamawiali u niego rylce, woskowe tabliczki, papirusy i wino.

*

Pewnego upalnego dnia, kiedy Nil znajdował się jeszcze w najbardziej spokojnym okresie swego bytowania w korycie, Anchnum, po długiej i męczącej podróży, dotarł na miejsce. Teby były wówczas miastem światowym w pełnym znaczeniu tego słowa i wywarły na chłopcu ogromne wrażenie. Karawana minęła dzielnicę biedoty i wjechała na ulicę wiodącą do dzielnicy urzędników, przedzierając się przez tłumy zaaferowanych przechodniów, gapiów i zawsze wietrzących sensację sprzedawców daktyli i mulego sera.

Dom, w którym Anchnum miał zamieszkać, wyglądał wspornie. Przylegały do niego mniejsze budynki będące pomieszczeniami gospodarskimi, tam mieszkała też służba złożona z niewolników. Po chwili podbiegło kilku z nich, a jeden szybkim ruchem zdjął niewysokiego chłopca z grzbietu osła i postawił na ziemi.

— Ruszać się, bydlaki! — wrzeszczał dozorca. — Bo dostaniecie takie baty, że przez miesiąc nie usiądziecie na tyłkach!

Służba rozpakowywała skórzane sakwy i lniane worki wypełnione świeżymi daktylami i figami. Z początku nikt nie interesował się chłopcem. Dopiero po dłuższej chwili, która przestraszonemu młokosowi wydawała się wiecznością, zjawił się młody niewolnik o skórze nieco jaśniejszej od skóry innych niewolników, choć także spalonej słońcem, i płowych włosach.

— Pozwól za mną. Mam się tobą opiekować, dopóki się nie zadomowisz.

— Dobrze. Nie mam ze sobą wiele rzeczy — zapewnił Anchnum, podnosząc swoje tobołki.

— Mój mały — powiedział z uśmiechem niewolnik—jesteś teraz wychowankiem pana tego domu, dostojnego Minmose, i nie byłoby właściwe, abyś sam dźwigał swoje bagaże. Jestem od tego, żeby ci służyć.

— Jesteś niewolnikiem?

—' Tak. Pokażę ci twoją izbę.

Anchnum ruszył za chłopakiem, który wywarł na nim ogromne wrażenie. Nigdy wcześniej nie widział takiej twarzy ani tak dumnej postawy. Nie znał Egipcjanina, który byłby tak wysoki i miał włosy niczym dojrzała pszenica.

Przeszli przez wewnętrzny dziedziniec, a potem ruszyli krótkim korytarzem, przy którym znajdowały się pokoje Minmose i jego żony. Niewolnicy mogli tam wchodzić tylko za specjalnym pozwoleniem. W końcu jasnowłosy niewolnik wprowadził oniesmielonego Anchnuma do nieco niższej, czystej izby z oknem zasłoniętym cienką lnianą zasłoną. Chłopiec zauważył wygodne posłanie z mulej skóry i ołtarzyk bogini Hathor. Usiadł, a niewolnik zaczął wypakowywać jego skromny dobytek.

— Jak tutaj jest? — zapytał Anchnum.

— Różnie. Jak w większości domów bogatych ludzi.

— Czy to są dobrzy ludzie?

— Co rozumiesz przez „dобрzy”? — W oczach niewolnika oprócz zaskoczenia naiwnością pytania dało się zauważyć lekką kpinę.

— Zawsze myślałem, że Teby to miasto, w którym żyją wielcy i bogaci ludzie. Lecz widzę, że są i tacy, którzy nie dość, że nie są Egipcjanami i przebywają w tym kraju jako niewolnicy, to jeszcze kpią sobie z ludzi wolnych — odciął się rezolutnie Anchnum.

— Jestem niewolnikiem, ale pochodzę z kraju Hetytów.

Wiesz, panie, gdzie to jest? — zapytał jasnowłosy chłopak, rozkładając rzeczy chłopca na półkach.

— To gdzieś w Delcie?

— To kraj daleko za morzem. Zostałem sprzedany do Egiptu przez fenickiego handlarza. Pan Minmose kupił mnie dwa lata temu. Mam na imię Ursilis.

— Znasz mego boga?

— Nigdy nie słyszałem o bóstwie-krokodylu.

— Czy zostanę dzisiaj wezwany przed oblicze pana domu?

— Pana nie ma od dwóch dni. Nie wraca ostatnio z pałacu, a niewolnicy mówią, że między panem i panią nie układa się ostatnio zbyt dobrze. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Anchnum poczuł zmęczenie. Zamyślił się. Teby były dla niego światem nie tyle dziwnym, ile jeszcze nie poznanym; nigdy nie czuł żaru słońca na krętych uliczkach i smaku tutejszej wody. Gigantyczne budowle na zachodnim brzegu rzeki były niczym olbrzymy, o których starzy kapłani opowiadali w Fajum niezwykle historie. Anchnum był pewny, że w Tebach doświadczy niejednego cudu. A ponieważ serce młodego człowieka to morze możliwości, więc musi przydarzyć się coś niezwykłego.

Rozmyślenia chłopca przerwało pukanie do drzwi. Do izby wszedł Hetyta z kubkiem wody z odrobiną olejku miętowego, którego woń wypełniła izbę, jęczmiennym plackiem i garścią świeżych fig na glinianym talerzyku.

— To dla ciebie. Jedz.

— Dziękuję.

— Nie mów nigdy „dziękuję” niewolnikowi.

— Dlaczego? — spytał zaskoczony chłopiec.

— Bo inni uznają cię za niespełna rozumu. Jedz.

Anchnum rzucił się łączywie najedzenie i w zapale, z jakim przegryzał placek figami, nie spostrzegł, że młody Hetyta przygląda mu się z uśmiechem. W końcu chłopak podniósł głowę.

— Co cię tak bawi? — zapytał z pełnymi ustami.

— Rzadko widują dzieci jedzące z takim apetytem. Kiedyś sam tak jadłem i wcale ci się, panie, nie dziwią, tylko...

— Tylko co?

— Nic takiego. Wyglądasz mi na uczciwego chłopaka i może kiedyś opowiem ci, jak się tutaj znalazłem.

— Jesteś Hetytą, lecz doskonale mówisz po egipsku — zauważył Anchnum.

— Władam również akadyjskim, jeśli chcesz wiedzieć. Znasz ten język?

— Nie. A skąd niewolnik może znać akadyjski? Starzy kapłani w Fajum mawiali, że to język, którego uczą młodych adeptów Amona... Kim jesteś?

Ursilis nie krył rozbawienia.

— Niewolnikiem w tym domu i twoim służącym. Przyzwyczaj się do tego, mój młody panie, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań. Znałem kiedyś półboga, który w ten sposób chciał zagadać przywódcą stada bawołów nad Orontesem. Byk ziewnął i dla samej tylko przyjemności robienia bliźnim na przekór jednym kopnięciem wybił mu wszystkie zęby.

— Kim był ten półbóg?

— Ależ jesteś ciekawski! Kładź się. Jutro zaprowadzę cię do pani Satre. Jej nie zadawaj tylu pytań, bo tego nie lubi.

Ursilis już miał wyjść, kiedy jeszcze jedno pytanie zatrzymało go w progu.

— Kim był ten Orontes?

— Taki mądry, a taki głuptas. Orontes to rzeka, i to daleko za Tyrem i Sydonem. Śpij już... A Tyr i Sydon to wielkie fenickie miasta.

Lekki powiew delikatnie kołysał zasłoną w oknie, w słonecznych smugach wirowały drobinki kurzu. Ursilis wszedł do izby i patrzył przez chwilę na śpiącego chłopca. W końcu położył delikatnie rękę na jego ramieniu, a ten natychmiast się zerwał.

- Dlaczego statki odpłynęły?! — wykrzyknął.
- Jakie statki? Jest już ranek. Musisz się wykapać, a potem zaprowadzę cię do pani Satre. Wieczorem wybierzemy się do miasta, a dokładnie do archiwum.
- Po co?
- Bo tak chce pani Satre.
- Nie chcę nigdzie iść!
- I Anchnum wybiegł na korytarz.
- A to szczeniak...

Ursilis nie spieszył się z łapaniem zbiega. Pościelił łóżko i spokojnie wyszedł na korytarz. Wiedział doskonale, że zaraz znajdzie Anchnuma, który na pewno zgubi się w tym dużym i nieznanym domu. Nie mylił się: chłopak siedział skulony jak fenek pod ścianą spiżarni. Ursilis stanął nad nim, po czym podniósł go jedną ręką niczym piórko.

- Puszczaj, słyszysz?! — szamotał się Anchnum.
- Tak, słyszę...
- Nie będę się kąpał! Kapłani Sobka mówią, że to szkodzi zdrowiu!

Ursilis tymczasem zaniósł go do pomieszczenia, w którym dwie murzyńskie niewolnice przygotowały kąpiel w wodzie zaprawionej olejkiem z nursenów, kwiatów pustyni. Chłopiec nie ustawał w próbach uwolnienia się z uścisku Hetyty.

- To boli, słyszysz?!
- Wiem — odrzekł spokojnie Ursilis. — A będzie bolało jeszcze bardziej, i to nas wszystkich, kiedy staniesz przed panią Satre, cuchnąc jak tylna część kozła.
- Co? Chcesz mnie oddać w ręce tych kobiet? Precz!

Niewolnik jednak nie posłuchał i zostawił Anchnuma z bliźniaczkami Hebszu i Apszu, wysokimi i szczupłymi jak młode baobaby. Już na pierwszy rzut oka było jasne, że Satre wydaje co rok sporo złota na drogie pachnidła i stroje, w tym na

delikatne tkaniny z Indii i lekkie bawełniane suknie z Syrii i Babilonii, Właśnie takie, jakie miały na sobie czarne dziewczęta. Biel podkreślała ich urodę i wdzięk. Anchnum nie zdążył nawet krzyknąć i zniknął w wodzie pachnącej olejkami. Specjalnie przeznaczeni do tego celu niewolnicy nosili wodę w skórzanym bukłaku z Nilu i wlewali ją do stągwi. Wierzono, że tylko tak będzie zabezpieczona przed urokami złośliwych demonów pustyni.

Nie było jeszcze południa, gdy do umywalni wrócił Ursilis. Nie zastał jednak odzianego w skóry, śmierdzącego czternastoletniego zarozumialca, lecz młodego księcia w lekkiej szacie.

— Trudno cię poznać, panie — rzekł zaskoczony. — Teraz, kiedy wyglądasz jak młody Ozyrys, możemy pójść do Satre.

— Narobiłem wrzasku, co? Jak myślisz, Ursilisie, o co pani Satre może mnie pytać? Bardzo się boję.

— Nie ma czego. Jeśli będziesz sprytny, możesz wicie zyskać. Ale pamiętaj, będzie wiedziała, kiedy mówisz prawdę, a kiedy nie.

— Pójdiesz ze mną?

— Nie zostałem wezwany. Masz iść sam, ale odprowadzę cię do jej pokoi. Starzy niewolnicy mówili, że podobno nie cieszy się łaskami faraona, ale ona nie zabiega o względy dworu. Jej ojciec, z tego, co wiem, jest arcykapłanem Amona i bardzo wpływowym człowiekiem.

— Czy to ,prawda, że... — Anchnum zniżył głos — że faraon...

— Jest kobietą? Ależ to nie tajemnica.

Ruszyli wolno korytarzem o białych ścianach, ozdobionych niezwykłym liściastym wzorem. Gdy stanęli przed drzwiami z papyrusowego łyka, lekkich i kunsztownie wykończonych macią perłową, Ursilis pchnął je lekko i Anchnum wszedł do symetrycznego wnętrza, w którym woń kwiatów mieszała się z zapachem kadzidła. Na podłodze leżały maty i poduszki z kaczego puchu. W rogach pokoju stały komody z drewna cedrowego pokryte fantazyjnymi ornamentami przedstawiają-

cymi lwy i lamparty uganiające się za gazelami i zebami. Na małym podwyższeniu, otoczona przez czarne niewolnice, siedziała trzydziestokilkuletnia piękna kobieta w białej szacie przewiązanej złotym pasem. Jej twarz o ciemniejszej karnacji niż u Egipcjanek wydała się chłopcu najpiękniejsza na świecie.

— Zbliź się — powiedziała.

Anchnum zrobił kilka kroków.

— Nie obawiaj się. To ja chciałam, abys przybył do mego domu. Zostaniesz tutaj jakiś czas, nie wiem jeszcze jak długo. Czy czegoś ci potrzeba?

— Chciałbym zobaczyć miasto.

— Zobaczysz je, oczywiście. Będzie ci towarzyszył hetyccki niewolnik, Ursilis. Wiedz, że wkrótce zacznie się twoja misja — dodała Satre z uśmiechem.

— Misja? Pani, o czym ty mówisz?

— Dowiesz się niebawem. Możesz odejść.

Chłopak, którego surowi kapłani Sobka nauczyli, jak należy się zachować, uklonił się i wyszedł. Dziwił się, że spotkanie z panią domu było tak krótkie. Przed komnatą czekał Ursilis.

— I co, strasznie było? — zapytał.

— Nie, ale pani Satre mówiła dziwne rzeczy.

— Na przykład?

— Że mam wypełnić jakąś misję.

Hetyta nie odpowiedział.

Było dobrze po południu, gdy Ursilis wszedł do pokoju Anchnuma.

— Wstawaj! Wychodzimy!

— Ale...

— Żadnego ale. Zbieraj się.

Ulice Teb zapełniały się wraz z nadejściem wieczoru. Szczególnie gwarno było w dzielnicy ludzi bogatych. Bogacze, niesieni w lektykach przez rosłych Murzynów, kierowali się

w stronę ekskluzywnych domów uciech, a także nieco bardziej przyzwoitych miejsc, w których można było przy kubku dobrego wina pogawędzić, zagrać w kości lub posłuchać kreteńskich pieśniarek. W lupanarach wino lało się strumieniami, a nagie syryjskie tancerki tańczyły na stołach przy dźwiękach piszczalek. Jednak po drugiej stronie dzielnicy bogaczy, blisko świątyni Amona Tebańskiego, zbierała się zawsze grupka pobożnych ludzi, oddających cześć zachodzącemu Ra i innym bogom. Było ich jednak niewiele.

Wzrok młodego prowincjusza przyciągały piękne prostytutki, które oferowały przechodniom swoje wdzięki za bardzo zróżnicowane jak na stolicę ceny. Podążał za Hetytą i chłonał wszystkie te cudowności, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy, żyjąc w prowincjonalnym Fajum.

— Zanim będziesz gotów wypełnić misję — odezwał się Ursilis — musisz się jeszcze wiele nauczyć. W archiwum czeka na nas kapłan boga Ptaha, Ptahhotep. Ptah to mądry bóg. Chodzą tam zwykle tęgie głowy. Takie jak my.

— Kpisz sobie ze mnie, niewolniku! — wykrzyknął urażony taką uszczypliwością Anchnum.

— Ależ skąd!

— Czemu nie mogę się dowiedzieć, dlaczego zabrano mnie z domu, a potem ze świątyni? Ty i pani Satre mówicie samymi zagadkami! Mam tego dość!

Skrećili w następną ulicę.

— Nie musisz rozumieć wszystkiego. Czasami warto przypatrzeć się dzikim gęsiom na Nilu; zawsze zbierają się w nadbrzeżnych szuwarach. Są ich tam zawsze dziesiątki. Komuś, kto by im się przyglądał, mogłyby się wydać głupimi ptakami. Lecz one wiedzą dobrze, że kiedy podpływa krokodyl, trzciny lekko fałują, co zdradza drapieżcę. Czy teraz zrozumiałeś?

— Tak — westchnął z rezygnacją chłopak. — Dlaczego traktujesz mnie z wyższością?

— Wcale nie.

— Właśnie że tak.

Po kilku chwilach Anchnum jednak się rozchmurzył. Teby tonęły w czerwieni, purpurze i błękicie. Ulice pachniały smażoną na oliwie rybą i cypryjskim winem. Ursilis opowiadała Anchnumowi o lupanarach i gospodach, w których urzędnicy i niższy personel świątynny mile spędzali wieczory. Rozmawiano tam o polityce i cenach kruszców nad Morzem Czerwonym, grano w kości przy muzyce syryjskich muzykantów. Anchnum nie mógł uwierzyć, że bogacze potrafią w grach hazardowych tracić po dwa, trzy talenty w jedną noc, co przyprawiało ich rządców oraz żony o ból głowy i bezsenność. Opowiedział mu także o Satre i Minmose, co pozwoliło chłopcu zorientować się nieco w sytuacji w domu.

Anchnum chłonał wszystko — kolory i grę świateł. Kurtyzany stojące przed domami rozkoszy czarowały go wymyślnymi fryzurami i zapachem indyjskich perfum, niczym pustynne zjawy mamiły wzrok i nęciły. A także przerażały, albowiem kapłani Sobka słynęli z wstrzemięźliwości. To imry świat, pomyślał chłopak. Ani lepszy, ani gorszy. Po prostu inny.

Archiwum znajdowało się w centrum miasta.

— Jesteśmy — oznajmił Ursilis.

— Po co tutaj przyszliśmy?

— Jesteś jak wiecznie skrzeczący pelikan w suchej porze. To właśnie tutaj kazała mi cię przyprowadzić pani Satre. Wejdzmy.

Minęli rząd kolumn i znaleźli się we wnętrzu wypełnionym ożywioną krzątaniną. Skrybowie, pisarze i tłumacze przynosili z miejsca na miejsce zwoje papirusów. Po chwili podszedł do nich smągły niewolnik i poprowadził ich przez labirynt korytarzy, między półkami uginającymi się od zwojów i tabliczek. Czekał na nich Ptahhotep, stary kapłan Ptaha. Na jego in-

teligentnej, poranej zmarszczkami twarzy malował się wyraz lekkiego znudzenia, tak charakterystyczny dla starych kapłanów. Starzec skrętnie ukrywał je pod grubą warstwą pudru. Szaty miał białe, lekko tylko znoszone. Był bardzo dumny z funkcji, jaką sprawował od przeszło trzydziestu lat. Zwykli zjadacze placków nie mogli wchodzić do miejsca, w którym kryła się pamięć Egiptu — miliony papirusowych zwojów i tabliczek zapisywanych przez kapłanów, zazdrośnie strzegących tajemnic skrywanych przez słowo pisane.

— Witajcie — powiedział kapłan, nie wstając z krzesła. Jego twarz tonęła w cieniu. — A więc Satre dotrzymała słowa, chłopiec już jest. To bardzo dobrze. Przygotowałem wyciąg z tabliczek, o które prosiła. Umiesz czytać? — zwrócił się do Anchnuma.

— Świętego pisma nie znam — odrzekł chłopiec.

— To nie są hieroglify — wyjaśnił Ptahhotep. — To tylko notatka w języku akadyjskim — mówił, nie spuszczając oczu z chłopca. — Wszędzie w korespondencji używa się tego właśnie języka.

— Prawie wszędzie. My oprócz akadyjskiego używamy również własnego — wtrącił Ursilis.

Przez twarz kapłana przebiegł złośliwy grymas.

— Wy, Hetyci, zawsze macie inne zdanie.

— Rzekłeś, panie, komplement, choć miałeś zamiar być złośliwy.

— Dość — uciął starzec. — Widzę, że Satre nie kłamała. Ma na służbie prawdziwe skarby... Dobrze. Sprawdź, czy datowanie i inskrypcja się zgadzają.

Ursilis przebiegł wzrokiem tabliczki, śledząc palcem zawily kierunek czytania pisma klinowego.

— Tak. Sporządził je Szamaszi, kupiec z Babilonu. Formuła wstępna mówi, że adresowane są do Satre, datowane na piętnasty dzień szóstego miesiąca cyklu księżyca, według kalendarza babilońskiego. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku.

— Wydaje ci się? Wiesz dobrze, Hetyto, że gdy stąd wyjdziecie, ja nie przypomnę sobie ani imienia twojej pani, ani twego.

— Wiem. A dokumenty dla tego młodego kapłana?

— Oto papirusy. — Ptahtotep znów ukrył twarz w cieniu. — Leżą na stoliku. Sprawdź.

— To na pewno te. Babilończycy dotrzymują słowa.

— Tylko wtedy, kiedy muszą albo gdy złoto jest dostatecznie złote.

Ursilis nie odpowiedział. Zaraz potem wyszli.

Hetyta szedł szybko, jakby chciał uciec przed pytaniami Anchnuma.

— I tylko po to tam poszliśmy? Po parę tabliczek i trzy zwoje, których nawet nie umiem przeczytać?

— Aż po to. Na razie nie powinienes wiedzieć nic o zamysłach Satre.

— A jakież to zamysły?

Ursilis przyspieszył kroku. Anchnum zaczął biec.

— Poczekaj! Musisz mi wyjaśnić kilka rzeczy! — krzyknął.

Ursilis stanął.

— Mylisz się, Anchnumie. Niczego nie muszę. A jeżeli coś wyjaśniam, to dlatego, że chcę. Dla twojego własnego dobra nie zadawaj tylu pytań. Te papirusy to twoja przeszłość.

— Co za brednie, Hetyto! Moja przeszłość?

— Tak, mój mały. Te dokumenty czternaście lat temu wystawił pewien kupiec babiloński, który oddał do świątyni Sobka w Fajum dziecko z wypalonym na lewym ramieniu znakiem ibisa. Handlarz twierdził, że znalazł na pustyni w wiklinowym koszyku dwóch chłopców zawiniętych jedynie w chustę. Zabrał ich, ale, jak sam pisze, nie mogąc się nimi zaopiekować, jednego oddał kapłanom Sobka w Fajum, a drugiego do świątyni Amona Tebańskiego.

— Kłamiesz! — krzyknął Anchnum. — Ty psie nieczysty! Moją matką była Mepa, a ojcem Sipu, chłopci spod Fajum! Obydwoje żyją i modlą się za mnie do bogów! Mam dosyć ciebie i Teb, i w ogóle wszystkiego!

— Tak? Więc popatrz, młokosie, co to, według ciebie, jest?!

Chwycił chłopaka za ramię i podwinął brzeg jego tuniki. Powyżej lewego łokcia, na przedramieniu widniał wyraźnie zarysowany znak w kształcie ibisa.

— Puść mnie... — jęknął Anchnum.

ROZDZIAŁ 2

Dni i noce w Tebach

W domu Satre życie toczyło się niczym wielka rzeka, wolno i spokojnie, ale każdy, kto zna Nil, wie, jak zdradliwy jest to spokój.

Anchnum chodził w towarzystwie Ursilisa do świątyni Amona na codzienne nauki. Zaczęła rodzić się między nimi przyjaźń — młody kapłan podziwiał hetyckiego niewolnika między innymi za to, że mimo swego położenia, nikomu do tej pory nie otworzył bram duszy. Chłopiec często rozmyślał o swojej przeszłości. Znak ibisa oraz informacje na tabliczkach wskazywały, że mógł być niewolnikiem. Ta świadomość była dla niego nieznośna. Czuł jednak, że nie może poddać się rozpacz. Ursilis widział, co się z nim dzieje, lecz nie mógł zrobić niczego bez porozumienia z Satrę.

Któregoś ranka niewolnik został wezwany przed oblicze pani domu. Gdy wszedł do komnaty, Satre stała wpatrzona w miasto za oknem.

— Wiesz, po co cię wezwałam, Ursilisie?

— Domyślam się.

— Tabliczki, które odebrałeś z archiwum, nie zawierają dobrych wieści. Straciliśmy kilka miesięcy. Może mu grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Ale chyba nie tylko to cię martwi, pani, prawda?

— Syria, Ursilisie. Tracimy Syrię. Donoszą o tym szpiedzy mego ojca. Tamtejsi książęta będą wierni Egipcjom tylko do czasu, aż na firmamencie pojawi się ktoś potężniejszy. A wtedy wszyscy zdradzą. Obawiam się też kogoś z północy.

— Czy to mój lud tak cię martwi, pani?

— Ach, ten twój lud! — Satre odwróciła się, a na jej twarz padło światło. Ursilisa jak zawsze uderzyła uroda jego pani. — Twój lud może być niebezpieczny dla Egiptu. Nie zaprzeczaj. I nie udawaj, że jesteś zwykłym niewolnikiem. Wiem, jakie jest twoje pochodzenie.

— Pani...

— Milcz. Nikomu nie zdradzę, kim jesteś. Posłuchaj mnie bardzo uważnie: masz wobec mnie dług, ponieważ mój mąż był raczej skłonny wysłać cię do kopalń nad Morzem Czerwonym. Teraz chcę, żebyś go spłacił. Pilnuj chłopca jak żrenicy oka. On jest twoją przepustką do wolności i gwarancją życia. Pamiętaj o tym, Ursilisie. Teraz idź, lektyka na mnie czeka.

Hetyta uklonił się i wyszedł. Był zdruzgotany. Jego tajemnica nie jest już tajemnicą, przeszłość i tu go dopadła. Zdawał sobie sprawę, że zrobi to wszystko nie z wdzięczności dla Nubijki. To, co do niej czuł, było mieszaniną uwielbienia i fascynacji.

Satre zasiadła w lektyce. Wysocy Murzyni nieśli ją, umiejętnie lawirując w tłumie, w stronę wielkiej świątyni Amona. Zawitała tam koło południa. Odźwierny poprowadził ją na wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami o kapitelach w kształcie papirusowej trzciny. Tam czekał na nią Nebamon, młody uczeń jej ojca. Poszli ciemnym korytarzem do tajemnej komnaty, do starego kapłana Setiego, na widok którego Satre padła na twarz.

— Wstań, córko. I niechaj nad każdym twym krokiem czuwa Amon i wszyscy bogowie Nieba i Ziemi.

Kobieta podniosła się, by z szacunkiem ucałować rękę ojca.

— Mów, moja córko. Tutaj nikt nas nie podsłucha.

— Ojcze mój, Seti, przychodzę do ciebie, albowiem wielkie obawy zagościły w moim sercu. Czuję cię wpełzający do tego miasta niczym kobra.

— Kobra? To zaiste królewski strach — uśmiechnął się starzec.

— Ojcze, wiadomości, które dostałam od kuriera z Syrii i Fenicji, nie są pomyślne. Szamaszi pisze, że w całym kraju Fenicjan wrze, kupcy i bankierzy zamykają podwoje swoich składów przed Egipcjanami lub pożyczają złoto i srebro na tak olbrzymi procent, że nikomu nie opłaca się zadłużać.

— Ten, kto weźmie taką pożyczkę, powinien być śledzony — zauważył Seti.

— Ale to nie wszystko, ojcze. Jestem przekonana, że książęta syryjscy tylko do czasu będą udawali lojalnych, a potem zdradzą. Zawsze tak było. Szamaszi, który jest w Ugaricie, dowiedział się, że układ między radą miasta i wysłannikami króla Mitanni ma być zawarty już wkrótce, a my nie robimy nic!

— Zaiste, złe to wiadomości. Ale zważ, Satre, że Fenicjanie zawsze byli ludem chciwym i zdradzieckim. Są jak hieny czatujące na nowo narodzone kozłę gnu. Lojalność Fenicjan i Syryjczyków zawsze musieliśmy wspomagać wielką liczbą garnizonów.

— Dlaczego, ojcze, tych garnizonów jest teraz tak mało? Dlaczego faraon kazał wycofać armię z Aleppo i Jerycha? Takie kroki działają na Fenicjan i Syryjczyków jak padlina na hieny!

— Sama widzisz, Satre, że Hatszepsut nie może dalej rządzić, bo to doprowadzi nas na skraj przepaści. Oczy faraona są zamknięte na prawdę, jaką staramy się przekazać wspólnie z Hapusenebem, Chaemhatem, Ramose i dostojnym Senenu. — Starzec wziął w dłonie twarz Satre i ucałował ją w czoło. — Córeczko moja, ty wiesz najlepiej, dlaczego nasza tajemnica, nasza wielka tajemnica nie może ujrzeć światła dziennego. Od niej zależy przyszłość Egiptu i nasze życie.

— Ja nie lękam się śmierci — opowiedziała Satre.

— Nie wiesz, co mówisz, moje dziecko. To ja, stary, którego kości są już zmęczone, nie muszę lękać się śmierci, ale nie ty, córko. Czy w archiwum znalazłaś to, co poleciłem ci odszukać?

— Tak, ojcze. Jeżeli chodzi o relację kupca, wiem, że nie może być omyłki, to nasz chłopiec.

— Jesteś tego pewna? Sprzedano wtedy do świątyni Sobka wiele dzieci.

— Tak, ale Szamaszi pisał, że chłopiec oddany do świątyni Sobka w Fajum miał wypalony na ramieniu znak ibisa. To niepodważalny dowód.

— Gra, którą rozpoczynamy, jest niebezpieczna. Wiem od innych starszych kapłanów, że Hatszepsut nagle sobie o mnie przypomniała, choć starałem się, jak mogłem, pozostać w cieniu. Od kilku dni jestem śledzony. Nebamon także. Jak nasz chłopiec?

— Ma na imię Anchnum. Uczy się. Na razie nie wie zbyt wiele. Tak jest lepiej.

— A czy jesteś pewna tego hetyckiego wilczka? Nie ufam obcym.

— Jestem pewna. Żaden Egipcjanin nie nadaje się do czegoś takiego. Nikt go nie przekupi, poza tym nie jest zwykłym hetyckim jeńcem.

— Pamiętaj, że Hetyci to lud groźny, nieprzystający do żadnego ze znanych nam światów, ani naszego, ani babilońskiego. Mają metal twardszy od brązu. To, że jest uczciwy, nie wystarczy...

— Ma inny powód, by chronić chłopca, ojcze... — Satre spuściła głowę.

— Czy on cię pragnie?

— Tak.

— Bądź ostrożna. To obcy i w dodatku niewolnik, dlatego nie skalaj się niewiernością, chociaż, znając Minmose, nie zdziwię się, jeśli to zrobisz...

— Zaufaj mi, ojcze.

— Zawsze ci ufałem. A teraz sprawy najważniejsze: chłopiec nie może wiedzieć więcej niż to konieczne, póki nie będziemy mieli całkowitej pewności. Sądzę, że w naszą grę może się w mieszać Hatszepsut. Już dawno podejrzewałem, że będzie go szukała tak samo jak my i nie cofnie się przed niczym, nawet przed morderstwem. Niech nie mami ci oczu przebudowa pałacu. Hatszepsut przygotowuje wielką wyprawą handlową do kraju Punt. Cały dwór trzęsie się od plotek. Orszak królewski ma wyruszyć przy najbliższej pełni księżyca.

— Dlaczego właśnie wtedy?

— Bo Hatszepsut chce zyskać przychyłność bogów. W Memfis i wzdłuż Nilu dołączają do niej kupcy i wojsko. Odprowadzą orszak do południowej granicy, dalej zamierza jechać sama. Opozycja na dworze jest coraz silniejsza, Satre. Hatszepsut wie o tym i dlatego chce odwrócić uwagę od Syrii. A bez Syrii Egipt przestanie być mocarstwem.

— Rozumiem — westchnęła smutno Satre.

— Mam przeczucie...

— Jakie, ojcze?

— Że już nigdy się nie zobaczymy...

— Co ty mówisz, ojcze!

— Jedyna dobra wiadomość dla ciebie jest taka, że ponoć z faraonem ma jechać twój mąż. Może zostaniesz wdową? Życzę ci tego.

Na myśl o mężu na jeden mały moment zagościł na jej twarzy grymas niechęci, tak dobrze znany Setiemu. Starzec zachował jednak milczenie.

— Dziękuję ci, ojcze, za to spotkanie. Niech Amon strzeże twego serca.

— Oby nie tylko serca. Idź. Gdy tylko dowiem się czegoś więcej, przyślę do ciebie Nebamona, kapłana, mojego ucznia, który cię tu przyprowadził. Jego wierności możesz być pewna.

Seti zniknął w tajemnym przejściu, a ściana wyglądała tak,

jakby nigdy nie było w niej drzwi. Satre wyszła na dziedziniec. Mimo zapewnień ojca drżała na myśl, że ktoś poznał ich sekret i gotuje się do zadania śmiertelnego ciosu.

Gdy przybyła do domu, skierowała się od razu w stronę swoich komnat. Nagle spostrzegła, że na podłodze leży znajoma tunika, a z sali kąpielowej dobiega szmer wody i śmiech jej męża. Poczekała w głównej komnacie jak prawdziwa Egipcjanka, której nie wolno przeszkadzać mężczyźnie, gdy dokonuje ablucji. Minuse wyszedł po dłuższej chwili w lekkiej tunice i ze starannie umalowanymi oczami, Był niski, kościsty i łysy.

— Zaskakujesz mnie, jak zawsze, mój panie — skłoniła się Satre.

— Ależ, pani, moje niespodziewane wizyty przyczyniają się do utrzymania twojej wierności.

— Doprawdy? Twoja szczerłość i poszanowanie cnót małżeńskich wprawiają mnie w zakłopotanie.

— Wiem, moja żono, wiem. Zawsze z utęsknieniem czekasz na swego męża.

— Ponieważ rzadko bywasz w domu.

— Dajmy już spokój. Takie rozmowy mnie męczą. Słyszałaś zapewne o planach faraona, oby żył wiecznie?

— Nie, mój panie. Czyżby jacyś młodzi strażnicy zostali wzięci na służbę w komnatach Hatszepsut?

— Daruj sobie te złościwości. Jako Nubijka nie jesteś wystarczająco rozumna, by dostrzegać rzeczy ważne. Królowa zamierza wyruszyć do kraju Punt na dalekim południu, by dać Egiptowi pokój, złoto i niewolników. Rozumiesz to?

Satre zignorowała tę zniewagę. Doskonale potrafiła grać przed mężem rolę głupiej, zazdrosnej Nubijki, z& jaką ją uważał.

— Nie do końca, mój panie. Czy ta wyprawa może być niebezpieczna?

— Oczywiście, choć namiestnik Nubii i nasi kupcy donoszą

o przyjaznym usposobieniu mieszkańców południa. Ale cóż ciebie może to obchodzić? Wiedz jednak, że wkrótce dzięki mnie zostanie zawarty niezwykle korzystny układ. Rozumiesz? Dzięki mnie!

— Cieszę mnie twoje słowa. Zaczę przygotowywać się do podróży.

— A kto ci powiedział, że pojedziesz? Czy chcesz, aby twój mąż skompromitował się żoną, której największym osiągnięciem jest liczenie cekinów? Moi przyjaciele to ważne figury. Rozumiesz? Zostaniesz w Tebach. Jeśli będziesz się nudziła, możesz pojechać do Memfis. Tylko nie doprowadź mnie do ruiny. A teraz wymasuj mi stopy, to robisz doskonale.

Minmose usiadł na sofie pokrytej skórą lwa. Satre w milczeniu ujęła jego stopy. Jej serce przepęłniała coraz większa nienawiść do człowieka, któremu była poślubiona przed bogami i ludźmi. Poniżał ją na każdym kroku, lecz ona miała świadomość, że dzięki temu małżeństwu ma swobodę działania. Mąż był miernotą, chociaż kąśliwą, to jednak miernotą z wielkimi ambicjami. Wiedziała, że sypia z każdą służącą i z co ładniejszymi niewolnicami, ale to nie przynosiło jej ujmy ani nie było powodem do rozpacz. Dlatego w milczeniu masowała jego stopy, choć w każdym innym domu robiłaby to niewolnica. Intendent lubił upokarzać żonę, ponieważ nie mógł posiadać jej duszy.

Z tyłu komnaty, za zasłoną, mignął cień. Ursilis zaciskał pięści w bezsilnej wściekłości.

Parę dni później w Tebach zrobiło się jeszcze bardziej gorąco, i to bynajmniej nie z powodu upału. Orszak Hatszepsut przygotowywał się do wymarszu. W cenie były wozy i wszelkiego rodzaju lektyki. Nawet święty przybytek Amona ogarnęła gorączka. Przystrajano posąg boga, odprawiano uroczyste nabożeństwa, by zaskarbić sobie łaskę Ukrytego.

W domu Satre również trwały przygotowania. Na kilka-naście wozów załadowano ubrania, pachnidła, suszone mięso z gazeli i świń oraz suszone owoce. Minmose był w dobrym nastroju, zakończył właśnie poranną toaletę, podyktował sekretarzowi korespondencję do znajomych w Nubii, u których miał zamiar zatrzymać się po drodze. Był przekonany, że dorobi się na spekulacjach. Satre słuchała męża w milczeniu. Wiedziała, że udając głupią Nubijkę, chroni nie tylko siebie, ale przede wszystkim tajemnicę. W przededniu wyjazdu Minmose mieli wspólnie zjeść ostatni posiłek. Obok pana domu zasiadła młoda kobieta, której Satre nigdy dotąd nie widziała.

— Widzisz, kochanie — rzekł do żony Minmose — nie będę sam w podróży. Szima jest kobietą, która potrafi dać egipskiemu mężczyźnie więcej niż Nubijki takie jak ty.

Szima obwieszona była biżuterią, jak kobiety gotowe na wszystko, byle tylko oczarować jakiegoś bogatego wielmożę.

— Panie, ciebie zadowoliliby nawet kotek odziany w kobiecą tunikę — odpowiedziała Satre.

— A nie mówiłem ci, kotko? — zwrócił się do Szimy, wkładając jej do ust kawałki granatu i gęsiej wątróbki — będzie o ciebie zazdrosna ta moja żoneczka.

— Może przyprowadzić ci jeszcze kilka ulicznic? — syknęła Satre.

— Czemu nie?

— Więc postaraj się o nie sam.

Minmose roześmiał się szyderczo. Wylał ręce o włosy niewolnicy kłęczącej przy stole i objął Szimę. Satre wyszła.

Gdy tylko wbiegła do swojej komnaty, upadła na łożo.

— Ozyrysie i Izis, widzicie moje upodlenie, pomstę zostawiam wam...

Leżała w ciszy. Nie miała nawet siły płakać. Wieść o tym, co

się stało, błyskawicznie rozniosła się po domu. Do komnaty wpadli Ursilis i Anchnum.

— Pani...

— Jeżeli przysłicie mówić o czymś innym niż twoje wyniki w nauce, mój chłopcze, to drzwi są za wami — powiedziała, tłumiąc szloch.

— Ależ, pani... ja tylko...

— Czego chcesz?

Ursilis i Anchnum popatrzyli na siebie. Nigdy wcześniej nie widzieli Satre w takim stanie.

— Pani, przybył właśnie Nebamon, kapłan ze świątyni Amona — odezwał się Ursilis.

— Co takiego? — Satre natychmiast podniosła się z łoża, jakby przeczuwała coś złego.

— Nebamon ze świątyni Amona. Przyniósł list. Mówi, że to pilne.

— Niech natychmiast wejdzie!

Młody kapłan wszedł bez słowa, podał Satre małą tabliczkę zapisaną hieratycznym pismem kapłańskim i szybko zniknął za drzwiami. Ku swojemu przerażeniu poznała pieczęcie. Jej ręce drżały.

— Pani, co ci jest? — zapytał nieśmiało Anchnum.

Pieczęcie na tabliczce należały do jej ojca, Setiego. Szybko je złamała. Przebiegła wzrokiem po zapisanej powierzchni, po czym upuściła tabliczki, a te potłukły się na drobne kawałki. Cofnęła się o krok i upadła. Ursilis i Anchnum natychmiast ją podnieśli i położyli na łożu. Zawołali murzyńskie bliźniaczki, by ocuciły panią. Ursilis szybko sprzątnął kawałki tabliczek, by nie dostały się w niepowołane ręce. Satre, ocucona ziołami, powoli zaczęła przychodzić do siebie. Otworzyła oczy, ruchem ręki kazała niewolnicom wyjść i przywołała Ursilisa.

— Ursilisie, masz go stąd zabrać, natychmiast. Nie pytajcie dlaczego. Jeszcze dzisiaj wyruszyście północnym szlakiem do Fenicji, a potem do Ugaritu. Musicie się pospieszyć, bo w Egipcie grozi wam ogromne niebezpieczeństwo.

— Ależ, pani... — Anchnum był przerażony.

— Nic nie mów, Anchnumie. W Ugaricie mieszka kupiec, z pochodzenia Babilończyk, imieniem Szamaszi, który wie o moich sprawach więcej niż niejeden Egipcjanin. On wam pomoże dostać się do Babilonu.

— Do Babilonu? — zdziwił się Ursilis.

— Tak, do Babilonu, bo nawet w Ugaricie nie będziecie bezpieczni.

— Jak ten kupiec pozna, że to ty nas przysyłasz? — zapytał Hetyta.

— Weź to. — Zdjęła z palca złoty pierścień w głowę kobry.

— Co to wszystko znaczy?! — krzyknął Anchnum. — Ledwo co opuściłem Fajum, a już mam jechać tam, gdzie nawet nie czczą naszych bogów? Dlaczego?! Powiedzcie mi!

Satre, mimo osłabienia, podniosła się z łóża i wzięła młodego kapłana za rękę.

— Jesteś wybrańcem bogów — wyszeptwała.

— O czym ty, pani, mówisz?

— Jesteś wybrańcem bogów! — powtórzyła głośniejszym głosem. — Zapamiętaj to sobie. Musisz uciekać z Egiptu, bo sunie za tobą cień śmierci. Hatszepsut będzie cię ścigała. Nie pytaj dlaczego. Próbowaliśmy razem z moim ojcem ukryć cię przed światem. Idź więc, spakuj swoje rzeczy, bo jeszcze dzisiaj musicie wyruszyć.

Anchnum wyszedł. Satre została sarna z Ursilisé.

— Z Ugaritu będziecie mogli dojechać do brodu na Eufracie pod Karkemiszem, gdzie przechodzą karawany do Babilonu. Jeżeli zabraknie wam pieniędzy, bierz śmiało złoto w każdym domu kupieckim na Minmose. I tak się nie zorientuje. — Głos Nubijki zaczął się łamać. Ursilis podszedł i dotknął jej ramienia

— Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko.

— Wiem. Ojciec...

— Nic nie mów — szepnął Ursilis.

I Satre utonęła w jego ramionach.

W świątyni Amona siny z bólu Seti próbował wstać z krzesła. Nebamon wciąż nie wracał. Ból wzmagał się, zalewając kapłana falami potu i wyzwalając konwulsje. Wiedział, że wszystko zależy teraz od tego, co zrobi Satre. Nie wątpił w nią, była kością z jego kości i krwią z jego krwi. W Nebamona także nie wątpił. Zaniesie tabliczkę. Robił to wiele razy. W umyśle starca wirowały chaotyczne myśli, jakby wywołane przez zioła sprowadzające sen lub śmierć.

Ból powoli, lecz nieubłaganie obejmował wszystkie części jego ciała. Stary Seti wiedział, że umiera. Ostatnim wysiłkiem woli skupił się jednak na pytaniu: kto go zabił? Kiedy ból zaczął obejmować płuca i serce, przypomniał sobie. Dzisiejszy południowy posiłek: nie było niewolnika, który zwykle próbuje dania. Ale przecież to samo jedli wszyscy wyżsi kapłani, w tym Hapuseneb, Senenu, Ramose i Chaemhat...

Nagle otworzyły się drzwi. Stanął w nich Nebamon, a przynajmniej tak wydawało się zamroczonemu bólem starcowi.

— To ty, Nebamonie? — wyszeptał.

Młody kapłan upadł na plecy. Dopiero teraz starzec dostrzegł sztylet wbity głęboko w jego brzuch. Podniósł wzrok na drzwi. Zobaczył w nich mężczyznę łudzaco podobnego do siebie. Za nim weszli dwaj potężni Murzyni i jednym ruchem zawiązali sznur wokół szyi najstarszego kapłana Amona. Jedno szarpnięcie i Seti stanął przed Ozyrysem.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyszedł, lekko stąpając między ciałami.

ROZDZIAŁ 3

Przez pustynię

Świtało. Ursilis i Anchnum zmierzali w stronę egipskich strażnic granicznych na Synaju. Minęły już cztery tygodnie, odkąd tak nagle opuścili Teby. Czuli się jak zaszczute zwierzęta. Jechało z nimi dwóch niewolników i pięć objuczonych mułów wybranych przez Ursilisa. Nie zabrali złota. Ursilis wziął od Satre dziesięć tabliczek wystawionych na Minmose, z których każda warta była dwa debeny złota. Można je było wymienić we wszystkich domach kupieckich, począwszy od Memfis, a skończywszy na Krecie. Ursilis wciąż miał w pamięci ostatnią noc w Tebach, podczas której Satre dała mu to, co kobieta może dać najcenniejszego. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.

Mógł być pewny niewolników, którzy jechali z nimi. Jeden z nich pamiętał jeszcze dzieciństwo Minmose, a drugi był Nubijczykiem, znającym Satre od dziecka.

Jechali, dopóki słońce nie wskazało południa. Wtedy stanęli. Muły musiały odpocząć w cieniu pustynnych krzewów i napić się wody. Gdyby przydarzył się jakiś wypadek, Ursilis mógł w jednym z garnizonów na Synaju wymienić zwierzęta, miał bowiem papyrusy potwierdzające dyplomatyczny charakter ich podróży, a dyplomatom przysługiwały muły i konie na koszt

faraona. Miał jednak świadomość, że wymiana zwierząt może wzbudzić podejrzenia każdego, kto posiada dostateczną wiedzę o szlakach kurierów dyplomatycznych. Dyplomaci o wyglądzie hetyckiego niewolnika i młodego egipskiego kapłana na pewno wzbudziłiby podejrzenia.

— Czy masz wodę, Ursilisie? — zapytał Anchnum.

— Tak, pij. — Ursilis podał chłopcu bukłak. — Nie będziemy mogli długo odpoczywać. Ruszamy po południu, kiedy słońce zejdzie niżej. Jeszcze dziś musimy minąć pustynne forty, które mamy po prawej ręce, w odległości mniej więcej dwudziestu mil egipskich.

— Dlaczego musimy omijać Egipcjan? Przecież nic o nas nie wiedzą.

— Właśnie dlatego, Anchnumie. W naszym interesie jest, by nie dowiedzieli się niczego. Jeżeli ruszyła za nami pogoń, a nie wiem, czy tak jest, na pewno będą o nas pytali w fortach pustynnych.

— A pani Satre?

— Została w Tebach. Oby bogowie ją chronili. Jednego tylko nie rozumiem: dlaczego kazała nam wyjechać zaraz po otrzymaniu tabliczek? Co w nich było?

— Mogłeś przeczytać...

— Mogłem, lecz tego nie zrobiłem. Może będzie nam dane dowiedzieć się czegoś podczas podróży. Czy pamiętasz, jak mówiła o pewnym kupcu, do którego mamy się udać? Może on nam coś wyjaśni.

— Ursilisie, widzisz te czarne punkciki? — zapytał Anchnum po kilku chwilach.

— To jeźdźcy. Poruszają się bardzo szybko — stwierdził Hetyta, mrużąc oczy.

Anchnum znieruchomiał.

— Nie zobaczą nas z takiej odległości. Tutaj, gdzie jesteśmy, leży wiele dużych głązów. Może nas miną?

Ursilis powiedział kilka słów po nubijsku do starego niewolnika, ten skłonił głowę i z sakwy pod brzuchem muła wyjął łuk,

kolczan ze strzałami i dwa krótkie miecze z brązu w pochwach z kozłej skóry.

— Nie wyjmujcie na razie mieczy. Odblask słońca na brązie może nas zdradzić — ostrzegł Ursilis.

Zwierzęta zachowywały się spokojnie. Jeźdźcy zbliżali się do skał, za którymi ukryli się uciekinierzy. Po kilku minutach oczekiwania w nieznośnym napięciu można było dostrzec szczegóły: cztery rosłe konie i jeźdźców ubranych na modłę egipską. Ursilis kazał Anchnumowi skryć się za swoimi plecami, a sam dobył łuku, naciągnął cięciwę i czekał, aż pierwszy jeździec zbliży się na odległość tysiąca kroków. Anchnum widział, jak pracują mięśnie ramion Hetyty.

— Ursilisie, zanim zabijesz ich wszystkich, zastanów się, czy ich śmierć jest nam potrzebna — odezwał się nieśmiało.

— Sam nie wiem... — mruknął Hetyta, wciąż trzymając łuk w pogotowiu. — A jeśli to pogoń?

— A jeśli nie? Dlatego nie chcę, byś strzelał.

Ursilis odłożył łuk.

Pierwszy jeździec minął ich w odległości zaledwie trzystu kroków. Dopiero teraz zobaczyli, jak fatalną mogli popełnić omyłkę. Na połach płaszcza, chroniącego od gorącego powietrza, miał ureusza, królewską kobrę wyszytą srebrną nicią, skrzącą się w słońcu bladym błękitem. Zanim przesypała się klepsydra, minęli ich pozostali jeźdźcy. Uciekinierzy mogli podziwiać bogate uprząże, jakich używają oficerowie pułków gwardyjskich.

— Anchnumie... — szepnął Ursilis — to wysłannicy Hatszepsut. Ciekawi mnie...

— Co takiego?

— Dlaczego podróżują sami? Podobno dawniej bile intendent, który wybierał się w podróż do Jerycha lub Aleppo, miał do dyspozycji kilkudziesięciu ludzi eskorty.

— Jaki ma to związek z nami?

— Wbrew pozorom duży, Anchnumie. W Babilonie znajdziemy się najwcześniej za osiem, dziewięć miesięcy. O ile

w ogóle tam dotrzemy. A Hatszepsut chce dać Syrii chyba coś więcej niż tylko swoje błogosławieństwo. Rozumiesz?

— Niezupełnie.

— Och, Anchnumie! Chcąc nie chcąc, będziemy przejeżdżali przez Syrię, a tam możemy natknąć się na zamieszki. — Ursilis położył dłoń na ramieniu chłopca. — A ja przyrzekłem mojej pani, że dowiozę cię do Babilonu całego i zdrowego.

Ursilis podszedł do nubijskiego niewolnika, który powiedział coś w swoim języku. Hetyta, wyraźnie zirytowany, odwrócił się do niego plecami.

— Co on powiedział? Co się stało? — dopytywał się Anchnum.

— Stary Chewet twierdzi, że tę pustynię szczególnie ukochał sobie Set, Pan Pustyni i Śmierci, mroczny, leżący pies.

— Tak, widziałem kiedyś takie zwierzę — odparł chłopiec.

— Niemożliwe...

— Nie żywe, posażek...

— Gdzie?

— W Fajum był taki straszny starzec. Przegnano go... — w oczach Anchnuma czaił się strach. Ursilis spostrzegł to i się uśmiechnął. — Co cię tak śmieszy?

— Nic.

— Nie wierzysz pewnie w bogów?

— Wierzę przede wszystkim w to, że trzeba dotrzymywać przysiąg — odpowiedział Hetyta.

— Nie odbiegaj od tematu. Pytałem, czy wierzysz w bogów?

— Nie w takich z głową świni lub barana. Bóg musi być albo jeden, albo żaden. Tak mi się wydaje, choć oczywiście, tak jak wszyscy szanuję bogów i składam im ofiary.

— Świat został stworzony przez Ptaha. Dopiero potem powstał inni bogowie, tak samo, a może nawet bardziej potężni niż on. Tak uczono mnie w Fajum.

— I dobrze cię nauczono. My czcimy boga pogody Taru, albowiem nasz kraj składa się z gór, mgieł i zielonych pastwisk. Inni bogowie to tylko jego członki. W końcu bogowie ulepił

z gliny człowieka. Kiedy ludzie stali się nieznośni, zesłali na nich potop. Pan Pogody rozgniewał się na ludzi, którzy nie dawali mu spać, i potopił ich, zostawiając tylko dwoje.

— To jakaś bzdura! — przerwał mu Anchnum. — Wcale tak nie było!

— Anchnumie, daj mi dokończyć. Inni bogowie pozazdrościli Panu Pogody i też ulepili ludzi. Tych dwoje nazwano Hatti, a resztę, która była bardzo brzydka i krzykliwa, bogowie nazwali „innymi ludami”.

— Jak to innymi?!

— Na przykład Egipcjanami, szczególnie tymi młodymi.

— Kłamiesz! Rzucę w ciebie kamieniem!

— Uważaj, bo oddam!

Ursilis nie mógł powstrzymać śmiechu. Anchnum odszedł za głaz i milczał, urażony w swej egipskiej dumie. Siedział tak ze trzy klepsydry, obserwując, jak ziarenka piasku wirują między kamieniami.

— Ursilisie... — odezwał się wreszcie.

— Tak?

— Daj mi bułką.

— Dlaczego?

— Bardzo chce mi się pić. Proszę...

— A bogowie?

— Najlepiej udały im się woda i figi. Dawaj!

— Łap!

Słońce z wolna chyliło się ku horyzontowi.

Zmierzchało. Każdy, kto kiedykolwiek był w tych stronach, wie, jak szybko całun ciemności okrywa spaloną słońcem ziemię. Ursilis przygotował się do drogi jeszcze przed zmierzchem, dlatego kiedy zapadł zmrok, szybko załadowano juki i Hetyta dał znak, by ruszać. Napojone i nakarmione muły szły rażno. Wkrótce oddalili się od skał i wyszli na kamienistą

bezkresną równinę, oświetloną sinym blaskiem księżyca. W od-
dali prerażliwie wyły hieny, co skłaniało zwierzęta do szyb-
szego marszu.

Po całonocnej jeździe uciekinierzy zbliżyli się do skalnego
uskoku, który od Morza Czerwonego odległy jest o dziesięć dni
drogi, a od granicy Kanaanu aż o dni trzydzieści. Dopiero
wtedy Ursilis dał znak, by się zatrzymać. Anchnuma od dłuż-
szego czasu dręczyło pytanie, jak to możliwe, by niewolnik
podróżował przez pustynię tak niebezpieczną i nieprzyjazną
z tak niezwykłym spokojem i znajomością terenu.

— Ursilisie, jak ty to robisz, że nie błądzimy?

— Trzeba umieć czytać gwiazdy.

— Ale czy niewolnik...

— Zamilcz, Anchnumie... — Po chwili jednak Ursilis
z uśmiechem odpowiedział: — Nie zawsze byłem niewol-
nikiem.

— A co robiłeś? Czytałeś w gwiazdach? — mruknął Anch-
num z ironią.

— Między innymi. A teraz musimy zsiąść z mułów, ponie-
waż uskok można obejść tylko od południowej strony, i lepiej,
aby luki były w pogotowiu. W jaskiniach na dole może czaić
się niebezpieczeństwo. Pustynne lwy lubią takie miejsca.

Zsiedli więc z mułów. Egipski niewolnik od razu zaczął
krzyczeć, że nie ma zamiaru nigdzie iść, bo w takich miejscach
może ukrywać się Set. Dopiero solidny policzek wymierzony
przez Nubijczyka uspokoił go na tyle, że mogli zacząć schodzić.
Ursilis stwierdził, że Satre nie bez powodu dała im Cheweta.
Czuł, że staremu można zaufać. Schodzili wolno, trzymając
muły za uzdy. Uskok ciągnął się na pięćdziesiąt staj z północy
na południe i trzydzieści ze wschodu na zachód. Upał narastał.
Wgryzał się w ciało.

— Chce mi się pić — jęknął Anchnum.

— Wytrzymaj. W połowie wysokości uskoku jest źródło,
jedyne w promieniu wielu dziesiątków mil. Tam się za-
trzymamy.

Szli wytrwale w dół. Muły prychały niecierpliwie, rozdrażnione nie tyle upałem, co niewygodną drogą. Nagle Hetyta dał znak,, by stanęli, i zaczął rozglądać się niespokojnie na wszystkie strony.

— Co się stało, Ursilisie? — spytał Anchnum.

— Tutaj powinna być woda! — krzyknął Ursilis i w chwilę potem tego pożałował, bo jego głos poniósł się daleko. — Tutaj musi być woda — powtórzył ciszej. — Przecież nie mogłem przeoczyć tego miejsca. Nie mogłem... — Ostatnie słowa przepelnione były rozpaczą. Powiedział coś do Cheweta, ostro i gwałtownie.

— Co teraz? O czym rozmawialiście? — Anchnum spoglądał niepewnie to na Ursilisa, to na Nubijczyka.

— Niech młody pan się nie boi. Młodemu panu wody nie braknie. Młody pan się uspokoi — powiedział Nubijczyk ze spokojną serdecznością, po raz pierwszy po egipsku, odkąd opuścili kraj Kem. — Ja będę, mój młody panie, szukał wody.

— Nubijczyk, znasz tę sztukę? — zainteresował się Ursilis. — Ja potrafię nie zgubić drogi w nocy, lecz znaleźć wody nie umiem.

— Ja także nie. Ale one potrafią. — Wskazał na muły.

— Dziwy opowiadasz, Nubijczyk — orzekł Anchnum. — A kiedy te zwierzęta zechcą jej szukać?

— Wtedy, gdy poczują pragnienie.

— A więc kiedy?! — krzyknął Ursilis. — Przecież wody wystarczy nam najwyżej na trzy dni. Chyba że zaczniemy zmniejszać racje.

Ursilis i Chewet popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Wiedzieli, że Anchnum musi pić, ponieważ dziecko nie wytrzyma bez wody tak długo jak dorosły. Nawet młody Ozyrys nie był tak silny jak dorosły Ozyrys.

Zeszli na samo dno uskoku, gdzie spodziewali się znaleźć trochę ochłody. Upał jednak był coraz bardziej dokuczliwy. Anchnum położył się między Ursilisem i Nubijczykiem. Hetyta okrył go lekkim lnianym płaszczem, aby osłonić od upału,

wiatru i skorpionów. Egipcjanin, niewolnik należący do Minmose, milczał. Widać było, że jego pustynia już złamała. Wkrótce zmógł ich sen.

Po jakimś czasie egipski sługa lekko się poruszył. Podniósł głowę. Jego nieprzytomne oczy popatrywały to na muły, to na trzech drzemiących. Zatrzymały się w końcu na sześciu bukłakach. Poczuł przez skórę zapach wody, jak potrafi to wyczuć jedynie wycieńczony upałem człowiek. Podniósł się powoli. Ruszył najciszej, jak mógł, w stronę leżących spokojnie zwierząt. Tylko tobie się należą, powiedział jakiś głos. Egipcjanin odwrócił się, lecz nikogo nie zobaczył. Tak, wszystkie bukłaki i jeden muł. Wrócisz do fortu, który mijaliście dzień temu, nie przestawał mówić głos. Tak, napij się. Wziął bukłak. Był pełen wody. Napiję się potem, pomyślał. Podszedł do swojego muła. Odwiązał zwierzę, które posłusznie się podniosło. Załadował wszystkie bukłaki. Nagle przypomniał sobie, że hetycki chłopak ma tabliczki z wypisanymi debenami złota oraz pieczęć Minmose. O, bogowie, dzięki wam za tak wspaniałą myśl! Uśmiechnął się. Złoto. To właśnie jest to, czego potrzebuje najbardziej. Wykupi się z niewoli. Otworzy winiarnię w Fajum albo w Memfis. Będzie kimś.

Odwrócił się z uśmiechem i osłupiał. Przed nim stał stary Nubijczyk.

— Ja tylko chciałem sprawdzić, czy muły nie uciekną... — wyjąkał Egipcjanin.

Chewet milczał. Wyraz jego twarzy mówił więcej niż słowa. Błyskawicznym ruchem wyciągnął krótki sztylet. Egipcjanin zobaczył tylko refleks słońca na metalu. W chwilę potem, gdzieś w okolicy podbrzusza, poczuł rozdzierające ciepło. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że ciepło jest lepkie i pachnie jak krew.

Ciszę rozdarł straszny krzyk. Obijał się echem od skał, a te go zwielokrotniały. Ursilis i Anchnum zerwali się na równe nogi. Zobaczyli starego Cheweta ze spuszczoną głową i Egipcjanina leżącego przed nim na wznak w kałuży krwi. Ursilis podbiegł do rannego i próbował zatamować krew rękami.

— Ozyrysie... nie pozwól mi iść... między cienie... — rzeźił Egipcjanin. — Woda i bukłaki... tabliczki... — Jego słowa przechodziły w szept cichy jak granie świerszcza.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Ursilis Cheweta.

— Człowiek, który zabiera ostatnią wodę trojgu innym na pustyni, jest nieczystym psem. Człowiek, który skazuje dziecko na śmierć z pragnienia, sam zasługuje na śmierć — rzucił zimno Nubijczyk.

— Tak, wielu spośród żywych zasługuje na śmierć. — Ursilis spuścił głowę i zapytał Egipcjanina:

— Dlaczego chciałeś to zrobić, biedny głupcze?

Ale ten, który umierał, nie słyszał już niczego. Ursilis podniósł wzrok na Anchnuma. Chłopak cofał się krok za krokiem, zbyt przerażony, by wydobyć choć słowo czy nawet jęk przestachu. Ursilis zostawił trupa i podszedł do niego.

— Anchnumie, musimy stąd odejść. Proszę, chodź ze mną. — Wyciągnął rękę.

Lecz Anchnum był już na samym skraju urwiska. Drżał, patrząc na zwłoki w kałuży krwi. Z trudem tłumił krzyk. Zatkanął uszy i osunął się na kolana. Za nim majaczyła otchłań. Ursilis podbiegł do niego.

— To się musiało stać — tłumaczył. — Bez wody umarlibyśmy w ciągu trzech dni, może szybciej. Anchnumie, popatrz na mnie. Może kiedyś bogowie zechcą, abyśmy oddali nasze życie, spłacając zaciągnięty dziś dług. Wybacz nam, ale to ty jesteś tutaj najważniejszy.

Przez kilka długich chwil klęczeli obok siebie w milczeniu.

— Zabierajmy się stąd! — krzyknął w końcu Chewet. — Zaczynają krażyć nad nami sępy. To widać z odległości dziesiątek mil. Nim miną cztery klepsydry, będziemy mieli tutaj pustynne hieny, a wtedy może być z nami źle.

Ursilis przyznał Chewetowi rację i zaczął sposobić muły do drogi. Stary Nubijczyk podszedł do Anchnuma.

— Wybacz, młody panie, że Chewet zabił sługę pana Minmose. Wybacz staremu, a jeśli nie wybaczysz, to przynajmniej

pozwól, abym wbił sobie ten sam sztylet i zaczął na hieny. Ty, mój młody panie, musisz żyć...

— Nie, żadnego więcej sztyletu — powiedział Anchnum. Przytulił policzek do policzka starego Nubijczyka, pomarszczonego i spoconego. — Ruszajmy.

— Mój młody panie, niech chronią cię wszyscy bogowie! — wyszeptał Chewet.

Ursilis i Chewet usiłowali przed odjazdem przykryć ciało niewolnika kamieniami. Okazało się jednak, że jest ich za mało, a ponieważ Egipcjanie wierzyli, że bytować po śmierci może tylko osoba pogrzebana, załadowali zwłoki na muła i dopiero w piaskach pustyni sługa Minmose znalazł miejsce wiecznego spoczynku. Stracili dużo czasu i sił, ale było to konieczne nie tylko ze względu na przykazania bogów, ale też dlatego, aby rozkładające się ciało nie zwabiło sępów i hien.

Przed nimi rozciągał się bezmiar synajskiej pustyni; gorącej, zdradliwej i suchej, ciągnącej się na wiele dziesiątków mil w stronę Palestyny. Muły szły wolno i spokojnie. Zaczęło zmierzchać. Gdy zapadły ciemności, a dzieje się to w Egipcie szybko, Ursilis dał zwierzętom proso do żucia, a sami napili się wody. Anchnum zasnął wkrótce, oparty o szyję muła, a Hetyta przywiązał go do niej, by nie spadł, gdy ruszą szybciej.

Księżyc świecił jasno, więc dobrze widzieli, jak kształtuje się pustynia. "Nocą zmieniana się nie do poznania. Saka gdyby ciemność czyniła z niej inną krainę. Pustynia, pole Seta, bezkresna i niedostępna, była teraz dla nich prawdziwym schronieniem. Przypominała papirus zapisany dziwnym pismem złożonym z milionów kamieni, z których każdy miał odpowiednik w postaci gwiazdy na nieboskłonie. Gwiazdziste niebo i kamienista pustynia tworzyły parę, która w niekończącym się koro-
wodzie życia i śmierci odsłaniała tajemnice, ustanawiała granice dla ludzkiego oka, ale jednocześnie zapraszała go migotliwymi

fatamorganami do poddania się jej urokowi. Niosła śmierć, jeżeli komuś przeznaczyli ją bogowie. Pustynia lubiła rzeźbić swoje ciało, przesuwając piach gorącym oddechem — wiatrem. Karmiła również swoje sługi: hieny, szakale i sępy. Była życiem i śmiercią. Była wielkim wtajemniczeniem w swoje misterium. I chcąc nie chcąc, musiała gościć intruzów — ludzi.

Wstawał ranek. Na wschodzie niebo poszarzało, gwiazdy zbladły, a duchy pustyni wróciły do grobów na wydmach. Piasek z wolna zaczął nabierać właściwej sobie beżowożółtej barwy i gdzieś tam, daleko za krainą cieni, swoje oko otworzył Ra. Nad horyzontem ukazał się lekki łuk, czerwony niczym rozpalony brąz. Nastął kolejny dzień — duszny i gorący, który w przekonaniu Ursilisa i Cheweta miał przynieść im śmierć z pragnienia.

Minęły trzy dni. Uciekinierzy wciąż żyli. Mieli jednak spierzchnięte wargi, włosy sklezione potem, wysuszone ciała, choć nie zgasyły w nich upór i wola przetrwania. Nad ranem, sześć dni po śmierci egipskiego niewolnika, muły stanęły. Wszystkie bukłaki, oprócz jednego, były puste. Ursilis przebudził się z odrętwienia i spojrzął na Cheweta i Anchnuma. Chłopak oddychał ciężko, miał popękane wargi, strupy na twarzy i poparzone ręce.

— Anchnumie, słyszysz mnie?

Odpowiedzią był głuchy jęk. Ursilis i Chewet zsiadli z mułów. Zdjęli też z siodła Anchnuma. Zwierzęta położyły się na piasku. Ursilis wziął bukłak i delikatnie obmył twarz chłopca.

— Daj mi! Daj! — Anchnum rozpaczliwie chwycił bukłak i byłby wylał te ostatnie krople życia, gdyby nie silne ramię Hetyty.

— Spokojnie, pij małymi łykami. — Gdy zaspokoił pierwsze pragnienie, Ursilis podał bukłak Chewetowi. Ten wypił nieco i zwrócił go Ursilisowi.

— Młody pan dalej nie pojedzie — rzekł Chewet, a jego ciemne oczy zdradzały zwątpienie. Ursilis położył chłopaka na ziemi. — Ursilisie, nie mamy już fig. Tylko suszone mięso, ale to nie wystarczy. Trzeba nam wody.

— Jakbym nie wiedział — mruknął w swoim języku Hetyta, a głośno powiedział: — Mówiłeś, że muły wyczują wodę. One też długo nie piły.

— Na razie jednak leżą. Lepiej poszukajmy jakiegoś schronienia przed słońcem.

— Dobra myśl. Nie traćmy czasu na czcze gadanie. Widzisz po lewej stronie te dwa duże głazy? — Z wysiłkiem wsiedli raz jeszcze na muły, a te, o dziwo, ruszyły posłusznie i wcale nie trzeba było ich popędzać w stronę głazów, które z oddali wyglądały jak dwa gigantyczne skarabeusze, toczące w mazole swój gnilny skarb. Gdy doszli na miejsce, zwierzęta zaczęły prychać i nie chciały się położyć.

Ursilis popatrzył na Anchnuma, który pogrążony w letargu siedział na mule, nie zdając sobie sprawy ani z tego, co się dzieje, ani z tego, gdzie się znajduje. Hetyta ściągnął go z siodła i ułożył na piasku. Zwierzęta wciąż zachowywały się niespokojnie. Ursilis położył dłoń na czole chłopca. Płonęło. Anchnum umierał, a on miał ochotę wyc z bezsilnej wściekłości. Prócz rozpaczony nie zostało już nic. Tylko czekanie. Z odrętwienia wyrwał go głos Nubijczyka:

— Patrz!

Ursilis odwrócił owiniętą chustą głowę i zobaczył, że muły zdołały po drugiej stronie głazów wykopać szeroką dziurę i wszystkie schyliły tam głowy. Ursilis nie wierzył własnym oczom.

— Widzisz? Mówiłem ci! — wykrzyknął Chewet.

Hetyta zaczął wlec się na czworakach w stronę pijących zwierząt. Na środku pustyni synajskiej muły piły wodę ze zbiornika wykopanego pod dwoma wielkimi głazami! Teraz nie liczyło się nic prócz wody, płynu, który wart był dla spękanych ust więcej niż wszechświat i wszystkie skarby faraonów.

— Anchnumie, Anchnumie — szeptał Ursilis — jesteśmy uratowani, żyjemy...

Zanurzył głowę w wodzie zmaconej przez zwierzęta. Gdy zaspokoił pierwsze pragnienie, razem z Chewetem przenieśli Anchnuma w pobliże zbiorniczka. Hetyta ściągnął chustę z głowy młodego kapłana, zmoczył ją, zwilżył wargi chłopca i próbował go ocucić.

— Gdzie jestem? — wycharczał Anchnum.

— Mamy wodę, pij.

Chłopak pił łapczywie, jak przed chwilą Ursilis. Potem przyszła kolej na Cheweta. Napełnili bukłaki. Ich ciała wchłaniały wodę jak gąbka. Mimo że pili, wody nie ubywało, co oznaczało, że musi być jej dużo.

— Czy to źródło? — spytał Ursilis.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział Chewet. — Słyszałem już kiedyś, że pod wielkimi głazami na początku pory suchej może gromadzić się woda z pory deszczowej. Takie głazy ponoć ją przyciągają. Nie wierzyłem w to, prawdę mówiąc, ale teraz widzę, że cuda bogów nie mają granic. Jak to się dzieje, nie potrafią wytłumaczyć, ale podobno bóg Chnum rzucał takie głazy na pustynię po to, by ratować podróżnych z rąk Seta.

— Dziwne, że woda potrafi zbierać się sama z siebie...

— Długo tu będzie? — chciał wiedzieć Anchnum.

— Nie wydaje mi się, żeby dotrwała do zmierzchu — orzekł stary niewolnik. — Gdy słońce podniesie się wyżej, upał zrobi swoje i nawet kamienie nie pomogą. Napijmy się, bo drugiej takiej okazji możemy nie mieć aż do brzegu słonego morza.

— Czego? — zapytał Anchnum.

— Dziwnego morza, którego woda jest słona i tak gęsta, że nie można się w niej utopić — wyjaśnił Ursilis. — Mieszkają tam ludzie z plemienia Habiru, wierzący w bardzo dziwnego boga.

— Dlaczego dziwnego? — wtrącił się stary Nubijczyk.

— Bo nie ma on żadnego wizerunku. Jednak inne plemiona spokrewnione z Habiru uznają i jego, i innych bogów.

— Niemożliwe... — mruknął Anchnum. — Nie można utonąć? Jak długo musimy jeszcze iść przez pustynię do tego dziwnego morza?

— To będzie zależało od szybkości, z jaką będziemy poruszali się w nocy. Ale myślą, że do miejsca, gdzie pustynia i piaski ustępują wzgórzom porośniętym karłowatymi krzewami, są dwa dni jazdy. Tak przynajmniej pamiętam.

— Mój młody pan odpocznie — rzekł Chewet. — Niech się nie rusza i niech się napije, póki pod kamieniem jest woda.

— Popatrz na niego. — Ursilis szturchnął starego łokciem.

Anchnum spał. Rozpostarli między głazami płótno chroniące przed bezlitosnym słońcem. Popijając wodę, postanowili zmieniać się na warcie. Tak minął dzień wody, dzień błogosławieństwa, które objawiło się dwoma głazami i tym, co było pod nimi — płynnym życiem.

Beniamin ben Jona

Nad południowym Moabem wschodziło słońce, służba jeszcze spała, a stada owiec wciąż trwały w nocnym letargu. Mężczyzna otworzył oczy. Oślepiło go światło. Po omacku odnalazł kubek z wodą, wstał, obmył twarz, ręce i nogi i wyszedł z namiotu. Pomyślał, jak wielki to dar widzieć codziennie rano twarz żony, czekać, aż poda placek z prosa i pieczoną szarańczę. Mężczyzna błogosławił Pana za Eachel i dzieci. Podziękował za to, że przez kolejny dzień będzie mógł wypasać z synami swoje owce, zaprowadzić je do górskiego źródła i czekać wieczoru.

Jego synowie, Jechab, Asmael i Josef, także już wstali. Beniamin ben Jona miał w sercu wielką nadzieję, że dzisiejszego dnia nie będzie musiał patrzeć na nieczystych ludzi z innych plemion, które sąsiadują z jego plemieniem i czczą obrzydliwość nad obrzydliwościami — kołki o ludzkich twarzach, nieczystego Melkarta i podłą Astoreth, demony nicości. On sam czcił El Szaddaja jako Tego, który wszystko zawiera w sobie, jako Tego, który jest pierwszy. Beniamin był głową jednego z dwunastu plemion, które uznawały Tego, którego imienia nie wolno wymawiać, ale plemiona te często wiodły ze sobą spory i nie było mowy o jedności. Jego ród był stary i Beniamin szczylił się, że pochodzi od samego Abrahama.

— Pokój niech będzie z tobą — przywitali go synowie.

— Pokój z wami. Chodźmy spożyć posiłek, który przyrządziły nasze żony.

Jedli w milczeniu. Nie godzi się kłaść darów Niewidzialnego, mówiąc podczas ich spożywania. Gdy skończyli, mogły zjeść kobiety, a potem reszta domowników. Bracia popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

— Ojczy, nakłoń uszy ku naszym słowom — odezwał się najstarszy, Jechab.

— Synu, wiesz, że zawsze uważnie was słucham.

— Jeden z pastuchów powiedział to Asmaelowi, a ja mówię tobie: na południe od naszego obozu widziano wczoraj pięć mułów. Dziś będą na naszej ziemi.

— Czy tylko zwierzęta pustyni zaniepokoiły wasze serca?

— Twoje oczy widzą daleko, ojczy. — Jechab skłonił z szacunkiem głowę. — Przeraziło nas trzech obcych, nieczystych. Pasterz zbliżył się do nich przy wodopoju na równinie Moabu. Nigdy nie widział takich ludzi. Mają głowy okryte chustami opadającymi aż na ramiona. Wyglądają na kobiety, ale nimi nie są. Jeden z nich to zapewne sługa dwóch pozostałych, bo wygląda na dziecko.

— To nie kobiety, Jechabie. Takie chusty noszą mężczyźni z kraju nad Nilem. Strzeżcie się ich. Nieczystym towarzyszy zawsze zdrada i podstęp.

Synowie raz jeszcze skłonili się przed ojcem. Wiedzieli już, co mają czynić. Muszą pojechać do intruzów i powiedzieć im, że ziemia, po której chodzą, jest święta i powinni zawrócić. Wsiedli więc na osły i wraz ze sługami ruszyli tam, gdzie spodziewali się znaleźć obcych. Słońce prażyło mocno. Na ziemi zwilżonej rosą przysiadło stadko pustynnych gołębi. Ptaki pohukiwały i kołysały się z boku na bok. Najstarszy z braci jechał w milczeniu, przyglądając się im i myśląc, że skoro takie stworzenia jak gołębie mają wszystkiego w bród, to nic nie może stać się tym, którzy czczą Boga dbającego o tak marne istoty. Ta myśl go zachwyciła. Pogonił osła, tak samo uczynili jego bracia i słudzy. Nie mogą zawieść ojca.

Poczynania jeźdźców śledziły zza pustynnych krzewów przenikliwe oczy. Gdy ostatni sługa oddalił się na czterdzieści kroków, za karłowatą akacją zapłonęła na mgnienie oka płowa grzywa.

*

Ursilis obudził się z bólem głowy. Przez ostatnie dwa lata przywykł do wygodnego posłania w domu Satre. Ach, Satre! Znow nawiedziły go wspomnienia piękne, ale i bolesne. Uśmiechnął się jednak, bo wiedział, że nie odbierze mu ich nikt, nawet bogowie. Popatrzył na Anchnuma, który spał skulony jak karakal, i na Cheweta, leżącego na wznak ze złożonymi na brzuchu rękoma.

Słońce było już wysoko. Bezlitosne słońce, które o mało nie odebrało im życia. Ursilis podszedł do Anchnuma i delikatnie położył rękę na jego głowie.

— Wstawaj — szepnął.

— Już? — Chłopak zasłonił oczy ramieniem.

— Musimy ruszać. Tym razem na pewno napotkamy ludzi, od których kupimy jedzenie.

— Nic będziemy odpoczywali?

— Anchnumie, zanim zatrzymamy się na dłużej, musimy odnaleźć człowieka, który ma nam pomóc. Znam tylko jego imię, Szamaszi.

— A jeśli wielu ludzi nosi to imię?

— Nie wiem, jak go odnajdę—przyznał bezradnie Ursilis. — Ale jeśli tego nie uczynię, nie będziemy mogli dalej podróżować.

— Dlaczego?

— Mówiłem ci, kiedy mijaliśmy egipskich kurierów na pustyni. Miałem przeczucie, że wiele się zmieni, że nad Syrię nadciągają czarne chmury i deszcz zaleje wiele krajów.

— Co zamierzasz?

— Najbardziej lubię cię, mój Anchnumie, za takie właśnie pytania. Otóż, wyobraź sobie, że zamierzam przeżyć.

Młody Egipcjanin coraz bardziej cenił sobie przyjaźń Hetyty. I to nie tylko dlatego, że w tej chwili nie miał innego przyjaciela. Urisilis imponował mu i Anchnum czuł się przy nim bezpieczny.

Chewet także się obudził i nubijskim zwyczajem padł na twarz, by oddać cześć Słońcu. Gdy wstał, pozdrowił w swoim języku Ursilisa, który odpowiedział mu w tym samym narzeczu.

— Czy mój młody pan jest głodny? — zwrócił się do chłopca.

— Bardzo.

— Młody pan poczeka.

Oddalił się za najbliższą wydnię, gdzie na olbrzymiej przestrzeni suchych wzgórz, osłonięte od pustynnego wiatru, rosły karłowate akacje. Zielone listki tworzyły coś na kształt zielonego dywanu, który ciągnął się od południowego Moabu aż po nadmorskie równiny zamieszkałe przez dzikich Filistynów. Na zieleniących się krzewach Chewet spodziewał się znaleźć pożywny pokarm, który w Nubii uchodził za przysmak. Szarańczę.

Gdy wrócił po kilku klepsydrach, niósł na rozpostartej płachcie pół setki tłustych owadów.

— Rozpalmy ogień. Szarańcza najlepsza jest pieczona.

— Skąd tyle tego wzięłeś?

— Mój młody pan jest ciekawy? Szarańcza jest zawsze, ale tylko w porze deszczowej rozmnaża się w straszliwych ilościach i niszczy plony. Popatrz, panie.

Nubijczyk wziął wielkiego szarozielonego świerszcza. Owad był martwy, mimo to Anchnum brzydził się wziąć go do ręki. Gdy suche badyle spłonęły, Chewet poukladał szarańczę na żarze, umiejętnie i delikatnie.

Szybko zaspokoił głód, chociaż Anchnum początkowo wzdrygał się przed jedzeniem wielkich świerszczy. Docenił jednak ich smak i aromat. Smakowały lepiej niż placek z prosa, nie mówiąc już o cuchnącej nilowej rybie, jaką karmiono adeptów szkoły Sobka w Fajum.

Byli już syci, należało więc opracować strategię marszu przez

ziemie Habiru i Filistynów. Znajdowali się wprawdzie na terenach, które przynajmniej formalnie podlegały zwierzchnictwu kraju Kem, lecz była to już Syria i każdy kamień mógł stać się pociskiem do katapulty. W każdych syryjskich oczach kryło się takie okrucieństwo, jakiego nie wyobrażano sobie poza granicami tych krain. Okrutni byli Fenicjanie, zamieszkujący kraje nadmorskie, okrutni byli też mieszkańcy Ugaritu, Akko, Arwadu, Aleppo, Jerycha, Gubalu i wszystkich państewek ciągnących się od morza przez Wyżynę Syryjską aż do Mari, zniszczonego ongiś przez armię Hammurabiego. Syria czekała, jak lew czeka na koźlą gnu zmęczone przeprawą przez rzekę, by zaatakować je znieca. Uciekinierzy mieli przekonać się niebawem, że w krajach nadmorskich mówiono o burzy nadciągającej z północy. Hetyci już od ponad stu lat borykali się z wewnętrznymi kłopotami. Od czasów króla Mursilisa nie znalazł się godny następcy władcy, który powiodł armię na Babilon i złupił go tak doszczętnie, że dopiero niedawno kapłani Marduka zdołali odzyskać posąg swego boga. Teraz Syria liczyła po cichu na władców mrocznego imperium Mitanni, które dopiero niedawno podniosło miecz przeciw potężnym monarchiom, szerząc strach i zniszczenie. Jednak trzech uciekinierów nie zdawało sobie z tego wszystkiego sprawy. Przetrawali wędrówkę przez morderczą pustynię i chcieli żyć.

Wiatr kołysał akacjami i daleko na północnym wschodzie, gdzie biegł trakt do Jerycha, wzbily się tumany piasku. Z początku lekkie zawirowanie wspomagał ciepły wiosenny wiatr, lecz po chwili stało się jasne, że pędzą ku nim ludzie. Chewet przyłożył ucho do ziemi, wsłuchując się w jej szept, który niósł tętent kopyt i tupot wielu nóg.

— Co najmniej trzech jeźdźców i wielu pieszych — stwierdził lakonicznie.

Ursilis chwycił Anchnuma i wepchnął za muły. Wyciągnęli z Chewetem łuki i miecze i podeszli kilka kroków do przodu.

Anchnum poczuł w gardle gwałtowny skurcz strachu, ale ufał w siłę, spryt i rozum Ursilisa. Czekali. Ludzie byli coraz

bliżej. Można już było zobaczyć, że dosiadają osłów, wielu biegnie pieszo. Po strojach Ursilis poznał, że są pasterzami lub, co gorsza, właścicielami ziemi, na której właśnie się znajdują.

— Co o tym sądzisz, Chewecie?

— Gdyby chcieli nas zaatakować znieścacka, już dawno mogliby to uczynić, ponieważ wokół jest wiele dobrych do tego miejsc.

Czekali. Ich palce drgały niespokojnie, lekko napinając cięciwy łuków. Wyglądali jak najdoskonalsze dzieła bogów. Gdyby widzieli ich w tej chwili rzeźbiarze z Teb i Memfis, nie mogliby odmówić sobie przyjemności wykucia ich w kamieniu.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się na odległość około tysiąca kroków. Stanęli. Asmael, który miał wzrok niczym sokół, pierwszy dostrzegł obcych.

— Bracia, zatrzymajmy się. Oni mają łuki.

— No to co z tego? — zakrzyknął najmłodszy, Josef. — My mamy naszą sprawiedliwość, mądrość naszego ojca i błogosławieństwo Ojca wszystkich nas, Abrahama, który dał nam tę ziemię! Czy nie słyszałeś, Asmaelu, co powiedział ojciec? Noga obcych nie może stanąć na tej ziemi! — Pogonił osła. Za nim rzuciło się trzech służących, natomiast starsi bracia po części nie dowierzając temu, co słyszeli, a po części z obawy przed obcymi, zostali z tyłu, popatrując to na siebie, to na brata, to na obcych z łukami.

— Dziesięć kroków przed pierwszym jeźdźcem — szepnął Chewet.

Zagrały cięciwy. Strzały uwolnione spod silnych palców przecięły powietrze niczym ptaki wypuszczone z klatek. Zanim Josef zorientował się, co zaszło, usłyszał świst i kilka kroków przed nim wbiły się w ziemię dwie długie strzały. Osioł zakwiczął przeraźliwie i stanął. Starsi bracia popędzili zwierzęta i stanęli przy bracie.

— I co? Dobrze strzelają! — krzyknął Asmael.

— Nie trafili mnie — szepnął Josef, jakby usprawiedliwiając nieostrożność, jakiej się dopuścił.

— Celowo cię, osle, nie przeszli!! — Najstarszy z braci, Jechab, był wściekły. — Nieczyści muszą mieć głowy na karku,

bo nie zamierzali cię trafić! Popatrzcie, jakie te strzały są długie. Nie jedźmy dalej, trzeba naradzić się, co czynić...

— Co za odwaga... — wycedził Josef, lecz umilkł, gdy przyjrzał się strzałom.

— To rozsądek! Nikt rozumny nie pójdzie z pałkami na łuczników, choćby nawet szybki był i zwinny jak gepard. Trzeba z nimi porozmawiać, trzeba się dowiedzieć, po co tu przybyli.

— Dobra to rada. Ja pójdę. — Asmael zsiadł z osła, zostawiając go sługom, i zaczął wolno iść w stronę łuczników, podniósłszy do góry ręce, by pokazać, że nie ma broni. Szedł, w myślach powierzając swoje życie Niewidzialnemu, co umocniło go w przekonaniu, że piasek nie nasiąknie jego krwią.

Ursilis i Chewet widzieli go doskonale, Hetyta odłożył łuk.

— Chewecie, podejdę do niego, a ty miej go na oku.

— Nie obawiaj się. Wciąż trafiam w szyję lecącą kaczkę. Jeżeli uczyni jeden nieostrożny ruch...

Ursilis zaczął iść na spotkanie nieznanego. Dzieliło ich już tylko sto kroków, widzieli się doskonale. Ursilis zobaczył, że Asmael ma na sobie bogato tkane szaty, i zrozumiał, że nie jest sługą. Gdy dzieliło ich dwadzieścia kroków, stanęli. Chewetowi i Anchnumowi oraz wszystkim pozostałym żywiej zabiły serca. Asmael nie śmiał przemówić pierwszy. Zrobił to Ursilis. Zapytał po akadyjsku, fenicku i syryjsku:

— Kim jesteście i dlaczego nas niepokoicie? Wiedźcie, że są z nami nasi bogowie, a w naszych sercach nie kryje się nikczemność.

Asmael był zaskoczony. Nie rozumiał syryjskiego ani akadyjskiego, ale znał nieco język fenicki, ponieważ kupcy z miast na wybrzeżu często zapuszczali się w te strony w poszukiwaniu towarów, i choć byli nieczyści, Beniamin handlował z nimi i nauczył synów ich mowy.

— Nie dbamy o waszych bogów. Jesteście na naszej ziemi i nie chcemy was tutaj. Musicie odejść. Jestem jednym z synów tego, który włada tymi ziemiami, Beniamina ben Jony, męża sprawiedliwego i uczciwego.

— Jest nas trzech i zmierzamy na północ — wyjaśnił Ursilis. — Nie mamy żadnych zamiarów względem tej ziemi. Chcemy tylko przejechać i jeśli zajdzie konieczność, zaczerpnąć trochę wody z waszych źródeł.

— Nie jesteśmy wrogami. Jeżeli chcecie wody, jest ona dla wszystkich, bo piją ją zarówno ci, którzy czynią dobrze, jak i ci, którzy czynią źle. A ja wciąż nie wiem, kim jesteście.

— Nie jesteśmy wrogami. Przejedziemy przez waszą ziemię i nigdy więcej tu nie wrócimy.

— Nie rozumiesz mnie, obcy. Nie możecie przejść przez tę ziemię, bo jest ona dla nas święta. Dał nam ją nasz Bóg i tylko my możemy po niej chodzić.

Jakieś pięćset kroków za nimi, tam gdzie karłowate akacje tworzyły gąszcz, a piasek trzymał wilgoć, znów pojawiły się miodowo-szare oczy. Wpatrywały się w osły, które wabiły wielkiego lwa zapachem potu. Jego grzywa niemal idealnie wtopiła się w otoczenie, mięśnie napięły się i zwierzę zaczęło biec tuż przy ziemi, zrazu powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Nie widzieli go słudzy stojący za osłami, ponieważ całą uwagę skupili na Asmaelu i Ursilisie. Lew sadził ogromnymi susami pod wiatr, tak aby osły go nie wyczuły. Od wielu dni jego trzewia zżerał głód. Woń potu zwierząt i ludzi oszalała go.

Jechab odwracał się właśnie, by podrapać się po plecach. Zobaczył lwa z odległości może dwudziestu kroków. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk. Lew rzucił się na starego pastucha, który z powodu kolców w stopach został nieco w tyle. Padł na piasek ze zmiażdżoną głową. Lew, zakosztowawszy krwi, rzucał ciałem nieszczęśnika na wszystkie strony i miażdżył je potężnymi szczękami. Piasek pił jego krew łapczywiej od lwa. Po chwili zwierzę powaliło na ziemię dwóch następnych ludzi. Jednego chwyciło za lewą

noga, drugi odskoczył na bok, nie zdając sobie sprawy, że ma połamane żebra.

Na widok tej rzezi część sług położyła się na ziemi, a część zaczęła rzucać w lwa kamieniami. Wrzaski i tumult zaalarmowały Ursilisa i Asmaela, którzy natychmiast pospieszyli na ratunek. Hetyta, zbudowany o wiele lepiej od Asmaela, wyprzedził go znacznie, ściskając w rękę sztylet. Chewet, zanim zdążył zorientować się, co się naprawdę stało, rzucił huk i chwycił za uzdy szalejące ze strachu muły, które, zbite w gromadkę, zaczęły wierzgać, wyczuwając drapieżnika.

Ursilis biegł coraz szybciej i widział, że lew rozdziera pastucha, tak jak patroszy się gazelę na pieczeń, i rzuca się na oszalałego ze strachu, uwiązanego osła Asmaela. Przerażone zwierzęta poniosły Jechaba i Josefa i zanim zdołali z nich zsiąść i zaczęli biec w stronę sług, było już za późno. Zobaczyli, jak nieznamy rozmówca Asmaela rzuca się od tyłu na lwa rozdzierającego osła. W mgnieniu oka lew i człowiek stali się jednością w walce na śmierć i życie. Ursilis złapał lwa za gardło, a siłą dysponował wręcz nadludzką, zaprawioną przez lata niewolniczej pracy. Zwierzę jednak dosięgło tej obręczy z ludzkich mięśni, orząc je głęboko pazurami. Druga łapa, zwichnięta przy skoku na osła, nie miała już tak wielkiej siły. Ursilis nadludzkim wysiłkiem zdołał wbić sztylet aż po rękojeść w miękki biały puch na brzuchu zwierzęcia. Lew ze straszliwym rykiem "ból zbliżył paszczę do twarzy Ursilisa i pewnie zmiażdżyłby mu głowę, gdyby nie zapalczywy Josef, który wbrew zakazowi ojca zabrał lekką włócznię. Zdobył się na najsilniejszy cios, jaki mogły zadać jego ramiona, i włócznia wbiła się w grzbiet lwa. Zwierzę ryknęło. Wystraszzone pustynne gołębie wzbily się w powietrze, a drapieżnik osunął się na ziemię. Ranny Ursilis dyszał ciężko. Rozdzierający ból poszarpanego ramienia pomógł mu uświadomić sobie, że wciąż żyje. Josef ukląkł nad nim, zdjął mu chustę z głowy i owinał nią jego rany. Po chwili nadbiegli Jechab i Asmael.

— Wybacz, myliłem się — rzekł Asmael.

— Nie mam ci czego wybacząć — wyszeptał Ursilis, czując w ustach smak krwi. — Pomóżcie mi wstać.

Ból wzmagał się z każdą chwilą. Ursilis, trzymając się za ramię, popatrzył na cielsko lwa, które drgało jeszcze w śmiertelnych konwulsjach.

— Dziękuję wam, kimkolwiek jesteście. Nazywam się Ursilis i podróżuję z Egipcjanami, choć pochodzę z Krety.

— Nie chcemy wiedzieć, skąd jesteście i dokąd podążacie — powiedział Jechab. — Widzieliśmy, co uczyniłeś, i zarówno ty, jak i ci, z którymi podróżujesz, jesteście naszymi gośćmi. — Pozostali bracia przytaknęli. Jechab mówił dalej:

— Jesteśmy synami Beniamina, pana tej ziemi, którą otrzymał od naszego Boga. Ten, z którym rozmawiałeś, to brat mój Asmael, a ten, który dobił lwa, to Josef.

Trzej Habiru i Hetyta popatrzyli na lwa. Brzuch zwierzęcia był czerwono-brunatny od zakrzepłej krwi, a z jego boku sterczała krótka włócznia. Jednak świadomość triumfu, ten osobliwy smak, który potrafi docenić tylko mężczyzna polujący na dziką zwierzynę, ustąpiła miejsca smutkowi. Widok dwóch rozdartych ludzkich ciał był tak straszny, że Ursilis zamknął oczy, choć niejedno w swoim życiu widział i niejedną raz stał twarzą w twarz ze śmiercią.

— Popatrzcie na te ptaki. — Asmael wskazał krążące nad ich głowami sępy. — Ktoś musi zawiadomić ojca, co się stało. Trzeba też zabrać ciała.

— Do obozu jest pół dnia drogi, gdzieś mogą być jeszcze lwice, które są tak samo niebezpieczne. Innej rady nam trzeba — rzekł Jechab.

Wciąż był zdumiony tym, co się stało. Czuł wstyd, że jego, najstarszego, pierworodnego syna Beniamina ben Jony poniósł osioł, a lew leżał od sztyletu obcego, i to w dodatku nieczystego, a dobity został przez najmłodszego brata. Przeraziły go te myśli. Wiedział, że El Szaddaj widzi wszystko, co jest w sercu człowieka.

Ursilis nagle przypomniał sobie o Anchnumie.

— Gdzie są moi towarzysze? — spytał zaniepokojony.

— Widziałem, jak ten drugi łucznik zmagał się z mułami — odpowiedział pasterz.

Hetyta ruszył w stronę zwierząt.

Gdy dotarł na miejsce, trzymając się za krwawiące ramię, nie znalazł Cheweta. Ale, co najstraszniejsze, nie było również Anchnuma. Koło mułów leżały dwa łuki i kołczany ze strzałami.

— Gdzie oni się podziali? — mruknął.

Pomyślał, że Anchnum mógł się przestraszyć, kiedy spłoszone muły zaczęły szaleć. Ruszył w stronę pasa akacji. Przedzierał się przez gąszcz, a kołczaste gałązki rwały jego tunikę.

— Chewecie, gdzie jesteście? Słyszysz mnie? — krzyknął. Po chwili do jego uszu dotarła odpowiedź:

— Przed tobą...

— Chewet?!

— Tak...

Ursilis odetchnął z ulgą. Gdy podczołgał się do rozpadliny, zobaczył Nubijczyka schylającego się nad Anchnumem. Choć ból w ramieniu o mało nie pozbawił go przytomności, wskoczył do dołu i ujął głowę chłopaka, którego ciałem wstrząsały drgawki, a z ust szła piana.

— Bogowie, co mu jest? Czy widziałeś kiedyś coś podobnego?

— Nigdy. — Chewet był przerażony. — Jakby to nie młody pan był w tym ciele... Zabierzmy go stąd.

— Co się stało?

— Kiedy walczyłeś z lwem, musiałem uspokoić muły. Parszywe, głupie bydłota! — Chewet zaklął szpetnie po nubijsku. — Kiedy się z nimi uporałem, młodego pana nie było. Spostrzegłem ślady na piasku prowadzące w zarośla i tam poszedłem. Nie zauważyłbym go — ciągnął — gdyby nie moje

uszy. Idę wolno przez krzaki i słyszę rżenie. Skręciłem tam, skąd dochodziło, ale kiedy byłem już blisko, zrozumiałem, że ten jęk układa się w słowa, których nie sposób było zrozumieć. Znalazłem go w tym dole, potem usłyszałem twój krzyk.

— Podnieś go. Ja nie dam rady... — Ursilis usiadł na piasku. Cichy jęk świadczył o tym, że ból w ramieniu narasta.

— Twymi ranami zajmiemy się potem. I tak przez najbliższe dwa, trzy dni nie możemy ruszyć w drogę.

— Musimy zebrać siły, Chewecie. Ci ludzie to synowie jakiegoś bogatego pastucha, który włada tymi ziemiami. Weźmą nas do obozu...

— Ułożyłeś się z tym, z którym mówiłeś?

— Nie, to dzięki lwu. Tamten w ogóle nie chciał nas przepuścić.

— Straszny był ten lew, Ursilisie, nigdy takiego nie widziałem...

— To lew pustynny. Są większe od tych z Deltą i silniejsze. Zwykle uciekają przed ludźmi, ale ten musiał być głodny... — Ursilis urwał i skrzywił się z bólu.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, Ursilisie, stary Chewet zna sposoby na rany...

Nubijczyk, nie bez wysiłku, wziął Anchnuma na ręce. Zaniósł go przez krzaki w stronę mułów, gdzie czekał Asmael. Na widok Ursilisa Habiru skłonił głowę. Ursilis odpowiedział tą samą uprzejmością.

— Pochowaliśmy ciała. Słudzy ściągnęli też skórę z lwa. Pojedziemy teraz do obozu naszego ojca. Jesteście naszymi gośćmi.

Ursilisowi zrobiło się ciemno przed oczyma...

Zmierzchało. Dzień rozpoczynał krótkie, acz śmiertelne zmagania z nocą. Na niebie iskrzyły się setki odcieni purpury, złota i błękitu. Niebiosa, wstrząsane walką żywiołów, zamykały

światło w swych czeluściach, w których oko ludzkie nie mogło już go wypatrzeć. Nawet bogowie nie byli władni zatrzymać nieubłaganego marszu nocy. Zapalili jednak gwiazdy, by osłodzić ludziom ból utraty dnia.

Nad obozem Beniamina ben Jony zarówno ziemia, jak i niebo były dobre, bo stworzył je El Szaddaj. Starzec wysłuchał opowieści synów w milczeniu. W duszy dziękował El Szaddajowi za ich ocalenie, choć serce starca zawahało się na moment, bo łaskę swoją El Szaddaj okazał przez obcych i nieczystych. Ponieważ jednak wierzył, że dla El Szaddaja wszystko jest możliwe, zachował spokój.

Jeżeli El Szaddaj zechce, drzewa mogą zacząć rosnąć w morzu, a człowiek odmieni swe serce. Beniamin miał świadomość własnej nicości, dlatego przyjął obcych i zaprosił ich do swego namiotu. Eachel przygotowała wodę zaprawioną dzikim rozmarynem do obmywania ran i opatrzyła wszystkich rannych. Josef z Asmaelem zarznął dwie owce i zaprosili rodziny zabitych przez lwa na ucztę. Egipcjan posadzono jednak osobno, gdyż obawa przed obcymi zwyciężyła nad prawami gościnności. A ponieważ Beniamin ben Jona, potomek jednego ze sług Abrahama z Ur, nie był człowiekiem niewdzięcznym, podzielił się z Ursilisem wodą, a ofiarowując ją, ofiarowywał cały swój dom. Młodzieniec doskonale zrozumiał ten gest, ponieważ dla Hetytów woda była życiem.

Anchnum dzięki Chewetowi i jego ziołom ocknął się niedawno z dziwnego letargu i też zasiadł do uczy składającej się ze świeżego mięsa, fig, daktyli i wina. Stary gospodarz przypatrywał się obcym z nieukrywaną ciekawością. Młody mężczyzna o włosach koloru dojrzałej pszenicy, ciemnoskóry Nubijczyk i chłopiec... To nasuwało różne podejrzenia.

— Elohim stworzył świat i człowieka i dał mu rozum — odezwał się Beniamin.

— To prawda, panie. Wprawdzie moglibyśmy dyskutować o naturze stwórcy tego świata, albo stwórców, ale przecież dzień dzisiejszy jest dniem tak samo pięknym jak dzień wczoraj-

szy i jutrzejszy, zarówno w twym kraju, jak i w Egipcie. — Ursilis odpowiedział staremu Beniaminowi z dyplomacją, jakiej nauczono go w Hattusas.

— Nie jesteś Egipcjaninem, lecz znakomicie mówisz po fenicku — zauważył Beniamin, popijając wino.

— Nie, nie jestem. Pochodzą z wyspy Krety na wielkim morzu i wracam do mego kraju, a ci dwaj kapłani podróżują do Byblos na wybrzeżu fenickim. Zabłądziliśmy po drodze i tylko dzięki twoim synom jesteśmy tutaj żywi. — Ursilis skłonił głowę w stronę Jechaba, Asmaela i Josefa. — Ten lew był nauczka dla nas wszystkich.

— Prawdę mówi — zgodził się Asmael, a za nim powtórzyło to kilka głosów.

— Przyjmij, dostojny panie, wyrazy smutku z powodu śmierci ci twych sług.

Beniamin przygryzł wargę. Nie wypadało mu wypytywać obcych, choć miał na to wielką ochotę. Poprosił więc Ursilisa, by opowiedział, jak zabił lwa. Asmael tłumaczył jego słowa z fenickiego na mowę Habiru. Opowiadanie wywarło na zebranych ogromne wrażenie, szczególnie zaś fragmenty o sile zwierzęcia i o tym, jak Josef uratował obcemu życie.

Beniamin, słuchając tych opowieści, utwierdził się w swoich podejrzeniach co do tożsamości przybyszów. Ich ogłada, sposób wyrażania się i znakomita znajomość fenickiego mówiły mu, że młody rozmówca nie jest tym, za kogo się podaje. To, że uciekają z Egiptu, było więcej niż pewne. Lecz dlaczego uciekają? Beniamin słyszał wieści z północy o tym, że w Syrii wrze. Wiedział, że egipski garnizon w Jerychu już od jakiegoś czasu nie wychodzi poza bramy twierdzy. Był pewny, że młodzieniec nie może być Kreteńczykiem. Starzec widział za młodu w Gazie i w Sydonie kupców z Krety. Przybywali na szybkich i pięknych okrętach, by wymieniać ceramikę na futra i bele owczej wełny, którą sprzedawał Beniamin. Mieli ciemne włosy splecione w warkocze opadające na ramiona i nie znali fenickiego, mówili jedynie w swojej mowie, którą natomiast władali

Fenicjanie. Przez głowę starca przemknęła jednak myśl, że kiedyś już widział takich ludzi z włosami jak kłosa dojrzewającego zboża.

— Kreteńczycy mają szybkie statki — zagaił.

— Tak, ale na łądzie nie są zbyt groźni.

— Niezbyt dobrze mówisz o swoich.

— Ale mówią prawdę. Trzymamy się morza, bo tam nikt nam nie dorówna. Nasze statki pływają aż do Tyru i Sydonu.

— Jak dawno nie byłeś na Krecie?

— Dostatecznie dawno, by zapomnieć. A kiedy człowiek zapomina swój kraj, pragnie doń wrócić.

— Habiru nigdy nie zapomnieliby o Kanaanie.

— Ale ja nie jestem Habiru. Na Krecie panują zupełnie inne obyczaje. Nikt nikomu nie broni wyjechać, dlatego często podróżujemy. Gdy mąż wyjedzie, żona może zażywać rozkoszy z innym, ale gdy wróci, jest mu posłuszna. Kobiety mogą też ucztować razem z mężczyznami.

— Chyba nie zamierzasz opowiadać nam o swoich nieczystych bogach? — zaniepokoił się Asmael. — Dziwne są wasze obyczaje na Krecie. O kobietach uczujących razem z mężczyznami jeszcze nie słyszałem. A ty, ojcze?

— Wiele jest ludów na ziemi i wiele obyczajów... — Beniamin rzucił Ursilisowi ostatnie długie spojrzenie i klasnął w dłonie.

Uczta dobiegła końca.

Dwa dni później Ursilis, Chewet i Anchnum pożegnali Beniamina i jego rodzinę. Ursilis, w podzięce za gościnę, podarował Beniaminowi brązowy sztylet z rękojeścią z kości słoniowej, który dostał od Satre. Asmael miał odprowadzić gości aż do doliny rzeki, którą Habiru nazywali Jordan. Ursilis przystał na to, by nie wzbudzać podejrzeń.

Anchnum, który wciąż odczuwał skutki przykrego ataku,

siedział na mule przygaszony. Przysłuchując się pożegnaniom, miał wrażenie, iż ta podróż nigdy się nie skończy. I znów mijali pagórki, drzewa akacji i zachody słońca. Przed nimi otwierała się Fenicja.

Mury lśniły od wilgoci. Z pobliskiej balsamiarni, gdzie przygotowywano ciała na spotkanie z Ozyrysem, dolatywał smród śmierci. Lochy tebańskiej cytadeli były jednymi z najstraszniejszych.

W kącie ciasnego, zatęchłego pomieszczenia siedziała kobieta. Poświata księżycy oświetlała ślady tortur na jej ciele: powyrywane paznokcie, opuchniętą twarz. Cuchnące kałem i potem łachmany były wszystkim, co miała. Ktoś zaczął schodzić po schodach. Na dźwięk kroków kobieta, niczym zaszczute zwierzę, rzuciła się w kąt celi. Strażnik otworzył drzwi. Loch zalało światło. Wszedł kapłan i postawił na ziemi miskę i kubek.

— Zamykaj, śmierdzi — syknął strażnik niosący pochodnię.

Drzwi się zatrzasnęły. Kobieta odczekawszy, aż kroki ucichną, rzuciła się do miski, w której mieszano gotowane proso i skrawki surowego mięsa. Była tak wygłodniała, że nie zastanawiała się, co to za mięso. Bała się światła, kroków na schodach i ludzi w bieli z ogolonymi głowami. Nienawidziła ich i momentami, gdy wracała jej świadomość, żyła tylko zemstą. Zabili jej dziecko. Kazali pić napój, po którym miała dreszcze i straszne bóle. Potem pokazali jej to, co z niej wywlekli...

Jednak mimo bicia i przypalania piersi roztopionym metalem Satre nie powiedziała ani słowa na temat ludzi, którzy opuścili Teby.

Fenicka awantura

Jordan był niezwykłą rzeką. Huczał wodą skrzącą się w słońcu i przyciągał wszystko, co żyje, dlatego łatwo było tutaj spotkać dzikiego gołębia czy antylopę. Nad rzekę zapuszczały się też bawoły, żyjące od równinnych pagórków Syrii aż po trawiaste równiny Babilonii. Mieszkańcy mówili także o lwach, które przychodziły nad wodę za bawołami, w grupach liczących po kilka dorosłych drapieżników. Ich futra były w cenie, toteż z podziwem patrzono na skórę przewieszoną przez siodło Ursilisa. Z jeszcze większym zainteresowaniem spoglądano na śmiałka, który zabił tak wielkie zwierzę.

Anchnum zupełnie już wydobrzał, śmiał się, żartował i domagał się od Ursilisa, aby ten pozwalał mu spać na lwiej skórze. Mijały dni. Ursilis i Asmael rozmawiali na wiele różnych tematów: od sytuacji w Syrii, która bardzo niepokoiła Hetytę, po sposoby polowania. Anchnum nie znał żadnego języka prócz egipskiego i zazdrościł Ursilisowi biegłego władania fenickim. Hetyta naśmiewał się z młodego kapłana, ale tłumaczył mu wszystko na egipski. Chewet codziennie chodził polować na dzikie gołębie i kaczki, za pomocą zrobionej przez siebie procy. Pustynia majaczyła teraz jak koszmarny sen. Nubijczyk, mimo iż droga była przyjemna, wciąż mówił o nieuchronności jakiegoś wydarzenia i podejrzliwie spoglądał na mijanych podróżnych.

Czy ktoś ich ściga? Ursilis zaczynał w to wątpić, ale był ostrożny i dbał o to, by Asmael niczego się nie domyślił. Polubił tego Habiru i irytowało go, że musi skrywać pewne sprawy przed dociekliwym pasterzem.

— Jak daleko stąd do jeziora? — zapytał Asmaela.

— Ze dwa dni. Stamtąd do Byblos będzie ze dwa tygodnie. A w mieście na pewno złapiesz kreteński statek.,

— Martwi mnie sytuacja w Syrii, Asmaelu — westchnął Ursilis.

— Ciebie, Kreteńczyka? Jeżeli wybuchnie wojna, tylko na niej zarobicie. Handlować można zarówno z faraonem, jak i z miastami fenickimi.

— Nie w tym rzecz. Moi przyjaciele są Egipcjanami i nie chciałbym, aby stało im się coś złego.

— Krwawi bożkowie Syrii lubią złoto. Za złoto możesz kupić nie tylko pokój...

— A wy?

— Będziemy nadal wypasali nasze owce, chwalili El Szad-daja i dbali o nasze winnice.

— Dziwny ten wasz bóg...

— Dlaczego?

— Bo nie ma wizerunku.

Asmael nie odpowiedział. Sam niezliczoną ilość razy o tym rozmyślał. Ursilis odwrócił się do Anchnuma.

— Anchnumie, co się z tobą stało, kiedy zaatakował nas lew?

— Nie wiem... Pamiętam tylko, jak Chewet uspokajał muły, a potem zapadłem w dziwny sen... Nic nie pamiętam...

— Rzęziłeś, miałeś drgawki, a twoje oczy nie widziały światła dnia...

— Mówię, że nie wiem, co się stało — powtórzył zirytowany Anchnum.

— Dlaczego się denerwujesz?

— Bo zadajesz nieprzyjemne pytania.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Wiatr kołysał gałązkami akacji, które w dolinie Jordanu nie przypominały już w niczym

karłowatych drzewek porastających skraj pustyni. W ich cieniu mogli odpoczywać ludzie i zwierzęta.

— Zdarzyło ci się kiedyś coś podobnego, Anchnumie? — nie ustępował Ursilis.

— Nie wiem... Kapłani w Fajum mówili mi, że w ten sposób może przemawiać przeze mnie jakiś bóg. Zawsze, kiedy to ma się stać, na dwa lub trzy dni przed tym czuję w sobie jakby więcej siły, mój umysł przenika wszystko. Idę, a mam wrażenie, jakbym leciał. Mam w sobie taką moc, że mogę wykrzyzczać całemu światu, że istnieję. Lepiej widzę, słuch mam ostrzejszy. A potem przychodzi moment, od którego niczego nie pamiętam.

— Bo właśnie wtedy wpadasz w odrętwienie, które jest boskim snem. Jesteś wybrany, przypomnij sobie ibisa, którego masz na ramieniu.

— To znaczy tylko tyle, że kiedyś sprzedano mnie jako niewolnika! — krzyknął chłopak. — Odczep się ode mnie, dobrze?

Anchnum pogonił muła. Czuł, że ociera się o wielką tajemnicę, która ma korzenie w przeszłości. Może tajne tabliczki, o których wie tylko Ursilis, a które ma oddać komuś ze świątyni Marduka w Babilonie, mogłyby rzucić nieco światła na tę zagadkę?

Minmose obudził się z bólem głowy. Przez uchylone zasłony wpadały do namiotu promienie słońca. Sięgnął po dzban stojący obok łoża. Chłodne wino orzeźwiało, jego lekko cierpki smak pobudził jego umysł. Przypomniawszy sobie, gdzie jest. Wyprawa do Punt, królowa Hatszepsut, minister Senenmut, zaszczyty, koncerty flecistów i to, co zaprzętało jego umysł niemal bez przerwy — ciało Szimy. Miał wrażenie, że rozkosz będzie trwała wiecznie. Odkrywał coraz to nowe jej pokłady. Wędrówka po ciele tej kobiety miała posmak przygody i była okazją, by jeszcze raz zemścić się na zniechęconej żonie. Coraz

mniej potrzebował Satre. Jego pozycja na dworze Hatszepsut była ugruntowana, teraz starał się wszelkimi możliwymi sposobami zyskać przychylność wszechwładnego faworyta faraona. I jego starania zostały uwieńczone sukcesem. Senenmut zaprosił go do swego namiotu. Cóż to za zaszczyt! Minmose pomyślał, że pójdzie tam w najlepszych szatach i zabierze ze sobą Szimę, która już od jakiegoś czasu zwracała uwagę ministra. Nie widział niczego zdrożnego w podzieleniu się jej ciałem z kimś tak wszechwładnym.

Rozmyślania Minmose przerwało lekkie pukanie w palik podtrzymujący namiot. Był to umówiony znak, którym sługa powiadał o przybyciu gościa. Intendent nałożył lekkie lniane szaty, jakie ostatnio były na dworze w modzie, i wyszedł. Sługa padł na twarz.

— Dlaczego niepokoisz mnie o tak wczesnej porze?

— Panie, błagam o wybaczenie — rzekł sługa. — Przed chwilą przybył Nilem posłaniec z Teb. Powiedział, że ten list ma trafić prosto do twych rąk, panie.

— W takim razie przywołaj skrybę i wynoś się.

— Tak, panie.

Minmose usiadł na krześle z drzewa sandałowego i kazał podać sok z granatów. Wkrótce zjawił się skryba z rulonem papirusu. Minmose kazał mu powiedzieć, w czym rzecz.

— Panie, list opatrzony jest pieczęcią Setiego, wielkiego kapłana świątyni Amona, twego teścia.

— Mów, o co chodzi temu staremu głupcowi.

Skryba rozwinął rulon i zaczął czytać. List zaczynał się od wyszukanych uprzejmości, które niezmiernie rozbawiły Minmose, bo nienawidzili się z teściem od wielu lat. Lecz po chwili osłupiał ze zdumienia. Oto dowiadywał się, że jego żona, Satre, wpadła w obłęd, naubliżała swemu ojcu, a potem popełniła samobójstwo, wieszając się w ich domu w Tebach. Przedtem wyprawiła w drogę dwóch kochanków — hetyckiego niewolnika i młodego kapłana, swego wychowanka! Seti przepraszał, że był ślepy na żądę i podłość swej córki. Informował również,

iz pogrzeb Satre nie będzie uroczysty, jako samobójczyni zostanie pochowana w piasku na pustyni, gdzie odbywają się pochówki wyrzutków, aby gniew Ozyrysa nie przeszedł na sprawiedliwych.

Skryba skończył czytać.

— Wynoś się... — syknął poruszony Minmose.

Nie był aż tak głupi, by uwierzyć w to, co usłyszał. Przecież Satre i jej ojciec byli niemal nierozłączni. Seti nigdy nie lubił zięcia i Minmose dobrze o tym wiedział. Zawsze podejrzewał, że jego żona prowadzi podwójną grę. Nigdy nie była szczerą, nawet wtedy, kiedy biciem zmuszał ją, by mu się oddawała. A teraz samobójstwo i aż dwóch kochanków! Hetyckiego niewolnika mógł jeszcze przełknąć, ale ten mały kapłan Sobka, którego zgodził się przyjąć pod swój dach! To brzmiało tak nieprawdopodobnie, że Minmose uwierzył. Ludzie jego pokroju uwierzą w najbardziej nieprawdopodobne kłamstwa, jeśli są dla nich wygodne. Szybko też wysnuł teorię, iż Satre sprowadziła go z Fajum, by oddawać się rozpuście. Takie wytłumaczenie było na jego miarę. Wprawdzie śmierć znieawidzonej żony nieco go zasmuciła, ale przypomniał sobie, że przynajmniej połowa jej niemałego majątku będzie należała do niego. Zresztą teraz ma Szimę. Postanowił wziąć kąpiel i przygotować się na spotkanie z ministrem Senenmutem, który miał niebagatelny wpływ na decyzje królowej. Ale najpierw Szima. Był uzależniony od jej ciała.

Gdy czwórka wędrowców zjechała w dolinę, na horyzoncie zajaśniała smuga błękitu. Brzegi wielkiego jeziora wyglądały niczym wielki kryształ wbity w szarobieżową piaskową skałę. Jezioro było klejnotem Kanaanu i nawet w Syrii nie spotykało się jezior o tak czystej wodzie i takim bogactwie ryb.

— Ursilisie, czy to jezioro?

— Tak, Anchnumie. Widzisz te małe białe punkty na wodzie? To łódki rybaków. Zaoptujemy się tam w świeże ryby.

Trakt biegł blisko wody. Rybacy, a wszyscy byli Syryjczykami, powitali jeźdźców niemal jak wysłanników faraona. Ze szczególnym respektem patrzyli na Ursilisa, z powodu wielkiej lwiej skóry. Do Nubijczyka natomiast odnoszono się z dystansem, ponieważ rzadko oglądano tu ludzi o tak ciemnej karnacji.

Nazajutrz Asmael zaczął się żegnać.

— Spotkanie was było prawdziwym darem, lecz muszę wracać do ojca.

— Żegnaj, a może tylko do zobaczenia. Mam wrażenie, że się jeszcze spotkamy — powiedział Ursilis. — Asmaelu, wiedz, że nie jestem Kreteńczykiem.

— Wiem, ojciec mówił mi, że Kreteńczycy mają ciemne włosy. Nie będę pytał, dlaczego udajecie się do krajów psich bogów. Od nas nikt nie dowie się niczego. Zapewniam was.

— Dziękuję ci, Asmaelu, nie tylko w moim imieniu. Niech Ten, który jest twoim bogiem, prowadzi cię.

Sklonili się z szacunkiem i patrzyli, jak odjeżdża Asmael ben Beniamin.

Wszyscy mieszkańcy osad położonych nad brzegami jeziora zmierzali na uroczystość do miasta Megiddo, położonego o jakieś czterdzieści mil egipskich od zachodniego brzegu akwenu. Tam składali rankiem ofiary swemu głównemu bóstwu, Baalowi Hannonowi, Panu Grzmotu.

Gdy Anchnum, Ursilis i Chewet wjechali do miasta, wokół wielkiego ołtarza przed świątynią, na którym kapłani Baala, ubrani w niezwykle przewiewne jak na mężczyzn szaty, wykonywali rytualny taniec, klaszcząc i podskakując, tłoczyły się setki ludzi. Ekstatyczne ruchy tańczących udzieliły się tłumowi, który zaczął wznosić do góry ręce i podrygiwać. Kobiety jęczały i obnażały piersi. Uciekinierzy stali nieco z boku, ale dostatecznie blisko, by wszystko dobrze widzieć.

Wreszcie pojawił się orszak ofiarny. Prowadzono kozła, a kobiety dotykały go piersiami. Orszak wkroczył na ołtarz i trzech silni, do pasa obnażeni młodzieńcy przytrzymali zwierzę, a stary kapłan zbliżył nóż do jego szyi. Gdy z otwartych tętnic chlusnęła krew, ludzie zaczęli wyć. Anchnum odwrócił głowę.

— Ursilisie, chodźmy stąd...

Kiedy szli do namiotu rozbitego niedaleko murów miasta, drogę zastąpiła im młoda kobieta o czarnych rozwianych włosach, z obnażonymi piersiami. Z uśmiechem patrzyła na Cheweta, ten zaś nie wiedział, co ma zrobić: czy rzucić się na nią jak byk na jałówkę, czy też uderzyć ją w twarz tak mocno, żeby sobie poszła.

— Co ona robi? Czego chce ode mnie, starego? — pytał zmieszany.

— Syryjskie kobiety muszą oddać się mężczyźnie podczas święta Baala i Asztarte, które, jak widać, wypada właśnie dziś. Szczególnie te, które nigdy nie były z mężczyzną. Inaczej nikt nie będzie chciał ich poślubić.

— To znaczy, że ja mam ją poślubić? — zapytał zaskoczony Chewet.

— Nie, to znaczy, że ona chce, abys się z nią położył gdzieś tutaj w krzakach... Inaczej nie wiem, co może się stać... — wyjaśnił Ursilis.

— Jak to? Tak po prostu mam się z nią położyć? W naszych świątyniach coś takiego jest niepodobieństwem! — wykrzyknął oburzony niewolnik. — Dlaczego ta jędza nie upodobała sobie na przykład ciebie?

— Bo takie dziewczyny wybierają starszych mężczyzn, jako bardziej doświadczonych. Tak radzą im matki. Chewecie, na wszystkich bogów, nikt cię do niczego nie' zmusza, ale jeżeli nie dasz jej tego, czego chce, to idę o zakład, że nie pośpimy dzisiejszej nocy.

— Przyjdą inne?

— Nie, przyjdą kapłani Baala, żeby poderżnąć nam gardła. Obrazimy w ten sposób ich boga.

— Nie znam tego boga i nie mam zamiaru zadawać się z tą kobietą.

Stanowczość słów Cheweta umocniła Ursilisa w przekonaniu, że dzisiaj chyba się nie wyśpią.

— Masz rację, Chewecie, tak nie można. Kultury fenickie napawają mnie wstrętem... — dodał Anchnum.

— Bogowie, co my w takim razie zrobimy w Babiloiue? — mruknął Ursilis.

Chewet odepchnął nagą Fenicjankę, a ta rzuciła się na niego i ugryzła go w ucho. Nubijczyk zawył z bólu i uderzył dziewczynę tak mocno, że padła zemdlnona na ziemię.

— No to łuki i miecze miejmy w pogotowiu. Będziemy mieli szczęście, jeżeli dożyjemy rana — rzekł poważnie Ursilis.

— A nie lepiej stąd uciec? — zapytał Anchnum.

— Dopędzą nas, Anchnumie, i zabiją...

Milcząc, przeszli szybko przez bramę strzeżoną przez uzbrojonych we włócznie żołnierzy.

Właśnie wzeszedł księżyc, oświetlając akacyjny zagajnik i wysoki mur miasta. Nagle akacje zaczęły się poruszać i wypadli zza nich kapłani Baala, uzbrojeni w długie pałki i noże. Z wrzaskiem rzucili się na Ursilisa i Cheweta. Świsnęły strzały, dwóch napastników padło śmiertelnie rannych. Odległość między atakowanymi i atakującymi była jednak zbyt mała, by naciągnąć cięciwy raz jeszcze. Ursilis posłużył się więc łukiem jak olbrzymim kijem, który złamał na głowie pierwszego kapłana. Fenicjanin krzyknął i runął na ziemię. Ursilis wyrwał mu topór z ręki i z lekkością gazeli uskoczył w bok, gdy następny z napastników zamachnął się na niego włócznią, która, na szczęście dla Hetyty, przeszła ze świstem powietrze. Błyskawicznym ciosem wbił topór między łopatki kapłana, a ten, plując krwią, zwałił się na ziemię. Nie było jednak czasu, by wyciągnąć oręż z ciała zabitego, bo jego miejsce zajął zaraz

następny kapłan. Ursilis wyrwał mu z ręki duży nóż i ciął go przez gardło z taką siłą, że kapłan Baala upadł, zalany krwią. Tymczasem Chewet zdołał powalić jednego z napastników, lecz nie uniknął ciosu włócznią, która wbiła się głęboko w jego bok. Nubijczyk próbował ją wyciągnąć, lecz musiała utkwieć głęboko w wątrobie. Ból sparaliżował starego sługę, z którego życie zaczęło wyciekać czerwoną rzeką, barwiąc bok i udo. Upadł. Ursilis odwrócił się na moment, i to wystarczyło, żeby ogłuszony poprzednio kijem od łuku fenicki kapłan uderzył go pałką. Chłopak zapadł w ciemność.

Ocknął się również w ciemności. Paraliżujący ból karku nie pozwalał wstać ani poruszyć głową. Ursilis poczuł na rozpalonym czole czyjąś chłodną dłoń. Po chwili usłyszał znajomy głos:

— Ursilisie, słyszysz mnie?

— Gdzie ja jestem?

— W lochu obok świątyni Baala. Ursilisie, oni zabili Cheweta.

— Jak długo tu jesteście?

— Dwa dni.

— A muły?

— Zabrali.

A więc stracili wszystko. Muły, tabliczki, listy... i oddanego druha.

Ursilisa ogarnął strach. Uświadomił sobie nagle, że Baalowi składa się ofiary z dzieci! Nie powiedział tego jednak Anchnumowi. Młody kapłan nie do końca zdawał sobie sprawę, co zaszło. Bolał nad śmiercią Cheweta. Przytłaczały go ciemności i głód.

Wtem, gdzieś w głębi korytarza dały się słyszeć kroki. Zazgrzytała zasuwa i w drzwiach stanęli mężczyźni w długich szatach i z długimi brodami.

— Wychodzić, egipskie psy!!

— Ruszać się! — krzyczeli po fenicku.

Anchnum pomógł: wstać Ursilisowi i razem wyszli z celi. Kapłani chwycili ich pod ręce i poprowadzili przez krętą korytarze, a potem do góry po schodach. Uderzyło ich światło słońca i gorące powietrze. Zaprowadzono ich do budynku położonego na świątynnym dziedzińcu. Czekał tam potężnie zbudowany kapłan Baala, z brodą długą po pierś, misternie utrefioną. Siedział na bogato zdobionym krześle. Obok niego stał Egipcjanin w chuście na głowie.

— Kim jesteście? — spytał.

— Czy ciebie, panie, nie obchodzi to, że zostaliśmy napadnięci przez kapłanów Baala, my, poddani faraona, którego reprezentujesz? Zabito mego sługę, a tego drugiego — Anchnum wskazał ręką na Ursilisa — pobito. Zabrano nam także naszą własność i wtrącono do lochu...

Ursilis nie wierzył własnym uszom. Jego mały Anchnum z niezwykłą determinacją przystąpił właśnie do ratowania im życia. Rozmowa z nieznanym Egipcjaninem miała zadecydować o ich losie, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

— A to wszystko dlatego, że nasz zabity druh, który był wiernym poddanym faraona, nie chciał zadośćuczynić żądaniom rozpustnej Syryjki — dodał Ursilis.

— Ta kobieta, jak ją, psie, nazwałeś, jest kapłanką i została znieważona! — Kapłan Baala zerwał się z krzesła. — Zasłużyliście na śmierć! Nasz bóg, Pan Gromu, Baal Hannon, pragnie ofiary, która zmyje tę zniewagę!

— O tym, co się z nimi stanie, zdecyduję ja! — przerwał mu szorstko Egipcjanin. — Wasze słowa — zwrócił się do uciekinierów — przeczą temu, co usłyszałem od tego tutaj kapłana. Mówił, że podstępnie zgwałciliście kapłankę i zamordowaliście trzech kapłanów, gdy składali ofiarę miodną...

— To kłamstwo, dostojny panie, godne najgorszych psów! Ja jestem Anchnum, kapłan Sobka z Fajum. Jedziemy do Ugaritu. Moimi towarzyszami byli dwaj słudzy, jeden nie żyje.

Nigdy nie tknąłbym ciała tej kapłanki, bo sam wiesz, panie, że w miejscach poświęconych bogom w ziemi Kem takie rzeczy nie mogą mieć miejsca. Zostaliśmy brutalnie napadnięci, a potwierdzeniem mych słów są tabliczki, które mieliśmy przy sobie, a które nam zabrano. Są tam również listy uwierzytelniające na imię dostojnego Minmose, intendenta wielkiego faraona. Żądamy, abyś, panie, nakazał zwolnić nas i zwrócić nam naszą własność.

Ursilis przysłuchiwał się oracji Anchnuma z podziwem, a kapłan Baala z wściekłością.

— Dziwne mówisz rzeczy — rzekł wolno Egipcjanin. — Kapłani nie mówili nic o mułach i tabliczkach.

— Doprawdy? A jak, według ciebie, przybyliśmy z Egiptu?

Egipski urzędnik zawahał się na moment. Jeżeli ich wypuści, co uczyni wbrew woli kapłanów, rzuci pochodnię na stertę suchego siana, jakim jest Syro-Fenicja. Jeżeli pozostawi ich w lochu i skaże poddanych faraona na straszliwą śmierć na ołtarzu ofiarnym, pokaże Fenicjanom, że z Egiptem nie trzeba się liczyć. A Fenicjan, jak na prawdziwego Egipcjanina przystało, nienawidził. Dobrze wiedział, że podczas święta ku czci Baala każda niezamężna Syryjka oddaje się każdemu napotkanemu mężczyźnie. Wśród ludów, jakie zamieszkiwały świat, Fenicjanie nie mieli sobie równych w wyuzdaniu. Wielu Egipcjan miało potem z tego powodu nieprzyjemne dolegliwości, którym nie potrafili zaradzić nawet najbardziej obeznani w sztukach tajemnych lekarze.

— Zdecydowałem — rzekł w końcu. — Ci ludzie padli ofiarą nieporozumienia, zesłanego złośliwie przez nieprzychylnych syryjskich bogów. Bogów nie wolno lekceważyć, albowiem wysłane przez nich znaki piszą nasze życie. Dlatego załatwmy całą rzecz polubownie. Są wolni, ale zadośćuczynią Baalowi, wypłacając z przekazów, które wiozą, deben złota dla świątyni. Świątynia zaś nie będzie żądała zadośćuczynienia za obrazę.

— Nigdy się na to nie zgodzę, na wszystkich bogów nieba

i ziemi!! — Kapłan Baala wrzasnął tak głośno, że Anchnum zmarł. Oczy brodacza pałały nienawiścią, a gdyby wzrok mógł zabijać, Egipcjanie z pewnością padliby martwi. — Baal pragnie ofiary z tego oto szczeniaka! — Wskazał palcem na Anchnuma. — A gdy ołtarz naszego boga skropimy jego krwią, ten hetycki niewolnik umrze również! Nie chcemy waszego złota śmierdzącego łajnem!

— Co za patetyczne słowa, Arnusipalu! — Egipcjanin zaśmiał się szyderczo. — Stanowczo zbyt patetyczne jak na kapłana Baala. Gdyby rzecz szła o wielkość i potęgę naszych i waszych bogów, jeszcze dzisiaj mógłbyś się przekonać, jak pachnie sznur w lochu, ale ponieważ wczoraj obchodziliście wielkie święto swego boga, przeto udam, że nie słyszałem twych słów, nader obraźliwych dla mnie i dla faraona...

— Też mi faraon! Niech szcześnie ta baba przebrana w męskie szaty... — wrzeszczał w fanatycznym zapamiętaniu Arnusipal.

— Tego już za wiele! — krzyknął Egipcjanin. — Straż!

Do komnaty natychmiast weszło czterech egipskich żołnierzy uzbrojonych w lekkie tarcze i miecze.

— Aresztować kapłana!

Żołnierze natychmiast wyprowadzili Arnusipala, który zdążył jeszcze krzyknąć:

— Zobaczycie, psie syny, nim minie miesiąc, nakarmimy waszymi trupami nasze świnię!

Egipcjanin odetchnął, a wraz z nim Ursilis i Anchnum.

— Wyglądacie jak kupa kociego łajna... — mruknął.

— Co teraz będzie, panie? Czy nas zabiją? — dopytywał się Anchnum.

— Jeżeli tu zostaniemy, tak. Rzecz w tym, by aresztowanie tego głupca, Arnusipala, przeszło bez rozgłosu, bo w przeciwnym razie nawet sam Ozyrys nam nie pomoże. Jestem Pepi, dowódca garnizonu w Tyrze, do mnie również należy wszelka

władza sądowa. Dziwne, że spotkałem was w tym nieprzyjaznym mieście. Nieodgadnione są zrządzenia bogów.

— Ja jestem Anchnum, kapłan Sobka z Fajum.

— Kim jest twój towarzysz?

— To...

— Mogę mówić za siebie. Jestem Ursilis z Hattusas.

— Hetyta?

— Rzekłeś, panie.

Odpowiedź Ursilisa wprawiła Pepiego w zakłopotanie. Ci dwaj, myślał, mogą być albo tymi, za których się podają, albo kimś zupełnie innym. Trzeba mieć ich na oku.

— Chodźmy odebrać wasze bagaże i muły. A potem, na bogów, powiecie mi wszystko, gdyż w dalszym ciągu dziwię się sobie, że was uratowałem!

Gdy Pepi się odwrócił, Ursilis i Anchnum popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Namiestnikowi faraona w Tyrze nie mogli wyjawić, w jakich okolicznościach opuścili ziemię Kem. Ursilis pragnął, aby tabliczki otrzymane od Satre pozostały nienaruszone. Wówczas nie będzie wątpliwości co do celu ich podróży. Gdy wyszli na podwórze, Arnusipal był już związany.

— Gdzie są inni kapłani? — zapytał namiestnik.

— Gdzieś są...

Pepi spoliczkował Arnusipala, a stojący obok egipski oficer przyłożył miecz do jego gardła.

— Ja nie żartuję! — krzyknął Pepi.

— Wyjechali rano do Tyru. W przybytku mego boga, którego zbeczcześciliście, byłem tylko ja, kilku kapłanów służebnych i moi ludzie.

— Panie, on mówi prawdę — wtrącił się oficer. — Kapłanów zamknięto w lochu, a strażnicy świątynni są tak pijani po wczorajszym święcie, że nie mogą wstać, a co dopiero dobyć mieczy...

— To dobrze — rzekł Pepi. — Gdzie są muły i bagaże tych ludzi?

— Muły odprowadzono do stajni za świątynią, za murem południowym, resztę rzeczy mam w komnatach w świątyni. — Klinga miecza przyłożona do gardła przekonała Arnusipala, by przemówił.

— Ursilisie, czy słyszałeś? Ten koziół ruszał nasze rzeczy! — wykrzyknął oburzony Anchnum.

Kapłan popatrzył na niego z bezgraniczną pogardą, ale nic nie odrzekł.

— Odbierzcie więc czym prędzej, co wasze, i wynośmy się stąd. Zabierzcie też kilku żołnierzy! Weźcie przy okazji archiwum naszego przyjaciela, Arnusipala, który wspomniał mi o wypożyczeniu je Egipcjom...

Ursilis poszedł po muły, a Anchnum i czterech żołnierze weszli do świątyni Baala Hannona.

Była to imponująca budowla. Ornament na jednej ze ścian kojarzył się Anchnumowi z setkami tysięcy motyli, które wylegały się w nadbrzeżnych papirusach, gdy wody Nilu opadały po życiodajnych wylewach. Motywy na innych ścianach układały się w subtelne wzory geometryczne. Były również ściany, na których widniały malowidła ze scenami polowań na lwy i dzikie bawoły. Cała świątynia była osobnym światem, tak odbiegającym od tego, co Anchnum dotychczas widział, że chłopiec pomyślał, iż rzeczywiście musiała zostać wzniesiona przez bogów. Błękitne tło tych scen przypominało fenickie niebo, zawsze niebieskie i tylko lekko zachmurzone.

W dalszej części korytarza oczom chłopca ukazała się scena pochodu setek mężczyzn i kobiet w bogatych strojach. Każda postać niosła dary dla Baala: złoto, klejnoty i wyszukane jadalne. Nieco dalej postacie niemal krzyczały ze ściany. Setki wzniesionych w górę rąk przypominało las, w którym nawet wytrawny podróżnik mógłby się zgubić. Na kolejnym malowidle brodac kapłani w długich szatach prowadzili kozły, barany i dzieci

nienasyconemu bóstwu, które uosabiała postać wielkiego króla o bujnej plecionej brodzie, w niebieskich szatach z frędzlami, spod których prześwitywały gwiazdy. Postać ta zafascynowała Anchnum, ponieważ była znacznie wyższa i potężniejsza od innych. Uwagę chłopca przykuły również postacie kobiet i mężczyzn we frywolnych strojach. Chłopiec pomyślał, że te kobiety muszą być osławionymi nierządnicami świątynnymi.

Na widok następnych scen Anchnum osłupiał. Oto mężowie o długich brodach i elegantki w swobodnych strojach darzyli się nawzajem pieśczoćkami, które u niejednego wywołałyby rumieniec wstydu. Żołnierze, idąc za Anchnumem, przyglądali się tym scenom z jeszcze większym zaciekawieniem, co nie uszło uwagi bystrego chłopca.

— Na co tak patrzycie? — spytał niewinnie.

— Słyszeliście go? Na bogów! Na co patrzymy?

Żołnierze wybuchnęli śmiechem, a Anchnum zaczerwienił się tak bardzo, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko przyspieszyć kroku.

— Widzicie, jak pognał?

— Chyba nie jest ci tak spieszno do którejś z kapłanek?

— Zamknijcie się! Przecież tutaj mogą być ukryci strażnicy świątynni!

Żołnierze opanowali się i przyspieszyli kroku. Po paru chwilach skręcili i wkrótce natrafili na kamienną bramę. Dalej ciągnął się następny korytarz, od którego odchodziły mniejsze korytarze. Na jego końcu powinny znajdować się pomieszczenia mieszkalne najwyższych kapłanów, jednak ani Anchnum, ani żołnierze nie wiedzieli, jak tam trafić. Gapa ze mnie, pomyślał chłopiec. Mogłem zapytać Pepiego.

— Mały, schowaj się za nas! — szepnęła jeden z żołnierzy.

Anchnum uczynił, jak mu kazano, i wszyscy, nad słuchując, zaczęli wolno posuwać się naprzód. Wszędzie panowała niczym niezmacona cisza. Gdzieś tam błady odbłask lamp oliwnych rzucał w mrok wiązkę światła. I tu ściany pokryte były malowidłami, które mieniły się setkami barw. Przez otwory w suficie do

bocznych korytarzy wpadały wąskie snopy światła, a kolory falowały jak senne widziadła.

— Zaczekajcie — syknął najstarszy żołnierz. — Ktoś jest przed nami.

Stanęli. Po chwili dały się słyszeć delikatne kroki, jakby szuranie, zapadła cisza, a potem szuranie się powtórzyło.

— Młody panie, ktoś się skrada w naszą stronę i przystaje, żeby nasłuchiwać — szepnął żołnierz. — Zaczekajmy tutaj w cieniu między otworami w suficie. Złapiemy tego kogoś.

— A może to zwierzę? — podsunął Anchnum.

Żołnierze nie odpowiedzieli. Znów coś zaszurało w korytarzu po lewej. Anchnum poczuł skurcz serca, słyszał szum swojej krwi. Najstarszy żołnierz jak błyskawica wyskoczył w korytarz. Ktoś krzyknął i po chwili żołnierz ukazał się, prowadząc młodą kobietą odzianą na modłę syryjską w białe szaty. Niewiasta była tak przestraszona, że nie mogła wydobyć głosu.

— A jednak kapłanka — szepnął Anchnum. — Kim jesteś?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w Anchnuma ciemnymi oczyma. Jej szaty były przetykane złotymi niciami. Bez wątpienia ta kobieta nie była byle kim.

— Kim jesteś? — Anchnum powtórzył pytanie. Nie mógł oderwać wzroku od nieznajomej, przez której szaty prześwitywało nagie ciało.

— Mam na imię Enuana, jestem kapłanką Asztarte, a ty jesteś wężem, bo wszedłeś do świątyni Baala z podłymi zamiarami. Nie patrz tak na mnie, jestem niewinną kobietą i wzrok twój sprawia, że zaczynam się bać.

Anchnum patrzył na kapłankę oszołomiony.

— Panie, te syryjskie wiedźmy samym tylko spojrzeniem gubią mężczyzn — rzekł poważnie najstarszy żołnierz, wyrwijając go z osłupienia. — Dlatego zabijmy ją na miejscu i chodźmy szukać tego, co nakazał Pepi.

— Nie, nie, weźcie ją na dziedziniec. Naczelnik Pepi ją przesłucha.

— Chłopcze, chyba nie pozwolisz, by wyrządzono mi krzyw-

dę? — zwróciła się kapłanka do Anchnuma. — Ci żołnierze patrzą na mnie o wiele lubieżniej niż ty. Gdy tylko wyjdziemy, zedrą ze mnie szaty i rozłożą na ziemi, by zaspokoić żądzę. Czy tego chcesz?

— Panie, zakneblujmy tej syryjskiej suce usta! — krzyknęli żołnierze.

— Nie znajdziemy bez niej tego, czego szukamy. Pomożesz nam? — zapytał Anchnum.

— Czego szukacie? Czyżbyście wy, Egipcjanie, chcieli ujrzeć posąg mego boga? — Enuana udawała naiwną. — Chętnie was zaprowadzę.

— Żeby potem otruć? Panie, nie słuchaj tej kobiety! Zabijmy ją, zanim sprowadzi na nas nieszczęście — wykrzyknęli żołnierze.

— Zaprowadź nas do komnat wielkiego kapłana — zażądał zniecierpliwiony Anchnum.

— Nie zrobię tego.

— Wtedy zdarcie z ciebie sukni będzie najmniej bolesną rzeczą, jaka cię spotka — oznajmił żołnierz, zbliżając grot włóczni do piersi kobiety. — Ruszaj!

— Dobrze, ale wiedźcie, że zemsta mego boga będzie okrutna.

Skreśli w korytarz, którym nadeszła Enuana. Zatrzymali się dopiero przy wielkich cedrowych drzwiach na jego końcu. Tutaj także Anchnum mógł podziwiać misterną robotę syryjskich rzemieślników, którzy potrafili nadać drewnu cedrowemu ze stoków Libanu niespotykane formy. Enuana pchnęła drzwi. Zobaczyli tonące w półmroku przestronne wnętrze, a gdy zapalili lampy oliwne, Anchnum wydał okrzyk zadziwienia, bo takiego przepychu nie widział jeszcze nigdy, nawet w domu Satre. Nie było jednak czasu na podziwianie. Anchnum natychmiast rozpoznał ich tobołki obciążone lnianymi chustami ze znakiem kobry. Widać Arnusipal nie śmiał tykać przedmiotów, na których widniał święty ureusz. Chłopak nakazał, by żołnierze wzięli rzeczy, a jednego wysłał przodem, by zawiadomił Ursili-

sa. Żołnierze nie omieszkali napelnić kosztownościami swych woreczków na prowiant; włożyli do nich złote klamry do włosów, pierścienie i inne drogocenne drobiazgi.

— Bluźniercy! Psy! — syknęła Enuana. — Jesteście świętokradcami!

— Enuano, zamilknij — rzucił surowo Anchnum.

— Dobra rada — zawołali żołnierze. — Panie, odwróć się lepiej, a my po żołniersku nauczymy ją milczenia! — Zaśmiali się prostacko.

— Chodźmy. Pepi czeka — uciął Anchnum.

Enuana poprowadziła ich do głównego wyjścia. Anchnum był zaintrygowany tą kobietą. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego.

Ursilis, gdy go zobaczył, ruszył mu naprzeciw.

— Jesteś wreszcie. Są wszystkie nasze rzeczy? A to kto? — Hetyta spojrzał na Enuanę.

— Kapłanka Asztarte.

— I co zamierzasz z nią zrobić?

— Chcę, by pojechała z nami.

— Anchnumie, na wszystkich bogów, czyś ty rozum postradał?! — wykrzyknął Ursilis. — Ta kobieta ma rozpustę i podłość wypisaną na twarzy. Dlaczego nie zostawiłeś jej w świątyni?

— Nie mów tak. Ona przecież nie zrobiła nic złego!

— Anchnumie — wtrącił się do rozmowy Pepi — znam tę kobietę. To Enuana, kapłanka Asztarte. Przybyła do świątyni Baala z powodu święta. Wielu młodych ludzi doprowadziła do szaleństwa. Ciało takich kobiet wypala duszę na popiół. Oddałbym ją moim żołnierzom, gdybyśmy zaraz nie musieli ruszać.

— Chłopcze, niech twoje uszy zamkną się na słowa tego mężczyzny, który twierdzi, że mnie zna, a którego pierwszy raz widzę na oczy! — krzyknęła Enuana, podając na kolana, ale tak, by Anchnum lepiej widział jej kształty pod suknią. — Czy nie widzisz, jak jego ręce drżą od żądz? Dlatego zwracam się

do ciebie, który obroniłeś mnie przed brudnymi rękami egipskich żołnierzy. Zabij mnie, bo nie zniosą takiej hańby...

— Dosyć tego. — Pepi uderzył Enuanę w twarz tak mocno, że upadła na plecy. — Zostaniesz tutaj, choć powinienem cię zabić. Ale ty, Arnusipalu, pojedziesz z nami jako gwarancja.

Kapłan Baala nie był już tak butny jak rankiem. Oczy miał podpuchnięte, a wspinała kręcona broda pozlepiana była zakrzepłą krwią. Jednak na jego twarzy, tak jak rano, malowała się fanatyczna nienawiść.

Ursilis i Anchnum wsiedli na muły. Ten, na którym do tej pory jechał Chewet, szedł wolny. Nie załadowali na niego juków, bo pamięć o krwi druha była jeszcze zbyt świeża. Podczas gdy oddział wymaszerowywał ze świątynnego podwórca, Anchnum obejrzał się za siebie, by popatrzeć na Enuanę, która podniosła się z ziemi. Słyszał ciągle słowa Pepiego: „Ciała takich kobiet wypala duszę na popiół”. Miał wrażenie, że jeszcze kiedyś ją spotka.

Enuana stała nieruchomo. Wiatr rozwiewał jej włosy. Była nicznym Syria — kusząca, piękna i zdradliwa.

Podczas gdy Anchnum patrzył na kapłankę, Pepi zwierzył się Ursilisowi ze swych obaw. Syria była dla Egiptu stracona. Stało się jasne, że Egipt nie będzie w stanie jej utrzymać z takim rządem jak obecnie. Garnizony są niepełne i do tego rozsiane po zbyt rozległej przestrzeni. Pepi tłumaczył, że nie może pilnować porządku w Tyrze, mając tylko pięciuset piechurów. Tyr był miastem prawie tak wielkim jak Memfis w Delcie. Wybudowany na wyspie, połączony był z lądem groblą, którą można było zniszczyć, gdyby garnizonowi zagrażał atak z zewnątrz. Ale co uczynić, jeśli rebelia wybuchnie w obrębie murów? Nie miał złudzeń, co Fenicjanie zrobią z egipskim garnizonem w razie takiego buntu. Głowy egipskich żołnierzy ozdobią pale zaporowe wbite w dno morza przed miastem. Od

kilku miesięcy sytuacja była tak napięta, że ludzie Pepiego nie wychodzili poza mury cytadeli, których i tak nie mogliby bronić na całej długości. Dlatego co parę tygodni Pepi wyjeżdżał na łąd, aby sprowadzić do miasta małe egipskie oddziały wartownicze, takie jak ten, z którym odbywali podróż.

Ursilis słuchał tego wszystkiego i coraz jaśniej uświadamiał sobie ogrom trudności, jakie napotkają w drodze na północ w kierunku Aleppo i Karkemisz. Pepi mówił, że jest wprawdzie miasto w Syrii, Ugarit, w którym egipski garnizon liczy prawie siedem tysięcy ludzi, ale nie leży ono na ich szlaku. Ugarit jest wielką metropolią nad morzem daleko na północy. Stacjonująca tam egipska armia to najlepszy na razie gwarant panowania Hatszepsut w Syrii. Na pytanie Ursilisa, dlaczego nie można przenieść ze dwóch tysięcy ludzi na południe, Pepi odrzekł, że to nie byłoby na rękę Senenmutowi, który powoli i systematycznie skupia w swym ręku całą władzę.

— Ursilisie, panie namiestniku, zaczekajcie! — krzyczał Anchnum, który właśnie ich doganiał. — Jak nazywa się to miasto?

— Megiddo, młody człowieku, Megiddo. Przecież tam byliśmy — parsknął Pepi.

Anchnum postanowił zapisać w pamięci każdy szczegół ubioru Enuany, jej piękną twarz i ponętne kształty. Poza tym miał dość niejasne przeczucie, że kiedyś przyjdzie mu wrócić w te strony. Zostawił to jednak bogom, przesypującym klepsydrę czasu. Nie cieszyło go już nic. Ani krajobrazy, ani syryjskie wioski, którym do tej pory przyglądał się z zaciekawieniem. Myślał tylko o kapłance w białej szacie, pięknej niczym bogini.

Ursilis zauważył zmianę w zachowaniu młodego przyjaciela. Myślał jednak, że stan ten spowodowany jest śmiercią Cheweta, a nie spotkaniem z kobietą. Postanowił dać Anchnumowi czas na przemyślenie wszystkiego, pogodzenie się z tym, co nie-

uchronne. Ursilis myślał też o politycznej pajęczynie, w jaką wpadli. Wiedział, że może nadejść dzień, w którym przez Syrię przetoczą się hordy mitannijskich wojowników na wielkich rydwanach, siejących śmierć i zniszczenie. Nie obawiał się jednak przybyszów z północy, bo sam z północy pochodził. Pogonił muła.

— Anchnumie? Martwi mnie to, co zastaliśmy w Syrii. Będzie nam teraz o wiele trudniej uciec od Pepiego. Tym bardziej, że zmierza on do Tyru, a więc w zupełnie innym kierunku niż my.

— Martwi cię to? Ja chciałbym zobaczyć Tyr.

— Nie rozumiesz? Pepi nas nie wypuści, bo nie wie, kim naprawdę jesteśmy. Na razie jest nam przychylny, lecz formalnie będzie musiał nas traktować niemal jak więźniów.

— Chcesz uciec?

— Przy najbliższej nadarzającej się okazji. Zaczynasz się obawiać? Ty, który ze sztyletem rzuciłeś się na lwa? Mój przyjacielu, powiem ci, czego tak naprawdę się boisz, i nie jest to ani więzienie, ani śmierć. Obawiasz się, co zrobisz, gdy po drodze napotkamy Hetytów...

— Masz rację, Anchnumie, zastanawiam się, co pocznę, gdy wśród armii Mitanni trafię na mój lud. Tego właśnie się boję. Nie chcę walczyć z moimi ziomkami.

— Co ma być, to będzie. Tak uczono mnie w Fajum — westchnął Anchnum.

— I dobrze cię nauczono.

Zaśmiali się i popatrzyli przed siebie. Na horyzoncie, wzniecając tumany kurzu, pędził jeździec na koniu. Egipcjanie dopiero od niedawna jeździli na koniach. Pradziad obecnego faraona, książę Ahmes z dynastii tebańskiej, po raz pierwszy użył koni jako zwierząt bojowych, kiedy wygnał z rodzinnego kraju Hyksosów, lud, który rządził przeszło dwieście lat w Deltcie Nilu i zagrażał reszcie Egiptu.

Jeździec zbliżał się szybko. Ursilisowi przypomniało się, jak w podobnych okolicznościach spotkali synów Beniamina ben

Jony. Człowiek na koniu krzychał coś, lecz odległość zniekształcała słowa. Gdy był już dostatecznie blisko, usłyszeli:

— Zawracajcie, zawracajcie! — krzychał po egipsku. Pepi z cichym jękiem chwycił się za głowę.

— Namiestniku Pepi, co się stało?!

— Poznaję tego człowieka, to oficer z Tyra. Nie mamy już po co tam jechać. — Zakrył twarz rękami.

Oddział zatrzymał się.

Oficer był okrwawiony i zlany potem.

— Rzeź, mord, koniec! Bogowie zsyłają Egipcjom śmierć! — dyszał, nie mogąc złapać tchu.

— Co ty mówisz, człowieku? — wykrzyknął Ursilis.

— Nie ma już naszego garnizonu w Tyrze! Nie ma! Wszyscy wyrżnięci! Wracalem groblą z patrolu i już tam slychać bylo nieludzkie wrzaski. Wjechałem przez bramę, nasi wartownicy leżeli wypatroszeni jak świnie! Szaleństwo! Kilku fenickich oszczepników rzuciło się na mnie. Uciekłem. Dopiero za miastem dostrzegłem dziesiątki fenickich okrętów wojennych z czerwonymi żaglami i podwójnymi rzędami wiosł, które blokowały cytadelę z morza, wyrzucając z katapult wielkie kamienie. Zrozumiałem, że fenickie pułki na żołdzie rady miasta uderzyły na nasz garnizon! W Tyrze jest bunt, rozumiecie?!

— Tak, zrozumieliśmy cię, Ptahorze...

Oficer popatrzył na pobladłą twarz Pepiego. Schylił głowę. Nie śmiał powiedzieć nic więcej.

ROZDZIAŁ 6

Szamaszi

Okazało się, że z Tyru uciekli wszyscy kupcy, którzy nie chcieli powstania przeciwko Egiptowi.

Wieści Ptahora wywołały wściekłość i irytację Egipcjan. Nie wszystko jednak było stracone. W Ugaricie stał potężny egipski garnizon, lecz było do niego daleko. Zwłaszcza że mały oddział Pepiego musiał poruszać się wśród morza uciekinierów, a z Tyru wiadomości o buncie rozchodziły się szybko. Pepi postanowił jechać traktem nadbrzeżnym, biegnącym od Tyru i Sydonu do Ugaritu. Liczył na to, że zasili swój mały oddział niedobitkami i uciekinierami egipskimi, których miał nadzieję spotkać po drodze. I nie przeliczył się. Trakt pełen był uciekinierów i, o dziwo, byli to w większości Fenicjanie, którzy woleli władzę egipską niż rozkazy swoich safetów, przywódców zasiadających w radzie miasta.

Rady wszystkich większych fenickich miast, obawiając się wzrostu potęgi kupców, uderzały głównie w ich interesy. A kupcy, by dowieść swej lojalności, musieli oddawać swoje dzieci i żony, które w razie ich niesubordynacji ginęły w męczarniach. Dlatego właśnie gościniec był tak zatłoczony. Egipcjanie torowali sobie drogę różgami i krzykiem. Ludzie mówili, że faraon powinien bronić tych, którzy chcą być mu wierni, lecz Pepi wiedział, że faraona nic to nie obchodzi. Witano Egipcjan

przekleństwami tak wyszukanyymi, że od ich słuchania bolały uszy. Nie były to jednak groźby, a raczej oznaki bezsilnej wściekłości ludzi, którzy woleli iść na tułaczkę, niż zginąć na palu.

— W takim tempie do Ugaritu dotrzemy za miesiąc! — narzekał namiestnik.

W pewnej chwili oddział znalazł się obok kolumny wozów należących bez wątpienia do jakiegoś bogacza.

— Przyjacielu, na bogów, zjedź na bok! — krzyknął Pepi po egipsku i fenicku.

Pierwszy z wozów stanął. Zza zasłony wyłonił się brodacz w turbanie spiętym wielką szmaragdową broszą. Na jego twarzy malował się nie tylko spryt, lecz również serdeczność i rubaszność człowieka, który nade wszystko kocha uroki życia.

— Egipcjaninie, twoje muły są wyleniałe, ty zaś wyglądasz jak siedem nieszczęść. Twoi ludzie to nędzne widma i żądasz, aby moje piękne wozy zjechały na bok? Wzywam was, bogowie, spójrzcie na tego łachudrę i powiedzcie w grzmocie pioruna lub locie ptaka, kto jest ważniejszy na tej drodze?! Czyż moje ofiary nie są dla was przyjemniejsze niż to, co może wam dać ten nędznik? — przemówił po egipsku.

Ludzie Pepiego oniemieli z wrażenia. Brodacz gadał językiem faraonów, bez akcentu, a jego głos przypominał krzyk czapli i skrzeczenie żaby błotnej.

— Zważ, do kogo mówisz, Fenicjaninie! — odkrzyknął Pepi.

— Wiem, do kogo mówię! Mówię po ludzku do człowieka. Gdybyś był wołem, mój panie, na pewno przemówiłbym do ciebie batem.

— Trzymają się ciebie żarty, Fenicjaninie. Jestem Pepi, dowódca garnizonu egipskiego w Tyrze.

— Zaiste, namiestnik miłuje tych, którymi dowodzi! — Brodacz zaśmiał się szydlerczo. — Pepi, królewski namiestniku, czy wiesz, co stało się z twym garnizonem?

— Ten Fenicjanin ma język węża — mruknął Pepi do Ursilisa.

— Nie wiem czy węża, ale na pewno kupca! A na dowód tego, że Szamaszi, kupiec z Ugaritu, mówi prawdę, zapraszam ciebie, mój panie, i twego druha na wino i najlepszą baraninę na świecie. Chyba że żywisz się wodorostami!

— Dobrze, Fenicjaninie, ale jeżeli szykujesz jakiś podstęp, nie minie cię kara — powiedział Pepi, rozchmurzywszy się trochę.

— Podstęp? Baranina jest nazywana krabami! Chodźcie czym prędzej, na wszystkich bogów, póki jeszcze żyjemy...

Ursilis zrozumiał, że mieli niewiarygodne szczęście. Szamaszi był bowiem kupcem, którego kazała im odnaleźć Satre.

Pepi i Ursilis podjechali do pierwszego, niezwykle okazałego wozu, pokrytego farbowanym w Tyrze purpurowym płótnem, który, jako dobrze widoczny, wskazywał kierunek pozostałym wozom. Ursilis wiedział, że jeżeli zdradzi się przed nieznanym, zanim upewni się, że to właściwy człowiek, życie jego i Anchnuma może znów zawisnąć na włosku. Nie miał nawet pewności, czy wszystkie ważne przedmioty, które poukrywał w pakunkach, wciąż znajdują się na swoim miejscu. Od opuszczenia Megiddo nie miał okazji tego sprawdzić.

Gdy wóz Szamaszego zwolnił, Pepi i Ursilis przesiedli się do niego. W środku było dosyć wygodnie, jak na polowe warunki, choć nieco trzęsło, ponieważ jechali drogą nierówną i kamienistą.

— Witam was, dostojni egipscy mężowie. Mam nadzieję, że wino z Cypru rozpogodzi wasze serca pełne egipskiego gniewu, tak słynnego w świecie. Na pocieszenie powiem wam, że moja matka twierdziła, iż mój jęzor bywa gorszy od ujadającego psa — rzekł gospodarz.

— Każdy ma wady, ale podobają mi się Fenicjanie, którzy lubią Egipcjan i porównują się przy nich do psa — odparł Pepi.

— Oto rozsądne słowa! — Szamaszi napelniał winem z buk-

łaka dwa piękne, srebrne puchary. We wnętrzu wozu rozeszła się przyjemna woń trunku. — Bardzo się cieszę, że poznałem cię, dostojny Pepi. To dobrze, gdy spotykają się ludzie, którzy mogą sobie pomóc...

— Nie rozumiem, o czym mówisz, panie.

— Mówię o nas i o Syrii na drodze donikąd...

— A dokładnie...

— Mówię też o handlu w Syrii. Wiesz dobrze, że na wojnie można dużo zarobić i dużo stracić, prawda?

— Zaskakujesz mnie dzisiaj po raz drugi, Fenicjaninie. — Pepi był wyraźnie zmieszany. — Zapewniam cię, że nie minie miesiąc, a Tyr znów będzie we władaniu faraona.

— W Tyrze ciała wszystkich twoich ludzi są już karmą dla psów! — wykrzyknął Szamaszi. — Jedyne duże garnizon faraona stoi w Ugaricie, ale biorąc pod uwagę ciemną potęgę, jaka zbiera się w Mitanni, nikt nie wychyli nawet nosa zza murów. Czy mam mówić dalej?

Pepi pobladł.

— Skąd tyle wiesz?

— Dzisiaj informacja to złoto, a złoto to życie. — Szamaszi uśmiechnął się tak, że Ursilisowi zrobiło się nieswojo.

— Czego ode mnie chcesz? — zapytał Pepi.

— Czy jesteś rozsądny?

— Czego ode mnie chcesz? — warknął Pepi.

— Wszyscy doskonale wiemy, że egipskie panowanie nad Syrią i Fenicją dobiega końca...

— Czy nie uważasz, że tu, nad morzem fenickim, władza Egiptu powinna być silniejsza? — Pepi nie krył rozdrażnienia.

— A dlaczego tobie miałyby zależeć na silnej władzy egipskiej bardziej niż na złocie? — odciął się kupiec.

— Czy w związku z tym zamierzasz mi coś powiedzieć? — zapytał Pepi, udając, że nie słyszał pytania.

— Mam propozycję. Pierwszą z wielu. Żeby utrzymać obecność Egiptu w Syrii, trzeba więcej argumentów za nią przemawiających, czy tak?

— Możliwe...

— Garnizon w Ugaricie liczy siedem tysięcy ludzi. To silna armia. Gdyby jednak stało się coś niezwykłego, na przykład gdyby nagle Tyr został, powiedzmy, zaatakowany z morza...

— Zdziwiasz mnie, panie. Nigdy nie przypuszczałem, że kupcy znajdują się na takich sprawach...

— Daruj sobie, Pepi, tę złośliwość. Czy mam mówić dalej?

— Proszę bardzo... Muszę przyznać, że twoje wino jest wyborne.

— Powiedzmy, że ktoś zaproponowałby ci pożyczkę tak dużą, by nająć, kogo trzeba, i zrobić niespodziankę tyryjczykom.

— Zakładając, że ten ktoś będzie miał bardzo dużo talentów...

— Dokładnie, namiestniku Pepi! Czytasz w moich myślach! — Szamaszi skierował spojrzenie na milczącego Ursilisa. — Czy jesteś sługą Pepiego? — zapytał go.

— Nie jestem Egipcjaninem — odpowiedział pośpiesznie Ursilis po akadyjsku, czym wprowadził Szamaszkiego w nieklamany zachwyt. — A urodziłem się tam, gdzie szczyty gór zasnuwane są mgłą...

— Jesteś Hetytą?

— Tak, nazywam się Ursilis.

— Niebywałe, nieprawdopodobne! — wykrzyknął podniecony kupiec. — Dzisiaj dziwy chodzą po drogach! Jesteś Hetytą? I służysz młodemu kapłanowi Sobka? — Po chwili dodał: — Krokodyle to święte zwierzęta wielkiej rzeki.

— Rzeki, która jest darem dla ziemi Kem.

Ursilis nie musiał mówić nic więcej. Wiedział, że obydwaj z Anchnumem są uratowani. Ta myśl rozwiała ciemne chmury, jakie gromadziły się w jego sercu od czasu fatalnej utarczki z kapłanami Baala. Ursilis i Szamaszi uśmiechnęli się do siebie. Obydwaj znali hasło i odzew, który Satre przekazała Ursilisowi w Tebach.

— Rzeczywiście, dostojny namiestniku, ten hetycki młodzieniec wydaje się ze wszech miar godny zaufania.

— Nigdy w to nie wątpiłem... — Pepi dopijał szósty puchar wina. — Po co wam krokodyle? Do czego wam potrzebne te głupie krokodyle, kiedy ja mam bunt na głowie?!

— Na razie, dostojny namiestniku, nie martwiłbym się buntem, tylko ilością wina, jaką się dzisiaj uraczyłeś — odparł wesoło kupiec.

Ale tego zmęczony namiestnik już nie usłyszał. Zmorzył go kamienny sen. Ursilis i Szamaszi spojrzeli na siebie i choć wiedzieli, że o pomyłce nie może być mowy, to gdzieś na dnie została mała iskra nieufności. Pierwszy zdecydował się ugasić ją Szamaszi:

— Jak Satre?

— Kiedy wyjeżdżaliśmy, było źle. Musieliśmy uciekać.

Kupiec wpatrywał się w pijanego namiestnika.

— Dzisiaj wieczorem przyprowadź do mnie kapłana. Znaie moje wozy. Będę czekał na was w trzecim od końca.

Hetyta zwinnie zeskoczył z wozu. Jego muł przez cały czas szedł obok, więc mimo tłoku na drodze dosiąść go nie było trudno. Zawrócił, by odszukać Anchnuma i podzielić się z nim nowinami. Nie musiał szukać daleko. Anchnum jechał w milczeniu między egipskimi żołnierzami. Ursilis pomyślał, że jest w tym chłopcu coś mrocznego, jakaś tajemnica, związana być może z jego pochodzeniem.

— Anchnumie, mam dobre wiadomości. Przynajmniej na razie nie będziemy musieli uciekać jak tropione zwierzęta.

Chłopak nie odpowiedział.

— Coś cię trapi?

— Nie, nic — mruknął.

— Myślę, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Twemu smutkowi na imię Enuana, prawda?

— Tak... — szepnął ledwie słyszalnie.

Anchnum po raz pierwszy poczuł, jak bardzo boli przyznanie się przed samym sobą do słabości. Ale czyż miłość jest słabością?

Enuana była naprawdę niebezpieczną kobietą. Wielu młodych, bogatych Fenicjan oddawało jej swe dobra i popełniało dla niej zbrodnie. Tym właśnie sposobem zdołała w krótkim czasie zdobyć majątek, który Pepi oszacował na prawie siedem tysięcy talentów, które ulokowane były w domach kupieckich Tyru i Sydonu. Gdy tylko okazało się, że z tych wielkich sum ani jeden talent nie wpłynął do skarbcza faraona jako podatek, urzędnicy egipscy zaczęli interesować się kapłanką.

Jadąc obok Anchnuma, Ursilis przypomniał sobie tamtą półnągą dziewczynę, z powodu której kapłani Baala zabili Cheweta. Od razu zwróciła uwagę właśnie na nich, choć nie byli jedynymi cudzoziemcami, jacy kręcili się podczas święta Baala w Megiddo. Zupełnie jakby wiedziała, do kogo ma podejść. Poprzysiągł sobie, że kiedyś Enuana trafi pod jego miecz.

— Anchnumie, posłuchaj mnie uważnie — zwrócił się do chłopaka, przypominając sobie, dlaczego go szukał. — Szamaszi, dzięki bogom, jest tym człowiekiem, do którego wysłała nas Satre.

— Jesteś tego pewny?

— Całkowicie. Chce się z nami zobaczyć jeszcze przed zachodem słońca.

Ruszyli w stronę wozu, w którym miał na nich czekać Szamaszi. Nie było jednak rzeczą prostą dostać się do niego z powodu ciżby ludzkiej, jaka sunęła nadbrzeżnym gościńcem. Zanim zdołali przecisnąć się przez tłum egipskich żołnierzy Pepiego, którzy drzemali zmęczeni w siodłach, słońce poczerwieniało. Błękit nieba z wolna przechodził w róż, a potem

w szkarłat, jakby czyjaś ręka rozmazywała farby na palecie wszechświata. Dziwny i przejmujący był to widok. Tysiące ludzi wolno, w znoju idących ku swemu przeznaczeniu, gdy umierające słońce wylewa coraz to nowe fale czerwieni, rubinowych odbłyśków i płomiennych odcieni pomarańczy. Do Ursilisa zbliżył się sługa Szamaszego, tak jak to było umówione.

— Dostojny Szamaszi czeka nas was, wejdźcie.

Ursilis przeskoczył z muła na wóz.

— Daj rękę! — krzyknął do Anchnuma, podniósł go jak piórko i postawił na kładce, która prowadziła do drzwi wozu. Sługa pchnął je lekko. W środku na poduszkach siedział Szamaszi. Kupiec wydał się Anchnumowi półbogiem. Purpurowe szaty, przetykane roślinnym wzorem ze złotych nici, długa broda utrefiona na sposób babiloński i opaska na głowie, a przede wszystkim słuszna tusza czyniły z niego postać imponującą. Ten człowiek niewątpliwie ma władzę, pomyślał chłopiec,

— Siadajcie, siadajcie — powiedział Szamaszi, po czym zwrócił się do chłopca: — Ty zapewne jesteś tym młodym kapłanem, o którym mówił mi dziś Ur...

— Ursilis.

— Właśnie, Ursilis. Ja nazywam się Szamaszadadniri, ale używam tylko pierwszej części imienia, które pochodzi od boga Słońca, Szamasza. A ponieważ służę temu bogu we dnie i w nocy, kraść mogę jedynie, kiedy nadpłyną chmury, co w Fenicji zdarza się naprawdę rzadko.

Parsknęli śmiechem. Nie śmiali się tak serdecznie od opuszczenia Egiptu. Kupiec mówił dalej:

— Drugiej części nie używam, bo nigdy nie lubiłem tych wieprzy Asyryjczyków, a moja matka była z rodu wielkiego Sargona. Nie myślcie sobie, że nie szanuję matki, która mawiała, że w przeciwieństwie do mego przodka, wolę liczyć pieniądze niż ścięte głowy wrogów.

— Wezwalesz nas, Szamaszi, bo masz dla nas jakieś wieści? — zapytał Ursilis, gdy przestał się śmiać.

— Tak, w istocie. — Twarz kupca spoważniała, pogładził się po brodzie. — Jesteście tymi, na których czekam. Czy masz pierścień? — zwrócił się do Anchnuma.

— Ja go mam — rzekł Ursilis i podał klejnot Szamaszemu.

Kupiec patrzył na niego nie oczyma znawcy, który wycenia klejnot, ale tak, jakby coś mu przypominał, zamierzchłą przeszłość tonącą w mrokach czasu. Zaciśnął pierścień w dłoni i zamknął na moment oczy. Nie było wątpliwości. To ten sam pierścień, który dał przed wieloma laty Setiemu. Wszystko jasne, pomyślał Szamaszi.

Przyjaciele patrzyli na kupca, śledząc nerwowo każdą najmniejszą zmianę wyrazu jego twarzy.

— Wiecie już, jak mniemam, że zaczęła się gra, która może nas wszystkich drogo kosztować. Proszę, opowiedzcie mi, czego doświadczyliście.

Ursilis i Anchnum popatrzyli na siebie i Hetyta zaczął opowiadać o kolejnych zdarzeniach. Szamaszi słuchał z niezwykłą uwagą, a na wspomnienie Habiru dorzucił:

— To dziwni ludzie, ci Habiru. Z tego, co wiem, jest kilkanaście plemion zażarcie się zwalczających, ale kilka z nich uznaje tylko jednego boga, co dla mnie jest czymś niepojętym.

— Ale pomogli nam, mimo że nie mieli z tego żadnych korzyści — zaznaczył Ursilis.

Szamaszi zamyślił się, a po chwili rzekł:

— Mielicie po prostu dużo szczęścia. Ale teraz pomówmy otwarcie. Myślę, że do Egiptu nie macie po co wracać. Zrobię, co w mojej mocy, abyście bezpiecznie dotarli do Babilonu.

— Panie, czy nie powiesz mi nic więcej? — W Anchnumie wzbierała złość. — Przecież cała nasza podróż ma jakiś związek ze mną!

— Masz rację, młody człowieku. To wszystko ma związek z tobą. Zanim powiem wam, co wiem, musicie odpowiedzieć mi na kilka pytań. Po pierwsze: czy będąc w Egipcie, mieliście wrażenie, że ktoś was śledzi?

— Trudno powiedzieć — odrzekł z namysłem Ursilis. — Na co dzień nie zwraca się na to uwagi.

— Czy Satre bała się czegoś przed waszym wyjazdem z Egiptu?

— Nie wiem... — Ursilis się zawahał. — Myślę, że tak.

— Czy widziała się z Setim, swoim ojcem, a potem arcykapłanem Amona w Tebach?

— Tak, a potem otrzymała od niego list, który przyspieszył nasz wyjazd.

— Czy mąż Satre, dostojny Minmose, miał jakieś podejrzenia co do Anchnuma?

— Nie. Pani Satre potrafiła trzymać swoje sprawy w tajemnicy nawet przed mężem. Minmose zajęty był przygotowaniami do wyjazdu, chciał też poprawić swoją pozycję na dworze. Utrzymywał dobre stosunki z ministrem faraona, Senenmutem...

— Satre wysłała was z Egiptu, ponieważ twoją obecność, Anchnumie, trudno było dłużej utrzymywać w tajemnicy — zwrócił się kupiec do młodego kapłana.

— Dlaczego kogoś miałyby obchodzić moja osoba?! — wykrzyknął chłopak.

— Potem ci powiem — uciął Szamaszi. — Czy macie tabliczki z przekazami i listy?

— Tak, panie — rzekł Ursilis. — Jeden list jest dla ciebie.

Wyjął zawiniątko, w którym znajdowała się złożona na dwoje tabliczka przewiązana lnianym sznurkiem. Szamaszi zaczął czytać.

— To potwierdzenie celu waszej podróży. A waszym celem jest Babilon. Pamiętajcie, nie mówcie nikomu ani słowa o tym, skąd naprawdę przybywacie. W Babilonie odnajdziecie Enaburiasza, wielkiego aptekarza przy świątyni Marduka. Dam wam do niego listy.

— Mamy ruszać teraz? — zapytał Ursilis.

— Nie, to byłoby szaleństwo. Musicie zostać na jakiś czas w Ugaricie. To miasto ma swoje uroki i miejsca, w których można bezpiecznie przeczekać niejedną zawieruchę. Jest w ta-

kim samym stopniu syryjskie co fenickie, i można w nim spotkać wszystkie narody świata, łącznie z Achajami. Nikt was nie znajdzie, a ja zdążę przygotować waszą dalszą podróż.

— To, co mówisz, jest rozsądne — orzekł Ursilis. — Dziękujemy za troskę.

— Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną? — dopytywał się zirytowany Anchnum. — Czy wreszcie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi, bo, jak na razie, mówisz samymi zagadkami! Ursilis spojrzął na Szamasiego. Pod delikatnym uśmiechem kryła się ironia, lecz Anchnum tego nie zauważył. To wciąż jeszcze smarkacz, pomyślał Hetyta.

— Zapewne dziwi was, dlaczego kupiec, i do tego Fenicjanin, roztacza opiekę nad dwoma uciekinierami z Egiptu — zaczął Szamaszi.

— W rzeczy samej — odparł Ursilis.

— Jestem Fenicjaninem z wyboru, choć zawsze bardziej ceniałem Marduka niż Baala, mimo iż wielu ich ze sobą utożsamia. Urodziłem się i wychowałem w Babilonie. — Zamknął oczy i zaczął recytować po akadyjsku:

*Gdy w górze niebo nie zostało jeszcze nazwane,
a ziemia w dole nie znalazła imienia swego,
gdy Apszu pierwotny, Mummu i Tiamat łączyli swe wody,
nic jeszcze nie zostało nazwane,
wówczas zostali złączeni między nimi bogowie*.*

— W życiu każdego człowieka jest chwila, kiedy zaczyna dostrzegać misterny splót wydarzeń, jaki przygotowali z myślą o jego życiu bogowie — westchnął, otwierając oczy. — Pogódź

* Fragmenty poematu *Enuma Elis* zaczerpnięte z pracy Krystyny Szażyńskiej i Krystyny Lyczkowskiej, *Mitologia Mezopotamii*, KAW, Warszawa 1987.

się ze swym losem, chłopcze, bo i tak nie możesz uczynić niczego wbrew zamysłom bogów.

— Do czego zmierzasz, panie? — spytał zdezorientowany Auchnum.

— Czy pamiętacie swoją wizytę w królewskim archiwum w Tebach? Odebraliście tam zwoje papirusów i tabliczki, czy tak?

Przyjaciele skinęli głowami.

— Skąd o tym wiesz? — chciał wiedzieć Anchnum.

— Bo to ja je wysłałem. Zawierały informacje dla Setiego, ojca Satre, na temat tego, co dzieje się w Syrii, a papirusy mówiły o pewnej transakcji, której dokonano wiele lat temu...

— Jesteś szpiegiem? — wyrwało się Ursilisowi.

— Mój drogi, cóż za prostackie określenie! Pracuję, aby przeżyć, a w dzisiejszych czasach towarem są również informacje. Papirusy mówiły o dzieciach znalezionych na pustyni i sprzedanych do świątyni Sobka w Fajum. Kupiec informował tam obszernie o ich pochodzeniu, czego wymagały surowe przepisy świątynne. Troje sprzedali kupcowi ludzie z Nubii, którzy mieli ich już dwanaścioro i nie mogli wyżywić najmłodszych, natomiast bliźniacy stanowili dla niego zagadkę — zostali porzuceni w koszu. Byli wyczerpani, jeden dogorywał. Przeszukał miejsce, w którym znaleziono kosz, nie znalazł jednak niczego. Tak jakby dzieci oddała pustynia. Podczas podróży do Teb zdecydował, że w dalszą drogę weźmie tylko jednego chłopca, tego, który wydawał się silniejszy, a słabszego oddał do świątyni Amona. Wyruszył do Fenicji, lecz dziecko, które pragnął zatrzymać, było coraz słabsze i kupiec zawiózł je do świątyni Sobka w Fajum.

Szamaszi upił łyk wina. Ursilis i Anchnum milczeli, lecz widać było, jak bardzo młody kapłan przeżywa tę opowieść. Był blady jak płótno.

— Kupiec i kapłani Sobka sporządzili umowę, jej treść mogliście przeczytać podczas wizyty w archiwum — ciągnął Szamaszi. — Nie poinformował jednak kapłanów o tym, co

znalazł przy dzieciach. A znalazł mały wisiołek ze złota przedstawiający sokoła w locie, świętego ptaka Horusa, syna Ozyrysa. Chłopcy mogli być dziećmi kogoś bardzo wysoko postawionego, kto nie chciał się do tego przyznać przed światem i bogami, a już na pewno przed sobą samym. Może jakaś dama dworu miała romans z kimś niżej postawionym — z sekretarzem lub niewolnikiem. Cóż, takie rzeczy zdarzają się nie tylko w Egipcie.

Anchnum miał wrażenie, że cały świat zwałił się w jednej chwili na jego głowę. Nie miał już żadnych wątpliwości, że jednym z bliźniaków jest on sam. Chciał się ukryć, by nikt na niego nie patrzył. Świadomość, że jest niechcianym bękartem, była straszna.

— Czy moją matką była Satre? — wyjąkał.

— Nie, skądże! Musiałaby mieć dziesięć lat, gdy cię urodziła. Zresztą dowiedziała się tego wszystkiego kilka lat potem od Setiego, swego ojca, a on od kupca, który sprzedał dzieci.

— Czy wiesz, jak ten kupiec się nazywa?

Szamaszi milczał.

— Kim jest ten człowiek? — powtórzył z naciskiem Anchnum.

Kupiec spuścił głowę. Jego ręce drżały.

— To byłem ja...

Anchnum wpatrywał się w Szamaszkiego.

— Sprzedałeś mnie...

— Nie, chłopcze, to nieprawda...

— Sprzedałeś mnie jak bękarta, jak psa...

— Nie sprzedałem! — podniósł głos Szamaszi. — Dla dziecka znalezione w koszu na pustyni nie mogłem zrobić nic lepszego, jak oddać go do świątyni na wychowanie. Do koszyka włożone było to! — Wyciągnął z woreczka z kozłej skórki złoty wisiołek w kształcie lecącego sokoła.

— Niezwykłe! — wykrzyknął Ursilis.

Anchnum spoglądał z niedowierzaniem to na kupca, to na wisiorek. Chciał dowiedzieć się, co to wszystko znaczy. Kim są jego prawdziwi rodzice, dlaczego go porzucili? Czy jego brat, który, według słów Szamaszego, był z nim w koszyku, żyje? Wszystkie te pytania wzbierały w nim jak rzeka po ulewnych deszczach. Dotknął znaku na lewym ramieniu.

— Co to jest? — zapytał.

— Na bogów! To znamię miałeś już, kiedy cię znalazłem — zawołał Szamaszi. — Teraz nie mam wątpliwości, że jesteś dzieckiem z koszyka!

— Gdzie jest mój brat?

— Nie wiem, ale nie sądzę, by przeżył. Mówiłem już, że był znacznie od ciebie słabszy. Oddałem was kapłanom i wiem, że byli to ludzie uczciwi. Dopiero wiele lat potem sfalszowałem dokument sprzedaży w porozumieniu z ojcem Satre, który cię odnalazł. Ale jak zdołał trafić na twój ślad, tego mi nie zdradził. Myślę, że oprócz ojca Satre i jej samej jest ktoś jeszcze, kto wie o tajemnicy sprzed lat więcej niż ja. Dlatego musicie uciekać.

— Kto to może być? — zastanawiał się Ursilis.

— Nie wiem — westchnął kupiec. — Czas pokaże, co zgotowali nam bogowie. Trzymajcie się blisko mnie podczas naszej wędrówki do Ugaritu. Nie chciałbym was stracić — dodał serdecznie.

Podróż do Ugaritu okazała się niezwykle uciążliwa. Wielu wędrowców umierało z wyczerpania, a ich ciała spychano na pobocze. Do oddziału Pepiego, który był jedyną w miarę dobrze uzbrojoną jednostką wojskową w tej wielotysięcznej rzeszy, co parę dni dołączali maruderzy, a także te patrole, które wcześniej wyszły z garnizonu tyryjskiego i na szczęście nie zdołały do niego wrócić przed rzezią. Pepi miał do trzystu piechurów

i nieco ponad stu konnych zwiadowców. Do jego oddziału przyłączali się też uciekinierzy z Tyru i innych miast, którzy nic nie dzielali wiary w powodzenie buntu przeciwko Egipcjowi.

Namiestnik był wściekły na Szamaszego, że ten spił go podstępnie winem, choć musiał przyznać, że tak dobrego trunku nie pił w życiu. Przez cały czas rozmyślał też o propozycji kupca i myśl ta drażniła go jak robak owoc drzewa morwowego. Nie mógł jej zlekceważyć. Wprawdzie dziwiło go niepomiernie, dlaczego Fenicjanin oferuje pierwszemu lepszym dowódcy egipskiemu pożyczkę na stworzenie armii, lecz nie to było najdziwniejsze. Pepi był zbyt wytrawnym graczem, by nie rozumieć, iż żaden kupiec nie może sam z siebie rozporządzać takimi pieniędzmi. Miał pewność, że za grubym Fenicjaninem stoi ktoś znacznie potężniejszy. Kupcy fenicyjscy musieli zdawać szczegółowe sprawozdania ze swoich finansów radom safetów, nie było zatem możliwości, aby ukryć kilka tysięcy debenów złota. Kim więc jest ten Szamasz? Wysłannikiem Hatszepsut, który ma sprawdzić jego lojalność? Pepi wiedział jednak, że królowa nie interesuje się Syrią. Babilon? Nie mógł przezwyciężyć wewnętrznych trudności — powszechnej nienawiści do kasyckiej dynastii i niepokoju w górach Elam. Czyżby Mitanni?

A ci dwaj — Anchnum i Ursilis, kim są? Tego Pepi również nie wiedział. Uwagi namiestnika nie uszło, jak bardzo zbliżyli się do kupca. Wszystkie te wątki oplątywały niczym pajęczyna bystry umysł Pepiego. Postanowił dowiedzieć się, co tak naprawdę kryje się za propozycją Szamaszego. Zawrócił konia, zjechał na pobocze i po kilku minutach zobaczył kupca wesoło rozprawiającego z Anchnumem.

— Witaj, panie. Pragnę podziękować ci za nasze ostatnie spotkanie.

— Witaj, dostojny namiestniku, czyżbyś znowu zapragnął zakosztować moich trunków?

— Nie tym razem. Ale chciałbym, żebyśmy wrócili do naszej rozmowy...

— Doprawdy? Nie widzę przeszkód... Lecz nie tutaj.
Anchumowi nie trzeba było mówić, co powinien zrobić.
Zsiadł z wozu i poczekał na Ursilisa, który prowadził jego muła.

Pepi rozsiadł się w wygodnym wozie Szamaszego.

— Panie, czy *namyśliłeś* się? — *zapytał kupiec.*

— Nie kryję, że twoje słowa wywarły na mnie wrażenie —
odparł Egipcjanin.

— I co?

— Chciałbym usłyszeć, jakie masz gwarancje i dla kogo
pracujesz. W dzisiejszych czasach takich propozycji nie składa
się bez powodu.

— Pepi, chyłę czoło przed twoim przenikliwym umysłem —
rzekł Szamaszi, a w jego głosie pobrzmiwała nutka ironii. —
Powiedzmy, że pewien człowiek ma kłopoty, a drugi człowiek,
widząc to, chce mu pomóc, ale dodajmy, że nie reprezentuje
siebie samego.

— Do czego zmierzasz?

— Wszyscy do czegoś zmierzamy—westchnął kupiec. — Po
pewnym czasie ten człowiek tak poważnie zapada na zdrowiu, że
widzą to wszyscy sąsiedzi. Jedni starają się skrócić jego życie,
a drudzy chcą wyciągnąć z tej choroby jakąś korzyść dla siebie.
Jeszcze inni będą go chcieli uleczyć i donieść na złych sąsiadów.

— Wybacz, Szamaszi, ale ta historia jest grubymi niemi
szyta. Przecież każdy lekarz zażąda zapłaty za swoje usługi.

— Otóż to! Ale zanim poznasz cenę, pozwól, że opowiem
nieco o samym lekarstwie. Moje lekarstwo to tysiąc pięćset
debenów złota.

Pepiemu zaschło w gardle. Kupiec wymienił sumę tak olbrzy-
mią, że pozwoliłaby zaciągnąć na rok kilka tysięcy najemników
achajskich lub dzikich górali z gór Tauros.

— Lecz procent za takie lekarstwo będzie godny fenickiego
sprytu — zauważył szybko.

— Ale po cóż od razu mówić o procencie? Mówiłem ci, że lekarz dba o to, aby ktoś inny nie zapadł na chorobę., na którą cierpi pacjent. Czy przyjmujesz moją propozycją?

Egipcjanin wpatrywał się niepewnie w Szamasziego.

— Zrozum mnie — rzekł w końcu, wyraźnie zdenerwowany. — Takich decyzji nie mogę podejmować sam, to należy do faraona, a ja jestem niczym...

— Możesz być wszystkim — przerwał mu Szamaszi. — Powiedzmy, że ów tajemniczy lekarz chce, abyś to właśnie ty reprezentował interesy faraona w Syrii.

— Panie, twoja propozycja rozjaśniła wiele z mych wątpliwości, lecz pozostaje faktem, iż taką decyzję może podjąć tylko faraon albo ktoś, kto ma od niego pełnomocnictwa, a ja ich nie mam...

— Dobrze. Nie będę naciskał, ale pamiętaj o mnie, kiedy dotrzemy do Ugaritu...

— Będę pamiętał. Bądź zdrow, panie — skłonił się Pepi i zsiadł z wozu.

Szamaszi był zadowolony. Ryba połknęła haczyk.

Wspomnienie rozmowy z Szamaszim nie opuszczało Anchuma. Zaczynał wierzyć w to, że jest naznaczony przez bogów. Kupiec nie odpowiedział mu na najważniejsze pytania: kim byli jego rodzice i gdzie jest jego brat, lecz był teraz dziwnie spokojny i postanowił czekać cierpliwie na to, co przyniesie los.

Po wielu tygodniach morderczego marszu kolumna uciekinierów z Tyru dotarła do wiosek położonych na przedmieściach Ugaritu. Anchnum napawał się urokiem ziem, które przemierzali. Spokojne osady syryjskich chłopów otoczone gajami oliwnymi i pola złocące się pszenicą dawały odpoczynek zmęczonym oczom i umysłom. Trakt wiódł wzgórzami, których łagodne stoki opadały ku morzu. Chłodniejsza morska bryza sprawiała, że marsz stał się bardziej znośny.

Wieść o upadku egipskiego garnizonu w Tyrze szybko rozeszła się po nadmorskich krainach. Syryjscy chłopcy na widok niekończącej się kolumny ludzi pognali do zagród stada owiec i kóz, pasących się na porośniętych wysoką trawą zboczach, i z zaciekawieniem obserwowali ludzi sunących traktem. Uciekinierzy, którzy nie wytrzymali trudów i upału, leżeli na poboczu, czekając na śmierć. Najstraszniejszy był jednak los dzieci umierających na rękach matek. Aby *oszczędzić im meczami*, wielu tyryjczyków zabijało je od razu na początku marszu. Niektóre kobiety po śmierci dziecka szły przed siebie w niemym szaleństwie.

— Fenicjanie to posępni ludzie — stwierdził Anchnum.

— Nie masz racji — odrzekł Ursilis. — Fenicjanie, czyli ludzie z miast nad morzem, są inni od pozostałych ludów zamieszkujących Syrię. Lecz wszyscy mają jedną cechę wspólną: przyjmują wyroki bogów bez sprzeciwu, są też bardziej okrutni niż Egipcjanie. Dlatego wydają ci się posępni.

— Ursilisie, myślę, że musiałeś podróżować po świecie, zanim znalazłeś się w Egipcie...

— Byłem tu i tam, ale zawsze z utęsknieniem czekałem, aż bogowie pozwolą mi znaleźć się w Egipcie, abym mógł poznać Anchnuma Ciekawskiego!

— Jesteś złośliwy, ale naprawdę interesują mnie twoje losy.

— Nie wiem, czy chce mi się strześcić język...

— Drażnisz się ze mną! — parsknął poirytowany Anchnum, ale po chwili dodał nieco łagodniej: — Mogę dzisiaj zrezygnować ze spania na lwiej skórze...

— Teraz, przed Ugaritem? Sprytny jesteś. Powiem ci tylko tyle, że każdy lud jest inny, jednak ludzie wszędzie są do siebie podobni. Potrafią tak samo kochać i nienawidzić. Wszyscy są też śmiertelni. Fenicjan można nie lubić, ale uwierz mi, że bywają ludy bardziej nieprzystępne. Myślę, że przekonamy się o tym w Babilonie...

— Byłeś tam kiedyś?

— Nie, nigdy. Znam go tylko z opowieści, z legend o wielkich czynach za dawnych dni, których żaden człowiek już nie pamięta, a które są zapisane na glinianych tabliczkach.

— A twój lud?

— Choć dawno nie byłem w mojej ojczyźnie, z utęsknieniem czekam chwili, kiedy znów zobaczę miasto zatopione w chmurach i pasterzy wyprowadzających wielkie stada kóz na pastwiska na płaskowyżu. Widziałeś kiedyś chmury wiszące tuż nad ziemią?

— Nie, to musi być wspaniałe...

— Nazywamy to zjawisko mgłą. Zazwyczaj widać ją rano, kiedy pasterze schodzą na zielone łąki, tak zielone, jakich nie ma w Syrii, a tym bardziej w Egipcie. A mój lud... — Ursilis westchnął. — Mój lud jest inny niż wszystkie ludy. Bardziej twardy, dziksz, nieujarzmiony jak woda spadająca z górskich zboczy...

— Chciałbym kiedyś zobaczyć te kraje...

— Myślę, że będzie ci to dane...

Ugarit położony był na półwyspie nad wielką morską zatoką, która w tamtym rejonie głębiej wrzynała się w ląd i w której znajdował się słynny na całym świecie port.

Miasto dysponowało własną flotą handlową i wojenną, dowodzoną przez najlepszych żeglarzy fenickich i kreteńskich, którzy stali się najemnikami morskimi po zniszczeniu Krety przez Achajów. To, co mógł powiedzieć o tym wielkim mieście Ursilis, miało się jak ziarno pszenicy do księżyca wobec tego, co wiedział o Ugaricie Szamaszi. Znał na wylot to miejsce i był tam jedną z najbardziej poważanych osobistości. Każde miasto ma obywateli, którym niczego się nie odmawia, a Szamaszi właśnie do takich należał. Ta okoliczność bardzo sprzyjała Anchemumowi i Ursilisowi, którzy zamierzali ukryć się tu na jakiś czas.

Ugarit różnił się od wielkich nadmorskich metropolii fenickich. Był przede wszystkim nieco bardziej kosmopolityczny; krzyżowały się tutaj interesy wielu ludów i wielu władców chciało pozostawać z tym miastem w przyjaznych stosunkach, mimo iż formalnie podlegało ono Egiptowi. Mieszkańcy byli dumni ze swojej floty i niezależności, której tak bardzo zazdrościli im Fenicjanie z Tyru i Sydonu.

Anchnuma podniecała myśl o ujrzeniu tego wszystkiego, a Ursilis, który już kiedyś był w Ugaricie, myślał tylko o tym, czy spodoba mu się on tak jak za pierwszym razem.

W końcu dotarli do gigantycznego, ciągnącego się wiele mil muru osłaniającego miasto od strony lądu. Górowało nad nim piętnaście wież strażniczych. Na morzu zaś murem była flota wojenna. Zatoka, mieniąca się niezliczonymi odcieniami błękitu, ukazała setki białych i różnokolorowych żagli, które z oddali wyglądały jak tłum gości zdążających na przyjęcie.

Ugarit otwierał przed nimi swe podwoje.

ROZDZIAŁ 7

Ugarit

W olbrzymim domu Szamasiego od wczesnego ranka panował ruch. Krzątali się niewolnicy, znoszono wodę i świeże ryby z targu. Anchnuma obudziło rzenie koni z pobliskich stajni. Poczul głód. Apetyt dopisywał mu jak nigdy dotąd, a dom Szamasiego był miejscem do jego zaspokajania wręcz wymarzonem. Posiłki stanowiły dla gospodarza uroczystość niemal religijną; były obfite, szczególnie te wieczorne. Anchnum i Ursilis zajmowali ładną komnatę z tyłu domu. Dostali od Szamasiego nowe szaty, które upodabniały ich do młodych Fenicjan. Pieniędzy im nie brakowało, albowiem Ursilis wymienił na małe sztabki brązu, będące obiegowym środkiem płatniczym w Ugaricie, tabliczkę z przekazów Minmose.

Dom Szamasiego położony był w dzielnicy w większości zamieszkaney przez kupców. Z dużych okien rozciągał się wspaniały widok na miasto i port. Był typowym przykładem architektury syryjskiej; podobnie jak świątynia Baala Hannona w Megiddo, nie miał pięter, tylko wiele wspaniale wyposażonych komnat w układzie parterowym. Mniejsze budynki zajmowała liczna służba złożona z niewolników. Czymś niezwykłym były natomiast dwie umywalnie, jedna dla domowników, a druga dla służby, do których rurami położonymi pod domem doprowadzano wodę. Obfitość pachnideł, olejków, pomad i pudrów, jakie się tam znajdowały, przyprawiała o zawrót głowy.

Gospodarz nade wszystko lubił przebywać w swoim domu i z rzadka tylko udawał się w lektyce do miasta, by sprawdzić, jak działają jego dwa domy kupieckie. Mógł godzinami opowiadać o malowidłach, jakie wykonywali dla niego najlepsi kreteńscy mistrzowie, którzy mieli swoje warsztaty w mieście. Anchnum był ciekaw, skąd Szamaszi zaczerpnął tak niespotykane wzory. Gospodarz przyznał, iż pomysł na dom podsunął mu jego przyjaciel, kreteński żeglarz Irhuanaks, który też sprowadził najlepszych artystów, jacy jeszcze zostali na wyniszczonej wyspie.

W domu znajdowała się wspaniała biblioteka, którą szczególnie zainteresował się Anchnum. Wielkie wrażenie wywarły na nim słowniki liczące nawet po kilkaset tabliczek. Po zapoznaniu się z katalogami poszczególnych działów można było natrafić na takie, które umożliwiały znalezienie odpowiednika każdego akadyjskiego słowa w języku hetyckim czy kreteńskim. Szamaszi miał również sporo nowości, między innymi słowniki języka Achajów, którzy używali zapożyczonego od Kreteńczyków pisma, dostosowując je do własnych potrzeb. Zupełną nowością było oryginalne pismo wymyślone przez związek kupców Ugaritu — każdy jego znak odpowiadał częście mowy, co niezmiernie zdziwiło Anchnuma, którego uczono w Fajum, że wszystko, łącznie z pismem, najlepsze jest tylko w Egipcie. Anchnum zaczął szybko przyswajać sobie język fenicki, do którego były dwujęzyczne słowniki z odpowiednikami w kapłańskim piśmie egipskim. Szamaszi napomknął, że w Babilonie są ponoć tabliczki sporządzone w najstarszym języku świata, które potrafią odczytać tylko wybrani kapłani Marduka, do jakich należy Enaburiasz, brat Szamaszego.

Noce o tej porze roku były bardzo gorące i nawet przyzwyczajonemu do upałów Egipcjaninowi trudno było oddychać.

Anchnum obudził się nagle. Była pełnia. Wstał. Ursilisa nie było w pokoju, co go nie zaskoczyło. Jego przyjaciel

spędzał bowiem noce z niewolnicą, która szczególnie przypadła mu do serca. Podszedł do okna i popatrzył w usiane gwiazdami niebo. Każdej nocy zdawał się szukać na nim odpowiedzi na dręczące go pytania, jednak gwiazdy milczały bezlitośnie, strzegąc tajemnicy jego pochodzenia, choć wiedział, że to właśnie one widziały, kto czternaście lat temu zostawił na pustyni koszyk z nim i jego bratem. Włożył sandały i wyszedł na korytarz. Dom tonął w półmroku, blade światło dopalających się lamp oliwnych rzuciło na ściany niepokojące cienie. Anchnum zapragnął znaleźć się na otwartej przestrzeni. Czuł, że zbliża się atak.

Wyszedł do ogrodu przez jedno z bocznych wejść, które pokazali mu niewolnicy. Ogród zalany księżycową poświatą był cichy i spokojny. Oliwki i drzewa figowe milczały, najbliższy powiew nie zakłócał ich spokoju. W umyśle chłopaka wszystko nabierało jakby nowego znaczenia, za każdym przedmiotem, drzewem czy smugą księżycowego światła kryła się jakaś milcząca, groźna i tajemnicza siła. Anchnum zaczął biec, a drzewa zdawały się wyciągać po niego macki gałęzi. Krew gotowała się w jego tętnicach, słyszał łomot swojego serca. Odnalazł przejście w murze zasłonięte karłowatą jabłonią i wyszedł w pył ulicy. Nie zastanawiając się, ruszył przed siebie i nagle poczuł się bezpieczny. Przestał się bać.

Szedł tak dobrą godzinę, aż w końcu trafił na plac pełen tańczących ludzi.

Przystanął, zachwycony. Płonęły pochodnie i wielkie, podtrzymywane przez rosłych niewolników lampy oliwne. W powietrzu rozchodziła się słodka, oszałamiająca woń piżma i jaśminu. Brodaci mężczyźni i kobiety w długich sukniach zatrzymywali go, szepcząc coś do ucha. Wokoło rozlegały się śmiechy. Niektóre z kobiet, rozebrane niemal do naga, dotykały go, zapraszając do pieszczot.

Anchnum ukrył twarz w dłoniach. Kiedy znów spojrzął na plac, ludzi na nim nie było. Oszołomiony stał sam przed świątynią Aszarte, z której dochodziły odgłosy misterium ku czci bogini. Przemierzył zewnętrzny dziedziniec. Szedł niemal

po omacku. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce oczy odmówią mu posłuszeństwa i pograży się w ciemności. W końcu natknął się na strażnika świątynnego.

— Czego tu chcesz, pętaku?! — zagrmiał żołnierz.

— Szukam ludzi — wyjąkał Anchnum.

— Jakich ludzi?

— No, tych, którzy byli tu przed chwilą na placu...

— Zjeżdżaj stąd! — wrzasnął strażnik. — Nikogo tu nie było!

— Co się dzieje? — zapytał głos z głębi dziedzińca.

— Jakiś pętak włóczy się koło świątyni, panie.

— Przeprowadź go — rozkazał głos.

Strażnik złapał Anchnuma za rękę i pociągnął za sobą. Po chwili napotkali młodego mężczyznę w długiej szacie ze wspólnie ufryzowaną brodą. Na jego szyi wisiał ciężki łańcuch.

— Kim jesteś?

Anchnum nie odpowiedział, wpatrując się w jakiś daleki punkt gdzieś między zagajnikami młodych cedrów i murem świątyni.

— To pomylenieć — powiedział strażnik. — Przegnać go?

— Nie, dlaczego? — Na twarzy mężczyzny pojawił się drwiący uśmiešek. — Możesz odejść.

Strażnik oddalił się, a uśmiešek mężczyzny stał się już nie drwiący, lecz szyderczy.

— Asztarte się uraduje... — mruknął.

Anchnum nie protestował, gdy mężczyzna poprowadził go korytarzem do wielkiej sali, w której na sofach siedziały dwie kobiety. Ich twarze skryte były w półmroku. Spierały się syczącymi, lubieżnymi głosami. Mówiły w jakimś dziwnym języku, którego chłopak nigdy nie słyszał.

— Popatrzcie, kogo przyprowadziłem.

Kobiety umilkły i lekko zdziwione spojrzały na Anchnuma. Jedna z nich podniosła się z sofy i zaczęła wolno iść ku zdezorientowanemu chłopcu. Anchnum nie widział jej twarzy, a jedynie smukłą, zgrabną sylwetkę odzianą w czarne, lekkie szaty odsłaniające ramiona i brzuch.

— Kim jesteś i co tu robisz w noc poświęconą bogini? — zapytała po fenicku.

— Jestem... Anchnum...

Na te słowa druga kobieta upuściła srebrny puchar.

— Co ty robisz, Enuano? — syknęła ta pierwsza.

Anchnum nie mógł uwierzyć własnym oczom. Cofnął się o krok.

— I co, mój chłopcze? — zapytała Eunana wesoło, podchodząc do niego. — Czy to takie straszne znowu mnie widzieć?

Była piękna, lecz jej piękność przypominała piękność demona lub płonącej żagwi. Lekkie białe szaty i delikatny kosztowny szal z jedwabiu podkreślały jej urodę. Serce Anchnuma trzepotało się w piersi jak ptak.

— Bardzo ci jestem wdzięczna za to, co uczyniłeś w Megiddo — rzekła. — Widzę, że patrzysz na mnie tak jak wtedy, w świątyni. Lubię to spojrzenie.

Anchnum gotów był oddać wszystko, byleby tylko jej dotknąć, nie mógł się jednak poruszyć ani wydobyć głosu. Enuana już zbliżała usta do jego ust, lecz nagle mężczyzna złapał ją za włosy. Na jej twarzy pojawił się dziwny, wyuzdany uśmiech. Mężczyzna chwycił Euanę wpół i zaczął zdierać z niej szaty. Komnatę wypełniły krzyki rozkoszy. Anchnum wypadł na korytarz. Po chwili znalazł się w ogrodzie przed świątynią. W uszach dźwięczał mu głośny śmiech kapłanki. Jej głos, który kochał ponad wszystko, teraz budził w nim obrzydzenie. Nie przestawał biec. Minał zdumionego strażnika. Biegł dalej. Przed oczyma zaczęły wirować kolorowe punkciki. Nagle upadł i otoczyła go ciemność, a jego ciałem wstrząsnęły drgawki.

Nad miastem wstawał świt.

Ursilis obudził się dobrze po wschodzie słońca. Przetarł oczy, lecz ręka, którą spodziewał się objąć niewolnicę, napotkała pustkę.

— Głupia gęś, poszła sobie... — mruknął niezadowolony.

Miał zamiar zdrzemnąć się jeszcze, by nabrać sił po nocnych zapasach, gdy nagle trzasnęły drzwi i do komnaty wpadł Szamaszi.

— Wstawaj, Anchnum zniknął!

— Może jest gdzieś w domu, przecież spał w swoim pokoju.

— Nie ma go nigdzie, moi ludzie już przetrzasnęli dom od piwnic po ogród. Wstawaj! — wrzasnął kupiec.

Wkrótce Ursilis wpadł w przygnębienie, a Szamaszi we wściekłość tak wielką, że porozbijał wszystkie szklane puchary. Taki sam los spotkałby i kreteńskie wazy, gdyby niewolnicy zawczasu ich nie pochowali. Anchnum przepadł jak kamień w wodę.

Dwa dni później Szamaszi wysłał Ursilisa i kilku służących na bazyry niewolników, w tym na największy, w porcie, i ten najdroższy, przy świątyni Meleka. Ursilis przeszukał cały plac targowy i nie spotkał nikogo, kto wiedziałby coś o egipskim chłopcu.

Szamaszi także nie natrafił na żaden ślad.

— Lepiej, gdyby okazało się, że wpadł do morza. Przynajmniej ciało by wypłynęło! — krzyczał kupiec, gdy spotkali się na ulicy w pobliżu domu.

— Nie mów tak, panie! — prosił zrozpaczony Ursilis. — Jeśli nie myli mnie przecucie, to obawiam się, że Anchnum płynie na statku wiozącym niewolników...

— Teraz ty mówisz, jakbyś postradał rozum! — parsknął Szamaszi. — A może został porwany i porywacz czeka, żeby wywieźć go z Ugaritu? Ale już moja w tym głowa, żeby nawet mysz nie wymknęła się z tego miasta bez mojej wiedzy!

Kupiec wysłał służących pod wszystkie bramy miasta i uruchomił sieć informatorów, którzy załatwiali dla niego różne interesy w porcie i dzielnicach uciech.

— Ursilisie, na wszystkich bogów, jak on mógł wyjść z domu? I do tego niezauważony? Oćwiczę ja tych bydlaków!

Szamaszi zwykł tak mówić o swoich niewolnikach, ale nawet długi bat nie pomógł mu dowiedzieć się, gdzie jest Anchnum.

— Znam przecież wszystkich handlarzy w tym mieście i wszystkich właścicieli lupanarów, i żaden nie widział chłopca, który byłby podobny do Anchnuma — gorączkował się kupiec.

— A domy rozkoszy przy świątyniach?

Sugestia Ursilisa wydała się Szamaszemu niegłupia, jednak przeszukanie takich domów przy świątyniach nie było możliwe. Tereny świątynne miały specjalne prawa i wtargnięcie tam mogło wywołać niepokoje w mieście. Szamaszi doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Można by zacząć wypytywać ostrożnie ludzi z obsługi tych domów, czy nie pojawił się jakiś nowy egipski chłopak.

— Czy go znajdziemy? — spytał zrezygnowany Ursilis.

— Nie wiem, Ursilisie, nie wiem... — jęknął Szamaszi i ukrył twarz w dłoniach.

Właśnie mijali ich mężczyzna wyglądający jak Egipcjanin. Jego szaty były szare, na głowie miał wełnianą perukę. Klął tak szpetnie, jak tylko oficerowie potrafią. Szamaszi i Ursilis usłyszeli kilka ostatnich słów:

— Przekłeta suka, oby wyłysiała!

— Ugarit jest miastem niespodzianek! — wykrzyknął Szamaszi. — Jakaż to kobieta tak ci dzisiaj dogodziła, Ptahorze?

— A kim ty jesteś, tłusćochu, żeby tak się zwracać do oficera faraona? — sapnął poirytowany Ptahor. — Czcigodny Szamaszi! Na wszystkich bogów, co człowiek taki jak ty porabia w nocy na ulicy bez sług i ochrony?

— Robię to, co muszę — odrzekł kupiec.

— Ja również, i dlatego wybacz, panie, ale muszę zameldować się dowódcy garnizonu.

— Doprawdy? Co, w takim razie, porabia dzielny Pepi?

— Panie, Pepi został dowódcą garnizonu. — Oficer zbliżył się do Szamaszego. — Ponoć jakiś ważny kapłan Amona przybył dzisiaj statkiem z Egiptu — szepnął i popatrzył badawczo na Ursilisa.

— Nie obawiaj się, Ptahorze, nie doniesiemy dowódcy, dokąd chadzasz wieczorami. Czy pamiętasz sługę młodego

kapłana Sobka, który towarzyszył nam w podróży do Ugaritu? To właśnie on, Ursilis.

Oficer skinął głową na znak, że przypomina sobie Hetytą, ten zaś skłonił się uprzejmie.

— Wiesz, Ptahorze, właściwie dobrze się stało, że cię spotkaliśmy — ciągnął Szamaszi. — Mamy kłopot dosyć dyskretnej natury, a ty, jak sądzę, mógłbyś nam pomóc. Wiesz, że potrafię być bardzo hojny... Trzeba przeszukać wszystkie domy rozkoszy przy świątyniach w Ugaricie.

— Hmm... Będzie tego z tuzin. — Oficer podrapał się w zamyśleniu po szpeciniastym zarostcie. — Ale da się zrobić, trzeba mieć tylko dobry pretekst.

— Ile będzie kosztowało szybkie znalezienie takiego pretekstu?

— Szamaszi, o cenie porozmawiamy później... Pamiętam, że wykonywanie zleceń dla ciebie zawsze było bardzo płatne...

— Dodam do tego kilka beczek wina z moich piwnic dla ciebie i twoich ludzi.

— Dobrze, umowa stoi. — Oficer nie krył zadowolenia. — Ale czego mam szukać?

— Raczej kogo — wtrącił się Ursilis. — Chłopca o imieniu Anchnum, z którym podróżowałem.

Ptahor osłupiał.

— Co ci się stało, Ptahorze? — zapytał zaskoczony Szamaszi.

— Ten chłopiec, z którym podróżowałeś? Anchnum... Imienia wprawdzie nie znałem, ale wydaje mi się, że jego ciało leży teraz w balsamiarni niedaleko koszar...

— Co?! — wrzasnął Ursilis. — O czym ty mówisz, człowieku? Anchnum nie żyje?! Co się stało?!

— Znaleźli go dwa dni temu na ulicy nieopodal świątyni Asztarte żołnierze z mojego patrolu. Był zakrwawiony, a z ust szła mu piana. Ponieważ miał na szyi egipski wisiołek, jakiego nie noszą tutejsze syryjskie psy — oficer splunął na ziemię —

nie godziło się, aby dusza Egipcjanina błąkała się po krainach Zachodu. Kazałem więc zanieść ciało do balsamiarni. Powinno jeszcze tam być, moi ludzie odnieśli je dopiero dzisiaj rano.

— Ty chyba nie mówisz poważnie? — Szamaszi był półżywy ze zdenerwowania. — Czy ktoś prowadzi jakieś dochodzenie?!

— Dochodzenie? W tym mieście codziennie popełnianych jest kilkadziesiąt morderstw. Nie wiecie, gdzie żyjecie?

— Czy możemy pójść do tej balsamiarni natychmiast? — Wykrztusił z trudem Ursilis.

— Myślę, że tak, chociaż trzeba porozmawiać z przełożonym domu pogrzebowego, Nefim, który nie tak dawno przyплыł tu z Egiptu i który, tak się dobrze składa, jest moim krewnym — odparł oficer.

— Prowadź, Ptahorze, cena nie gra roli! — wykrzyknął Szamaszi.

Prawie biegli. Ptahor i Ursilis, sprawniejsi i młodszy, wyprzedzili Szamaszego, któremu tusza nie pozwalała na tak szybki marsz. I choć przez cały dzień przeklinał głupotę Anchnuma i wzywał na pomoc wszystkich znanych sobie bogów, teraz niemal uwierzył, że młody kapłan zostanie przerobiony na mumię. Gdy dobiegli do zakładu położonego na tyłach egipskich koszar, okazało się, że brama jest zamknięta, i Ptahor musiał przywołać odźwiernego. Kiedy na niego czekali, do ich uszu dobiegła pieśń balsamiarzy, śpiewana każdego wieczoru podczas przygotowywania ciała zmarłego na spotkanie z bogami:

*Bracie Anubisie, co robisz bratu memu Ozyrysozui?
Wiedz, że ja jestem Izyda, która odnalazłam wszystkie części
ciała mego brata. Ja byłam tą, która odnalazła głowę, rękę,
serce, nogi, stopy, dłonie i męskość. Bracie Anubisie, powiedz,
co robisz?*

Wreszcie odźwierny otworzył drzwi. Ursilis jak zahipnotyzowany ruszył w stronę balsamiarzy, którzy wyciągali właśnie z wielkiej kadzi z sodą ciało podobne do suchego liścia.

— Co ty tu robisz? To miejsce nie jest dla żywych! — krzyknął balsamiarz, wrywając Ursilisa z osłupienia.

Nadbiegł Ptahor.

— Nefi? To ja, Ptahor. Ci dwaj dostojni mężowie szukają chłopca, którego moi ludzie przynieśli dzisiaj rano. — Wskazał na Ursilisa i Szamasiego, który ledwo żywy ze zmęczenia wreszcie do nich dołączył.

— Tego szczeniaka? A tam leży!

Nefi pokazał zbitą z desek szope. Ursilis pobiegł jak szaleniec. Na dużym stole leżało tylko jedno ciało. Dotknął go, niemal pewny, że to trup. Gdy nadbiegli Ptahor, Szamaszi i Nefi, Hetyta klęczał, tuląc Anchnuma i wołając:

— Bogowie, on oddycha, oddycha! Wiedziałem, że to tylko odretwienie! Miał atak tej dziwnej choroby!

— Ten szczeniak żyje? — Nefi był przerażony.

Ursilis na przemian śmiał się i płakał. Szamaszi patrzył w milczeniu. Widział taką chorobę kiedyś w Egipcie, lecz kiedy przypomniał sobie, w jakich było to okolicznościach, zdjął go strach.

— Więc on nie umarł? I kto mi teraz wynagrodzi stratę? — pytał zaskoczony balsamiarz.

— Mam nadzieję, że to wynagrodzi ci wszystko.

Szamaszi wręczył mu woreczek z grudkami złota, który zawsze nosił przy sobie.

— Pamiętaj, nas tutaj nie było — dodał.

— Nigdy w życiu was nie widziałem — zapewnił posłusznie Nefi.

Wyszli. Ursilis niósł Anchnuma na rękach.

— Ptahorze, ty też niczego nie widziałeś. Przyjdź jutro do mego domu, a złota nie zabraknie ci do końca życia — zwrócił się Szamaszi do oficera.

— Złotem nie gardzę. Ale powiedzcie mi, co to wszystko znaczy? Co się stało temu młodemu człowiekowi?

— Przyjdź jutro do mnie, a wszystkiego się dowiesz.

— Będę na pewno. Żegnajcie, wracam do garnizonu.

- Pozdrów Pepiego — rzucił Szamaszi.
- Nie omieszkam.

— Jest zimny, ale oddycha — szepnął Ursilis. — Już kiedyś przytrafiło mu się coś takiego. Obudzi się za jakiś czas.

Szamaszi patrzył na chłopca przerażony.

— On jest dotknięty przez bogów. Mieliśmy dzisiaj niewiarygodne szczęście.

— Też tak myślę — rzekł Hetyta. — Zanieśmy go jak najszybciej do domu.

Ursilis starał się nakryć Anchnuma połamami swego letniego płaszcza, aby nie wzbudzać podejrzeń. Szamaszi był niespokojny. Niejedno w życiu widział, jednak to, co działo się teraz z Anchnumem, napawało go przerażeniem. Nigdy nie zapomniał o znalezionych na pustyni dzieciach i nie mógł się powstrzymać od snucia domysłów. Teraz jednak nabrał przerażającej i ścinającej krew w żyłach pewności.

— Anchnumie, obudź się — szeptał Ursilis.

— Słyszałem kiedyś o takiej chorobie — rzekł Szamaszi. — Nie sposób przewidzieć, kiedy odrętwienie przychodzi i kiedy odejdzie. Nawet wróżby z wątroby, które ujawniają wiele z tego, co zostało przez bogów zakryte, nie są w stanie tego przepowiedzieć. Ursilisie, prędzej czy później wieści o naszych wczorajszych poszukiwaniach rozniosą się po mieście. Zaczynam obawiać się o wasz los.

— Dlaczego?

— Chłopak nie może umrzeć...

— Rozumiem, że...

— Tak, wasz czas w Ugaricie się kończy. Ale zanim wyruszyście w stronę Eufratu, muszę załatwić parę spraw. Powinniśmy też poczekać, aż Anchnum wydobrzeje.

Do komnaty wszedł sługa.
— Panie, jakiś oficer egipski pragnie cię widzieć.
— Wprowadź go. Przynieś wino i zakąski. Kogóż to zsyłają mi bogowie? To ty, Ptahorze? Usiądź, skosztuj wina.
— Witaj, panie. Przychodzą, jak prosiłeś...
Kupiec zauważył, że Ptahor jest niezwykle poruszony.
— Bardzo się pocisz, przyjacielu — stwierdził.
— To ten upał.
— Wydaje mi się również, że twoje serce dręczy niepokój — nie ustępował Szamaszi.
— Zapewniam cię, że ze mną wszystko w porządku. Byłoby jednak wskazane, abyśmy szybko załatwili nasze sprawy, bo nie będę dzisiaj jedynym gościem, jakiego podejmiesz — rzekł Ptahor.
— Nic o tym nie wiem.
— Przyjdzie dziś do ciebie namiestnik Pepi oraz kapłan Amona, który przed kilkoma dniami przybył z Egiptu.
Ursilis i Szamaszi wymienili porozumiewawcze spojrzenia.
— Doprawdy? To bardzo ciekawe... Ptahorze, widziałeś wczoraj rzeczy, które nie powinny ujrzeć światła dnia, gotów więc jestem wynagrodzić twoje milczenie debenem srebra.
— Dwa — rzucił Ptahor, dopijając drugi puchar wina.
Szamaszi z trudem hamował śmiech.
— Panie, przysięgam, że niczego nie widziałem — przekonywał oficer. — A już na pewno po raz pierwszy w życiu widzę tego oto męża. — Spojrzał na Ursilisa. — A ciebie, dostojny Szamaszi, również widzę po raz pierwszy w życiu.
Szamaszi skinął na sługę, a ten poprowadził Ptahora do wyjścia.
— Ten człowiek nas zdradzi, niech nie nazywam się Szamaszi — mruknął do Hetyty.
— Skąd ta pewność?
— Znam ten błysk chciwości w oczach kogoś, kto uciekł z wioski nad Nilem od biedy i głodu. Tacy ludzie dla pieniędzy zrobią wszystko. Wierz mi, Ursilisie.
— Pójdę do Anchnuma — rzekł młodzieniec.

Szamaszi został sam. Wiedział, że oto rozpoczyna się najważniejsza rozgrywka w jego życiu. Pociągnął tęgi łyk wina i spokojnie czekał na gości.

*

Pepi ubrany był w nową białą szatę z najlepszego egipskiego lnu, jak przystało na namiestnika Ugaritu. Lśniąca od oliwy łysa głowa drugiego gościa kontrastowała z długimi białymi szatami i łaską, którą kapłan Amona podpierał się; idąc w stronę bramy. Szamaszego zastanowił fakt, iż przybyłym towarzyszy tak wielu uzbrojonych oszczepników. Otworzono bramę i kupiec wyszedł gościom na spotkanie. W tej twarzy nie ma nic prócz inteligencji i to jest przerażające, pomyślał, patrząc na starego kapłana.

— Pepi, namiestniku, witaj w progach mojego domu — rzekł Szamaszi po egipsku. — Mniemam, że nie tylko moje wino sprawiło, iż mam zaszczyt gościć cię w moich progach.

— Nie mylisz się, Szamaszi — odrzekł Pepi. — Arcykapłan Hapuseneb, przełożony domu kapłanów w Tebach, zaufany faraona, pragnie się z tobą widzieć.

— Witaj, dostojny panie. Niech mój dom stanie się również twoim domem. — Szamaszi skłonił się z szacunkiem.

— Ci, którzy przyjmują sługi Amona pod swój dach, przyjmują także pokój — rzekł starzec, a jego głos był niczym szum pustynnego wiatru.

Całą posesję obstawili egipscy żołnierze. Niewolnicy szybko przygotowali dla gości wspaniałą ucztę. Nie brakło pieczonych połędwic gazelich, zółwi i tuńczyków. Ustawiono również duże srebrne czary z winem i wodą. Młodzi niewolnicy chłodzili biesiadników ogromnymi wachlarzami.

— Pepi, czy rozważyłeś moje słowa? — zwrócił się Szamaszi do namiestnika, gdy goście rozsiedli się na sofach, a służba podała napoje.

— Co masz na myśli?

— To, co mówiłem ci na temat lekarstwa.

— Nie jestem chory i nie potrzebuję lekarstw — uciał Pepi.

— Jesteś niezwykle dowcipny, nie poznaję cię...

— Dostojny Szamaszi — wtrącił się Hapuseneb — namiestnik Pepi udzielił mi pewnych informacji, które, jak mniemam, uda mi się dziś potwierdzić. Masz w Ugaricie opinię człowieka wpływowego i uczciwego, co na ogół nie idzie w parze. To daje mi nadzieję, że nasza rozmowa o lekarzach i lekarstwach przybierze właściwy obrót.

Szamasziego nieco zaskoczyły słowa Hapuseneba, lecz odpowiedział spokojnie:

— Mądrze mówisz, panie, a twoja wiedza nie ma równych wśród innych kapłanów Amona.

— Dostojny Szamaszi — przerwał mu Hapuseneb — lekarze mają coś z bogów, ponieważ potrafią to, czego nie potrafią inni, ale kapłani, zapewniam cię, mają wiedzę jeszcze głębszą i potrafią sporządzić lekarstwa, które leczą bogatych kupców.

— Wyobraźmy sobie chorego — podjął wątek Szamaszi — który nie dość, że potrzebuje lekarstwa, to jeszcze nie jest w stanie sam go przyjąć.

— Nie mam zbyt bujnej wyobraźni. Jedyne, co mogę sobie wyobrazić, to piękna kobieta — zaśmiał się Pepi.

— Musisz jeszcze nad sobą popracować — odciął się kupiec.

— Wszystko zależy od tego, kogo uważasz za chorego — dodał Hapuseneb. — Czy masz na myśli Egipt?

— Wiemy wszyscy, że Egipt jest chory i potrzebuje lekarstwa. Czy wobec tego gotowi jesteście rozważyć moją propozycję?

— To nie zależy ode mnie — rzekł Hapuseneb. — Ale jeśli masz odrobinę racji, to czyż chory nie powinien wiedzieć, od kogo dostaje lekarstwo i jaka jest cena specyfiku?

— Miło jest słyszeć takie słowa. Lekarstwem jest tysiąc pięćset debenów złota od razu. To pożyczka jest bezzwrotna — wyjaśnił spokojnie kupiec.

Hapuseneb zakaszłał, a Pepi upuścił na podłogę owoc granatu.

— Chcesz, abyśmy przyjęli taką sumę na stworzenie armii? — upewnił się kapłan.

— Tak.

— Więc odpowiem ci nie tylko jako kapłan Amona, ale również jako minister faraona, oby żył wiecznie. Egipt nie przyjmie pieniędzy od nikogo. Wiedz, Szamaszi, iż mamy dość złota i wojsk, żeby zdławić tę rebelię w kilka miesięcy, a to, że nie mówisz w swoim imieniu, jest aż nadto jasne. Kim są twoi mocodawcy?

Szamaszi zaniemówił. Rozmowa, do której przywiązywał tak wielką wagę, nie układała się po jego myśli. Egipt, mimo chwilowego osłabienia, był jeszcze na tyle potężny, by rzucić na kolana syryjskich królów i fenickie miasta. Wystarczyło tylko, aby w kraju Kem zmienił się władca.

Hapuseneb był politykiem zbyt wytrawnym, by nie zdawać sobie sprawy, że Szamaszi reprezentuje kapłanów Marduka, niezadowolonych z rządów kasyckiej dynastii, która panuje w Babilonie. Propozycja Szamasziego była w gruncie rzeczy próbą odpowiedzi na pytanie: czy chory potrafi jeszcze wstać z łoża? Jak się okazało, chory Egipt nie tylko chodził, ale również biegał.

— Rozumiem, że to twoje ostatnie słowa, dostojny panie? — rzekł Szamaszi.

— Co do lekarstwa, jakie chciałeś nam podarować, tak. Ale zostawmy ten temat, bo nie w tej sprawie do ciebie przyszliśmy.

Szamaszi poczuł nagły skurcz w gardle, podejrzewał bowiem, w jakim celu przybyli do niego dwaj najwyżej postawieni Egipcjanie w Ugaricie. Zachował jednak spokój.

— Słucham was.

— Szamaszi, czy pamiętasz tego chłopaka i drugiego młodzieńca, który wiozł wielką skórę lwa, no wiesz... kiedy szliśmy do Ugaritu? — zapytał wyraźnie podenerwowany Pepi.

— Pamiętam.

— Pepi nie potrafi przejść do rzeczy — zniecierpliwził się Hapuseneb. — Interesuje nas ten chłopiec i jego sługa. Chcemy wziąć ich pod opiekę. Nie wiesz, gdzie przebywają?

Szamaszi nie miał najmniejszych wątpliwości, że to pytanie jest sprytnym sposobem przyłapania go na kłamstwie. Wiedział,

dłaczego kapłan pyta o Anchnuma. Postanowił grać na zwłoką, zdając sobie sprawą, że za główną bramą czeka Ptahor z żołnierzami. Gdy przekroczą próg domu, Ursilis i Anchnum będą zgubieni.

— Przed wszystkim dziękuję wam, dostojni mężowie, za zaufanie, bo przysięgam, zwracacie się do właściwego człowieka. Wiem również, dlaczego ten chłopiec tak bardzo was interesuje. — Twarz Pepiego pokryła się kropelkami potu. — Już wcześniej otrzymałem informacje, że są oni szpiegami Mitanni.

— Wiedziałem! Wiedziałem już wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałem ich w Megiddo, kiedy zatrzymali ich kapłani Baala! Prawdę powiedziałeś, Szamaszi! — wykrzyknął Pepi. — Wszystko zaczyna się układać. Szpiegdy byli celowo przetrzymani przez kapłanów Baala, z którymi zawarli układ, i oddani zostali nam, a my zawieźliśmy ich bezpiecznie do Ugaritu, skąd nietrudno dostać się na statek! Nawet wówczas, kiedy wyruszyliśmy z Megiddo, wiedziałem, że z tymi dwoma coś jest nie w porządku!

— Dziwne — mruknął Hapuseneb wyraźnie zbity z tropu. — Czyżby informacje, które uzyskaliśmy, były fałszywe?

— Od kogo macie takie informacje? — chciał wiedzieć Szamaszi.

— Pewien oficer przekazał nam wiadomości tak niezwykle, że postanowiliśmy niezwłocznie złożyć ci wizytę — wyjaśnił Pepi. — Wyobraź sobie, iż ten pijak Ptahor powiedział nam, że chłopiec, który nas interesuje, leżał w naszej balsamiarni i że to ty go stamtąd zabrałeś. Już wtedy słowa Ptahora wydawały mi się nieprawdopodobne i, jak widać, miałem rację. Ten głupiec zapłaci mi za to!

— To zaiste niebywałe i nieprawdopodobne! — zawołał wyraźnie podekscytowany opowieścią Pepiego Szamaszi. — Ja miałbym zabierać kogoś z balsamiarni?!

— Daj spokój, panie, nie wiesz nawet, jak ważna jest ta sprawa. — Pepiego speszyła wesołość kupca.

Hapuseneb zaś był tak wściekły, że twarz mu poczerwieniała, a na łysej głowie zaczęły pulsować żyły.

— A pewnie, że poważna, namiestniku! — Szamaszi podniósł głos. — Pozwoliłeś uciec z miasta dwóm mitannijskim szpiegom i na dodatek dajesz wiarę pijanemu oficerowi, który jest mi winien dwadzieścia debenów srebra i który swoje pijackie zwidy uznał za prawdę! Równie dobrze mógłbyś stwierdzić, że ja jestem co najmniej półbogiem! I wcale by mnie to nie zdziwiło.

— Szamaszi, nie wpadaj w gniew — uspokajał go Hapuseneb. — Masz rację, najprawdopodobniej nastąpiła omyłka i uchybiono twemu dobremu imieniu. Informacje, jakich nam udzieliłeś, uznaję za bardzo cenne. Przekonasz się wkrótce, jak Amon potrafi wynagradzać tych, którzy mu pomagają.

Akurat w to wierzę, pomyślał Szamaszi. Za kilka dni mnie tutaj nie będzie.

— Nie będziemy już dłużej nadużywali twej gościnności — rzekł Hapuseneb, wstając.

— Zaszczycem było goszczenie was — skłonił się Szamaszi.

Odprowadził gości do wyjścia. Wymienili raz jeszcze pożegnalne ukłony, po czym Pepi i kapłan wsiedli do lektyk. Gdy orszak zniknął za zakrętem, Szamaszi pospieszył do Anchnuma i Ursilisa.

— Ursilisie, jak on się czuje?

Zauważył, że twarz Anchnuma nieco się zmieniła. Jego na wpół otwarte oczy zdawały się poznawać światło i ludzi. Miał jednak zbyt mało sił, by otworzyć usta.

— Nic nie mów, Anchnumie, miałaś znowu atak odrętwienia, które sprawiło, że wyglądałaś jak umarły — rzekł Ursilis. — Ale teraz jesteś z nami i to jest najważniejsze.

— Dobrze, że znów jesteś, chłopcze, między żywymi. Był tutaj Pepi i ważna figura z samych Teb, kapłan Amona imieniem Hapuseneb, i bynajmniej nie w sprawie pieniędzy, tak jak sądziłem. Szukają was, rozumiecie?

— Przybył z Egiptu? — zdziwił się Ursilis, jakby nie do końca wierzył w to, co słyszy.

— Z Egiptu. Zdołałem ich przekonać, że jesteście szpiegami, ale zapewniam, że nie minie kilka dni, a zorientują się, że Ptahor powiedział prawdę. Wtedy wy i ja musimy być już daleko.

— Ptahor wszystko wypaplał? Przeklęty drań! — syknął Ursilis, nie kryjąc wściekłości.

— Spokojnie, zabrzmiało to tak nieprawdopodobnie, że uznali, iż Ptahor wszystko zmyślił. Ale, jak powiedziałem, zorientują się wkrótce, że to jednak była prawda.

— Więc musimy opuścić Ugarit, mimo że Anchnum jeszcze nie doszedł do siebie?

— Zdecydowanie. Zanim jednak wyruszyście do Babilonu, powiem ci wszystko, czego domyślam się na temat powodów waszej ucieczki z Egiptu. Przyjdź wieczorem do mej komnaty.

— A co będzie z tobą, panie?

— Nie przejmuj się mną, zniknę szybko i tak, aby nie ucierpiały moje interesy. Będę na Cyprze, choć powiem, że jadę do Troi. Nie patrz tak na mnie, Ursilisie, jakbyś musiał po raz pierwszy w życiu wyjechać w pośpiechu. Dam wam tyle złota, ile będzie trzeba.

— Ursilisie, czy pamiętasz, jak podczas naszej > pierwszej rozmowy poprosiłem was o pierścień? — zapytał kupiec, gdy Ursilis pojawił się wieczorem w jego komnacie.

— Tak.

— Ten pierścień stanowił dla mnie gwarancję, że przysłała was Satre. Jak zapewne się domyślasz, jestem nie tylko kupcem. Podstawowym towarem, którym handluję, są informacje. Przed ośmioma laty w Sydonie wpadłem w poważne tarapaty i gdyby nie egipski kapłan imieniem Seti, który szczęśliwym dla mnie zrządzeniem losu przybył do Sydonu i znalazł się w tym samym

domu kupieckim, co ja, żeby wymienić na złoto tabliczkę, dzisiaj zapewne nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. Seti ulitował się nade mną i wykupił mnie z rąk kupca, który za niespłacone długi chciał mnie zamordować. Znałem wówczas Setiego tylko z widzenia, bo spotykałem go wcześniej na różnych dworach syryjskich wielmożów i podejrzewałem, że może być szpiegiem tak jak ja. W dowód mojej wdzięczności dałem mu ów pierścień i obiecałem, że jeśli kiedykolwiek będzie potrzebował pomocy, stanę u jego boku. Seti przyjął pierścień i rzekł mi, że jeśli kiedyś mi go odeśle, będzie to oznaczało, iż prosi mnie o pomoc. Seti nie miał przed córką tajemnic i musiał powiedzieć jej o pierścieniu, dlatego dała ci ten klejnot, mówiąc, że musicie mnie odnaleźć i prosić o pomoc. To prawdziwy cud, że spotkaliśmy się w drodze do Ugaritu...

— Powiedz teraz, jakie są twoje podejrzenia co do powodów naszej ucieczki z Egiptu. — poprosił Ursilis.

Szamaszi zamyślił się.

— Ursilisie — powiedział po chwili, zniżając głos — nie masz chyba wątpliwości, że wasza ucieczka związana jest z przeszłością Anchnuma... Wiele lat temu byłem w Egipcie w tajnej misji, którą zlecili mi kapłani Marduka w Babilonie. Miałem zebrać jak najwięcej informacji o nastrojach ludzi i dokonać opisu wszystkich najważniejszych pałaców, świątyń i budowli o strategicznym znaczeniu. Oczywiście występowałem oficjalnie jako kupiec. Kapłani Marduka bardzo interesowali się Egipcem. Opis mojej podróży oddałem wielkiemu kapłanowi Marduka, imieniem Utnapisztim, i chyba po dziś dzień jest on przechowywany w atchiwum w Babilonie. Jednak w tym opisie brakowało jednego wydarzenia, którego stałem się świadkiem i mimowolnym uczestnikiem. W okolicach Teb zabłądziłem, bo spieszyłem się na statek Irhuanaksa, który miał czekać na mnie tylko przez siedem dni w Memfis. Chciałem ominąć Teby od zachodu i w pobliżu Doliny Królów natrafiłem na koszyk z dwojgiem małych dzieci. Jak już mówiłem, byłem przekonany, że jeden z chłopców nie przeżyje, i oddałem go do świątyni

Amona w Tebach, a drugiego do świątyni Sobka w Fajum. Nie mogłem przestać myśleć o losie tych dzieci. Przed ośmioma laty, kiedy Seti uratował mi życie, dręczony wspomnieniami postanowiłem mu o wszystkim opowiedzieć. Nie mógł uwierzyć w moją opowieść. Pokazałem mu więc wisiołek w kształcie sokoła, który znalazłem przy dzieciach, ten sam, który pokazałem Anchnumowi w drodze do Ugaritu. Gdy Seti go zobaczył, śmiertelnie się przeraził, bo tylko faraon może używać symbolu Horusa. Wówczas zrozumiałem, że dwaj znaleźieni przeze mnie chłopcy nie byli zwykłymi dziećmi. Zaczęliśmy łączyć ze sobą fakty. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy znalazłem dzieci, w Tebach zmarł wielki faraon, Acheperenre Totmes Drugi i rządy objęła królowa Hatszepsut. Seti powiedział mi, że stoi na czele grupy kapłanów Amona, którzy nie są zadowoleni z rządów Hatszepsut, zaniedbującej egipskie interesy w Syrii. Powiedział również, że kiedy faraon Acheperenre konał w Tebach, jedna z jego żon była już w bardzo zaawansowanej ciąży. Miała rodzić lada dzień, gdy nagle zniknęła.

— Jak to zniknęła? Co się stało?

— Tego nie wiem. I zapewne nie wiedział tego nawet Seti. Mogliśmy tylko snuć przypuszczenia. Pomyśl, Ursilisie, w haremie faraona jest wiele kobiet, z których każda marzy, aby to właśnie jej dzieci dziedziczyły tron. Zwykle ma do tego prawo pierwsza żona... Jak myślisz, kto był pierwszą małżonką Acheperenre?

— O bogowie... — wyszeptał Ursilis. — Hatszepsut...

— Tak. Ale urodziła tylko córkę. Zauważ, że teraz królowa rządzi jak mężczyzna. Jej rozumowanie było bardzo logiczne. Dzieci rywalki stanowiły przeszkodę w samotnym sprawowaniu władzy. Po co ma żyć ktoś, kto może mieć równe albo nawet większe prawa do tronu niż ona? W polityce nie ma miejsca na rodzinne sentymenty. Egipt nie jest pod tym względem wyjątkiem. Harem faraona zawsze był gniazdem intryg i spisków.

— Ale jak dowiedzieliście się z Setim, że Anchnum jest dzieckiem z koszyka? Przecież nie wiedziałeś, co się z nim stało po tym, jak oddałeś go do świątyni Sobka w Fajum.

— To prawda. Ale Seti wiedział, gdzie szukać. Przecież powiedziałem mu o świątyni Sobka. Przez wiele lat pisywaliśmy do siebie. Od niego dowiedziałem się, że chłopiec, którego oddałem do świątyni Amona, przepadł jak kamień w wodę. Sądzę, że w grupie starych kapłanów, którzy spiskowali przeciwko Hatszepsut, nie było jednomyślności. Może jakiś równie wpływowy kapłan jak Seti postanowił wykorzystać dziecko do własnych celów i ukrył je? Opisałem Setiemu twarz kapłana, któremu oddałem dziecko. Bardzo się tym przejął, ale nigdy nie zdradził mi swoich podejrzeń co do tożsamości tego człowieka. Nie wiem, jakie stosunki łączyły starych kapłanów Amona... może istniała między nimi cicha rywalizacja, pomimo że formalnie przyświecał im jeden cel? W każdym razie przed pięcioma miesiącami dostałem od Setiego bardzo niepokojący list. Pisał, że Anchnum wychowywał się przez kilka lat u prostych ludzi w wiosce, która należała do majątku świątyni. Potem kapłani Sobka zabrali go do siebie na naukę. Seti napisał też, że musiał usunąć się z dworu. Nie wiem dlaczego. Ktoś zaczął go śledzić. Co najbardziej dziwne, wspomniał, że jego uczeń, Nebamon, widywał go w dwóch miejscach jednocześnie... że ktoś podczas jego nieobecności zaczął przeglądać jego papirusy, bo nie były ułożone na półce w ten sam sposób, w jaki Seti je pozostawił... Myślę, że Seti miał swoje tajemnice. Nie musiał mówić mi wszystkiego.

— Kto mógł go śledzić?

— Nie wiem. Jego list był chwilami bardzo niejasny. Czulem, że czegoś się obawiał, co tłumaczyłoby pośpiech, w jakim chciał przewieźć Anchnuma do Teb. Pisał, że świątynia Sobka w Fajum przestała być bezpiecznym schronieniem, ponieważ na rozkaz Hatszepsut w oazie Fajum zabito wszystkich chłopców między dziesiątym a piętnastym rokiem życia. Nie wiem, jak zdołał przekonać przełożonego świątyni Sobka, by wysłał

chłopca do Teb. Nie wiem również, jak Hatszepsut zdołała się dowiedzieć, że syn Acheperenre przeżył. Wtedy właśnie Seti zdecydował się wywieźć Anchnuma do Teb, żeby mieć go cały czas na oku. Potem nagle musieliście uciekać z Egiptu... Możemy tylko się domyślać, że musiało stać się coś bardzo złego — westchnął Szamaszi.

— A co z tym wszystkim miała wspólnego Satre? Przecież nie była ani politykiem, ani kapłanką. — dociekał Ursilis

Szamaszi uśmiechnął się ironicznie.

— Właśnie na tym polegał cały jej urok. Zupełnie nie wyglądała na szpiega. Poznałem ją w Memfis cztery lata temu. Seti do tego czasu nigdy nie wspominał mi, że ma córkę. Kapłani Amona formalnie nie powinni się żenić, ale nikt nie zabraniał im mieć na boku dzieci. Seti dbał o córkę i jej wykształcenie. Została znakomitym szpiegiem. To było genialne posunięcie Setiego, który miał już swoje lata i nie mógł wyjeżdżać z Egiptu tak często, jak za młodu. Nikt nie podejrzewał, że piękna i utalentowana egipska dama może zbierać informacje. Dziś mało kto docenia kobiety. Satre znała dobrze Syrię i Fenicję, bo często tam jeździła. Współpracowaliśmy w kilku sprawach, o których teraz nie będę mówił. Jednak przed dwoma laty wyszła za mąż za Minmose. Seti chciał, żeby córka dała mu wnuka. Ale małżeństwo nie było chyba udane... Seti wspominał kiedyś, w innym liście, że jego zięć to kawał łajdaka. Wyrzucał sobie, że nakłonił córkę do poślubienia go i że na starość bogowie pokarali go głupotą.

Zapadła chwila milczenia.

— Ursilisie, idź spać. Późno już... a ja mam jeszcze dużo pracy. Zanim wyjedziecie, muszę pozamykać wszystkie moje sprawy... Mam dużo pisania.

Opowieść kupca wywarła na Ursilisie ogromne wrażenie.

Tej nocy Hetyta nie zmrużył oka.

Hatszepsut

Przed wschodem słońca, kiedy setki Egipcjan z orszaku Hatszepsut oddawały cześć Ra, Senenmut siedział w swoim namiocie, ukrywszy twarz w dłoniach. Był to starszy mężczyzna o wysokim czole i wysuniętym podbródku, a oblicze jego zdradzało nie tylko inteligencję, lecz także spryt i bezwzględność. Panowała cisza, namiot rozświetlały jedynie wątle płomyki lamp oliwnych. Nagle zaszeleściła zasłona przy wejściu.

Senenmut podniósł głowę i zobaczył młodego kapłana Amona, Puimre. Lubił go, ponieważ jako najzdolniejszy z wychowanków Amona mógł oddać mu nieocenione usługi.

— Panie, chciałeś mnie widzieć.

— Tak. Wezwałem cię, ponieważ jesteś najbliższym faraona, oby żył wiecznie. Co się dzieje na dworze?

— Faraon mówi tylko o Punt i wyprawie.

— Wiesz dobrze, że nie o to pytam.

— Nic szczególnego się nie działo. — Puimre był zmieszany tym, że musi szpiegować. — Dostojne dworki Nebetamon i Neferamon mówiły mi, że faraon ostatnio często wpada w zadumę i wtedy nikt do niej... — Puimre ugryzł się w język. — Faraon nie chce nikogo widzieć — dokończył szybko.

— To dobrze, że masz uszy i oczy otwarte, Puimre — rzekł Senenmut. — Jakie jest twoje pochodzenie?

Kapłan spuścił głowę. Nędzna lepianka, w której przyszedł na świat, była tym, czego wstydził się najbardziej.

— Moi rodzice pracowali... Ojciec tkał sieci, a matka lepiła garnki...

— Rodzeństwo...

— Nie żyją... Tak samo jak rodzice.

— A czy mieszkałeś kiedyś w Fajum?

— Tak. Rodzice przenieśli się tam dziesięć lat temu, kiedy z polecenia naczelnika wioski musieli wziąć na wychowanie jakiegoś chłopca. Ja zostałem zabrany do świątyni Amona. Potem ojciec umarł.

— A chłopiec?

— Nie wiem nic o jego losach, choć doszły mnie słuchy, że kiedy rodzice umarli, wzięto go do pułków szardanijskich.

— Do gwardyjskich pułków faraona...

— Właśnie tak.

— Znałeś go?

— Nie, rodzice wzięli go na wychowanie, kiedy byłem już w świątyni. Zresztą był ode mnie znacznie młodszy.

— Czy arcykapłan Seti już jest? — Senenmut zmienił temat.

— Statek przybył z Teb dzisiaj nad ranem.

— To dobrze... Możesz odejść.

Senenmut nie przepadał za Setim. Znał go od przeszło dwudziestu lat, kiedy obydwoj rozpoczynali karierę jako dworcy urzędnicy. Nie rozumiał, dlaczego po tylu latach Seti znów włącza się w rozgrywki polityczne, choć wszystkie role zostały już obsadzone. Stary Seti zmienił się zresztą nie do poznania i tak bardzo zależał wszystkim za skórę, że nawet rada wielkich arcykapłanów odsunęła się od niego. Tłumaczono to samobójczą śmiercią jego córki, Satre, którą kochał nad życie. „Stary oszalał” — mówiono, lecz szaleństwo to było tak inteligentne i podstępne, że Senenmut nie miał wątpliwości, że idzie o władzę. A tej nikomu nie miał zamiaru oddawać. Zbyt wiele kosztowało go zdobycie stanowiska, które teraz zajmował. Panowanie Hatszepsut było dla niego niezwykle pomyślne; stał

się drugim człowiekiem w państwie, choć doszedł do tego przez sypialnie żon ministrów oraz łożę samej królowej.

Teraz, gdy znowu miał zobaczyć Setiego, powróciły wspomnienia...

— Widać bogowie nie tylko strzegą twych kroków, ale je za ciebie stawiają — mruknął z ironią Senenmut na powitanie gościa. Wszyscy wiedzieli, że Seti nie lubi lektyk.

Do namiotu wszedł prawie osiemdziesięcioletni starzec, którego pomarszczona twarz i białe szaty sprawiły, iż Senenmut pomyślał przez moment, że zobaczył ducha.

— Daruj sobie te uprzejmości, Senenmucie, za stary na nie jestem. — Arcykapłan bez zaproszenia usiadł na pięknym krześle gospodarza.

— Myślę, że od pewnego czasu jesteś zbyt arogancki jak na Setiego, którego znaleźmy wszyscy. Wiem, że twój wiek pozwala ci na wiele...

— Wybacz, Senenmucie, ostatnio wszystko mnie irytuje, jestem rozdrażniony...

— Przykro mi z powodu śmierci twej córki. Satre była piękną i dobrą kobietą.

Seti drgnął, a na jego twarzy pojawił się grymas złości.

— Nie będziemy o niej mówili — syknął. — Przybyłem, ponieważ rada arcykapłanów podjęła decyzję. Egipcjowi potrzebny jest następca tronu. Hatszepsut nie wydała do tej pory męskiego potomka...

— Nie wciągniesz mnie w swoje gierki — przerwał mu Senenmut. — Poza tym, jak śmiesz w mojej obecności mówić o naszym władcy w ten sposób?

— Chyba władczyni — poprawił go ironicznie Seti. — Wiedz, że działam z polecenia Hatszepsut. Zadam ci jedno pytanie: czy jesteś gotów zrobić wszystko, by zapewnić faraonowi jak najdłuższe panowanie?

— Tak, zawsze wiernie jej służyłem. — Senenmut wydawał się urażony tym pytaniem.

— Wybacz, Senenmucie, moje zachowanie. Córka... sam rozumiesz... — Seti urwał i na parę sekund zapadła cisza. — A, byłbym zapomniiał — podjął. — Hapuseneb wyjechał do Ugaritu załatwić sprawę wagi państwowej. Kolegium kapłanów rozpoczęło poszukiwania tego chłopca.

— *Słyszałem. A teraz wybacz*, mam sporo pracy. — Senenmut zaklaskał i zza zasłony wyłonił się oficer, który miał eskortować gościa. — Na starość coraz bardziej przypominasz mi twego brata, Seti — dodał.

Arcykapłan odwrócił się w wyjściu, lecz Senenmut w mroku namiotu nie zobaczył jego oczu, które na moment zapalały lodowatą wściekłością.

— Ty zaś na starość piękniejesz — mruknął Seti i wyszedł.

Senenmutowi wydało się, że bardzo trąmie ujął przemianę, jaka nastąpiła w Setim w ciągu w ostatnich miesięcy. Nie znał jego brata, lecz kiedyś wspomniiał mu o nim Hapuseneb. Ponieważ obaj byli kapłanami Amona, wciąż ze sobą rywalizowali. W końcu wyszło na jaw, że brat Setiego był mordercą, który zamęczył wiele dzieci z Teb. Ojciec braci, Nefer, również arcykapłan, wygnał zwyrodnialca i słuch po nim zaginał.

Senenmut zaklaskał. Po chwili w namiocie pojawił się drobny Murzyn, który służył swemu panu jako szpieg.

— Masz dowiedzieć się wszystkiego o kapłanie Amona, który przed chwilą tutaj był. Rozumiesz?

Murzyn, niemowa, dał znak, że rozumie.

— Chcę wiedzieć wszystko, co robił przez ostatnie dziewięć miesięcy. Masz być jego cieniem.

Nad drugą kataraktą wstawał dzień. Trzciny rosnące nad wodą były niczym las dłoni wznoszących się ku niebu. Nil zwięża się tutaj, nie tworzy szerokich rozlewisk tak jak na

północy, a jego nurt jest żywszy. Brzegi porośnięte krzewami tamaryszku i karłowatą akacją opadają łagodnie, a gałęzie muskają wodę płynącą do ziemi Kem.

Droga wielkiego orszaku Hatszepsut wiodła wzdłuż Nilu do południowej Nubii, gdzie kończyła się władza faraonów. Żyły tam groźne murzyńskie plemiona, skłócone ze sobą i z Egiptem. Tylko kapłani Amona, którzy wytyczali drogę do Punt, wiedzieli, gdzie dokładnie znajduje się ta kraina. Podejrzewano, że Punt leży nad brzegiem morza, daleko na południe od Nubii.

Przez całą drogę orszakowi faraona towarzyszyły tłumy. Na widok świętej kobry niesionej na przedzie ludzie padali na twarze i szeptali modlitwy do Ra wschodzącego i zachodzącego i czekali w pokorze, by zobaczyć żywe Słońce, swego władcę.

Na początku wyprawy zdarzył się wypadek — straż idąca przed orszakiem skrzyła na niezamieszkane obszary, ponieważ na drodze było dużo skarabeuszy, świętych dusz Słońca. Tam żołnierzy zaatakowały spłoszone lwy. Zwierzęta zostały zabite, lecz okoliczna ludność zapalała ogromnym oburzeniem, ponieważ te groźne drapieżniki były szczególnie miłowane przez boginię Bastet, która potrafiła być wyjątkowo złośliwa i okrutna. Od tego momentu wielu uwierzyło, że wyprawa do Punt nie zakończy się szczęśliwie.

Senenmut po rozmowie z Setim stracił spokój i opanowanie. Czuł, że po raz pierwszy od wielu lat na dworze królowej dzieje się coś bez jego wiedzy. Zawsze zabezpieczał się możliwie najlepiej jak mógł, był z tego znany i za to zniechęcony. Wszystkie intratne posady obsadzał swoimi ludźmi, co budziło niesmak i zawiść zamożnych rodów tebańskich. I tak, na przykład, dowódcami gwardyjskich pułków faraona złożonych z Szardanów zostawali jego krewni i synowie klientów. Za panowania poprzednich faraonów stanowiska te przeznaczone były dla szlachetnie urodzonych synów wpływowych tebań-

czyków, choć z wojskiem mieli oni tyle wspólnego, co wino z wodą.

Teraz faworyt królowej zaczął podejrzewać, iż to początek odsuwania go od władzy. Ostatnie wypadki, a szczególnie powrót Setiego, który zaczął tak dziwnie się zachowywać, pogłębiły tylko jego podejrzliwość. Pocieszał się myślą, że Hatszepsut nie uczyni niczego bez jego wiedzy, lecz z dnia na dzień ogarniały go coraz większe wątpliwości.

Gdy kapłani odmówili hymn dziękczynny do zachodzącego Ra, Senenmut, w towarzystwie straży, skierował się ku namiotom zajmowanym przez faraona i jego 'świętę. Bezpieczeństwa władcy strzegli fanatyczni strażnicy, gotowi zabić każdego, kto bez wezwania ośmieliłby się przejść do zakazanej dla śmiertelników strefy. Dostojnik kroczył pewnie, gdzieniegdzie wznoszono okrzyki na jego cześć, ale minister wiedział, że to jedynie objaw służalczości. Gdy zbliżył się do namiotu królowej, zatrzymali go strażnicy. Jeden miał na twarzy maskę w kształcie głowy szakala. Senenmut dotknął prawą dłońią ust na znak, że jest czysty na duszy i ciele. Etykiety musiał przestrzegać każdy.

— Bracie Anubisie — powiedział — moje serce jest czyste, po tysiąckroć czyste.

— Twoje słowa są prawdziwe, idź do dziecka Ra, które cię oczekuje, lecz wiedz, że jesteś człowiekiem i wielka jest twoja nicość — odrzekł strażnik w masce.

— Cześć oddaję tobie, bracie Anubisie.

Dopiero teraz mógł wejść do namiotu faraona. Formuła była nieco sztuczna, jak na owe zeświecczone czasy, lecz faraon nadal był bogiem. Ministrowi zawsze wydawało się, że tamci na w pół mityczni królowie, którzy wybudowali piramidy, musieli być nadludźmi.

Senenmut już sam, bez ochrony, ruszył do wielkiego namiotu nazywanego Domem Ra. Prowadził do niego korytarz utworzony przez dwa rzędy tkanin, na których przedstawiono sceny polowań Hatszepsut w Delcie. Zatrzymał się na moment przed jednym z wizerunków władcy, który przedstawiony był jako

silny myśliwy. Pomyślał, że nie rozumie królowej, która uważa się za mężczyznę i rządzi jak mężczyzna. W namiocie panował lekki półmrok. Na ziemi rozpostarte były skóry lwów, lampartów i gepardów sprowadzone z głębi łądu. Środek zajmował pięknie rzeźbiony cedrowy tron pomalowany na czerwono. Po obu jego stronach stali dwaj potężnie zbudowani niemi kapłani, stanowiący osobistą straż władcy.

Na tronie siedziała drobna postać w męskiej białej tunice. Ręce miała skrzyżowane na piersiach, trzymała w nich zakrzywione berło i bicz z kości słoniowej. Skórzane sandały skrzyły się od szafirów. Dopiero po dłuższej chwili można było dostrzec pod grubą warstwą pudru, że jest to niemłoda już kobieta. Senenmut skłonił się głęboko. Hatszepsut spoglądała na niego zimno, a ciemna obwódka wokół oczu sprawiała, że jej twarz była niesamowita i groteskowa. Na łysej głowie miała podwójną koronę, białą i czerwoną, symbolizującą dwie części Egiptu.

— Niech bogowie strzegą każdego twego kroku. Ziemia, po której stąpasz, jest święta po tysiackroć. Jestem, jak tego pragnałeś, Re-hor-Achte — rzekł z namaszczeniem Senenmut.

— Mów — rozległ się dźwięczny, zimny i trochę nieludzki głos.

— Najpierw pragnąłbym przedłożyć sprawę Syrii... — zaczął minister.

Faraon milczał. Senenmut wyczuł delikatne napięcie, odchrząknął i mówił dalej:

— Nie panujemy już nad tym, co się tam dzieje.

— Milcz! — przerwała mu ostro królowa. — Syria i sprawy tamtych królestw wcale nas nie obchodzą. Zamierzamy dać Egiptowi szczęście przez zawarcie układów z krajem Punt. I to są cele naszej polityki, które powinny być ci bliższe, ponieważ jesteś naszym ministrem.

— Co uczyniłem złego?

— Zawiązano przeciwko nam spisek, w który był zamieszany jeden z kapłanów Amona. I za to odpowiadasz ty! — Głos faraona przypominał teraz syk węża.

Senenmut uświadomił sobie, że gra idzie już nie o wpływy, lecz o jego głowę.

— Błagam o wybaczenie. Wszystko czynię z twego rozkazu i aby powiększyć twą potęgę.

— Milcz, Senenmucie, milcz! Ci, którzy ośmielili się przeciw nam spiskować, byli przebiegli jak węże. Powzięliśmy jednak kroki, aby w Egipcie już nikt nie uczynił niczego bez *naszej wiedzy*,

— Nic nie wiem o żadnym spisku...

— Nie ma już spisku, sami zajęliśmy się tą sprawą. Ty się boisz, Senenmucie? Tak, ty się boisz! Ale mamy dziś dla ciebie niespodziankę...

Zza zasłony wysunął się cień. Senenmut zbladł. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Obok krzesła faraona stanął Seti, choć wiadomo było, że jest jednym z najzagorzalszych wrogów Hatszepsut. Teraz Senenmut zyskał pewność, że królowa odnalazła brata Setiego i wykorzysta go do swoich celów. Człowiek ten wyglądał jak Seti i zachowywał się jak on, lecz nim nie był. Nie mógł nim być.

— Audiencja skończona, możesz odejść, Senenmucie.

Minister był upokorzony. Hatszepsut nigdy nie rozmawiała z nim w taki sposób. Zawsze stanowiła dla niego zagadkę i teraz wyteżał umysł, by jeszcze raz przypomnieć sobie wszystko, co o niej wie.

Szczególnie upodobała sobie boginię Maat i włączyła ją do imienia koronacyjnego, pod którym występowała na wszystkich oficjalnych dokumentach i inskrypcjach. Czasy *jej* rządów to dla Egiptu czasy pomyślności. Spichlerze pełne były zboża, wojsko dobrze opłacane, a świątynie nie tak pazerne na ziemię i nadania. Królestwom syryjskim i miastom fenickim pozwalano na niezależny handel, a ludy pustynne na zachodzie, w tym Libijczycy, zasmakowały znów egipskiego zboża. Nie podobało się to Egipcjanom, przyzwyczajonym do twardego traktowania podbitych ludów. Hatszepsut na to nie zważała. Rządziła niepodzielnie i nie zdawała sobie sprawy, jak silną pozycję wy-

pracował sobie na jej dworze Senenmut, który był ostatnią osobą zainteresowaną zmianą stosunków w państwie. Co parę miesięcy, z niesłabnącym od lat podnieceniem, obserwowano upadek kolejnego faworyta władczyni. Senenmut patrzył przez palce na te romanse, bo to on posyłał królowej pięknych młodzieńców, których przedtem sam wybierał.

Oni zaś informowali go o wszystkim, co usłyszeli od samej Hatszepsut lub co zobaczyli na dworze. W ten sposób faworyt królowej panował nad sytuacją.

— Czy myślisz, Ramzesie, że ten głupiec połknął haczyk? — spytała Hatszepsut brata Setiego.

— Myślę, że tak. Kiedy pozwolisz mi go, panie, zabić?

Hatszepsut zeszała wolno po stopniach tronu i oddała święte insygnia dwóm niemym kapłanom.

— Nie teraz. Będzie nam jeszcze potrzebny. Teraz musisz odszukać tego chłopaka. Śledź Senenmuta, ponieważ spiskuje przeciwko nam.

Ramzes skinął głową i wyszedł. Hatszepsut klasnęła w dłonie. Do namiotu weszły młode służące i zaczęły przebierać królową w lekkie suknie. Robiły to sprawnie i szybko. Królowa goliła głowę, jak wszystkie szlachetnie urodzone Egipcjanki, i nosiła perukę. Służące patrzyły na groteskowe i okrutne oblicze starej kobiety o pomarszczonym czole i obwisłych policzkach, która zachowywała się jak mężczyzna.

Senenmut oczekiwał Minmose. Gdy tylko służący go wprowadził, dostojnik wskazał mu krzesło naprzeciw siebie. Minmose nie potrafił ukryć zaskoczenia z powodu tak nagłego wezwania.

— Przyjacielu — zwrócił się do gościa Senenmut — czy uważasz się za rozsądnego człowieka?

— Tak, dostojny panie, lecz najrozsądniejszym z ludzi jesteś ty — odrzekł Minmose.

— Czy wiesz, co stało się z twoją żoną?

— Teść pisał mi, że biedaczka popełniła samobójstwo. Nigdy nie posądzałbym jej o takie skłonności. Targnięcie się na własne życie to grzech, dlatego niech Anubis zważy wszystkie jej dobre i złe uczynki na swej wadze. Była jednak kobietą podłą i rozpustną i może nie mogła znieść myśli, że nie podoba się bogom? Jestem przekonany, że oddawała się hetycykiemu niewolnikowi i młodemu kapłanowi Sobka, który u nas mieszkał.

Jak on musiał jej nienawidzić, pomyślał Senenmut, słuchając wynurzeń intendenta.

— Kim byli tamci dwaj? — zapytał.

— Jeden to hetycki wyrostek, którego trzy lata wcześniej kupiłem na targu niewolników w Tyrze. Nazywał się, jeśli się nie mylę... Ursilis, a drugi to młody uczeń kapłanów Sobka w Fajum. Miał ze czternaście lat, to akurat pamiętam dokładnie, bo musiałem podpisywać jakieś zobowiązania o moralnym wychowaniu. Moja żona nalegała, bym przyjął go pod swój dach. Byłem chyba ślepy. Przeklećci łajdacy...

— Kto?

— Te wygolone głowy z Fajum.

— Nie lubisz kapłanów Sobka?

— Zawsze uważałem, że kapłani wszelkiej maści tylko sięją zamęt i się bogacą.

— Masz rację, Minmose. A teraz powiedz, czy chciałbyś odnaleźć tych smarkaczy, by się na nich zemścić za krzywdę, jakiej doznałeś?

Minmose zawahał się. Nie zależało mu już na dobrym imieniu żony. Chciał jeść, pić, kochać kobiety i jak Senenmut, piąć się po szczeblach władzy. Musiał jednak coś odpowiedzieć.

— Wahasz się? — zapytał Senenmut.

— Ja? O, mój panie, żebyż to tylko zależało ode mnie! Teraz najważniejsza jest wyprawa do Punt...

— Mylisz się, wcale nie jest taka ważna, ale widzę, że przedkładasz dobro państwa nad zemstę.

— Serce mówi mi, że tak mam właśnie uczynić — odpowiedział z patosem Minmose.

— Podziwiam cię. A teraz odejdz, będę o tobie pamiętał.

Ostatnie słowa Senenmuta były dla Minmose jak balsam. Był pewny, że dobrze to rozegrał. Jednak dostojnik czuł dla niego tylko pogardę, jaką żywił wobec wszystkich nic nieznaczących ludzi z wielkimi ambicjami. Nie wierzył w ani jedno jego słowo, nabierał za to coraz głębszego przekonania, iż Satre i jej ojciec, Seti, zginęli z rąk morderców nasłanych przez faraona.

Kilka dni później Senenmut postanowił wysłać do Syrii zaufanego człowieka z wszelkimi pełnomocnictwami, aby rozpoczął poszukiwania chłopca. Nie miał wątpliwości, że jeśli nie odnajdzie go w ciągu kilku miesięcy, Teby będą płakały nad jego mumią, przygotowaną wspaniałomyślnie na koszt państwa. Senenmucie, stary głupcze, czyżbyś pierwszy raz w życiu chciał zrobić coś nie dla siebie? — pomyślał gorzko. Nagle zza zasłony wysunął się błąd jak płótno Puimre.

— Puimre, nie wzywałem cię, co się stało?

— Panie mój, nieszczęście! Przybyli gońcy z Teb. W Syrii bunt. Tyr padł. Północna Syria odcięta. — Kapłanowi łamał się głos. — Dostojny faraon opuścił już karawanę i jest w drodze do stolicy. Wyprawę ma poprowadzić kanclerz Nehesi.

— Wracamy do Teb. Każ pakuwać rzeczy — warknął Senenmut, z trudem nad sobą panując.

ROZDZIAŁ 9

Droga śmierci

Tej nocy, kiedy Ursilis i Anchnum mieli opuścić Ugarit, Szamaszi wezwał ich do siebie.

— Chciałbym się z wami pożegnać — rzekł, siedząc za biurkiem, na którym piętrzył się stos glinianych tabliczek. — Wszystko zostało przygotowane przez Irhuanaksa. Moi słudzy wychodzą właśnie do świątyni boga Melkarta, która położona jest blisko murów miasta. Jest tam tajemne przejście prowadzące do miejsca, gdzie będą na was czekały konie. Udacie się bezzwłocznie na płaskowyż w kierunku koryta Orontesu, lecz nie będziecie przekraczali rzeki, tylko pójdziecie wzdłuż jej brzegu na wschód, na równiny, i potem do Karkemiszu, gdzie spróbujecie przepłynąć się przez Eufrat. W Karkemiszu przebywa obecnie mój brat przyrodni, Enaburiasz, który będzie waszym przewodnikiem aż do Babilonu.

— Zatoczmy więc wielkie koło — zauważył Ursilis.

— Droga została wytyczona tak, aby zmylić pościg, który po waszym zniknięciu z Ugaritu zapewne wyruszy piostem w kierunku Karkemiszu — rzekł kupiec. — A mój brat będzie potrzebował czasu na przygotowania.

— Jak wygląda sytuacja w północnej Syrii?

— Bogowie raczą wiedzieć! — westchnął kupiec. — Nie wiem, co może na was czekać w drodze na północ- Są dziesiątki

zwalczających się zaciekłe księstw, jest bardzo niespokojnie. Jeśli jednak dotrzecie do Enaburiasza, o drogę do Babilonu możecie być spokojni. Ale muszę was przestrzec przed moim bratem. Na tyle, na ile go znam, a widziałem go po raz ostatni kilka lat temu, jest postacią nietuzinkową. Ma wielkie ambicje... Nie wiem, w jakie sprawy może być zamieszany. Musicie więc mieć się na baczności. Napisałem list, który mu dostarczysz, Ursilisie. Zapewniam go w nim, iż mam do was zaufanie. Myślę, że to zabezpieczy was przed jego podejrzliwością i zapewni wam w miarę godziwe życie.

— Mamy zostać w Babilonie na zawsze? — zdziwił się Anchnum.

— Nikt nie wie, co zapisali nam bogowie — rzekł Szamaszi — ale ciebie, młody Anchnumie, czeka wspaniała przyszłość. Jestem tego pewny.

Anchnum nie wiedział, o czym mówi Szamaszi, ale Ursilis, poinformowany przez kupca o wszystkim, niczemu się już nie dziwił.

— A ty, panie? — zapytał.

— Ja? Mną się nie przejmujcie. Mam rozległe znajomości i zamierzam je wykorzystać. Zresztą nudziło mnie siedzenie w Ugaricie. Wciąż te same twarze... Zakosztowałem już chyba wszystkiego. Kiedy tylko znajdziecie się poza murami miasta, ja, w blasku dnia, wyruszę w lektyce do mego domu kupieckiego, z którego załadowano na statek wszystkie moje rzeczy, i na oczach szpiegów przysłanych przez Pepiego lektyka wróci do domu pusta, a ja, jako magazynier, wsiądę na statek Irhuanaksa i popłyniemy na Cypr.

Anchnum i Ursilis skłonili się głęboko, ale kupiec tak się rozrzewnił, że zanim wyruszyli, osuszyli jeszcze dzban wina i wysłuchali jego życzeń, po których nie szczędził im uścisków.

Gdy zniknęli za drzwiami, Szamaszi westchnął. Miał wrażenie, że nigdy już ich nie zobaczy i że jego rola jest skończona.

Nastała noc. Ursilis i Anchnum szli w korowodzie sług Szamaszego, śpiewających pieśń ku czci boga Melkarta. Tańce pośrodku miasta o tej porze roku nie były niczym nadzwyczajnym; mieszkańcy Ugaritu lubili święto tego boga, wcielenia Baala.

Ursilis nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś ich śledzi. Dlatego szedł na końcu i przystawał co kilka kroków, wpatrując się w ciemność ulicy.

W bocznym zaułku dostrzegł nagle dwie podejrzane postacie w długich płaszczach. Przyspieszył kroku, by dogonić służących Szamaszego. Znalazł ich dopiero pod świątynią Melkarta. Część z nich została, by świętować, a kilku najbardziej zaufanych poprowadziło ich wąskim przejściem w stronę gaju oliwnego. Przemierzyli wąski odcinek między drzewami i wtedy słudzy pokazali im prześwit w murze, zamaskowany gałęziami. Gdy Ursilis i Anchnum znaleźli się po drugiej stronie muru, zaczęli biec, aby jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem strażników na murach. W osadzie pod miastem czekały na nich objuczone konie. Za nimi, na tle nocnego nieba, rysował się pas murów Ugaritu.

Kiedy Anchnum się obudził, słońce stało już wysoko. Dawno nie spał na twardej ziemi. Nie dostrzegł Ursilisa, ale poczuł dym z ogniska. Wyglądził zmięte ubranie i ruszył w stronę akacyjowego zagajnika. Ursilis siedział przy ognisku, na węglach piekły się pachnące smakowicie gołębie.

— Mogę się przyłączyć?

— Jeśli sam sobie upolujesz — mruknął Ursilis.

— Jesteś zły? — Anchnum zabrał się do jedzenia.

— Nie, chciałem tylko sprawdzić, czy wstałeś jak zwykle lewą nogą — odrzekł Hetyta, wpatrując się w zamyśleniu w ciągnące się aż po horyzont pola i zagajniki.

— O czym myślisz? — zagadnął go po chwili Anchnum.

— O naszych rozmowach z Szamaszim.

— Mówił nam wiele rzeczy i wciąż nie wiem, co mam o tym wszystkim sądzić.

— O czym, na przykład?

— O tym, co usłyszałem o sobie. Jestem tylko nic nieznaczącym podrzutkiem, tyle wiem na pewno. — W głosie chłopca brzmiała gorycz.

— Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz?

— A co mam rozumieć?

— A to, że z twojego powodu zginęło już wielu ludzi. Anchnumie, masz w sobie świętą krew królów i póki nie będziesz bezpieczny, ludzie wokół ciebie będą umierali!

— Co ty mówisz?! Jaka święta krew? Poszaleliście wszyscy z Szamaszim na czele!

— Już kiedyś powiedziałem, że niczego nie muszę ci wyjaśniać. Zresztą nie mamy na to czasu. Z Ugaritu mógł już wyjechać pościg. Ruszamy natychmiast. Skończ jeść — uciał Ursilis, wstając.

Pola po deszczach skrzyły się tysiącami polnych maków, lawendą i dzikim rozmarynem, którego maleńkie kwiaty tworzyły wyraźnie widoczne z daleka białe plamy. Anchnum znów miał dobry humor, po części za sprawą wina, w które zaopatrzyli ich przezornie Szamaszi.

— Kobieta jest nie tylko po to, żeby mężczyzna mógł dać ujście swoim pragnieniom — rozprawiał Ursilis. — Jeżeli nie ma przyjaźni, z takiej namiętności nic nie zostanie, wierz mi.

— I ty to mówisz? Widziałem, jak przyglądasz się tym chłopkom!

— No cóż, mężczyzna lubi patrzeć...

Anchnum zarumienił się, przypominając sobie Enuanę.

— Ursilisie, znowu ją widziałem...

— Kogo?

— Enuanę. Była w świątyni.

— Nie przywidziało ci się?

— Nie.

— Mówiłem ci, Anchnumie, że to zła kobieta. Nie mam pojęcia, co robiła w Ugaricie. Wydaje mi się... ,

— Co? — zapytał Anchnum z bijącym sercem.

— Że ona w jakiś sposób jest w to wszystko zamieszana. Nie wiem jak i dlaczego, ale wiem, że tak jest. Popędź konia, przed nami wioska.

Jechali przez gaje i pola i Anchnum mógł z bliska popatrzeć na syryjskich chłopów zbierających dojrzałe figi i pracujących na zagonach jęczmienia.

Wreszcie dotarli do wioski. Anchnum poczuł głód.

— Ursilisie, chodźmy do gospody.

— Nie, to zbyt niebezpieczne.

— Mam już dość jedzenia na ziemi albo na koniu. Możemy chyba wydać trochę złota, które dał ci Szamaszi. Jedna mina to przecież niedużo, a ile świeżego mięsa można za to kupić!

— Nie chcę iść do gospody.

— Ale ja chcę. Słuchaj królewskiej krwi.

Anchnum zsiadł z konia przed chatą, z której dochodził zapach prażonego bobu.

— Dobrze — rzekł cicho Ursilis. — Ale czasami tej królewskiej krwi należałoby dać po tyłku.

— Mówiłeś coś?

— Nic, nic...

Podbiegło do nich kilku pachołków, by zająć się zwierzętami, lecz Ursilis odpędził ich i sam zaprowadził konie do zagrody, by mogły się napić. We wnętrzu gospody wisiał ciężki zapach młodego kwaśnego wina. Natychmiast zjawił się mały łysy człowieczek, ubrany raczej jak drobny rzezimieszek, a nie karczmarz.

— Jakież to wielki bóg zsyła mi takich gości! — zaskrzeczał. — Jakież szczęście mnie spotkało!

Ursilis, który stał bliżej szynkarza, cofnął się o krok, tak silny odór bił z jego ust.

— Masz coś do jedzenia? — zapytał po akadyjsku.

— Ależ mam, mam. Rozgoście się, młodzi panowie. — Szynek uśmiechnął się, ukazując rząd czarnych zębów.

Anchnum poczuł się nieswojo. Dopiero teraz zauważył, że w winiarni siedzi kilku podejrzanym typów, którzy nie wyglądają na syryjskich chłopów, przesiadujących z nudów przy piwie. Wszyscy spoglądali na przybyszów spode łba. Stwierdził również, że wnętrze jest obskurne, a lampy oliwne ledwo się tlą.

— Podaj nam pieczoną gęś i wino, ale nie oszukuj i nie dolewaj do wina wody — rzekł Ursilis.

— Niechaj bogowie zesłają na mnie ból zęba i łysinę, a na moje pola grad i pożogę, jeśli oszukuję przy winie! — krzyknął karczmarz.

— Dobrze, ale obsłuż nas szybko. Na Aszarte i Baala, co to za miejsce? — mruknął do Anchnuma. — Usiądźmy w kącie, zjedzmy szybko i wynośmy się stąd. Nie miałem zamiaru tu przychodzić, ale skoro jesteśmy, to przynajmniej nie zwracajmy na siebie uwagi.

— Dlaczego te syryjskie typy tak na nas patrzą? — szepnął Anchnum.

— Bo nie wyglądamy jak oni. To, że nie jesteśmy Syryjczykami, ani nawet Fenicjanami, nietrudno zauważyć, prawda?

— Chyba zacznę zapuszczać brodę — zażartował chłopak, lecz Ursilisowi nie było do śmiechu.

Siedząc tak i popijając młode wino, przyniesione przez chudego chłopaczka, przyglądali się temu miejscu, które może było winiarnią, a może po prostu położonym na uboczu lupanarem. Brakuje tu tylko kilku brudnych dziwek, pomyślał Ursilis. Wreszcie pojawił się szynek, niosąc półmisek gęsiny.

— Przynajmniej nie żałowałaś przypraw — pochwalił Ursilis.

— Wina też nie rozcieńczyłem — warknął szynek.

Ursilisa irytowało zachowanie karczmarza. Obawiał się, że zdarzy się coś nieprzewidzianego. Dopiero teraz Anchnum zobaczył na kolanach Ursilisa miecz, którego nigdy wcześniej nie widział.

— Ursilisie, skąd to masz?

— To podarunek Szamaszego — odrzekł Ursilis, z ustami pełnymi mięsa. — Klinga wykuta jest z metalu, który zna tylko mój lud.

— Pokażesz mi go?

— Kiedy stąd wyjdziemy, dobrze?

Anchnum zobaczył nikły błysk na srebrnej kłindze. Przeszedł go dreszcz.

— Jedźmy szybciej — rzucił Ursilis.

— Tak, jedźcie szybciej — powtórzył po egipsku twardy, męski głos.

O mało się nie udławili. Ursilisowi wydało się, że gdzieś już ten głos słyszał. Anchnum stwierdził, że karczmarz i podejrzane typy zniknęli.

— I co, Ursilisie, tak szybko znudził ci się Ugarit? — zapytał mężczyzna.

— Musieliśmy zmienić klimat — odpowiedział spokojnie Hetyta. — Ale zdradź nam swoje imię, bo przeszkadzać komuś w jedzeniu, nie przedstawivszy się, nie jest zbyt grzecznie.

Anchnum poczuł skurcz w gardle.

— Możemy zaraz wrócić do Ugaritu — powiedział nieznamy, jakby nie słyszał uwagi Ursilisa.

— A to w jakim celu?

— Dostojny Hapuseneb i Pepi chcieliby zadać wam kilka pytań.

Ursilis już wiedział, gdzie słyszał ten głos.

— Jak tam interesy twego krewnego z balsamiarni? — zapytał.

Nieznamy wyszedł z cienia. Był to Ptahor.

— Interesy? Niezbyt pomyślnie. Nefi nie ma wielu klientów, lecz może wkrótce wyświadczę mu przysługę — uśmiechnął się, a uśmiech ten nie wróżył niczego dobrego. — Może dostanie dwa trupy, w tym jednego, którego nie dokończył preparować. I jak, mały? Nadal masz te omdlenia?

— Może tak, może nie — mruknął chłopiec.

— Szukałem i znalazłem cię, ptaszynko. — Ptahor zrobił trzy kroki do przodu. W rękę trzymał miecz. — Długo was śledziłem i mój trud nie poszedł na marne.

— Ptahorze, nie zbliżaj się — syknął Ursilis.

— Nic mi nie zrobisz, ty hetycki psie.

Ptahor znów zrobił krok do przodu i gwizdnął przeciągle. Do izby wpadło trzech brodatych Syryjczyków.

— Pięknie, czyżby namiestnik Pepi zaczął wysługiwać się Syryjczykami?

— Pewnie, każdy chce zarobić.

— A ja ci mówię, Ptahorze, odejdz i pozwól nam iść w swoją stronę.

Ptahor zaśmiał się szyderczo. Ursilis popatrzył na Anchnuma. W jego oczach zobaczył strach. Położył dłoń na mieczu. Anchnum skoczył w kąt.

— Panie, lepiej zabijmy ich od razu! — wykrzyknął jeden z Syryjczyków.

Drugi syryjski drab, z rudą brodą zaplecioną w warkoczyki, spokojnie ruszył w stronę Ursilisa, wyciągając rękę, by chwycić go za ramię. Ursilis zamachnął się mieczem i ciął z całej siły nadgarstek brodacza. Ten zaczął wycieć straszliwie, ściskając bryzgający krwią kikut, i osunął się na kolana. Pozostali bandyci rzucili się z wrzaskiem na Hetytę. Chłopak zrobił półobrót i tego, któremu obciął dłoń, ciął mieczem przez krtań, a potem odbił cięcie drugiego tak silnie, że miecz prawie się wygiął. Syryjczyka z kędzierzawą brodą ugodził w głowę, odłupując kawałek czaszki. Ściany obryzgała krew. Trzeci napastnik, widząc śmierć swoich towarzyszy, cofał się bezradnie, parując ciosy Ursilisa, lecz w końcu, trafiony w ramię, wrzasnął z bólu i odskoczył do drzwi, rzucając broń na ziemię. Nagle Ptahor został sam, choć był pewien, że nie będzie musiał nawet brać miecza do ręki. Patrzył z przerażeniem na trupy leżące w drgawkach i na miecz Ursilisa.

— Mówiłem ci, Ptahorze, że chcemy pójść w swoją stronę, a teraz ci mówię, że zrobimy to nawet po twoim trupie.

Miecze Ptahora i Ursilisa zwały się w mgnieniu oka. Miecz z brązu cofał się w popłochu przed tym z żelaza. Ptahor nie zauważył, kiedy Ursilis zadał mu śmiertelny cios, poczuł tylko w podbrzuszu pulsujące ciepło, upuścił miecz i zwał się ciężko na ziemię.

— Zabiłeś mnie, ty... — szepnął, a w jego oczach zastygło niedowierzanie.

Ursilis stał jak wrośnięty w ziemię, a u jego stóp leżeli trzej martwi wrogowie. Anchnum popatrzył na miecz. Na kłindze, czerwonej od krwi, widniały dwie kolumny dziwnych znaków. Miecz był z metalu, o jakim w Egipcie jedynie słyszano, lecz nigdy nie widziano. Teraz Anchnum przekonał się, że jest twardszy od brązu i zabija bez litości.

Wyszli w milczeniu z gospody, a okoliczni mieszkańcy, którzy przybiegli, słysząc odgłosy walki, rozpierzchli się niczym wystraszone kozy. Zza zasłony do głównej izby wyczołgał się karczmarz. Na widok trupów leżących w kałuży krwi zaczął szlochać jak dziecko.

Dwa dni potem do wsi przybyli bogato odziani jeźdźcy. Nosili się z egipska, na głowach mieli wielkie chusty. Jednym z nich był starzec w białych szatach. Gdy tylko zobaczyli ich mieszkańcy wioski, natychmiast rozległy się krzyki i ludzie zaczęli kryć się po domach. Szynk był zamknięty na cztery spusty. Jeden z mężczyzn zeskoczył z konia, uderzył pięścią w drzwi, lecz odpowiedzią była cisza.

— Zobaczcie, gdzie są te psy — rzucił po egipsku jeździec na karym koniu.

Jego towarzysze zeskoczyli z wierzchowców i zaczęli przeszukiwać zabudowania i gospodę, wyważywszy przedtem drzwi. W końcu znaleźli pod stołem przerażonego szynkarza. Gdy go wyciągali, skomlał jak zбитy pies.

— Neeee! Ja nic nie zrobiłem, nie zabijajcie mnie! Ja nie

winien, ja nie jestem winien! To on ich zabił. Miał miecz ze srebra!

— Co ty pleciesz, stary głupcze?

— Nie kłamie, panie! — jęczał szynkarz. — Miał miecz, jakiego nigdy nie widziałem. Jego włosy lśniły jak złoto. To musiał być jakiś bóg!

— Zmyślasz!

— Nie, nie zmyślam! Przysięgam na wszystkich bogów nieba i ziemi! On ich tym mieczem powyrzynał jak wieprze...

— Gdzie są trupy? — chciał wiedzieć starzec w białych szatach.

— O, panie! Ukryłem! On zabił egipskiego sługę waszej dostojności i dwóch miejscowych...

— Chcę zobaczyć ciała! Gdzie one są? Mów, ośle! — rzekł groźnie starzec.

— W loszku. Tam jest zimno.

Szynkarz otworzył drzwiczki prowadzące do piwnic pod zabudowaniami. Żołnierze weszli i po kilku chwilach wyciągnęli zeszytywniałe trupy.

— Pepi, mówiłeś, że Ptahor był ostatnim człowiekiem, który mógłby dać się zarznąć w taki sposób — rzekł starzec.

Pepi nie odpowiedział. Gdy wracali, wyznał Hapusenebowi, że nigdy w życiu nie widział tak głębokich cięć. Hapuseneb zabrał z szynku wygięty miecz z brązu. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Przemierzali falujące morze traw wzgórz północnej Syrii.

Przed oczyma Anchnuma znów stanął jego rodzinny dom. Zobaczył spracowane ręce matki, która, jak już wiedział, nigdy nie była jego matką, a mimo to nigdy nie przestała nią być. Ujrzał ciasną, duszną izbę w chacie w Fajum. Matka zawsze dawała mu cudem zdobyte daktyle i opowiadała bajki lub przypowieści o tym, jak bogowie poznali się na okrucieństwie

i chciwości człowieka, którego stworzyli. Nigdy nie pytał, czy daktyle dostają też inni członkowie rodziny. Kiedy dowiedział się, że jego rodzice nie dojadali, jak wszyscy ludzie z ich biednej wioski, nie mógł płakać, nie chciał jeść ani pić. Potem przyszedł atak odrętwienia, który cudem przeżył. Gdy dowiedzieli się o tych atakach kapłani Sobka, zaczęli traktować go jak tego, który rozmawia z bogami, i na wszystko mu pozwalali. Kiedy starzy Mepa i Sipu zobaczyli Anchnuma odzianego w szaty, jakich nigdy nie mogliby mu kupić, upadli na twarze i dziękowali bogom za szczęście. Oddawał im prawie wszystko z tego, co kapłani wypłacali mu jako uczącemu się młodemu kapłanowi. A było tego tyle, że mogli załatać dach w chacie i kupić kilka gęsi oraz nowe ubrania. Dzięki lekom, które Anchnum przynosił ze świątyni, matka przestała kaszleć. I syn, niebędący ich synem, cieszył się, że starym rodzicom żyje się lepiej niż całej zazdrosnej rodzinie. Jednak po jego wyjeździe do Teb ich los się pogorszył. Ale tego Anchnum nie wiedział. Nie mógł również wiedzieć, że dwoje spracowanych staruszków codziennie prosi bogów o wybaczenie dla syna, którego z nakazu kapłanów Sobka przygarnęli i który o nich zapomniał.

Jechali, prawie nie odpoczywając. Ursilis obawiał się pogoni, zatrzymywali się więc tylko przy wodopojach. Anchnum nie mógł przestać myśleć o rzezi w szynku. Nie spodziewał się, że Ursilis umie tak walczyć. Nie potrafił zapomnieć twarzy zabitych.

— Chcesz porozmawiać? — zapytał w końcu Hetytę.

— O czym?

— O gospodzie.

— Nie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to była tylko gospoda.

— Pokaż mi miecz.

Hetyta wyciągnęła miecz z pochwy i podał chłopcu, który

dopiero teraz mógł się przekonać, jak bardzo jest lekki. Jelec obciążony został wężową skórą, która sprawiała, że dobrze leżał w dłoni. Promienie słońca prześlizgiwały się po ostrzu, oświetlając kolumny znaków.

— Co to?

— To zaklęcia bogów gór, aby ostrze było szybkie.

Anchnum machnął mieczem parę razy. Nie mógł nadziwić się jego lekkości ani temu, że jest dłuższy od tych, których używano w Egipcie.

— Chciałbym kiedyś taki mieć.

— Każdy by chciał. — Ursilis schował miecz do skórzanej pochwy, na której inkrustowano srebrem małe wyobrażenia lwów ze skrzydłami i ludzkimi głowami.

— To wasze sfinksy?

— Nie nazywamy ich w ten sposób. To złe demony Galla, które porwały boginię Isztar do podziemia. Zostały umieszczone na pochwie, aby ci, którzy umrą od tego ostrza, znaleźli się tam, gdzie Isztar — wyjaśnił Ursilis.

— Skąd Szamaszi wziął coś takiego?

— Szamaszi ma rozległe znajomości... Wybacz, nie mam ochoty rozmawiać...

Wiała lekka bryza. Smukły kreteński okręt zawdzięczał swą prędkość wiosłom. Z pomieszczenia, w którym siedzieli wiosłujący niewolnicy, dochodziło rytmiczne bębnienie, odmierzające tempo pracy. Jęki mieszały się ze świstem bata. Stewa w kształcie głowy wielkiego byka cięła i rozbryzgiwała wodę po obu stronach dziobu.

Szamaszi zapalił w kajucie kadzidełko dla swego prywatnego boga, uрониł z bukłaka kilka kropel wina na rozżarzone węgielki, na których dopalały się resztki ziół złożonych w ofierze. Był już dwunasty dzień na morzu i następnego ranka spodziewał się zobaczyć na horyzoncie brzegi Cypru.

Na Cyprze, w mieście, które w języku przybyszów z Myken zwało się Salamina, Szamaszi zamierzał ulokować swoje sztaby złota w tawernach, domach bankierskich i lupanarach. Kupiec zawsze śmiał się do łez, gdy w Ugaricie nierządnicę opowiadały mu, iż mogą robić za niższą cenę rzeczy, na które nierządnicę na Cyprze nigdy się nie poważą. W portach opowiadano, że właśnie na Cyprze, w falach rozbijających się o skały, zrodziła się bogini miłości Aszartę. Wielu achajskich młodzieńców, pragnąc rozgłosu, skakało do morza, by ją odnaleźć, albowiem chłopiec, któremu uda się spotkać boginię, może liczyć na jej wdzięczność. Zaczęły matki przyprowadzać swe córki na brzeg morza, aby zobaczyły skaczących ze skał młodzieńców i wybrały spośród nich męża.

— Witaj, Szamaszi. — Z zadumy wyrwał kupca głos kaptana, który, jak zwykle niespodziewanie, pojawił się w drzwiach jego kajuty.

— Witaj, Irhuanaksie, siadaj.

— Jak długo chcesz zabawić na Cyprze?

— Niedługo. Powiedzmy ze dwa miesiące.

— A potem?

— Popłyniemy na There, a po przerwie zimowej do Pylos.

— Chcesz jechać do Achajów? — oburzył się Irhuanaks, który był Kreteńczykiem. — Do tych morderców i gwałcicieli?

— Wiem, że jako rodowity Kreteńczyk nie lubisz Achajów, ale zapewniam cię, że na tym nie stracisz. Zapłacę ci dwa razy tyle, ile bierzesz za normalny rejs. Nie mogę zostać długo na Cyprze, ponieważ moi wrogowie szybko mnie znajdą. Jestem zbyt znany. Chciałbym prosić cię o pomoc... Masz najlepszy wywiad od Gazy po Ugarit, masz ludzi w każdym porcie i umiesz zbierać informacje.

— Przeceniasz mnie — mruknął Irhuanaks, bawiąc się kłocią winogron.

— Achajowie są silni i nie mieszają się do spraw Egiptu i Babilonii — ciągnął kupiec — a ja potrzebuję miejsca, w którym mógłbym zaszyć się z moimi pieniędzmi na parę lat. Mam kłopoty...

— Przespałeś się z żoną egipskiego namiestnika?
— Gorzej, pomogłem uciec komuś, kto mógłby być faraonem.

Irhuanaks z wrażenia rozgniół winogrona i na jego tunikę zaczął kapać słodki sok.

Senenmut powrócił wkrótce do Teb. Faraon przed swym pospiesznym odjazdem zostawił mu całą listę poleceń. Znaczyło to, że wciąż jest potrzebny, choć coraz częściej ministrowi śniło się, że dusi go sznurem brat Setiego.

Nil zaczął przybierać dokładnie w przewidzianym czasie. Senenmut siedział w sali audiencyjnej swego pałacu, który był zabezpieczony przed wodą, podobnie jak pałac faraona i domostwa wszystkich wyższych urzędników. Otworzyły się drzwi i do sali wszedł Puimre.

— Dobrze, że jesteś — przywitał go Senenmut. — Czy nadeszły jakieś wieści z Syrii?

— Tak, panie, od Hapuseneba. Píše, że z Pepim rozmawiała osoba, którą nasi ludzie od dawna podejrzewali o pracę dla kapłanów Marduka. Ten człowiek zaoferował wielką pożyczkę.

— Pieniądze. A po co?

— Hapuseneb napisał coś nieprawdopodobnego: Babilon, za pośrednictwem tego człowieka, chciał dać wielką sumę pieniędzy na sformowanie armii przeciw zbuntowanemu Tyrowi.

— I co zrobił Hapuseneb?

— Odmówił. A co mógłby zrobić innego?

— Psy, przekupne babilońskie psy! — Senenmut uderzył pięścią w hebanowy stolik. — Kiedy przybyła poczta? — zapytał już spokojniej.

— Do Memfis statek przyplłynął dwa tygodnie temu. Listy datowane są na miesiąc wcześniej.

— Sześć tygodni. To dużo. A my nie wiemy, co stało się

później. Wezwałem cią, Puimre, w bardzo ważnej sprawie. Czy leży ci na sercu los Egiptu?

Puimre popatrzył zaskoczony na ministra.

— Niepotrzebnie pytałem — zmitygował się Senenmut. — Pojedziesz do Syrii w misji, od której być może zależą losy naszego kraju. Hatszepsut poszukuje pewnego człowieka, ponieważ chce dokończyć to, na co kiedyś nie starczyło jej odwagi. Musisz odnaleźć go, zanim ona to zrobi. Kiedy dotrzesz na miejsce, wiadomości będziesz przysyłał przez naszych przedstawicieli w Gazie i Ugaricie. Długo to będzie trwało, lecz lepsze to niż nic. Pamiętaj, że faraon nic nie wie o twej misji.

Gdy Puimre usłyszał, kim może być człowiek poszukiwany przez faraona, był tak zaszokowany, że z trudem dotarł do drzwi. Senenmut rozpoczął właśnie grę o władzę.

Dwa dni potem płynął statkiem do Memfis w Delcie.

Podróż Anchnuma i Ursilisa przez Syrię stawała się coraz bardziej uciążliwa. W miasteczkach obrzucani byli wyzwiskami, dlatego Ursilis starał się trzymać z daleka od ludzkich osiedli.

— Anchnumie, chyba nigdy tego nie polubię... — westchnął ciężko.

— Czego?

— Zabijania... Wolę już paść owce.

— A lubisz mięso? — Anchnum próbował rozweselić nieco przyjaciela.

— A co to ma do rzeczy?

Zniecierpliwiony Ursilis spał konia, Anchnum uczynił to samo i po chwili znów się zrównali.

— Miałem na myśli zabijanie, Ursilisie.

— Zabicie owcy to nie to samo, co obcięcie człowiekowi ręki — odparł Hetyta.

— Wiem. Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc.

Ursilis odwrócił głowę.

Zerwał się lekki wiatr. Wysoko na niebie zaczęły kołować sępy.

— Anchnumie, popatrz w górę.

— Sępy...

— Krążą gdzieś przed nami. Widzisz dym? Teraz wzbija się wysoko. — Zatrzymali konie. Z trawiastej równiny unosił się ciemny obłok dymu.

— Co tam się dzieje? — zapytał Anchnum.

— Nie wiem, ale myślę, że lepiej trzymać się z daleka. Chyba płonie jakaś wioska.

— Ktoś ją podpalił?

— Szamaszi mówił, że teraz po obu stronach Eufratu kręcą się różne bandy, które nie znają nad sobą pana. Na razie zostanmy tutaj, gdzie jesteśmy. Ruszymy nocą.

W górę zaczęły strzelać wysokie języki ognia. Wkrótce wiatr przyniósł swąd palonego ludzkiego ciała.

— Nie podoba mi się Syria, to plugawy kraj — stwierdził Anchnum.

— Nie musi ci się podobać, jesteśmy na nią skazani. Ale jeśli miałeś na myśli, że to kraj okrutny, a ludzie niegościnni, to masz rację — rzekł Ursilis.

— Jacy są Hatti?

— Nie zrozumiałbyś moich ziomków, Anchnumie. My nie myślimy jak Syryjczycy czy Fenicjanie, którzy równie gorąco nienawidzą, jak kochają. Choć wiele mogło się zmienić...

— Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego. Czytałem w bibliotece Szamaszego o królu hetyckim Mursilisie, który podobno był wielkim władcą.

— Złupił przed stu laty Babilon. Tak... mój pradziadek był wspaniałym królem.

— Co?! Więc twoja rodzina... — Anchnum aż się zachłysnął ze zdziwienia.

— Tak, Anchnumie, w moich i twoich żyłach płynie krew królów. — Ursilis westchnął. — Lecz lata niewoli nauczyły mnie pokory.

— Jak to się stało, że zostałeś niewolnikiem?
— Opowiem ci o tym kiedy indziej, dobrze?
— Wyjechałeś? — dopytywał się Anchnum.
— Nie, uciekłem — szepnął Ursilis. — Uciekłem przed Telpinusem, bratem mego ojca, który jest teraz królem.

— A matka?

— Została jego żoną. — Oczy Ursilisa wypełnił bezbrzeżny smutek. — Tak, dzieli łożę z bratem mego ojca Hattuwagasa, którego wspólnie zamordowali. Matka wysłała mnie jako zakładnika do Wassukani, stolicy imperium. Nie wiedziała, że znam akadyjski...

— I co? — Anchnum drżał z ciekawości.

— Złamałem pieczęcie na tabliczkach, które dała mi jako listy do króla Mitanni. Prosiła w nich, by dobrze mnie przyjęli i udusili przy pierwszej okazji.

Anchnum nie mógł wykrztusić słowa. Tak dużo razem przeżyli, a nie zdawał sobie sprawy, jak ogromny ciężar nosi w sercu ten najbliższy mu na ziemi człowiek.

— Wiele razy, wyjąc nocami z bólu, chciałem ją zapytać dlaczego. Ale dopiero niedawno wszystko zrozumiałem.

— Co rozumiałeś?

— Że jest królową. Wiedziała, że urodzi Telpinusowi dzieci. Nie chciała w przyszłości wybierać między nimi a mną. Zresztą uduszenie to nie to samo, co rozrywanie końmi, prawda? A Telpinus zrobiłby to pod byle pretekstem. Czasami ludzie są gorsi od zwierząt, Anchnumie. — Hetyta uśmiechnęła się gorzko.

— Chcesz się zemścić?

— Żyję tylko dla zemsty.

— Chciałbym ci pomóc.

— Głuptas jesteś.

— Nigdy cię nie zdradzę.

— Ja ciebie też nie zdradzę. Przysięgam — odparł wzruszony Ursilis.

Karkemisz, leżący nad Eufratem, był ludnym miastem, choć nie tak potężnym jak Ugarit czy inne fenickie miasta. Równie dobrze czuli się tutaj Babilończycy, co Syryjczycy, Fenicjanie, przybysze z Urartu i Asyrii, chociaż mieszkańcy Urartu, miasta nad słonym jeziorem *, mieli stale na pieńku z Asyryjczykami, których nie potrafili odróżnić od Babilończyków z powodu takiego samego języka. Nietrudno więc było o niepokoje i bijatyki.

Miasto było niezależne, a rządy sprawowała wielka rada złożona z bogatych kupców i kapłanów Baala. Karkemisz wspaniale rozbudował przed trzystu laty Hammurabi, wielki król Babilonu. Rządząca obecnie w Babilonie kasycka dynastia próbowała narzucić Karkemiszowi swą zwierzchność, lecz miasta i jego zysków z jedyne go brodu na Eufracie na przestrzeni setek mil strzegła armia licząca dziesięć tysięcy najemników z kraju Amurru, spod Kadesz oraz wojowników z kraju Mitanni, którzy szukali szczęścia poza ojczyzną.

Na ulicach tego gwarne go miasta spotkać można było zaklina-czy węży z Indii, szamanów z gór Elam, którzy tańcem zaklinali bogów, często widywano wysokich pasterzy znad wielkiego morza w środku lądu, położone go za Urartu i górami Kaukaz, oraz skośnookich ludzi, którzy wywoływali niemałe poruszenie, gdy tylko się pojawiali. Handlowali oni delikatnym i cienkim jak liście materiałem, który uwielbiały babilońskie kobiety. Mówiono, że na wschodzie istnieje wielkie państwo i tam ludzie ci mieszkają.

Ulicą jechał bogato zdobiony wóz. Obok woźnicy siedział wysoki mężczyzna z długą plecioną brodą, w szatach z purpurowego sukna. Gdy tylko wóz wjechał w ceglana bramę strzeżoną przez kamienne lwy, podbiegli do niego słudzy i podstawili fotel, na którym mężczyzna usiadł, by zanie siono go do pałacu.

— Niech bogowie strzegą twych kroków, oby bogini Isztar zesłała twemu sercu szczęście i rozkosz, jakiej pragniesz — rzekł na powitanie szambelan.

— Daruj sobie te uprzejmości — mruknął mężczyzna. —

* Jezioro Wan we wschodniej części Azji Mniejszej.

Każ natychmiast podać sok z granatów. Wiesz, jak go lubię, Ardaszirze. Były wiadomości od mego brata?

— Niestety, mój panie, dostojny Szamaszi nie przysłał jeszcze listów, choć lada dzień ich oczekujemy. — Ardaszir skłonił się i zniknął za haftowaną w skrzydlate potwory kotarą.

Mężczyzna w purpurze usiadł na krześle, gładząc wypielegnowanymi dłońmi uperfumowaną brodę.

— Czegoś mi brakuje... Wiem, fiołki. Chcę czuć w moim domu zapach fiołków! — powiedział do siebie.

Po chwili kotara poruszyła się i wszedł Ardaszir z pucharem na tacy.

— Panie, jeśli dobrze słyszałem, pragniesz fiołków, ale obawiam się, że tutaj nie można ich kupić.

— To zrób coś, bo muszę je mieć — odrzekł mężczyzna, biorąc do ręki puchar. — Przynies tabliczki z *Gilgameszem*. Na czym skończyliśmy?

— Skończyliśmy na tym, jak ptak Imdugud zasiadł na gałęziach drzewa Huluppu, a bogini Isztar, która pożądała tego drewna do budowy łoża, została podrapana przez potwora i wtedy wezwała Gilgamesza... — powiedział Ardaszir.

— Tak, biedaczka — westchnął w zamyśleniu brodac. — Zawsze, kiedy czytam ten fragment, myślę, że zwykła ladaczniczka jak te, które stoją przy świątyni Isztar, dałaby po prostu potworowi po pysku. Nie czerwień się. Wiem, że często chodzisz do świątyni, żeby ulżyć swej chuci!

— Ależ, panie?!

— Nudzisz mnie dzisiaj. Odeszła mnie ochota na lekturę. Idź do świątyni. Jak weźmiesz do łoża jakąś kapłankę, to będzie może w tobie więcej życia — parsknął dostojnik.

— Nawet gdybym chciał, nie mogę...

— Dlaczego?

— Bo kapłanki zawarły bramy przybytku. Protestują przeciwko podatkom, jakie rada miasta nałożyła na świątynię.

— Potworne! Jakich to czasów dożyliśmy, Ardaszirze! Nawet miłość jest opodatkowana!

— Ale to jeszcze nie wszystkie złe wieści. W czasie twej podróży z Babilonu banda Elamitów przeszła przez rzeką i grasuje teraz gdzieś za miastem po syryjskiej stronie.

— Niesłychane! Elam po syryjskiej stronie Eufratu? Jak to? Przecież Elam jest o setki mil stąd! Jak te psy mogły przejść przez kraj Mitanni i Babilon?

— Nie wiem, jak to mogło się stać, a co gorsza, są nieuchwytni. Tylko wczoraj spalili dwie wioski na wschód od miasta.

— O wielki Marduku, i na cóż nam armia, skoro te psy z Elamu chadzają po twoich ogrodach! — wykrzyknął z rozpaczą brodac.

— Panie, jeszcze jedno...

— Co takiego?

— Jedna z niewolnic próbowała popełnić samobójstwo.

— Co takiego? W moim domu?

— Ale jej się nie udało.

— Która?

— Fenicjanka Kama.

— Ardaszirze, to na pewno twoja wina, bo jak cię znam, próbowałeś zmusić ją do uległości.

— Ależ, panie...

— Jak tego dokonałeś? Jestem niezmiernie ciekaw...

— Panie!

— Ręka mnie świerzbi, żeby złamać kij na twoim grzbiecie, ale jesteś wiernym sługą, a moja cierpliwość nie zna granic!

— Źródło miłosierdzia! — krzyknął Ardaszir.

— Idź teraz po fiołki. Chcę je mieć.

Enaburiasz, przyrodni brat Szamaszego, lubił rzadkie kwiaty i drwił z bogów.

Było już dobrze po zmroku, kiedy Ursilis obudził Anchnuma.

— Wstawaj, musimy minąć wioskę, zanim wzejdzie księżyc. Anchnum zebrał się szybko. Po chwili konie niosły ich

w stronę dymiących zgliszcz. Właśnie pokazał się księżyc i zalał bladym światłem smutne pozostałości po spalonej wiosce. Anchnum zatkał chustą nos. Z mroku wyłonił się dziwny kształt, przypominający piramidę. Gdy podjechał bliżej, stwierdził, że to stos ułożony z odciętych ludzkich głów. Krzyknął przerażony i spał konia. Ursilis ruszył za nim i dopędził go za wsią.

— Nie mogłem, nie mogłem! — szlochał chłopiec.

— Wiem...

— To były głowy, ludzkie głowy! Tych ludzi z wioski...

Dlaczego ich zabito?

— Nie wiem. Mówiłem ci, ludzie są gorsi od zwierząt.

— Coś nas jednak różni! Coś musi nas różnić!

— To, że ludzie potrafią też czasami bezinteresownie kochać, choć to zdarza się rzadko — odpowiedział cicho Ursilis.

Ruszyli dalej, a za nimi szła matka dnia, gwiazdzista noc.

Po krótkim odpoczynku tuż przed świtem skierowali się na północny wschód, w stronę wielkiej rzeki. Krajobraz bardzo się zmienił, zniknęły drzewa, których w Syrii było pod dostatkiem. W lanach zbóż czerwieniły się maki, które zjawiły się na polach uprawnych razem z jęczmieniem i pszenicą. Przyjaciele wjechali na małe wzniesienie. Przed nimi rozciągał się widok na gościniec.

Ursilis dostrzegł duże grupy kupców sunące z zachodu w kierunku Karkemiszu. Nie szły jednak traktem, który niczym wielka wstęga wrzynał się w zielonopłową równinę.

— To dziwne — mruknął. — Kupcy schodzą z traktu, widzisz?

— Z powodu grasującej bandy?

— Może... Jeśli oni atakują wioski blisko drogi, to znaczy, że nikt tutaj nie rządzi.

Zauważyli jeszcze kilka innych grup kupców i rolników, którzy wieźli zboże do miasta odległego o kilkanaście mil.

Po dwóch godzinach jazdy dobiegł ich z lewej strony szum i wrzaski. Zatrzymali się. Ursilis wyciągnął z pochwy miecz. Usłyszeli przekleństwa wykrzykiwane po akadyjsku.

— Szczury, psy przeklęte! Jak to nie ma? Jak to nie ma? — krzyczał ktoś.

Świst różgi mieszał się z jękami bitych ludzi.

— Co tam się dzieje? — zapytał Anchnum.

— Nie wiem, ale sądząc z odgłosów, ktoś dostaje niezłe baty...

— Sucze syny! Oby wasze matki wyłyślały! — Wrzask był coraz głośniejszy. — Kiedy wasz pan każe mi coś znaleźć, wy macie robić to, co mówię! Fiołki mają być, jasne?! A jak nie, to zatłukę was, ścierwa!

Ursilis i Anchnum popatrzyli na siebie znacząco. Wprawdzie Anchnum rozumiał zaledwie połowę z tego, co usłyszał, lecz Ursilis, człowiek z gór, dobrze wiedział, czym są fiołki. Gdy doszli do miejsca, skąd dochodziły krzyki, zobaczyli trzech półnagich niewolników. Po ich plecach spływały strużki krwi. Człowiek, który ich bił, siedział na małym krzeselku i dyszał ciężko, a obok stały nerwowo kwiczące osły. U jego stóp leżała połamana różga.

— Mają być...

Szeptał jeszcze jakieś słowa, ale po chwili umilkł po części z wrażenia, jakie wywarły na nim wynurzające się z trawy konie, a po części dlatego, iż tak ochrypl, że nie mógł wydobyć głosu.

— Panie, kimkolwiek jesteś, nie przeszkadzaj sobie w przyjemności. Powiedz nam tylko, gdzie można przekroczyć Eufrat bez konieczności wjazdu do miasta — poprosił po akadyjsku Ursilis.

— Nie ma takiego miejsca — wybąkał przerażony człowiek. — Bród na Eufracie jest dostępny tylko z miasta i tylko za opłatą. Kim jesteście?

— Wieziemy pocztę do czcigodnego Enaburiasza, aptekarza, czy znasz go, panie?

— Czy znam? — Człowiek na krzeselku aż zatchnął się z wrażenia. — Jestem jego szambelanem. Nazywam się Ardaszir.

— I szukasz, panie, fiołków na suchych równinach?

— Skąd wiesz, czego szukam? — Ardaszir był wyraźnie zawstydzony.

— Słyszeliśmy, jak biłeś tych ludzi, bo nie mogli ich znaleźć. Fiołki rosną w górach. Daleko stąd... — wyjaśnił Ursilis. — Wybacz, panie, tę uwagę, ale twoja broda jest ośliniona. Opluć się.

Szambelan natychmiast zaczął energicznie wycierać brodę rękawem kaftana. Bił od niego niezwykły zapach ziół i przypraw. Nie był stary, miał może ze trzydzieści lat, lecz broda, jaką nosili wszyscy Babilończycy, dodawała mu powagi.

— Zaprowadzę was do mego pana, ale powiedzcie, kim jesteście i jakie są wasze imiona?

— Mniejsza na razie o imiona, czy to poznajesz? — Ursilis wręczył Ardaszirowi pierścień, na którego widok Babilończyk z szacunkiem schylił kudłatą głowę.

— Tak, poznaję, przybywacie od brata mego pana i bogom dzięki, że was spotkałem. — Ardaszir patrzył jednak z obawą na ich rosłe konie. — Czy te potwory też dał wam brat mego pana?

— Nie, to nasze zwierzęta. Masz zamiar nadal szukać fiołków?

— Nie, znalazłem coś lepszego — uśmiechnął się szambelan. — Dzięki wam mój pan nie złamie kija na moim grzbiecie.

Pod wieczór dotarli nad Eufkrat, niedaleko Karkemiszu. Zobaczyli wielką rzekę, której mętne wody toczyły się spokojnie na południe. Nad wodą z krzykiem unosiły się mewy. Anchnumowi przypomniał się Nil.

Enaburiasz

Enaburiasz patrzył na Ursilisa, lecz jego brązowe oczy zdawały się niczego nie widzieć. Był podobny do Szamasiego, miał taki sam orli nos i cofnięty podbródek, lecz w przeciwieństwie do swego przyrodniego brata był wysoki i szczupły. Biło od niego dostojeństwo. Ursilis miał wrażenie, że gdzieś już spotkał tego człowieka, nie pamiętał jednak gdzie i kiedy.

— Wszystko się zgadza. Jesteście tymi, na których czekałem. Obiecuję wam, że nie zabawimy długo w tym przeklętym mieście. Jutro, najpóźniej pojutrze, ruszamy do Babilonu. Droga jest spokojna — powiedział flegmatycznie Enaburiasz.

— Spokojna? A bandy grasujące w okolicach miasta?

— Ci zbóje nie odważą się zaatakować nikogo na terytorium Babilonu.

— Nie? Wybacz, dostojny panie, ale widziałem, do czego są zdolni. W jednej z wiosek, przez które przejeżdżaliśmy, zostawili głowy mieszkańców ułożone w stos. Czy to jest, twoim zdaniem, spokój?

— No cóż...

— To byli ludzie z gór Elam, mam rację?

— Tak, ale to tylko jakaś mała banda. — Enaburiasz popa-

trzył podejrzliwie na Hetytę. — Jesteś, młodzieńcze, bystry... Babilon nie jest już tak silnym państwem jak kiedyś. Górale przechodzą rzekę Tygrys i grasują po całym Międzyrzeczu. Organizujemy przeciw nim wyprawy, lecz to nie zdaje egzaminu. Potrafią znakomicie się zamaskować i przetrwać. Góry Elamu są przeludnione i ludzie schodzą w doliny, ponieważ nie mogą wyżywić swoich dzieci.

— Elamici po syryjskiej stronie Eufratu? To się nie mieści w głowie! — wykrzyknął Ursilis.

— Niestety, wielu lokalnych namiestników, których rodziny obdarzył zaszczytami jeszcze Hammurabi, zajęło się własnymi interesami. Najmują górali, by ci walczyli w ich imieniu.

— Więc to wojna domowa?

— Tak bym tego nie nazwał. Ale to prawda, że namiestnik miasta Mari, Iszmedagan, skoligacony ze starą dynastią, prowadzi przeciw Kasytom wojnę.

— I to nie jest wojna domowa?

— Nie, bo Kasyci to nie jest dynastia, którą chcielibyśmy widzieć na tronie w mieście bogów.

— My? Czyli kto?

— Powiedzmy, że nie wszyscy są zadowoleni z króla w Babilonie. Przybywacie do Babilonu w nieco niespokojnych czasach.

— Czy panujecie nad Asyrią?

— Nie. — Twarz aptekarza zadrżała z wściekłości. — Tam panują Mitanni, o których wciąż wiemy bardzo niewiele, poza tym, że nasza piechota jest bezradna wobec ich rydwanów. Babilon płaci haracz do Wassukani.

— Proszę, nie mówmy teraz o polityce — rzekł Ursilis. — Czy gwarantujesz nam bezpieczny pobyt w Babilonie?

— Oczywiście. Lecz będziecie pracowali w mojej aptece na swe utrzymanie.

— To zrozumiałe.

— Czy jesteś Hetytą, chłopcze? — zapytał Enaburiasz.

— Jestem. I co z tego?

— Babilończycy raczej nie lubią Hetytów, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— To stara historia. Król Hetytów, Mursilis, przed stu laty złupił i spalił twe miasto.

— Twoja znajomość akadyjskiego jest zachwycająca. Brat pisał mi, że zżył się z wami. Gdybyś miał odpowiednie ubranie, mógłbyś uchodzić za...

— Babilończyka — dokończył Ursilis z uśmiechem.

— Miło się z tobą gawędzi — stwierdził Enaburiasz. — Czy zechciałbyś powiedzieć mi, co wiesz o Mitanni?

— Nie wiem zbyt wiele... Wybacz, panie, moją śmiałość, ale powiedz mi, dlaczego kazałeś szukać Ardaszirowi fiołków, przecież to górskie kwiaty...

— Wiem, lecz jestem człowiekiem złośliwym i lubię robić moim sługom psikusy, szczególnie wtedy, kiedy mnie drażnią, zadając idiotyczne pytania.

Statkiem miały fale. Większość pasażerów zaczęła wymiotować. Kajuta, w której podróżował Puimre, była szczytem wygody, mimo wąskiej maty i odoru niemytych ciał wioślarzy, dolatującego spod pokładu. Na całym statku unosił się ten zapach.

Puimre był zbyt inteligentny, by spodziewać się dobrego przyjęcia w Ugaricie. Wciąż jednak rozmyślał nad sensem i powodzeniem zadania, które powierzył mu Senenmut. Teraz, dzięki informacjom ministra, wiedział, że Hatszepsut odnalazła nic prowadzącą do przeszłości. A on miał przeszkodzić jej w poznaniu prawdy. To, co powiedział Senenmut, nie mieściło mu się w głowie.

Szum morza i bezustanne kołysanie przyprawiały go o mdłości. Na szczęście wypił więcej wina niż zwykle i szybko zasnął. Przyśnił mu się młody chłopiec z królewską chustą na głowie,

podający mu tabliczką. Tabliczka była pusta. Potem zobaczył tysiące ludzi maszerujących przez pustynię. Obrazy przemykały przez jego głowę, migotliwe i ulotne.

Enaburiasz bardzo bał się koni. Sam jechał pięknie ozdobionym wozem z drewna cedrowego, na którym widniały płaskorzeźby z ulubionymi przez Babilończyków skrzydłatymi pół ludźmi, pół lwami. Oprócz mułów i karocy do Babilonu zmierzało prawie pięćdziesiąt wozów należących do aptekarza.

— Więc mówisz, panie, że Babilon nas oszołomi — zagaił Ursilis.

— O tak, to miasto oszalamia każdego, kto przybywa do niego po raz pierwszy. Musicie jednak być ostrożni.

— Wiemy, co to ostrożność. Bardzo dobrze to wiemy — wtrącił Anchnum.

— Anchnumie, ty mówisz po akadyjsku? — Ursilis był mile zaskoczony.

— Tylko trochę. — Anchnum wyglądał na zawstydzonego.

— Mogę rozmawiać z wami po egipsku — pochwalił się Enaburiasz. — Słowniki w Babilonie nie mają sobie równych. Ja, z racji mojej profesji, muszę mówić w kilku językach. Dobry aptekarz zna wiele lekarstw i wiele sposobów na to, by je komponować, lecz uczciwie przyznaję, że egipscy lekarze są chyba najlepsi pod słońcem. To jedna z niewielu rzeczy, jakich naprawdę zazdroścę Egipcjanom.

— A inne? — zapytał Anchnum.

— Nil.

— Żartujesz sobie, panie. Równie dobrze ja mógłbym ci zazdrościć Eufratu!

— I niepotrzebnie, młody człowieku. Nil niesie raz do roku muł, a my musimy bez przerwy nawadniać pola i co rok pochłania to moc złota. Mówiłem ci, Ursilisie, że cała północ

Babilonii jest, niestety, pod zwierzchnością królów mitannijskich? — zmienił temat aptekarz. — Mitanni są bardzo chciwi. Babilon musi płacić haracz. Wyciskają z nas dziesiąte poty — westchnął.

— Szamaszi pracował dla was, prawda? — zapytał Ursilis.

— Doprawdy, Ursilisie, coraz bardziej mnie zadziwiasz. Tak, był informatorem, i źle się stało, że nie udało mu się w Ugaricie. A gdzie on właściwie jest? W listach nic nie napisał o swoich zamiarach.

— Wyjechał do Troi — odrzekł Ursilis.

— Do Troi? Po co? A zresztą, przez całe życie chadzał własnymi ścieżkami...

— Dlaczego mówisz, że to źle, iż opuścił Ugarit? Czyżby sprawa pożyczki?

— Więc wiesz?

— Wiem. Byłem przy tych rozmowach.

— Mitanni za rok lub dwa tak urosną w siłę, że zajmą całą Syrię. I nikogo nie będą pytali o zgodę. Egipt może i dałby radę mitannijskiej armii, lecz musiałby cały wysiłek skierować na Syrię. A jak na razie faraon Syrią się nie interesuje. I w końcu będzie tak, że hordy mitannijskie pójdą na południe i nic ich nie zatrzyma. A wtedy utną nam głowy. Dlatego kapłani Marduka chcieliby wzmocnić Egipt.

— Mało wiem o Mitanni... — wyznał Ursilis.

— Niewielu wie więcej. Przybyli ponoć zza wielkich gór na północy ze, sto lat temu. Początkowo były to małe grupy, które lekceważono. Ale z roku na rok było ich więcej. I w końcu król Hetytów, Mursilis — aptekarz nie zauważył, że Ursilis oblał się rumieńcem — ten pies zapieniony, który wywiózł posąg naszego boga z Babilonu, postanowił zrobić z Mitanni porządek. Chciał ich albo wygnać, albo wymordować. Do nas docierały jedynie strzępki informacji. Król jednak się przeliczył. Hetyci zostali zmasakrowani.

— To prawda — przyznał Hetyta.

— Sam więc widzisz, że oni nikogo się nie boją. Kiedy ich

rydwany spadły na Asyrię, nasze garnizony były zupełnie bezradne. Więc Babilon okupił się pokojem.

— Ciekawe rzeczy mówisz, dostojny Enaburiaszu. Z końskiego siodła trudno mi było stwierdzić, jak się sprawy mają.

— Niewiele zrozumiałem z tego, co mówiliście — przerwał im Anchnum. — Pomówmy teraz o...

— O tobie? — zapytał Enaburiasz.

— Tak.

— Mój młody przyjacielu — zaczął uprzejmie aptekarz — wiem niewiele więcej od mego brata, a przecież pisał mi w listach, które przywieźliście, że Anchnum jest nieślubnym synem jakiegoś urzędnika. Ponieważ mój brat wie wszystko, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ukryć was na pewien czas, tak jak prosił. I, na bogów, zrobię to. A potem, po dwóch lub trzech latach, jak pisze Szamaszi, powinieneś wrócić do Egiptu.

— Wrócić?

— Oczywiście jeśli tylko warunki będą sprzyjające. W Egipcie musi umrzeć pewien stary kapłan imieniem Seti, który, jak się zdaje, chłopcze, jest twoim ojcem. Wtedy skończą się wasze kłopoty. Bo, jak pisał Szamaszi, chodzi o jakąś nieprzyjemną sprawę ze spadkiem po matce...

Anchnum popatrzył zdezorientowany na Ursilisa.

— Nie wiesz wszystkiego, panie — wtrącił pospiesznie Hetyta. — Rodzice Anchnuma się rozwiedli...

— Doprawdy? To bardzo przykre! Ponoć wolą matki jest...

— By Anchnum został lekarzem — dokończył Ursilis.

— No właśnie, lekarz i aptekarz jednocześnie, wspaniale! A teraz wybaczcie, czas na moją drzemkę.

Setki mil dalej na zachód statek Irhuanaksa sunął po gładkim jak lustro morzu. Cypr był tylko wąską smugą lądu widzianą od rufy. Szamaszi siedział na głównym pokładzie i czytał sennik

Enheduanny, wielkiej kapłanki Isztar, siostry króla Akadu, Sargona Wielkiego. Czytał ten sennik, ponieważ od momentu wypłynięcia z Salaminy nawiedzał go ten sam sen: wydawało mu się, że mówią do niego bogowie. Śnił mu się też młody chłopiec, który podawał mu tabliczkę. Szamaszi brał ją do rąk, lecz nic nie było na niej napisane. Po chwili znajdował się na wielkiej równinie, pełnej tłoczących się i krzyczących ludzi.

Nagle wiatr się wzmógł. Wioślarze odetchnęli. Irhuanaks płynął do kraju, z którego pochodził, na wyspę boga-byka, na wyspę smutku, Krete.

Gdy wóz Enaburiasza wreszcie ich wyprzedził, przyjaciele mogli porozmawiać.

— Przecież to, co on mówił, nie ma sensu — irytował się Anchnum.

— Nie w tym rzecz. Szamaszi celowo nic napisał bratu prawdy. Najwyraźniej mu nie ufa.

— Powiedział, że jestem bękartem.

— Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby kapłani Marduka dowiedzieli się, kim jesteś naprawdę? Mówiłem ci, że masz w sobie krew królów. Gdybyś wpadł w ich ręce, na pewno wykorzystaliby cię w swoich politycznych grach.

Anchnum milczał.

Chłopak spał na wozie do południa. Ardaszir bił niewolników, a Ursilis i Enaburiasz rozmawiali o polityce. Aptekarz z uwagą słuchał słów Hetyty, a ten uważał, by z niczym się nie zdradzić. Nie miał do niego zaufania.

Pochód zatrzymał się dopiero przy samotnej akacji, która jakimś cudem ostała się na bezdrzewnych połaciach równin Babilonii i przy której trakt się rozgałęział. Jedna droga wiodła

do Nippur, starego sumeryjskiego miasta na południu kraju, druga do Babilonu. Ludzie aptekarza zsiadli z koni, by przygotować popas. Ardaszir skierował się w stronę wozu pełnego amfor z winem i wodą, bo upał był niezwykle. Nagle zza płachty wyskoczył młody niewolnik.

— Co tam robisz?

— Ja? Nic, zupełnie nic — wybąkał chłopak.

— Kłamiesz! — Ardaszir wyjął zza pasa cienką laskę. — Co tam robisz?

— Sprawdzam, czy amfory są szczelne.

Ardaszir czuł, że ogarnia go wściekłość.

— Podnieś dłoń! — syknął, lecz nagle, gdzieś za sobą, usłyszał cichy świst. Właśnie miał się odwrócić, gdy gardło niewolnika przeszła strzała. Chłopak, brocząc krwią, osunął się na ziemię. Świsnęły kolejne strzały. Słudzy, którzy siedzieli na wozach, padali jak sieczone wichrem trzciny.

— Elam! — wrzasnął Ardaszir. — Do broni! Elam!

Ursilis i Anchnum jedli właśnie placki z prosa, popijając winem, gdy powietrze wokół wypełnił świst strzał. Ursilis błyskawicznie skoczył do swojego konia i zdołał wyciągnąć miecz. Prerażone jękiem rannych zwierzęta uciekły, lecz Ursilis wiedział, że wróca. Anchnum i Enaburiasz dobiegli do Hetyty.

— Kto to strzela, do najstraszniejszych demonów?! — wysapał Enaburiasz, któremu zamieszanie przerwało drzemkę.

— Strzelają z prawej strony! — krzyknął Ursilis.

Nagle strzała musnęła ramię Enaburiasza. Syknął z bólu, a na rękawie pojawiła się pąsowa plama.

— Nie wychylaj się, panie — ostrzegł Ursilis.

Większość sług aptekarza zdołała ukryć się za wozami, lecz mimo to na ziemi leżało kilka ciał. Ostrzał z łuków ustał tak nagle, jak się rozpoczął. Gdzieś za nimi zarżał przestraszony koń.

— Co to? — szepnął Enaburiasz. — Słyszycie?

W oddali rozległ się łoskot wyciąganych na komendę mieczy. Zaraz potem usłyszeli miarowy dźwięk grzechotek, który stop-

niowo się przybliżał. Aptekarz, mimo rozdzierającego bólu ramienia, zamarł bez ruchu. Znał ten dźwięk. Znali go wszyscy mieszkańcy Babilonii.

— Górale z Elamu — powiedział, zdjęty trwogą.

Anchnum wgramolił się na wóz, żeby lepiej widzieć.

— Widzisz coś? — zapytał Ursilis.

— Może trzydziestu ludzi, zarośnięci, poubierani w jakieś łachmany. Idą w naszą stronę.

W tym momencie Elamici biegiem rzucili się w stronę wozów. Na ich szyjach wisiały zrabowane wisioriki i pierścienie, często razem z palcami właścicieli, włosy mieli skołtunione i cuchnące łojem.

— Panie, jeśli chcesz, abyśmy przeżyli, każ wysypać swe dobra na ziemię — rzekł pospiesznie Ursilis.

Ardaszir popatrzył z przerażeniem na Enaburiasza, lecz ten dał znak głową, że się zgadza, choć wyszeptał:

— Błagam, tylko nie zioła...

— Panie, twych ziół użyją na ognisko, na którym nas spalą — wyszeptał Ursilis. — Szybciej, natychmiast to rozsypcie!

Słudzy w mig pojęli, w czym rzecz. Wyciągnięto z wozów wszystko: bele płótna, jedwabie z dalekiego kraju na wschodzie, cekiny, indyjskie przyprawy i kosztowności. Wrzask napastników dochodził już z bardzo bliska. Znowu świsnęły strzały. Jeden ze służących krzyknął i padł martwy. Reszta wczołgała się pod wozy.

— Ach, żebym miał łuk! — krzyknął Ursilis.

— Został w jukach! — odkrzyknął Anchnum.

Pierwszych kilkunastu Elamitów dopadło kosztowności. Włóczniami przygwoździli rannych do ziemi i rzucili się na rozsypane dobra. Nie mieli broni, poza zdobyczną, a groty ich włóczni zrobione były z obsydianu. Rozległy się przekleństwa i bełkotanie w języku, jakiego nie znał żaden z ludzi Enaburiasza. Ursilis mocniej ścisnął hetycką klingę.

— Nie ruszaj się stąd — szepnął do Anchnuma.

Przykucając za wozami, mogli zobaczyć Elamitów z bliska. Kłócili się o łupy, uznając, że wszyscy zaatakowani uciekli. Nagle jeden ruszył w ich stronę. Ursilis zrozumiał, że chce zobaczyć, co jest za wozem. Cicho wychynął zza koła.

— Atakujemy wszyscy w jednej chwili, ja tnę pierwszy — wyszeptał.

Elamita nie zdążył nawet krzyknąć. Na moment tylko błysnął przed jego oczyma miecz Ursilisa. Dostał straszne cięcie w twarz. Trysnęła krew. Elamita zwałił się na ziemię.

— Teraz! — wrzasnął Ursilis i wyskoczył zza wozu na trzech zaskoczonych górali, zajętych okradaniem trupów. Pierwszy dostał cios w prawe ramię. Zdążył krzyknąć, ostrzegając resztę bandy, która natychmiast się rozproszyła. Drugi Elamita zdążył wprawdzie zamachnąć się toporem, ale miecz Ursilisa z niespotykaną siłą przeciął mu łańchmany na brzuchu. Bandyta chwycił się za podbrzusze, lecz nie mógł zatamować płynącej strumieniem krwi. Wszystko to działo się w mgnieniu oka. Trzeci dobył obsydianowego noża, lecz Ursilis miał dłuższy oręż i końcem brzeszczota zahaczył o gardło Elamity, który zwałił się na białe płótno Enaburiasza.

Wtedy zza wozów wypadli słudzy aptekarza. Rozpoczęła się walka, krótka, lecz zajadła. Zgrzytneły miecze, groty oszczepów raniły twarze, tłukły oksze i elamickie topory oraz siekiery z obsydianu. Górale stawiali zacięty, ale chaotyczny opór. W końcu zaczęli cofać się przed Ursilisem, ponieważ każdy, kto podchodził na długość miecza, padał, brocząc krwią. Nim przesypała się klepsydra, Elamici nie wytrzymali naporu sług Enaburiasza i uciekli w pola, zostawiając przeszło dwudziestu zabitych i rannych. Ursilis zatrzymał się dopiero koło samotnej akacji, dopadając ostatniego uciekiniera. Bandyta dostał cios mieczem w kark i zwałił się w wysokie trawy, barwiąc końcówki roślin rudą czerwienią. Ursilis popatrzył na swoje ubranie; cała tunika była we krwi. Wytarł klingę o śmierdzące szmaty Elamity i wrócił na pobojobowisko. To, co zobaczył, przyprawiało o mdłości.

Ciała leżały na całej długości karawany. Jedne skulone, jakby skrywając w fałdach ubrań rany, przez które wyciekło życie, inne rozciągnięte na wznak, w zakrzepłych kałużach krwi. Poznawał straszne cięcia swego miecza. Obok z wozów leżały ciała Elamity i jednego ze sług Enaburiasza splecione w morderczym uścisku. Nad nimi pochylał się Anchnum. Gdy zauważył idącego z mieczem Ursilisa, nie powiedział nic, tylko patrzył z lękiem na przyjaciela. Zastanawiał się, w jakich okolicznościach Hetyta nauczył się tak walczyć.

Statek wszedł na redę portu w Ugaricie. Puimre nie mógł się zdecydować, czy powiadomić o swoim przybyciu egipskiego namiestnika. Młody sługa Amona wiedział, że prawdziwy cel jego wizyty musi pozostać tajemnicą. Po kilku tygodniach kołysania, spożywania nieświeżej wody i śmierdzącego jedzenia pomyślał, że przyjemnie jest postawić stopę na stałym lądzie. Zaskoczyło go zachowanie ludzi w porcie. Spodziewał się co najmniej stanu wyjątkowego, tymczasem życie toczyło się, jak gdyby nic się nie stało. Niewolnicy nosili ciężkie skrzynie, kapitanowie wrzeszczeli na majtków, rybacy wyładowywali ze swych łodzi wielkie ryby i wieszali je na hakach. Puimre, w długiej białej szacie i z ogoloną głową, wywołał żywe zainteresowanie. Nagle podeszło do niego kilku egipskich oficerów w krótkich tunikach i w perukach z czarnej wełny.

— Witaj, panie. Powiadomiono nas o twym przybyciu — rzekł oficer z drewnianą laską zakończoną skarabeuszem.

— Bądźcie pozdrowieni. Niech wszechpotężny Amon was prowadzi, a Ra strzeże waszych kroków.

— On głównie nas przypieka — zażartował drugi "oficer. Puimre popatrzył na niego z przyganą. To dlatego Egipt słabnie. Nawet oficerowie szydzą z bogów, pomyślał.

— Dostojny...

— Puimre. Mam na imię Puimre.

— Dostojny Puimre, poprowadzimy cią przez to przekłete, zapomniane przez bogów Egiptu miasto do naszej twierdzy. Tam odpoczniesz i porozmawiasz z Hapusenebem, kapłanem Amona, który już przybył.

Szli ulicą dostatecznie wolno, by Puimre zdążył przypatrzeć się twarzom przechodniów. To, co z nich wyczytał, zaskoczyło go. Była to nienawiść. Kapłan poczuł się nagle jak człowiek stąpający po ziemi, która ma być za chwilę zalana przez powódź. Przed wejściem na plac, na wysokości świątyni Asztarte, tłum zaczął gęstnieć.

— Psy! Egipskie psy znieważyły kapłankę bogini! — wrzeszczano.

Ktoś rzucił kamieniem w dwóch egipskich żołnierzy z tarczami, a ci cofali się od wejścia do świątyni w kierunku muru cytadeli.

— Co tu się dzieje? — zapytał Puimre.

— Nie wiemy, panie — rzekł oficer z laską — ale byliśmy pewni, że w końcu dojdzie do jakichś niepokojów.

Tłum ruszył za żołnierzami. Posypały się kamienie i zgniłe owoce. Żołnierze pchnęli włóczniami dwóch osiłków, którzy rzucili się na nich z pałkami. Jeden cofnął się, chwytając za zakrwawione biodro, drugi nie wstał już z ziemi. Tłum zawył z wściekłości. Puimre i oficerowie oglądali tę scenę zza zakrętu przed świątynią Asztarte.

Oficer o imieniu Menzi podniósł do ust róg, który miał przypięty do pasa. Rozległ się piękny, głęboki i majestatyczny dźwięk. Setki kipiących nienawiścią oczu zwróciły się w ich stronę. Ludzie wiedzieli, kim jest Puimre, ponieważ znano w Ugaricie kapłanów Amona. Mieszkańcy, a zwłaszcza wspólność portowe, uważało ich za szczególnie niebezpiecznych i groźnych czarowników. Nienawiść do Egipcjan pogłębiły okrucieństwa Hapuseneba, którego przed kilkoma miesiącami ktoś obrzucił oślim łajnem. Kapłan nakazał Pepiemu, aby ten wypuścił na miasto łuczników nubijskich, a ci zasypali tłum gradem strzał. Przez cały dzień na ulicach leżało przeszło sto

ciał ze strzałami w gardłach, brzuchach i plecach. Zginęły również dzieci. Rada safetów w Ugaricie powzięła wówczas decyzję, aby do miasta wprowadzić dwa pułki fenickich oszczepników i wyborowy oddział achajskich najemników, przeszło tysiąc ludzi. Wojska skoszarowano w dzielnicy portowej. Pepi i Hapuseneb nic o tym nie wiedzieli, bowiem nie było ich już w tym czasie w mieście.

— Rozstąpić się, ludzie, bo popamiętacie! — Oficer z drewnianą łaską torował drogę czterem Egipcjanom.

Dla Puimre to nienawistne szemranie tłumu było nieznośne. Próbował współczuć tym ludziom, lecz szybko zgasił w sobie tę chęć. Syryjczycy niechętnie rozstępowali się przed łaską egipskiego oficera. Tłum śmierdział potem, czosnkiem i rybami. Kapłana zaczęło mdlić, ale starał się dotrzymać kroku swojej eskorcie. Do bramy cytadeli było już niedaleko, gdy ktoś wrzasnął, że Achajowie wyszli z kwater. Tłum zafalował. Stojącego z tyłu Menziego pochwyliły setki rąk. Trzej pozostali żołnierze zaczęli młócić mieczami. Zranili kilka kobiet i sprawili, że tłum się rozstąpił. W ostatniej chwili oficer z łaską i Puimre zdołali wbiec w bramę cytadeli. Za plecami słyszeli potworne krzyki dwóch pozostałych oficerów, których tłum dosłownie rozszarpał na strzępy. Egipcscy łucznicy, widząc z murów głowy kopane jak piłki i oderwane ręce wznoszone niczym trofea, poczęli słać w tłum strzałę za strzałą. Tłum cofnął się z placu, którego ziemia poczerwieniała od krwi.

— Nigdy nie przypuszczałem, że macie tutaj tak urozmaicone życie — wydusił czerwony z wysiłku Puimre.

Oficer uśmiechnął się kwaśno.

— Myślę, że przez najbliższe dni wrażeń nam nie zabraknie. Pozwól, panie, że się przedstawię. Jestem Nehi, dowódca pułku libijskiego, stacjonującego w tym garnizonie.

— Nie wyglądasz na Libijczyka — zauważył Puimre.

— Bo nim nie jestem, urodziłem się w Memfis. Tylko dowodzę Libijczykami.

— W takim razie przyjmij ode mnie podziękowania za

uratowanie życia. Oddałeś wielką przysługę Egiptowi. Nie wiesz nawet, jak wielką.

— Nie znam się na polityce. Robię to, co do mnie należy.

— Bądź pewny, że o tobie nie zapomnę, Nehi.

— Dzięki ci, panie, lecz błagam, odsuń się od bramy...

W tym momencie uderzyło w nią kilka dużych kamieni. Tymczasem na dziedzińcu stanął w szyku pułk libijskiej piechoty. Na oczach Puimre i Nehiego otwarto bramę, przez którą zaczęli wychodzić na plac libijscy żołnierze. Nehi podbiegł do jednego z podoficerów.

— Kto wydał rozkaz wyjścia na miasto? Oszaleliście? Rzykujecie starcie z marynarzami z portu!

— Panie, nie wtrącaj się. Rozkaz wydano odgórnie, a do mnie należy wykonanie go — odpowiedział Libijczyk.

— Kto wydał rozkazy?

— Sam dostojny Pepi i Hapuseneb powiedzieli nam na odprawie, że jeśli w mieście dojdzie do niepokojów, mamy za wszelką cenę spacyfikować ten syryjski motłoch. Co, jak widzisz, czynimy.

Zmieszany oficer zwrócił się do Puimre:

— Ci głupcy zapalą stos, na którym wszyscy spłonimy.

— Prośmy bogów, by tak się nie stało — odrzekł cicho Puimre.

— Panie, jestem człowiekiem, który boi się bogów. Ale wierz mi, że tutaj bardziej od modłów do Amona przydałaby się tęga głowa, która dogada się z safetami, zanim będzie za późno. Im nie zależy na wojnie, która jest kosztowna, ale na tym, by ich brzuchy pełne były piwa i baraniny.

— A ten motłoch? — zapytał kapłan.

— Motłoch słucha fanatycznych kapłanów Baala, mówiących, że ich bóg nie może znieść Egipcjan na ziemi, którą wybrał.

Dalszą rozmowę przerwał ryk za murami cytadeli. Pobiegli po schodach na wał, by zobaczyć, co dzieje się na placu. Libijczycy zaczęli rzeź, tłum cofnął się przerażony, zostawiając

miejsce oszczepnikom fenickim, którzy wyszli ze swoich portowych kwater. Na Libijczyków posypały się kamienie z proc i krótkie oszczepy. Zaraz potem dwa szeregi rzuciły się na siebie. W górę wzbil się tuman pyłu, nic już nie było widać. Co chwilę na dziedziniec cytadeli wbiegali zdyszani posłańcy.

— Port zablokowany, nasze statki stoją na redzie!

— A najemnicy achajscy? — zapytał jednego z gońców Nehi, który widział ich już dwa tygodnie wcześniej w porcie.

— Na razie siedzą cicho. Ale niektórzy szpiedzy w porcie mówili, że safeci jeszcze im nie zapłacili.

— No to, do stu piorunów, zapłaćcie im! — krzyknął Nehi.

— Nie mamy dostępu do skarbcza. Ty jesteś najstarszym rangą oficerem po namiestniku Pepim, Nehi! — krzyczeli żołnierze.

— Wasi ludzie przechodzą na żołąd Amona! — oznajmił Puimrc.

Wszyscy żołnierze, łącznie z Nehim, popatrzyli na niego zdziwieni.

— Jestem w Ugaricie z polecenia dostojnego Senenmuta, wielkiego ministra faraona. Pozwalam na otwarcie skarbcza!

Oficerowie wzniesli okrzyki na cześć kapłana i Amona, po czym pobiegli do koszar po pieniądze. Razem z Nehim i oficerami postanowili przekupić Achajów i odblokować port, a następnie spacyfikować miasto, którego Egipt nie mógł utracić.

Wieczorem po okolicy rozeszła się wieść, że w Ugaricie wybuchło powstanie przeciwko Egipcjom.

Smutne pobojuwisko po walce z Elamitami zniknęło w od dali. Karawana skurczyła się, ponieważ wielu sług Enaburiasza zginęło i kilka wozów trzeba było zostawić.

— Na co patrzysz? — zapytał Ursilis Anchnuma.

— Na mrówki.

— A gdzie ty je widzisz?

— Na ziemi. Jedna dźwiga źdźbło trawy, a inne jej pomagają. Popatrz, jeśli nawet wszyscy ludzie wyróżną się pewnego dnia, mrówki nadal będą pchały swoje źdźbła trawy.

— Mówisz, jak przystało na młodego kapłana Sobka — pochwalił Ursilis. — I to na takiego, który kończy piętnaście lat!

— Nie dokuczaj mi, dobrze? — rzekł gniewnie Anchnum. — Zaraz, co ty powiedziałeś? Jak to piętnaście lat?

— Już prawie rok jesteśmy w drodze.

— To niemożliwe!

— Trzy miesiące jechaliśmy do Ugaritu, tam spędziliśmy kolejne sześć, razem dziewięć, a teraz mija trzeci miesiąc, odkąd wyruszyliśmy z Ugaritu. Zgodnie z egipskim kalendarzem, minęło dwanaście miesięcy.

— Rzeczywiście... Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— A teraz czeka nas Babilon. Mam złe przeczucia...

Anchnum widział, że Ursilisa coś trapi. Choć dużo już o nim wiedział, miał wrażenie, że przyjaciel skrywa jeszcze niejedną mroczną tajemnicę.

— Ursilisie, opowiedz mi, jak to się stało, że trafiłeś jako niewolnik do Egiptu.

— Nie zwracaj mi głowy — prychnął Ursilis. — Nie podoba mi się nasz aptekarz. Coś mi mówi, że oii jest nie tylko aptekarzem. Jest chorobliwie ambitny...

— Myślę, że jest po prostu uprzejmy — odrzekł obojętnie Anchnum. — Wszędzie węszysz spisek...

— Widać taka już moja natura...

Minęły dwa tygodnie wypełnione monotonnym krajobrazem wielkiej równiny. Coraz częściej spotykali ludzi, zaczęły pojawiać się wsie i małe miasteczka, w których można było kupić świeżą żywność. Wieść o wycięciu całej elamickiej bandy szybko się rozeszła i pewnego dnia do karawany podjechało kilkudziesięciu jeźdźców na koniach. Wszyscy mieli długie

brody i należeli do straży świątyni Marduka. Ursilis przypatrywał się ich uzbrojeniu, składającemu się z lekkich włóczni i płóciennych, zgrzewanych z kilku warstw pancerzy, oni zaś z nieukrywanym podziwem spoglądali na jasnowłosego Hetytę i wspaniałą skórę lwa na grzbiecie jednego z jucznych koni, bo Babilończycy ponad wszystko na świecie kochali polowania na lwy. Wielu żołnierzy podchodziło do Ursilisa i częstowało go piwem z antałków, a kiedy okazało się, że ten hetycki chłopak nie tylko mówi znakomicie po akadyjsku i zna opowieści o półbogach, bohaterach i walkach z potworami, nic już nie mogło przeszkodzić w nawiązaniu przyjacielskich stosunków. Anchnum chętnie przysłuchiwał się tym rozmowom, rozumiejąc już większość akadyjskich słów.

Teraz droga wiodła skrajem rozległych pól i wśród drzewek granatowca. Wreszcie ich oczom ukazały się mury z wypalanej cegły. Nigdy jeszcze nie widzieli murów tak potężnych. Nad każdą bramą wznosiły się po dwie wieże. W dali strzelały w niebo zyguraty, które na wyższych piętrach zieleniły się pysznymi palmowymi ogrodami. Po ciele miasta przesuwwały się cienie małych obłoczków.

Wedle Enaburiasza, Babilon, *Bab-illon*, co po akadyjsku znaczy „brama bogów”, był jednym z cudów świata.

Brama bogów

Mężczyzna w kapturze poruszał się cicho i szybko. Półmrok gorącego wieczoru wlewał się w ulice. Człowiek minął wielkie skrzydlate demony strzegące wejścia do biblioteki wybudowanej *jeszcze przez* Hammurabiego. Nie oglądał się za siebie. Przy murze czekali na niego dwaj ludzie w czarnych długich opończach. Złożono głębokie ukłony. Gdzieś zapiszczał szczur, co w niezwyklej ciszy zabrzmiało niemal jak huk wodospadu.

— Niechaj Isztar strzeże twych kroków — rzekł przybysz do jednego z mężczyzn.

— Isztar strzeże kroków tylko tych, których sobie upodobała — zabrzmiała odpowiedź. — Co przynosisz?

— Błogosławieństwo bogów dla naszych zamiarów, Enaburiaszu.

— O tym się jeszcze przekonamy — rzekł aptekarz. — Jak twoje zaciągi? Będziesz walczył?

— A będę miał kogo poprzeć w Babilonie?

— O to my będziemy się martwili. Lecz pozwól, że jeszcze poczekamy. Im dłużej będziemy czekali, tym lepiej dla nas. Musimy uspić czujność Kasytów. Jesteś pewny, że nikt cię nie śledził?

— Za kogo mnie uważacie? Zapewniam Was, że przybyłem do Babilonu niezauważony.

— Wiemy, że potrafisz być ostrożny, ale wiemy też, jak rozżarzonymi obcęgami wyrzywa się uszy i palce u nóg i wtedy mówi się wszystko — rzekł drugi mężczyzna, stojący za aptekarzem.

— I mówisz to ty, Ardaszirze, chociaż nie jesteś Babilończykiem?

— Daj spokój, Iszmedaganie, nie ma znaczenia, jaką się miało matkę. Łączy nas jeden cel — przerwał mu Enaburiasz.

— Sargon Wielki też nie był Sumerem — dorzucił Ardaszir.

— Ale ty jesteś obcy.

— Skończcie z tymi docinkami! Porozmawiajmy poważnie — zniecierpliwził się aptekarz.

— Dobra myśl. Ja armię mam w pogotowiu — oznajmił Iszmedagan.

— Rozmawiałeś z Mitanni?

— Pracuję nad tym. Wiesz, jacy oni są nieufni — odpowiedział rządcą Mari. — A kredyt?

Ardaszir nieco się zmieszał.

— Nadal skupujecie królewskie długi? — zapytał Iszmedagan.

— Tak, chociaż zainteresowanie inwestycją wykazują ostatnio kupcy mitannijscy. Kilku z nich kręci się jeszcze po mieście. Dają deben procentu od pożyczonych dziesięciu — oznajmił Ardaszir.

— Co? — Iszmedagan był zaskoczony. — Te mitannijskie psy są tańsze od lichwiarzy świątynnych?

— Tak — odrzekł Enaburiasz. — Za ile je kupiłeś, Ardaszirze?

— Ja... jeszcze tego nie zrobiłem.

— Ale złoto zabrałeś, co, lisie? — Iszmedagan wpadł we wściekłość.

— Panie, zrozum, że to nie jest takie proste! — bronił się Ardaszir. — Wiesz, jacy są uparci. Myślę, że za trzydzieści debenów nam je odsprzedadzą.

— Za ile? Jesteś rozrzutny, medyjski bękarcie! — Iszmedagan wykrzywił usta ze złości.

— Mitanni nie znają prawdziwej wartości tabliczek z umową na pożyczanie — uspokajał go Ardaszir. — Nie wiedzą, jak je wykorzystać. Gdyby znali, musielibyście dać przynajmniej ze czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt. Nie musisz mnie lżyć, Iszmedaganie.

— Przestańcie wreszcie — wtrącił się Enaburiasz. — Przecież wszyscy nadstawiamy karku.

— Mój czas jest cenny, czy to już wszystko? — rzucił sucho Iszmedagan.

— Właściwie tak. Nadal będziemy skupowali królewskie weksle, ty przeciągniesz na naszą stronę Mitanni, w najgorszym razie kupisz ich neutralność.

Pierwszy oddalił się Iszmedagan. Aptekarz i Ardaszir wyszli z dziedzińca biblioteki długo po nim i ruszyli w stronę domu Enaburiasza, stojącego przy ziguracie Marduka. Szli w milczeniu. Aptekarz bał się, że jeśli jego plan zawiedzie, nie będzie na tyle odważny, by odebrać sobie życie.

— Nienawidzę tego drania... — szepnął Ardaszir.

— Wiem, ale musisz nad sobą panować. Trzeba uważać na tych dwóch, których przysłał mój brat. Szczególnie ten Hetyta coraz mniej mi się podoba.

— Dlaczego?

— Przypomina mi człowieka, którego kiedyś spotkałem... — Aptekarz zamyślił się na dłuższą chwilę. — Chyba wiem, kim on jest — podjął. — Ale jeszcze poczekajmy. — To było ulubione powiedzenie Enaburiasza. — Poczekamy i zobaczymy.

W oddali rozległo się pianie kura. Na wschodzie niebo poszarzało, noc zaczęła czmychać znad miasta. Przyspieszyli kroku.

Ursilis od czasu przybycia do Babilonu zmienił się nie do poznania. Mógł godzinami rozprawiać o tym, jak polować na lwy, jakiej używać włóczni i dlaczego jest ona lepsza od topora

lub miecza. Babilończycy, szczególnie młodzieńcy, którym dopiero sypnęły się brody, przychodzili do apteki Enaburiasza po afrodyzjaki, a pracujący tam Ursilis wywoływał niemałą sensację, przysparzając aptece klientów. Często wychodził z nowymi kompanami na piwo i prowadził długie nocne rozmowy o broni i polowaniach. Anchnum, który lubił spokój i ciszę, chodził poirytowany. Najbardziej drażniło go to, że Ursilis czuje się dobrze nie tylko w jego towarzystwie. Zamykał się więc w bibliotece Enaburiasza i po kilka godzin dziennie zgłębiał tajniki akadyjskiego.

— Anchnumie, na bogów, młody człowiek nie powinien ślęczeć bez przerwy nad tabliczkami — powiedział pewnego dnia Ursilis.

— A co cię obchodzi, co ja robię? — burknął Anchnum. — Całe godziny przesiadujesz przy kościach i piwie ze swoimi kompanami. To co mam robić?

— Też mógłbyś się trochę rozerwać. Czekasz na kogoś? — zaciekawiał się Ursilis, widząc, że Anchnum co chwila spogląda na drzwi.

— A nawet jeśli, to co?

— Nie musisz być taki drażliwy.

— To się ode mnie odczep. Idź sobie na piwo — odgryzł się Anchnum.

Rozległo się pukanie i do komnaty wkroczył Ardaszir. Anchnum odłożył tabliczki, zabrał opończę ze stołka i włożył sandały.

— Idziesz z nim? — zdziwił się Hetyta.

— Tak, Ursilisie. Chciałem zobaczyć miasto z tobą, ale ponieważ piwo jest dla ciebie ważniejsze, więc wybacz...

Wyszli. Ursilis obserwował ich przez okno, a gdy zniknęli za rogiem, również wyszedł. Dogonił ich pod ziguratem Marduka. Byli dobrze widoczni, ponieważ Ardaszir nosił purpurowe szaty.

Po kilku minutach skręcili w wąską uliczkę zastawioną straganami z prażonym bobem, mięsem wiszącym na hakach i nieznośnie śmierdzącymi gotowanymi krabami.

Ursilis przystanął. Ardaszir tłumaczył coś Anchnumowi, po czym znów ruszyli. Szli w kierunku Niebiańskiej Bramy. Tyśiące glinianych płytek w kolorze indygo tworzyło elewację, jakiej Ursilis nigdy nie widział. Spojrzał urzeczony na skrzydlate potwory, które łączyły w swych postaciach pierwiastki ludzkie, lwie i ptasie z siłą bogów. Uśmiechnął się. Przypomniał sobie legendy, które słyszał, będąc dzieckiem, w pałacu królewskim w Hattusas, mówiące o tym, że kiedyś takie demony utopią Babilon w morzu krwi.

Nagle zorientował się, że zgubił Ardaszira i Anchnuma. Zaczął biec, potrącając kilku handlarzy zbożem. W końcu ich zobaczył, znikali właśnie w małej bramie, którą tworzyły dwa kamienne ptaki składające skrzydła w rodzaj portalu. On także przeszedł przez bramę i znalazł się w morzu zieleni, przetykanej mnóstwem kwitnących biało krzewów. Szpaler drzewek obsypanych granatami prowadził w głąb ogrodu. Usłyszał czyjś głos i natychmiast schował się za pnem.

— To dobrze, że Mitanni szukają porozumienia. To nawet bardzo dobrze, zważywszy na to, ile było z nimi kłopotu.

— Uważasz, panie, że ten chłystek będzie dobrym towarem na wymianę?

— Myślę, że nawet bardzo dobrym. Na szczęście wcale nie muszę go informować o tym, jakie mam względem niego zamiary. Jest nam potrzebny i już. Będzie najlepszą gwarancją, jaką damy Mitanni.

— A co z tym egipskim szczeniakiem?

— On nas nie obchodzi. To jakiś bękart kapłana Amona. A gdzie on się podział?

— Jest z Enuaną. — Ursilis rozpoznał głos Ardaszira.

Krew uderzyła mu do głowy. Miał ochotę krzyknąć, wyć tak, by uszła z niego cała wściekłość. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę dużo groźniejszą, niż mógł wyśnić w najgorszym koszmarze.

— Z Enuaną także są same kłopoty, choć nie ukrywam, że ma wrodzony talent, dzięki któremu wyświadczyła nam wiele dobrodziejstw.

— Masz na myśli, panie, że w łóżku łatwiej jest zdobywać informacje?

— Możesz to sobie nazywać, jak chcesz. Dzisiaj informacja znaczy w najgorszym razie pieniądze, w najlepszym życie. Dlatego nie dziw się Enuanie. Ona to po prostu lubi. Do niczego jej nie zmuszam.

— Jak rozmowy? — zmienił temat Ardaszir.

— Dobrze. W pałacu nic nie wiedzą ani o nas, ani o tym, że był tutaj Iszmedagan z Mari...

— Ach, ten typ...

— Nic nie poradzą również na to, że osób, które są nam niezbędne, nie darzysz szacunkiem. No, oczywiście oprócz Enuany, której najwyraźniej pożądasz...

— Ależ, panie!

Ursilis po cichu wycofał się w głąb ogrodu. Już wiedział, kim był rozmówca Ardaszira. To Enaburiasz. Teraz musi znaleźć Anchnuma...

Anchnum został sam w ogrodzie. Dziwił się, dlaczego tutaj przyszli. Sądził, że wróżenie z wątroby, które obiecał pokazać mu Ardaszir, odbywa się na szczytach ziguratów, a nie w tajemniczych ogrodach.

— I co, mój mały, nadal ci się podobam?

Anchnum odwrócił się gwałtownie. Stała przed nim Enuana w zwiewnej sukni. Na widok jej prześwitującego spod delikatnych tkanin, cudownie wyrzeźbionego ciała poczuł dreszcz.

— Ty tutaj... — wykrztusił.

— Jestem tam, dokąd wzywa mnie moja bogini.

— A kim ona jest?

— Nie wiesz? — zaśmiała się kapłanka. — To rozkosz i miłość...

Podeszła tak blisko, że Anchnum poczuł jej zapach.

— Tylko mnie nie dotykaj... — wyszeptał.

— Dlaczego? Wiem, że tego właśnie pragniesz. Znam się na pragnieniach takich wyrostków jak ty.

Anchnum zrobił krok w tył.

— Obrażasz mnie, mój młody przyjacielu.

— Nic ci nie zrobiłem — wyjąkał chłopak.

— Właśnie że zrobiłeś. Rozbierasz mnie wzrokiem i nie chcesz mnie kochać... To zniewaga dla arcykapłanki Isztar.

— Uratowałem cię od śmierci — rzekł Anchnum, czując, że najego czoło wystąpił zimny pot. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

— Nie przypominam sobie — wyszeptwała. — Kiedy?

— W Megiddo...

— Nie, nie od śmierci. Od gwałtu. Choć dobrze wiem, jak wielką rozkosz poczułabym, gdyby ci silni żołnierze rozciągnęli mnie na ziemi.

I znów krok naprzód, i znów krok w tył.

— Gdzie my jesteśmy?

— Nie zmieniaj tematu — szeptała Enuana. — Chodź tu do mnie...

Tym razem to Enuana cofnęła się o krok, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytał chłopak.

— Ona nie na ciebie patrzy — usłyszał za sobą znajomy głos.

Odwrócił się. Pod drzewem stał Ursilis. Enuana rzuciła się do ucieczki.

Ursilis był szybszy.

— Puszczaj, draniu! — krzyknęła kapłanka, usiłując wyrwać się z żelaznego uścisku.

— Teraz powiesz wszystko — syknął Ursilis. — Co się tutaj dzieje?

— Nic ci nie powiem, kozi synu, a ty nic mi nie zrobisz, bo twoje godziny w tym mieście są policzone!

— Mów, bo zarznę cię jak świnie. Wiesz, że jestem do tego zdolny...

— Tak? — zapytała drwiąco. — W pobliżu są Enaburiasz i Ardaszir, więc raczej nie wyjdziecie stąd żywi.

— Może i tak, ale ty pierwsza zobaczysz świat podziemi!

— Nie wiesz, z kim rozmawiasz! Jestem wielką kapłanką Isztar i mój ród wywodzi się od potężnego Sargona.

— Nie obchodzi mnie twoje pochodzenie. Co robisz w Babilonie?

— Nic ci do tego, hetycki koźle...

— Powiesz wszystko albo wyłamię ci jeden palec za drugim. Co robiłaś w Megiddo i w Ugaricie?

— Zbierałam informacje.

— To mogła robić pierwsza lepsza dziwka. Mów prawdę.

— Robiłam to, co kazał Enaburiasz.

— Co cię z nim łączy?

— To mój brat...

Ursilis zaniemówił.

— To boli, puść mnie. Mitanni... Dlaczego Enaburiasz się nimi interesuje?

— Zapytaj go sama, na pewno ci powie. Co kazał ci robić aptekarz? — Ursilis znów ścisnął jej rękę, ona znów jęknęła i zamknęła oczy, żeby nie widzieli jej łez.

— Przekazywałam informacje do Ugaritu, a stamtąd szły do Babilonu i Wassukani! Nawet nie wiesz, hetycki barbarzyńco, jak oni cenią Isztar...

— Nie wątpię, kapłanki Isztar są najlepszymi ladacznicami na świecie.

— To boli! Chłopcze, zrób coś, twój przyjaciel mnie krzywdzi! — krzyknęła Enuana do Anchnuma, który przyglądał im się oniemiały.

— Ursilisie, nie rób jej krzywdy...

— Nie wtrącaj się, tu idzie o nasze życie! Boli cię? To dobrze, to znaczy, że jeszcze żyjesz. Szamaszi był z wami w znowie?

— Pewnie, że był... Handlował informacjami, a przy okazji załatwiał mnóstwo własnych interesów. Potem zniknął, drań. Jeszcze go dopadniemy.

— Dziwi mnie, że babilońscy szpiedzy tak się nie lubią.

— Niech cię to nie dziwi, tępaku! Nigdy nie widziałam mego przyrodniego brata na oczy, jeśli chcesz wiedzieć. I nie mam zamiaru go oglądać. Zawsze dbał tylko o swój pełny brzuch, nie o Babilon.

— Tak jak ty o swoją... — Ursilis urwał, widząc spojrzenie Anchnuma.

— A co, chciałbyś jej spróbować?

— Enuano, jeśli myślisz, że zadawanie ci bólu sprawia mi przyjemność, to się mylisz. Muszę jednak wiedzieć wszystko, rozumiesz? Wszystko!

— Dobrze, tylko puść mnie, tak bardzo boli... — szepnęła drżącymi wargami.

— Dobrze, ale teraz gadaj, bo jak nie...

— Mówiłam, że pierwszym moim zadaniem było zbieranie informacji w Syrii.

— Przeważnie w łożu?

— Skoro wiesz, to po co pytasz?

— Chewet. Dlaczego musiał umrzeć?

— Jaki znowu Chewet?

— Nie udawaj, że nie wiesz. — Ursilis znów chwycił rękę kapłanki. — W Megiddo zastąpiła nam drogę dziewczyna z orszaku Baala. To byłeś ty... Wtedy zginął Chewet.

— Biedak. To się stało przez przypadek, ty bydlaku. Nigdy wcześniej was nie widziałam. Po prostu...

— Co „po prostu”?

— Chciałam wiedzieć, jak to jest z czarnym mężczyzną.

— Kłamiesz.

— Dobrze... Na wszystkich bogów... proszę... Zobaczyłam cię, Hetyto, i byłam pewna, że gdzieś już widziałam twój twarz. To było szesnaście lat temu w Hattusas, na dworze twego ojca, choć byłeś wtedy dzieckiem. Byłam tam z Enaburiaszem.

Ursilis zbladł.

— Mów dalej.

— Pomyślałam, że gdyby udało mi się sprowadzić cię do Babilonu, pomogłoby to rozwiązać nasz problem. Właśnie z twojego powodu śledziłam was od Ugaritu aż do Babilonu.

— Do czego jestem wam potrzebny?

— Nie domyślasz się jeszcze?

— Mitanni...

Enuana uśmiechnęła się przez łzy. Był to zły uśmiech.

— Mam być zapłatą za pomoc dla Enaburiasza?

— Właśnie tak.

— Jesteście szaleni. Ty i twój brat, któremu ambicja odebrała rozum! A teraz powiesz, co tu robisz i dlaczego Ardaszir przyprowadził tutaj Anchnuma.

— Nic ci nie powiem...

I znów ból. Enuana zaczęła płakać z wściekłości.

— Dobrze... powiem. Miałam kogoś w domu Szamasiego, więc wiedziałam, że nie zabawicie długo w Ugaricie. Ruszyłam przed wami, a Enaburiasz wyjechał do Karkemiszu. Reszcie znacie.

— Nie odpowiedziałas na drugą część mojego pytania.

— Odpowiedziałam.

Enuana zbliżyła się do Ursilisa tak, że mimo wygiętej ręki niemal dotykała piersiami jego szat. Ursilis przez moment poczuł zapach fiołków...

— Już wiem, dlaczego Ardaszir musiał szukać fiołków na równinie — pokiwał głową Ursilis. — Wiem, jakie mogą być kaprysy twojego brata.

— Nie wiem, o czym mówisz, ale wiem... — Zbliżyła twarz do jego twarzy, na moment ich oddechy stały się jednym oddechem. Delikatnie musnęła ustami jego wargi. Ursilisa przeszedł dreszcz. — Właśnie dlatego chciałam tego małego Egipcjanina. Właśnie dlatego...

Ursilis wykręcił jej rękę, teraz jednak nie wykrzywiła się z bólu, tylko uśmiechnęła lubieżnie.

— Jesteś odrażająca.

— A ty nie jesteś mężczyzną, skoro nie chcesz dać mi tego, czego pragnę. Mój brat daje mi to zawsze...

— Niczego ode mnie nie dostaniesz. Idź sobie do świątyni Isztar i trzymaj się z daleka od Anchnuma, bo cię zabiję!

Enuana zamachnęła się, by uderzyć Ursilisa w twarz. Nie zdążyła. Złapał jej rękę. W oczach dziewczyny błysnęła nienawiść. Ursilis pchnął ją na trawę.

— Chodźmy. Mam jeszcze sprawę do Ardaszira — powiedział spokojnie do Anchnuma.

Odchodząc, słyszeli, jak Enuana krzyczy:

— Policzę się z tobą, ty hetycki draniu! Słyszysz? Nienawidzę cię, nienawidzę!

*

Po czterech miesiącach, kiedy sytuacja w Ugaricie wreszcie się uspokoiła, Puimre mógł ruszyć w stronę granic Babilonii. Jechał jako poseł egipski i podróż miała charakter oficjalny. Towarzyszył mu Nehi, który opuścił garnizon na osobistą prośbę Puimre.

Puimre do czcigodnego Senemmuta.

Niech Twych kroków strzeże Hathor i niech w Twym sercu zawita nadzieja.

Tym razem mam dla ciebie dobre wieści. Wpadłem na trop chłopca i jego hetyckiego opiekuna, a wszystko to dzięki pewnemu karczmarzowi, który opowiedział mi niezwykle zajmującą historię: w gospodzie, w wiosce, której nazwy nie pamiętam, Hetyta zabił kilku ludzi, w tym Ptahora, egipskiego oficera z garnizonu w Ugaricie.

Na południe od Aleppo zboczyliśmy trochę z traktu i spotkaliśmy dostojnego Hapuseneba, przełożonego domu studiów w Karnaku, i czcigodnego Pepiego, któremu opowiedziałem o sytuacji w Ugaricie. Nie wiesz, dostojny Senemmutcie, jak

bardzo Pepi przejął się tym, co usłyszał. Myślę, że oni także szukali tego chłopca, lecz po loiadomościach o tym, co dzieje się w Ugaricie, natychmiast zawrócili. A więc jest nadzieja i nią właśnie wiedziony podążam ku Karkemiszowi...

List napisano kreteńskim pismem linearnym, by nikt po drodze nie mógł go odczytać.

— Ursilisie, co będzie z Enuaną? — zapytał Anchnum, gdy szli szybko ogrodowymi alejkami.

— Jeśli miałeś ochotę się z nią położyć, to powiem tak: kobiety dzielą się na takie, z którymi chcesz przeżyć całe życie, i takie, które nadają się tylko na jeden raz. I nie myśl, że to tyje po tym razie wyrzucasz. Same odchodzą.

— Dlaczego?

— Bo to lubią. Taka właśnie jest Enuana. Przyjmij to do wiadomości i więcej o niej nie mów. Teraz musimy znaleźć Ardaszira.

Nagle alejka się skończyła. Przed nimi wyrosła ściana zieleni.

— Gdzie my jesteśmy? — zdziwił się Anchnum.

— Ten ogród jest labiryntem — stwierdził Ursilis.

Zaczęli błąkać się wśród wysokich żywopłotów, co chwila mając nadzieję, że wreszcie dotarli do bramy. Zaczęło zmierzchać.

— Anchnumie, nie wiem, jak stąd wyjść! — przyznał się po kilkunastu minutach Hetyta.

— Jak to nie wiesz?!

— Nie krzycz. Ktoś nas usłyszy.

— Musi być jakieś wyjście!

Ruszyli więc z powrotem, wolno, trzymając się żywopłotu. Nagle z ciemności dobiegły głosy. Zamigotało światło i zaczęło zbliżać się w ich stronę.

— Co teraz? — szepnął Anchnum.

— Czekamy na tych ludzi, sami stąd nie wyjdziemy.

Głosy były coraz bliżej.

— Kto tam jest?! — krzyknął ktoś po akadyjsku.

Twarze Anchnuma i Ursilisa oświetlił blask pochodni.

— Więc mówicie, że zabłądziliście? — zapytał jeszcze raz Nabuassar, postawny Babilończyk, który przesłuchiwał ich od kilku godzin. — Nie wierzę w ani jedno wasze słowo. Macie szczęście, że to ja was złapałem, bo w przeciwnym razie konalibyście, wbici na pal. Nie można bez pozwolenia wchodzić do królewskich ogrodów. Więc co tam robiliście?

Anchnum był tak zmęczony, że nie reagował na groźby Nabuassara. Siedział odrętwiały, dopóki strażnik nie wrzasnął:

— Na placyk z nimi! Ściąć im głowy!

Na dziedziniec koszar gwardii królewskiej wyprowadziło ich kilku żołnierzy. Postawili kubel, pieniek i zaczęli ostrzyć miecz.

Nagle ktoś krzyknął. Żołnierze odwrócili głowy. Na placyku stał starzec, a za nim czerwony jak dojrzały owoc granatu Nabuassar i kilku kapłanów Marduka, których można było poznać po białych szatach i długich brodach.

— Precz! — powiedział starzec do żołnierzy i podtrzymywany przez młodszych kapłanów, podszedł do Anchnuma.

— Znalazłem cię nareszcie — szepnął, delikatnie dotykając włosów młodego Egipcjanina. — Znalazłem cię...

Anchnum pobladł. Ursilis także nie mógł opanować wzruszenia. Właśnie cudem uniknęli śmierci.

— Jesteś wybrańcem bogów...

Dopiero teraz Anchnum zorientował się, że starzec mówi po egipsku. Nie zdążył mu jednak odpowiedzieć. Osunął się bez zmysłów na bruk dziedzińca.

Rozstanie

— Dostojny panie, wiem, że sprawię ci zawód, ale niczego nie zrozumiałem z tej przepowiedni. Nie jestem na tyle rozumny, by zgłębiać sprawy boskie — wyznał Ursilis.

Utnapisztim, wielki kapłan Marduka, pogładził się po długiej siwej brodzie, uśmiechając się ironicznie.

— To nie są wcale sprawy boskie — odpowiedział w końcu. — Przeczytałem tylko akadyjskie tłumaczenie tekstu, który powstał setki lat temu, zanim miasta południowe i północne zjednoczył Sargon Wielki pod wspólnym tronem królów z Akadu.

— Słyszałem o nim.

— Któż nie słyszał? Choć tekst akadyjski nie oddaje w pełni sensu tej przepowiedni.

— W jakim języku została napisana?

— Po sumeryjsku. Sumerowie byli ludem z południa, który przyniósł na ten świat wszystko, co piękne i rozumne. Lecz nie w tym rzecz. Przepowiednia mówi o dwojgu dzieciach urodzonych pod znakiem sokoła, z których jedno będzie panowało nad światem, a drugie do końca życia pozostanie samotne.

— Wyjaśnij to, proszę.

— Jednym z tych dzieci jest twój przyjaciel... Od zawsze czułem, że przybędzie...

— Znowu nie rozumiem.

— Bo to dziecko musiało przejść przez bramę bogów, aby przeznaczenie stało się rzeczywistością, a Babilon znaczy przecież „brama bogów”. Nie wiem, czy Seti znał tę przepowiednię. Podejrzewam, że nie, bo sam odkryłem ją na tabliczce, którą przywieziono z ruin Ur kilkanaście lat temu.

— Czcigodny panie, wielkim zaszczytem jest dla mnie samo spotkanie z tobą ale powiedz, jak nas znalazłeś? Gdybyś przybył o klepsydrę później, zastałbyś tylko dwie głowy w koszyku.

— Widziałem twego przyjaciela w proroczym śnie i chyba sami bogowie podpowiedzieli mi, abym go uratował.

Ursilisa nie zadowolila taka odpowiedź. Uważał, że kapłan to stary dziwak, który zbyt dużą wagę przykłada do wróżb i magii.

Starzec wziął mały srebrny dzwoneczek. Na jego dźwięk zjawił się sługa, a wraz z nim Anchnum, tak osłabiony, że sługa musiał go podtrzymywać.

— Weźcie te zioła. — Utnapisztim położył na stole mały lniany woreczek. — Szybko stawiają na nogi. W leczeniu chorób nie jesteśmy gorsi od kapłanów Amona.

— Gdzie ja jestem? — zapytał nieprzytomnie Anchnum.

— U przyjaciela — odrzekł starzec.

Służący pomógł chłopcu ułożyć się na sofie przy oknie.

— Chciałbym, abyście odpowiedzieli mi na kilka pytań — zwrócił się kapłan do Ursilisa.

— Pytaj o wszystko.

— Co robiliście w królewskich ogrodach?

Ursilis opowiedział Utnapisztimowi, co zaszło. Kapłana Marduka bardzo zdziwiła ta odpowiedź, albowiem uważał Enaburiasza za człowieka oddanego Babilonowi.

— Jeśli znajdziecie się w niebezpieczeństwie — powiedział na koniec — bez wahania przychodźcie do mnie. Dowiem się, dlaczego Enaburiasz interesuje się sprawami, które nie powinny go obchodzić. Do tego czasu starajcie się nie rzucać zbytnio w oczy.

— Ursilisie, posłuchaj mnie... — wyszeptał Anchnum, gdy znaleźli się znów w domu Enaburiasza. — Wydaje mi się, że nadszedł czas powrotu.

— Dokąd chcesz wracać?

— Do Egiptu.

— Ty chyba oszalałeś? Nie możesz tam wrócić, zabiją cię.

Hetyta popatrzył uważnie na twarz przyjaciela; tułaczka i cierpienie wyłobiły na niej kilka bruzd. Zrozumiał, że Anchnum nie jest już chłopcem, jakim był ponad rok temu, kiedy uciekali z Egiptu.

— Bardzo się zmieniłeś — westchnął.

— Czy aż tak bardzo, że mi nie wierzysz?

— Wierzę ci.

Anchnum milczał.

— Wierzę ci — powtórzył Ursilis.

— Wiem, słyszałem. Ale gnębi mnie jeszcze jedna myśl.

— Jaka myśl?

— Że wkrótce cię stracę.

— Co ty opowiadasz! — wykrzyknął Ursilis i wybiegł z komnaty.

— Więc jednak mi nie wierzysz — szepnął Anchnum.

Hetyta wrócił po paru minutach i oznajmił:

— Idzie Ardaszir.

— Schowaj się za drzwiami — syknął Anchnum.

Na tarasie słychać było kroki. Anchnum wziął do ręki akadyjskie tabliczki i udawał, że jest zajęty lekturą.

— Witaj, młodzieńcze. Nie wiesz, jak bardzo się cieszę, widząc cię zdrowego — wykrzyknął Ardaszir, stając w drzwiach.

— Weź ten kubek i napij się wody, aby miejsce, w którym mieszkam, stało się także twoim domem — powiedział uprzejmie Anchnum.

Ardaszir upił łyk, po czym wylał odrobinę wody na podłogę, na cześć sumeryjskiego boga Enlila, Pana Niebios.

— Rad jestem, że widzę cię w dobrym zdrowiu, mój chłopcze — powtórzył.

— Dziękuję za troskę. Ardaszirze, nie wiedziałem, że najlepszymi magami są w Babilonie kobiety.

— Kobiety?

— Mówię o wielkiej i nad wyraz czciogodnej kapłance Enuanie, która całe swoje życie spędziła na obliczaniu pozycji gwiazdozbiorów. Spotkałem ją w ogrodzie...

— No tak, rzeczywiście Enuana... — zaczął zdezorientowany Ardaszir.

— Właśnie! Pokazała mi rzeczy, o jakich nie miałem pojęcia, dlatego jestem ci bardzo wdzięczny.

— Och, to drobiazg, drogi chłopcze, głupstwo...

— Między nami mówiąc, skarżyła się na ciebie.

— Na mnie? O czym ty mówisz?

— Uskarżała się na twą oziębłość.

— Nie rozumiem...

— -Panie, mówię o tym, że od trzech miesięcy nie położyłeś się z nią do łóżka.

— Co? Enuana... — Czoło Ardaszira zaperliło się od potu.

— Oznacza to brak uwagi i uczucia z twojej strony.

— Ale ja przecież...

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że jesteś eunuchem? — rzucił Ursilis, zamykając z trzaskiem drzwi.

Ardaszir zawahał się i to wystarczyło, by Hetyta wymierzył mu cios w podbródek. Zatoczył się na ścianę, a Ursilis chwycił go za gardło.

— Ursilisie, nie zabijaj go! — krzyknął Anchnum.

— Nie mam zamiaru. A teraz powiesz wszystko. Na początek, dlaczego zaprowadziłeś Anchnuma na pewną śmierć?

— Jak śmiecie mnie tak traktować?!

— Zamknij się! A teraz posłuchaj bardzo uważnie. Jeśli nie

powiesz wszystkiego, zabiją cię i zakopię w ogrodzie. Potwarzam pytanie: dlaczego zaprowadziłeś chłopaka do królewskiego ogrodu?

— Ja nic nie wiem...

— A wiesz coś o Iszmedaganie z Mari?

Ardaszir wytrzeszczył oczy.

— A może jestem wam potrzebny do pertraktowania z Mitanni? — ciągnął Ursilis. — To nawet dobry pomysł, zważywszy na to, że Mitanni chętnie wykorzystają takich głupców jak ty i twój mocodawca. Przyjdą tutaj i pierwszą rzeczą, jaką zrobią, będzie wbicie ciebie i Enaburiasza na pal. A potem spalą miasto.

— Tyś oszalał, Hetyto! Puszczaj!

— Możliwe, że ty będziesz pierwszą ofiarą mojego szaleństwa! Gadaj, kim naprawdę jesteś. — Ursilis coraz mocniej zaciskał ręce na jego gardle.

— Nie rozumiesz, że nie możesz opierać się przeznaczeniu? — wysapał Ardaszир.

— Przestań mi tu gadać o przeznaczeniu!

— On wam nic nie powie, ale ja tak — odezwał się, nagle kobiecy głos. Ursilis i Anchnum odwrócili się zaskoczeni i zobaczyli Enuanę, która przyszła z Ardaszirem, ale słysząc odgłosy szamotaniny, nie weszła do komnaty.

— Ty głupia suko... — syknął Ardaszир.

Zaraz pożałował tych słów. Ursilis kopnął go w brzuch i patrząc zimno na Enuanę, zapytał:

— A ty co tu robisz? Brakowało ci wykręcania raje, czy może przyszłaś po coś innego?

Puścił gardło Ardaszira i podszedł do kapłanki.

W jej oczach błysnęła nienawiść, odpowiedziała jednak spokojnie:

— Bo chcę ci pomóc, Hetyto.

— A dlaczegoż to? — wtrącił się Anchnum.

— Nie odzywaj się mały — rzuciła Enuana. — Całe to zamieszanie jest z twojego powodu, Hetyto — rzekła do Ursili-

sa. — Mówiłam ci już. Wiele lat temu ja i mój brat przebywaliśmy na dworze w Hattusas, kiedy twoja matka wyszła za Telpinusa, brata twego ojca. Wyobraź sobie, że zapamiętaliśmy chłopca, który jako jedyny nie cieszył się ze szczęścia dostojnych małżonków.

— To ciekawe — mruknął Ursilis, starając się zachować obojętność.

— Prawda, że interesujące? Ten chłopak był synem zmarłego króla. Mój brat już wtedy czuł, jak może skończyć się ta wstrząsająca rodzinna tragedia. W parę miesięcy później chłopaka wyprawiono z poselstwem do Mitanni i wszelki śluch o nim zaginął.

— I co? — zapytał spokojnie Ursilis.

— A to, że ty właśnie jesteś tym chłopakiem, Hetyto. Mój brat cię rozpoznał.

Zaśmiała się, a od tego śmiechu Anchnuma przeszedł dreszcz.

— Milcz, suko... — warknął Ursilis.

— Dlaczego? Przecież nie ma niczego, co nie mogłoby być ujawnione! Nie wstydzisz się chyba swojej profesji?

— Nie rozumiem, o czym ona mówi, Ursilisie. — Anchnum patrzył bezradnie na przyjaciela.

— To nieważne, Anchnumie. Po prostu Mitanni chcą mnie jako gwarancji układu z Enaburiaszem. Aptekarz jest bardzo wpływowy. Sprzedał mnie.

Enuana zaśmiała się szyderczo.

— Nie uciekniesz, Hetyto. Mój brat znajdzie cię wszędzie.

— Więc nie mam wyboru?

— Nie. Jeśli chcesz, żeby ten egipski pomiot żył. A właściwie, co cię obchodzi ten podrzutek? Przecież to ty jesteś królem, prawda?

— Zamknij się — szepnął Ursilis — bo cię zabiję.

— Nic mi nie zrobisz, chociaż nie ukrywam, że mógłbyś dać mi dużo radości...

— Milcz.

— W tym jednym masz rację, Hetyto! — krzyknął Ardaszir,

masując gardło. — Enaburiasz obedrze cię ze skóry, jeśli jej nie posłuchasz.

Ursilis przyskoczył do niego i wymierzył mu kopniaka, tym razem w podbrzusze. Ardaszir skrzył się z bólu.

— Czy mówiłem ci, jak bardzo cię nie lubię? — zapytał Ursilis.

— Zostaw go — rzekła Enuana. — Nie wiesz jeszcze nic o swoim bracie, Hetyto.

— Ursilisie, o czym ona mówi? — dopytywał się Anchnum.

— Nie wiem, ale jak wyłamię jej palce, to się dowiemy.

— Słuchaj, głupcze! — syknęła Enuana. — Nie dotkniesz mnie, bo w przeciwnym razie Enaburiasz was zabije. Twój brat jest w Babilonie, przybył z poselstwem z Hattusas.

Ursilis zadrzał.

— Jest z nim bardzo źle — dodała.

Hetyta skoczył w stronę kapłanki i złapał ją za ramiona.

— Co mu zrobiliście?

— Uspokój się — powiedziała cicho, ale nie próbowała się wyrwać z jego żelaznego uścisku. — Mogę cię do niego zaprowadzić.

— Żeby nas obydwu wciągnąć w pułapkę?

— Idziesz, czy nie? — tupnęła niecierpliwie Enuana.

— Ursilisie, on ucieka! — krzyknął Anchnum.

Ardaszir, mimo bólu w kroczu, ruszył do drzwi. Nie zdążył. Wielki dzban rozprysnął się na jego głowie w drobny mak. Zamroczony osunął się między skorupy.

— Ta waza miała ponad trzysta lat! — zaśmiała się kapłanka.

— Przykro mi — mruknął Anchnum.

— Chodźmy do pałacu — rzekła. — Tam leży twój brat, Hetyto. Czekam na zewnątrz. Jedną klepsydrę, rozumiesz? Jedną.

Zostali sami.

— Nie ufam jej, Ursilisie.

— Ja też nie, ale muszę z nią pójść. Muszę...

— Idę z tobą. Co zrobimy z Ardaszirem?

— Masz trochę wina? — zapytał Ursilis.

Podnieśli nieprzytomnego Ardaszira i włali mu do ust pół antańka wina. Resztę rozlali na podłogę, a naczynie wetknęli do jego rąk.

Enuana siedziała w lektyce. Towarzyszyło jej ze dwunastu służących o gładko wygolonych głowach i ciałach, eunuchowie Isztar.

Silni eunuchowie torowali sobie drogę w tłumie przekleństwami i razami, toteż cała grupa w miarę szybko posuwała się do przodu. Mijali stragany kupców z południa sprzedających przyprawę, rzadkie ptaki i młodych niewolników.

Przybytek Isztar ustępował pod względem zdobnictwa i rozmiarów świątyni głównego boga Babilonu. Anchnum widział uśmiechy i spojrzenia kapłanek, które szeptały po akadyjsku o przymiotach Ursilisa. Przed schodami prowadzącymi na szczyt świątyni orszak zatrzymał się, a Enuana wysiadła z lektyki, dając znak Ursilisowi i Anchnumowi, by szli za nią.

— Twój brat, książę Farnasilis, przebywa w Babilonie od trzech tygodni. Jest bardzo chory i nasi najlepsi magowie nie potrafią go uzdrowić.

— Słyszysz, Anchnumie, słyszysz? — Ursilis zaciskał pięści. — Pewnie go otruli, a teraz mówią, że jest chory.

— Bo to prawda!

Enuana odwróciła się gniewnie i ruszyła w kierunku bramy oddzielającej świat Isztar od świata zwykłych ludzi.

Zatrzymała się przed komnatą, do której prowadziły drewniane rzeźbione drzwi. Pchnęła je lekko. Eunuchowie stojący po obydwu ich stronach skłonili się głęboko.

— Dalej pójdziesz sam, Hetyto. — Wskazała ręką kolejne drzwi na końcu białej komnaty.

- Anchnum idzie ze mną.
- Jak chcesz...

W komnacie panował zaduch, czuć było smród niemytego ciała. Pod jedną ze ścian stało szerokie łóże. U jego wezgłowia klęczała dziewczyna, która nie wyglądała na Babilonkę. Podeszli bliżej. Teraz dopiero zobaczyli, że na łóżu leży półnagi człowiek.

— Charis, ktoś tu wszedł — szepnął chory, z trudem odychając.

— Panie, nic nie mów... — odpowiedziała dziewczyna.

— Naprawdę tutaj ktoś jest.

Mówili zapewne po hetycku, jeśli leżący człowiek był rzeczywiście tym, o którym mówiła Enuana. Anchnum popatrzył na dziewczynę. Była piękna. Miała kruczoczarne włosy, a na jej twarzy malowała się tęsknota, która sprawiała, że chłopak nie mógł oderwać od niej wzroku.

— Tak, jest tutaj ktoś jeszcze — odpowiedział po hetycku Ursilis.

— Kim jesteś, łotrze? Mówisz w języku Hatti i pozwalasz, żeby dręczono mojego pana? — Mówiła ostro i gniewnie. Anchnumowi wydała się piękniejsza ód Enuany. — Kim jesteście?

— Nieważne. Jak czuje się twój pan?

— Mój pan? Bogowie! Po raz pierwszy ktoś zapytał, jak on się czuje! — W głosie dziewczyny brzmiała szczerza rozpacz. Anchnum domyślił się, że jest dla chorego kimś więcej niż tylko służką i niewolnicą, nawet jeśli formalnie nią była.

— Popatrz więc sam, choć nie wiem, kim jesteś...

Ursilis zrobił krok naprzód. Promienie światła z bocznego okienka oświetliły jego twarz. Dziewczyna cofnęła się przerażona. Podobieństwo było uderzające.

— Kim jesteś? Kim jesteś? — pytała.

— Jestem jego bratem — wyszeptał Ursilis, podchodząc do łoża.

Chory oddychał chrapliwie. Jego brzuch był wzdęty, a nogi pokryte ropiejącymi i śmierdzącymi ranami.

— Ktoś ty? Czy jesteś demonem, że tak jesteś podobny do mnie? — wycharczał. — Charis, nie zostawiaj mnie! — Dziewczyna mocniej ścisnęła jego rękę. — Babilońscy magowie stworzyli demona, który wygląda jak ja...

— Nie jestem demonem, Farnasilisie — odrzekł Ursilis łamiącym się głosem.

— Mówisz, że jesteś bratem mego pana — szepnęła dziewczyna — więc skąd wzięłeś się w Babilonie, skoro wszyscy jego bracia i siostry są w Hattusas?

— Farnasilis nie jest jedynym dzieckiem swej matki, choć mieliśmy innych ojców...

— Co on mówi? Charis, nie zostawiaj mnie... Nie odchodź z tym demonem...

— Nie zostawię cię, mój panie — szepnęła. — Ale nie wydaje mi się, by ten człowiek przyszedł tu po to, żeby nas skrzywdzić, bo najpierw będzie musiał mnie zabić.

— Ursilisie, czy oni się ciebie boją? — zapytał Anchnum.

— Tak...

Chory zaczął rzezić. Dziewczyna przycisnęła wargi do jego rozpalonego czoła.

— Dziewczyno, jak się tutaj znaleźliście?

— Panie, czy ty tylko udajesz, że nic nie wiesz? Król Telpinus czuje się bardzo zagrożony potęgą Mitanni od wschodu i dlatego wysłał do Babilonu swego najstarszego syna, aby ten zawarł w jego imieniu układ z królem Babilonu.

— Skąd o tym wiesz?

— Panie, kraj Hatti od dwóch lat żyje w wielkim strachu. Od czasu, gdy na ciemnym tronie w Wassukani zasiadł król Parratarna.

— Przejeżdżaliście przez ich terytorium?

— Nie, bo tam szykują się do wojny. Tak przynajmniej mówiono w Aleppo, przez które przejeżdżaliśmy.

— Co takiego mówiono?

— Że na północy zbierają się wielkie wojska, tysiące rydwanów i pieszych z krajów, które uznały zwierzchność mitanijskiego władcy.

Chory zacharczał. Ursilis zrozumiał, że zaczyna dusić się własną krwią.

— Jesteś z nim?

— Tak.

— Co się stało?

— Gdy przybyliśmy do Babilonu, towarzyszyło nam pięćdziesięciu mężnych wojowników. Przyjęto nas serdecznie na uczenie w pałacu, ale potem straż królewska wybiła naszych, zaś mnie i mego pana przyprowadzono tutaj. Mag uspił go i zranił nożem w pachwinę. I wtedy zaczęło się to. — Charis wskazała na gnijące nogi Farnasilisa.

— Jak nazywał się ten mag? Ardaszir?

— Tak, właśnie tak.

Ursilis milczał. Powinien nienawidzić człowieka, który konał teraz w męczarniach na jego oczach. Nie czuł jednak nienawiści. Rozumiał, że z bratem, którego nigdy nie poznał, odchodzi częśćka jego samego. Obudziło się w nim pragnienie dzikiej zemsty, nie na matce i Tełpinusie, lecz na Enaburiaszu, Enuanie i całej tej babilońskiej sforcie.

— Anchnumie, oni zabili mojego brata — rzekł po egipsku.

— Kto?

— Ardaszir...

— Dlaczego?

— Tego nie wiem. Skąd pochodzisz? — znów zwrócił się do dziewczyny.

— Wychowywano mnie w Hattusas, ale jestem zakładniczką i pochodzę z plemienia Achajów. Urodziłam się w wielkim grodzie, którego strzegą lwy.

— Mykeny... — szepnął Ursilis. — Jesteś rodowitą Achajką?

— Tak, rodzice oddali mnie do Hetytów z wieloma innymi dziećmi jako rękojmię pokoju wtedy, gdy nasi wojownicy zdruzgotali Kretę, która była w sojuszu z Hatti.

— Co z nim? — Ursilis zaniepokoił się, bo ciszy nie mącił już głośny oddech umierającego.

Farnasilis nie żył. Oczy, matowe i zasnuwane mgłą, wpatrzone były w sufit. Charis położyła dłoń na jego czole.

— Dziękuję wam, bogowie — szepnęła. — Bardzo się męczył... Jeżeli jesteś jego bratem, to dlaczego nie zrobiłeś nic, by go uratować?

— Do dzisiaj nie wiedziałem o jego istnieniu. Uciekłem z Egiptu.

Nagle w korytarzu rozległy się kroki. Ursilis kazał Anchnumowi schować się za dziewczyną. Czekali. Drzwi otworzyły się, pchnięte z wielką siłą. Do środka wpadli uzbrojeni strażnicy oraz... Enaburiasz i Enuana.

— Byłem głupcem tylko raz w życiu — wysyczał Ursilis na widok kapłanki. — Żałuję, że cię nie zabiłem, kiedy była ku temu okazja. Będę prosił bogów, aby pomogli mi naprawić ten błąd.

— Nie będziesz musiał, jak podejrzewam — rzekł Enaburiasz. — Moje układy z Parratarną podpisane. Mitanni potrzebują spolegliwego króla w Hattusas, mój książę, i tym królem będziesz ty. Wyjeżdżasz do Wassukani jeszcze dzisiaj. Tam cię zmiękcza.

— Ursilisie, nie wierz im, nie po raz pierwszy nas oszukali! — krzyknął Anchnum.

Enuana uderzyła chłopca w twarz tak mocno, że upadł.

— Zamknij się, gówniarzu — warknęła.

— Ja im nie wierzę, Anchnumie, ale nie mamy wyjścia.

— Nie macie wyjścia? — obruszył się Enaburiasz. — Przecież wszystko ułożyłem, Hetyto, w chwili, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy w Karkemiszu. Wiedziałem już, kim jesteś. Nie ma takiej tajemnicy, której bym nie znał...

— Co z Anchnumem? — zapytał Ursilis po chwili milczenia.

— A cóż ciebie obchodzi ten egipski bękart?

— Nie mów tak o nim...

Strażnik uderzył Ursilisa w brzuch drzewcem włóczni. Hetyta jęknął i osunął się na podłogę.

— Niech cię nie obchodzi jego los — rzuciła Enuana. — Po prostu zostanie eunuchem w mojej świątyni.

Ursilis złapał ją za nogę, ale strażnik znów był szybszy i Ursilis ponownie zwinął się z bólu.

— Podnieście go — rozkazał Enaburiasz.

Anchnum przypadł do przyjaciela.

— Anchnumie, widać to przeznaczyli nam bogowie — szepnął Ursilis tak cicho, by nikt oprócz chłopca go nie usłyszał. — Bądź dzielny, przecież jesteś królem.

Gdy strażnicy wywlekali go na korytarz, Anchnum rzucił się na jednego z nich, lecz ten odepchnął go tak brutalnie, że chłopiec potoczył się po podłodze.

— Ursilisie, pamiętaj o mnie, pamiętaj! — krzyczał.

Lecz Ursilis już go nie słyszał, bo strażnicy, wychodząc za Enuaną i Enaburiaszem, zatrzęsnęli drzwiami. Anchnum łkał jak dziecko na kolonach Charis, a dziewczyna kołysała go, nucąc cicho achajską pieśń.

Szamaszi, kupiec z Pylos, do Ursilisa Hetyty i Anchnuma, kapłana Sobka z Fajum w Babilonie.

Pozdrawiam was i donoszę o wszystkim, czego doświadczyłem na Krecie i w Achaj, choć ta pierwsza jest właściwie tylko smutną pozostałością po tym, co niegdyś było wielkie i świetne. Irhuanaks, kapitan, dzięki któremu przybyłem do Pylos, opowiedział mi, że świątynia Achajów jest odmienny od tego, co widziałem do tej pory. Miał rację. Pylos to przede wszystkim miasto wielkiego pałacu, w którym mężowie achajscy łożą się w sztuce wojennej. Tutaj również piszą na tabliczkach, lecz używają tak dziwnych znaków, że nie

mogę się w tym wszystkim polapać. Interesy, co cieszy, idą mi doskonale: trochę wina, trochę niewolników, ozdoby, ceramika i da się żyć. Ufam w szczęśliwą gwiazdę Isztar i mam nadzieję, że dobrze żyje się wam w Babilonie. W najgorszym razie pezonie narobiliście dzieci, co, uwierzcie mi, nie jest tam trudne.

List nigdy nie dotarł do adresatów.

— Nehi, mówię ci, że jeszcze kiedyś wrócimy do tego przeklętego miasta i damy kilku porządnym obywatelom po mordzie. — Puimre wciąż pamiętał, jak został opluty. Przekonał się na własnej skórze, że mieszkańcy Karkemisu nade wszystko cenią sobie niezależność i nie lubią, kiedy ktoś węszy i zadaje zbyt wiele pytań.

— Puimre, towarzyszę ci w drodze od Ugaritu i czynię to z wielkiego szacunku dla ciebie, ale powiedz mi, czego my właściwie szukamy? Jesteśmy już bardzo daleko od ostatniej egipskiej stancji.

— Wybacz, Nehi, że do tej pory milczałem, ale nie mogłem sobie pozwolić, aby ktoś niepowołany dowiedział się o mojej misji. Teraz wiem, że mogę ci zaufać.

— Pozwól, że zgadnę. Jesteśmy kimś w rodzaju szpiegów?

— Niezupełnie. Szukamy chłopca w wieku piętnastu lat, choć może wyglądać na nieco starszego. Egipskiego chłopca, który na lewym ramieniu ma wypalony znak ibisa.

— Jest kapłanem Thota?

— Nie, choć kapłanem jest, bo był wychowywany w świątyni Sobka w Fajum. Potem trafił do domu Minmose, zarządcy królewskich majątków. Jest dla nas bardzo ważny...

— Czy chcesz powiedzieć, że...

— Właśnie to chcę powiedzieć...

— A czy wiesz, że to znaczy...

— Wiem, że to może kosztować mnie głowę.
— Skoro ryzykujesz głowę, to czemu i ja nie miałem nadstawić karku? — Nehi uśmiechnął się i pogonił muła.

— Anchnumie, wstawaj, musisz iść do biblioteki — mówiła Charis, szarpiąc chłopaka za ramię. — Bibliotekarz Nabuhor nie lubi, gdy kopiści spóźniają się do pracy.

— Tak, Charis, wiem — mruknął Anchnum.

Leżał na wiklinowej macie w ubogiej izbie, którą wynajmowali od rodziny bibliotekarza. Znajomość pisma klinowego nareszcie na coś się Anchnumowi przydała. Bardzo brakowało mu Ursilisa, ale ilekroć próbował dowiedzieć się czegoś w świątyni Marduka, strażnicy częstowali go kopniakami. Charis prowadziła go potem zakrwawionego do ich pokoiku. Zastąpienia zdarzały mu się coraz częściej. Enaburiasz zostawił ich bez środków do życia. Anchnumowi udało się podejść kilku strażników analfabetów i w zamian za magiczne ponoć tabliczki, które wynosił z biblioteki, a których oni potrzebowali jako talizmanów z zaklęciami przeciwko demonom, zdołał odzyskać wiele cennych przedmiotów. Oddano mu tabliczki Ursilisa, w tym wszystkie listy, kilka przedmiotów codziennego użytku, które teraz były na wagę złota. Pieniądzy, skóry lwa i miecza ze stali nie było. Anchnum dowiedział się, że Ursilis zabrał to wszystko ze sobą.

Wstał, włożył sandały i lnianą tunikę pocerowaną przez Charis. Dziewczyna szybko przygotowała placki z prosa, na stole pojawiły się także daktyle i ser.

— Powiedz mi, Charis, skąd bierzesz te wszystkie sma-kołyki?

— Panie, zarabiać w Babilonie nie jest trudno.

Anchnum był poruszony jej dobrocią, ale ponieważ był też mężczyzną, poruszał go również jej widok, gdy myła się w miednicy.

— Powiedz mi, skąd się biorą takie istoty jak ty?

— Jak to skąd? — Jej czarne włosy zafalowały. — Z Myken. Urok naszych kobiet polega nie na tym, że pokazują jak najwięcej ciała. One pokazują je, zakrywając. Kretenki pod tym względem są inne.

— To znaczy?

— Noszą lekkie suknie odsłaniające piersi.

— Co? — Anchnumowi utkwił w gardle kawałek sera i dopiero gdy Achajka klepnęła go w plecy, odzyskał głos.

— Piersi — powtórzyła, lekko się rumieniąc. — A teraz już idź, bo bibliotekarz czeka z różgą na tych, którzy się spóźniają.

— Ciągłe dowiaduję się o tobie czegoś nowego. Po akadyjsku mówisz prawie tak dobrze jak Ursilis.

— Gdy mieszka się w Babilonie, trzeba mówić tym językiem. To kwestia przeżycia. Idź już.

Gdy chłopak wyszedł, Charis odetchnęła z ulgą. Sama również zbierała się do wyjścia. On nigdy nie może się dowiedzieć, jak zarabiam na życie, pomyślała. Achajki, w szczególności te, które ślubowały przed swoim bogiem-bykiem, musiały zachowywać wstrzemięźliwość. Ona nie. Chciała po prostu żyć.

Do Enaburiasza, aptekarza, przy świątyni Marduka w Babilonie. Wkrótce przybędę do Babilonu, by odzyskać zgubę. Jeżeli będziesz próbował przeszkadzać, przekonasz się, że moje ręce sięgają daleko.

przeczytał aptekarz w liście, który właśnie mu przyniesiono.

— Wołać do mnie tego głupca Ardaszira!

Po dobrych dwóch klepsydrach do komnaty wpadł mag. Kulał.

— Jak ty wyglądasz? Gdyby zobaczył cię Marduk, pożałowałby, że stworzył człowieka!

— Panie, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cierpię! — Ardaszir chwycił się za krocze.

— Co ci się stało?

— To wszystko przez tego hetyckiego psa, niech ja go tylko dorwę!

— Nie, już nie dorwiesz.

— A co się z nim stało?

— Jest w drodze do Wassukani.

— Oddałeś więc, panie, tego hetyckiego osiłka w ręce posłów Mitanni? — Ardaszir bardzo się ożywił. — Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

— Leżałeś tak pijany, że sześciu służących musiało cię podnosić z podłogi.

— Panie mój, to oni mnie tak spili.

— Milcz!

— Panie, chciałem cię ostrzec, bo dostojna Enuana zamierzała zaprowadzić tego Hetytę do jakiegoś księcia, którego ponoć...

— Milcz, ofiaro! Enuana czyniła to wszystko na moje polecenie. — Enaburiasz, który był człowiekiem porywczym, zaczął spacerować po komnacie. — Chodziło nam o to, by Hetyta sam zapragnął udać się pod opieką Mitanni do swego kraju. Sprawa z Mitanni jest więc ostatecznie rozstrzygnięta. Od ich uderzenia zachwieje się ta budowla...

— A wtedy ty, mój panie, zostaniesz królem Babilonu.

— Twoje komplementy są żalodne, ale dziękuję ci za wierność. Teraz mamy inny problem związany z tym... — Enaburiasz odczytał list.

— O co tu chodzi?

— Jeszcze nie wiem, ale to może mieć związek zarówno z Hetytą, jak i z tym egipskim chłopcem... Gdzie on jest?

— Panie, kazałeś wyrzucić go na bruk, choć sama Enuana chciała go wziąć jako eunucha.

— Tak... Rzeczywiście... Zapomniałem. Masz go znaleźć. Ty go wyrzuciłeś i ty go znajdziesz.

— Za kilka dni jest święto Akitu, do miasta zjadą tłumy...
— Właśnie... — Enaburiasz popadł w zadumę. — Czekają nas kłopoty...

Anchnum przez cały dzień mozolnie pisał rylcem na miękkich, niewypalonych jeszcze glinianych tabliczkach. Biblioteka Nabuhora, Babilończyka o lekko siwiejących włosach i brodzie, miała prawo kopiować teksty z wielkiej biblioteki Hammurabiego i je sprzedawać. Był to intratny interes. Czytanie w upalne popołudnia poematów o bogach i bohaterach należało w Babilonie do przyjemności ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na luksus posiadania niewolników potrafiących czytać. Nabuhor otrzymywał również zamówienia z miast fenickich na sporządzanie szkolnych tekstów do nauki akadyjskiego, który był językiem handlu i polityki. Niewolnicy zatrudniani przez Nabuhora dużo kosztowali, ponieważ umieli czytać i pisać. Anchnum stanowił pośród nich wyjątek, ponieważ nie był niewolnikiem. Bibliotekarz traktował go jednak na równi z innymi, więc o pręgi po różdze nie było trudno. Nabuhor okrutnie karał wszelkie pomyłki w znakach na glinie, bo nie można było ich poprawić. Po dziesięciu godzinach pracy palce i oczy odmawiały posłuszeństwa, toteż kopiści często się mylili.

Pod wieczór Anchnumowi zostały do przepisania dwie tabliczki z poematem *Atrakasis* i właśnie wtedy Nabuhor rozpoczął kolejny obchód. Po kilku chwilach świsnęła różga i rozległy się krzyki. Ci, których baty ominęły, szybko zaczęli sprawdzać tekst w poszukiwaniu błędu. Oczy Nabuhora bezlitośnie łowiły pomyłki, a wtedy jedyną nagrodą za cały dzień pracy były krwawe pręgi na plecach. Bibliotekarz skierował się w stronę Anchnuma, któremu zwykle zlecano teksty dłuższe i bardziej skomplikowane.

— Ty egipski łachudro — syknął Nabuhor — opuściłeś dwie frazy poematu.

— Panie, to ze zmęczenia, przepiszę dwa razy więcej! — krzyknął chłopiec.

Razy spadały jeden za drugim. Różga cięła skórę na dłoniach, którymi Anchnum próbował się zasłaniać. Nabuhor zwykle bił, dopóki starczyło mu sił w rękach.

— Panie, on upadł, nie rusza się! — krzyknął jeden z pomocników, chwytając bibliotekarza za rękę. Ciałem Anchnuma zaczęły wstrząsać konwulsje. Z ust poszła piana zmieszana z krwią z rozciętych warg.

— Wyrzucić go stąd! — Przestraszony Nabuhor cofnął się o krok. — Jest przeklęty przez bogów!

Anchnuma wyniesiono z sali i położono w pyle ulicy pod ceglana ścianą.

Ścieżki przeznaczenia

Po przyjeździe do Babilonu Puimre i Nehi zajęli gustownie urządzone pałac blisko dzielnicy królewskiej, gdzie zwykle mieszkali wszyscy zagraniczni posłowie.

Puimre pilnie uważał, by nikt nie spostrzegł, że robią więcej, niż wynikałoby to z protokołu dyplomatycznego. Nehi odbył szereg oficjalnych spotkań z wpływowymi Babilończykami, wypytyjąc przy okazji o chłopca. Puimre zaś starał się dowiedzieć czegoś w świątyniach, zarówno rodzimych kultów Międzyrzecza, jak i obcych, które miały w Babilonie swoje przybytki. Pierwszy miesiąc upłynął im na dosyć wyczerpujących wizytach u kasyckich dygnitarzy, aczkolwiek na audiencję u króla Babilonu liczyć nie mogli. Król z dynastii kasyckiej zawsze okazywał niechęć kapłanom Marduka, a ilekroć do stolicy przybywała obca delegacja, wyjeżdżał. Tak było i tym razem. Udał się na południe, do Larsy.

Wiść o przybyciu dużego poselstwa egipskiego szybko dotarła do Enaburiasza, który dzięki sieci szpiegów i donosicieli dowiadywał się wszystkiego zaraz po kapłanach Marduka.

Słońce, sumeryjski bóg Utu, zwany w Babilonie Szamasz, mozolnie toczył się po firmamencie i oznajmiał coraz większym cieplem, że zbliża się czas święta Akitu, początek nowego

babilońskiego roku. W mieście roilo się już od przyjezdnych. Pewnego dnia Puimre i Nehi wybrali się do świątyni Isztar. Puimre nie miał ochoty na wizytę w tym przybytku, natomiast Nehi był ciekaw miejsca, o którym w Ugaricie śpiewano sprośne piosenki.

— Dziwne mamy czasy, skoro kapłani Amona idą, by oddać cześć wielkiej Isztar! — wykrzyknął ktoś po egipsku.

Odwrócili się zaintrygowani. W ich stronę zmierzał Babilończyk w średnim wieku, z długą plecioną brodą, lecz w szatach medyjskich.

— Nie przypuszczałem — odpowiedział Nehi — że w Babilonie znajdę kogoś, kto mówi płynnie po egipsku.

— Ja natomiast nie marzyłem, że kapłan Amona przyjdzie do przybytku Isztar — odrzekł nieznajomy.

— Do świątyni Isztar przybywają wszyscy kochający wiedzę — stwierdził kapłan Amona, który miał dziwne uczucie, że spotkanie to nie jest przypadkowe.

— Wiedzę? Chyba rozkosz? — zaśmiał się nieznajomy.

— Wiedza jest rozkoszą, ale nie każda rozkosz wiąże się z wiedzą — odciął się Puimre. — Jesteś, panie, Babilończykiem, lecz nie nosisz się z babilońska. Czy to też jest tylko przejaw zamięłowania do rozkoszy?

— Urodziłem się wśród Medów, ale moje serce jest tu.

— Serce jest tu. — Puimre wskazał laską na swoją pierś.

Nieznajomy zmieszał się nieco, bowiem rozmowa zaczynała toczyć się zdecydowanie nie po jego myśli. Właśnie w tym momencie do rozmawiających podszedł mężczyzna, bez wątpienia Babilończyk.

— Egipcjanie w Babilonie? To doprawdy niezwykle — zagadnął.

— Dla mnie niezwykle jest to, że można prowadzić rozmowę, uprzednio się nie przedstawiając — mruknął z przekąsem Nehi.

— Wybaczcie — rzekł drugi Babilończyk. — Jestem Enaburiasz z rodu wielkiego Sargona, aptekarz przy świątyni Marduka, a to — wskazał na pierwszego rozmówcę — Ardaszır, syn Artaszimy, mój podczaszy i szambelan.

— Nazywam się Puimre, jestem kapłanem Amona, a ten oficer to Nehi.

— Z Memfis... — dodał Nehi. — Przybywamy z Ugaritu.

— To posiadacie jeszcze Ugarit? — zapytał aptekarz z ironią.

— Panie, wydaje mi się, że w Ugaricie znany był dobrze twój brat. — Nehi puścił mimo uszu sarkazm Efiaburiasza.

— Doprawdy? Mój brat wyjechał z Babilorii jakiś czas temu i nie miałem od niego zbyt wielu wiadomości.

— Natomiast on często wspominał o tobie, p#nie.

— Co was sprowadza w progi wielkiej Isztar? — Enaburiasz próbował zmienić temat.

— Już wyjaśnialiśmy to twemu szambelanowi- Przywiodła nas do tego niezwykłego miejsca chęć zdobycia wiedzy — powiedział Puimre.

— Wiedza jest cenna. Cenniejsza niż złoto... — rzekł aptekarz z niepotrzebnym patosem. Zapadła niezręczna cisza. — Dostojni mężowie, czujcie się zaproszeni do mego domu, a może i ja dowiem się czegoś nowego o moim bracie i o lekach kapłanów Amona.

— Sława twych leków sięga daleko poza granice twego kraju. Nie omieszkamy skorzystać z zaproszenia — skłonił się Puimre.

— I co o tym myślisz, Puimre?

— To samo, co i ty — odparł kapłan. — Myślę, że dobrze wiedział, iż nas tutaj spotka. Wydaje mi się również, że odkąd przybyliśmy do Babilonu, jesteście śledzeni.

— Jestem podobnego zdania — rzekł Nehi. — Przecież ten szambelan, jak mu tam...

— Ardaszir.

— Właśnie, Ardaszir, pierwszy nas zagadnął- Enaburiasz też jest, moim zdaniem, podejrzany.

— Widziałeś, jak się zmieszał, gdy wspomniałem jego brata?

— Jak on ma na imię?

— Szamaszi, tak jak tutejszy bóg Słońca.

— Słuchaj, Puimre, poznałem w garnizonie ugaryckim pewnego oficera. Nazywał się Ptahor. Wspominał kiedyś po pijanemu, że w Ugaricie jest kupiec, który ożywia umarłych, i zdaje się, że wymienił to właśnie imię.

— Ożywia umarłych?

— Niezupełnie. Mówił coś o chłopcu, który zapadał w odrętwienie podobne do śmierci, i że ten kupiec go ocalił.

— Nie mówiłeś mi tego wcześniej.

— Bo nie pytałeś. To nie wszystko. W Aleppo spotkaliśmy namiestnika Pepiego i Hapuseneba, którzy powiedzieli, że zostali napadnięci przez zbójców i że oficer z ich ochrony, Ptahor, został zabity.

— Pamiętam. I cóż?

— A to, że Ptahor wyjechał w pośpiechu z Ugaritu na długo przed nimi. Pamiętam to dobrze, bo wziął kilka mieczy z magazynu i pojechał. Sam. W Aleppo popytałem ludzi Pepiego, a oni powiedzieli mi, że nie było żadnego napadu i że Ptahora zarabiał jakiś Hetyta. Widziałem zresztą trupa, który już się rozkładał. Mówię ci, był strasznie zmasakrowany. Zabił go Hetyta, rozumiesz?

— Tak, rozumiem, ale to nie musi oznaczać, że Ptahor działał w porozumieniu z Pepim i Hapusenebem. Czyżby oni szukali tego, kogo i my szukamy? — zastanawiał się Puimre.

— Nie wiem...

— I teraz się tego nie dowiemy. I nie zwiedzimy świątyni Isztar, bo tyle czasu zajęła nam ta niepotrzebna rozmowa. Chodźmy. Czekają na nas w świątyni Marduka. Widzisz ten wielki zigurat przed nami? To właśnie tam.

— Jesteś głupcem, Ardaszirze, po stokroć głupcem! — denrował się Enaburiasz. — Miałeś nawiązać z nimi przyjacielską rozmowę, zaproponować pomoc, abyśmy dowiedzieli się

czegoś o tej pogmatwanej sprawie. Dam sobie uciąć głowę, że oni kogoś szukają.

— Podeszli mnie podstępnie! — bronił się Ardaszir.

— Bogowie, dlaczego muszę być otoczony takimi głupcami!

— Panie, twe słowa mnie ranią — nadał się szambelan.

— To dobrze. Ból uwzniośla! Skąd oni wiedzieli o moim przeklętym bracie? Skąd?

— Panie, ale czy to moja wina? — pytał Ardaszir. — Twój brat był w Ugaricie znaną postacią.

— Zamknij się! Precz mi z oczu! — wrzasnął aptekarz.

— Dlaczego tak krzyczycie? — zapytała Enuana, wyłaniając się z wnętrza świątyni. — Kruźganki Isztar to nie jest odpowiednie miejsce na takie awantury. Kręci się tu wielu dziwnych ludzi.

— Wybacz, pani, ale twój brat mnie obraził — poskarżył się Ardaszir.

— Zamknij się! — syknął Enaburiasz.

— Wybacz, pani, oddałam się do moich obowiązków — rzekł urażony szambelan, odwrócił się na pięcie i odszedł, odprowadzony jadowitym uśmiechem Enuany.

— Mój drogi, nie przejmuj się tym głupcem — zwróciła się słodko do Enaburiasza.

— Enuano, Ardaszir jest ostatnią osobą, którą mógłbym się przejmować. Wizyta tych Egipcjan może nam przysporzyć kłopotów. Podejrzewam, że nie przybyli do Babilonu tylko w celach oficjalnych.

— Kochany — Enuana objęła brata — poselstwo nigdy nie ma tylko zadań oficjalnych, zapomniałeś, jak my podróżowaliśmy? Myślisz, że przyszli tu szukać tego małego?

— Małego? — zdziwił się Enaburiasz.

— No, tego egipskiego wyrostka, który przybył tu razem z naszym Hetytą.

— Tak, pamiętam. Wyrzuciłem go przecież...

— No właśnie, wyrzuciłeś jego, więc ich również wyrzuć ze swego serca. Ten Hetyta o mało nie zламаł mi ręki, ale to było na swój sposób przyjemne... — westchnęła kapłanka.

— Wyczuwam w tobie niepokój...

— Niepokój? Ja drzę z rozkoszy, kiedy mnie dotykasz — szepnęła. — Tak bardzo cię kocham.

Enaburiasz poczuł na wargach oszalamiający delikatny pocałunek.

— Ja też, ale teraz wybacz, bardzo się spieszę — mruknął.

— Zawsze ci się spieszy! — nadała się Enuana. — Nigdy nie masz dla mnie czasu. Najpierw wysyłasz mnie do Fenicji, a kiedy wracam stęskniona, odtrącasz mnie.

— Dzisiaj naprawdę jestem zabiegany — zapewnił aptekarz. — Przyjdź dziś wieczorem — rzucił pospiesznie, pocąc się na myśl o tym, że ktoś może się dowiedzieć, co łączy go z własną siostrą.

Puimre podczas swoich studiów w Karnaku zapoznał się z klinowymi tekstami wielkiego maga i wróżbity o imieniu Utnapisztim. Będąc w Babilonie, zapragnął się z nim zobaczyć.

Świątynia Marduka, głównego bóstwa Babilonu, do której zmierzali Puimre i Nehi, położona była w samym środku miasta. Egipcjanie z trudem przeciskali się przez tłum.

— Mogliśmy wziąć lektykę — narzekał Puimre.

— Mogliśmy, ale nie wzięliśmy — odburknął Nehi.

Za kilka dni miało zacząć się święto Akitu, święto nowego roku księżycowego, ale również święto miłości i płodności. Tysiące Babilończyków pragnęło złożyć swemu bogu ofiarę: spalić na ołtarzu wonne zioła i mięso. Chętnych było tylu, że ustawiono kilka ołtarzy, na różnych kondygnacjach świątyni.

— Puimre, dzisiaj łatwiej nam będzie znaleźć kozła na ofiarę niż tego kapłana.

— Nehi, nie denerwuj się. Ci ludzie zmierzają na sam szczyt świątyni, by złożyć ofiarę. My zaś idziemy w stronę pałacu.

Wskazał budynek z białą elewacją i błękitną mozaiką nad bramą. Gdy weszli na dziedziniec, okazało się, że elewacja,

z daleka gładka, ozdobiona jest misternymi płaskorzeźbami. Jedna z nich przedstawiała bogów oddających cześć Mardukowi, w innej Marduk na rydwanie pędził przed sobą gromady potworów zrodzonych przez Tiamat, pierwotną, nieokrzesaną toń wód, z którą ów bóg zaciekle walczył.

Szerokim korytarzem przeszli w stronę schodów. Strażnicy na widok łysej głowy Puimre nie zastąpili im drogi, a jeden z nich gestem ręki wskazał na prawo. Tam napotkali drzwi z cedrowego drewna z ornamentem roślinnym, w których stał mężczyzna ubrany w błękitne szaty.

— Niech Marduk ma was w swojej opiece. — Ukłonił się.

— I Amon niech udziela ci swego błogosławieństwa — odrzekł Puimre.

— Utnapisztim oczekuje cię.

W przestronnej komnacie siedział przy stole starzec również ubrany na błękitno. Jego długa, siwa i starannie u fryzowana broda świadczyła o wieku i pozycji.

— Przybliżcie się, dostojni goście z Egiptu. — Jego głos brzmiał łagodnie i melodyjnie. — Moje oczy nie widzą zbyt daleko.

Puimre i Nehi podeszli do stołu, na którym leżały dziesiątki klinowych tabliczek.

— Wiecie, że te tabliczki to pamięć człowieka? Zostały spisane przez lud, który już nie istnieje, a który dał nam więcej, niż sobie wyobrażamy.

— Sumerowie... — wtrącił Puimre.

— Tak — odrzekł starzec. — Znasz akadyjski, to dobrze. Ale tego języka nie znasz na pewno. — Pokazał palcem kliny na tabliczce.

— Znaki wydają się podobne do akadyjskich. — Puimre pochylił się nad stołem. — Nic z tego nie rozumiem — mruknął. — Czy czujesz się, panie, na siłach, by nam pomóc? — zapytał, prostując się.

— Jeżeli tylko będę mógł. — Starzec popatrzył przyjaźnie na Puimre. — Jesteś taki młody... Co mówi twój bóg?

— On jest bogiem milczącym i skrytym.
— A ludzie?
— Ludzie mówią dużo i głośno.
— Jesteś uczniem Setiego, którego znałem jako znakomitego dyplomatę?

— To, co powiem, zasmuci cię, panie — rzekł cicho Puimre. — Seti, mój mistrz, jest już szczęśliwy.

Przez twarz starca przebiegł cień smutku, lecz zapytał spokojnie:

— W czym mogę ci pomóc?

— Wiem, że twoja wiedza jest wielka, bo potrafisz odgadywać wolę bogów. Na początek chciałbym zapytać o Enaburiasza...

— Nie mów nic więcej! Ten człowiek gotów jest sprzedać każdego. Zżera go ambicja, chce zająć moje miejsce i zostać wielkim zarządcą świątyni. Dlaczego o niego pytacie?

— Właśnie go poznaliśmy. Prawdopodobnie ma związek ze zniknięciem dwóch ludzi, egipskiego chłopca i jego hetyckiego sługi, których szukamy.

— Szukacie ich? Wiedziałem, że w Egipcie o nim nie zapomną. — Utnapisztim uśmiechnął się tajemniczo. — Teraz już wiem, czego Enaburiasz chce od tego hetyckiego chłopaka.

— Nie rozumiem, panie...

— Rada kapłanów wie od dość dawna, że Enaburiasz ma wielkie ambicje. Podejrzewaliśmy, że kontaktował się z wysłannikami Mitanni, a jak zapewne słyszeliście, król Mitanni, Parratarna, zamierza uderzyć na Syrię. Enaburiasz okazał się sprytniejszy, niż przypuszczałem — starzec westchnął. — Nie dość, że straciliśmy Asyrię, co kosztowało nas wiele tysięcy ofiar, to jeszcze w Mari, na styku Syrii i Babilonii, siedzi odszczepieniec kasyckiej dynastii, Iszmedagan, który chce zawłaszczyć tron Babilonu.

— Mari? — zdziwił się Puimre. — Przecież to miasto nie istnieje...

— Zostało zniszczone przez Hammurabiego, ale to było

dawno temu. Teraz znów ożyło. A co z tym wszystkim ma wspólnego Enaburiasz? Otóż sądzimy, że chce swoimi intrygami sprowokować atak Mitanni, żeby umożliwić Iszmedaganowi zdobycie tronu. Chociaż, jak się dowiedzieliśmy, sam Enaburiasz jest z królewskiego rodu Sargona, rozumiecie więc... Ten lis ma nie lada sprzymierzeńca. Jego siostra, Enuana, jest arcykapłanką Isztar.

— Enaburiasz chce tronu dla siebie? — krzyknął oburzony Nehi. — Ależ to szaleństwo!

— To prawda, jednak on nie liczy się z nikim. Przeciągnął na swoją stronę wielu wpływowych bankierów. Jak wiecie, dynastia ma pochodzenie kasyckie, ale kasycka przestała być dawno temu. W każdym razie Enaburiasz ma po swojej stronie spekulantów, którzy obracają wielkimi sumami pochodzącymi z handlu niewolnikami, jedwabiem i drogimi kamieniami. Setki talentów wpłynęło już do jego kieszeni, a on tym sposobem znalazł drogę do mitannijskiej pomocy. Próbowaliśmy za pośrednictwem Szamasiego, znanego w Ugaricie kupca, złożyć Egipcjom pewną propozycję, a dokładniej mówiąc, zaoferować pożyczkę na utworzenie armii, lecz Egipt jest zbyt słaby, by interweniować w Międzyrzeczu.

— Szamaszi? Przecież to on wysłał do Babilonu naszych uciekinierów! Pracował dla was? — Puimre nie krył zaskoczenia.

— Nie do końca. Szamaszi jest wpływowym kupcem i przede wszystkim pracuje dla siebie samego. Przed wieloma laty był ponoć zamieszany w jakieś sprawy w Egipcie i na pewno dobrze znał Setiego, twego mistrza — zwrócił się do Puimre. — Bo ja miałem przyjemność rozmawiać z nim tylko raz w życiu w Tyrze, kiedy byłem młody...

— Ale powiedz nam, panie, co z tym wszystkim ma wspólnego ten Hetyta?

— Tego nie wiem, ale mam pewne podejrzenia — rzekł Utnapisztim. — Jego zniknięcie może mieć związek z mordem, jakiego dokonano na hetyckim poselstwie w Babilonie. Siedem

miesiący temu — ciągnął — do miasta przybył nieoficjalnie hetycki książę, zapewne by szukać pomocy przeciwko Mitanni, którzy na wschodzie rządzą straszne rzezie Hetytom i ludem z nimi sprzymierzonym. Babilon jednak nikomu nie udzieli teraz pomocy, bo sam bardzo jej potrzebuje. Enaburiasz omamił tego księcia obietnicami, po czym kazał zamordować jego i towarzyszących mu żołnierzy.

— Dlaczego?

— Nie wiem, może chciał okazać Mitanni swoją lojalność.

— Ale jak to możliwe, że dokonał tego pod okiem króla? — zapytał Puimre.

— W Babilonie od dłuższego już czasu wszystko jest możliwe.

— Panie, co tobie? — zaniepokoił się Puimre, bo Utnapisztim zbladł nagle i przycisnął dłonie do piersi.

— Nic... Zdenerwowałem się tą rozmową o Enaburiaszu. Podajcie dzban i puchary, napijemy się wina z granatów. Ostatnio piję go więcej, bo dobrze mi robi.

Napełnili srebrne puchary aromatycznym i cierpkim napojem.

— Pytaliście o tego młodego Hetytę — podjął kapłan. — Nie potrafię wam pomóc. Zamiary Enaburiasza nie są same znane.

— A może słyszałeś coś tym o egipskim chłopcu, który przybył do Babilonu?

— Wiem, kim on jest, ale nie obawiajcie się, ta tajemnica odejdzie z tego świata razem ze mną.

— Skąd to wiesz, panie? — Puimre nie krył poruszenia.

— Wiele razy prześladował mnie w snach lecący sokół... Spójrz, te tabliczki napisane są w języku sumeryjskim, który rozumie dziś zaledwie kilku kapłanów, a wśród nich jestem i ja. Odkryłem je niedawno. Jedna z nich zawiera prorocтва. Mówi wyraźnie o dwóch pochodniach, bliźniaczych płomieniach, które tańczą na szczytach kurhanów i kiedyś sprawią, iż świat zapłonie. Jedna z pochodni musi być przeniesiona przez wybranego człowieka przez bramę bogów.

— Nie rozumiem...

— Babilon to brama bogów, a ten chłopiec jestznaczony boskim oddechem, który przychodzi w postaci nagłego ataku odrętwienia, ma ponadto znak ibisa na lewym ramieniu. Dalsza część proroctwa jest jednak bardziej zawiła. Jedna z pochodni ma pójść do kraju ostrosłupa.

— Ostrosłupa?

— Właśnie tak — potwierdził Utnapisztim. — Zostało użyte słowo, które można przetłumaczyć jako nazwę tej figury geometrycznej. Całe proroctwo jest tylko wizją wieszca będącego w transie. Wszystko stało się dla mnie jasne, gdy przeczytałem listy Szamasiego zdeponowane w naszej bibliotece, rodzaj dziennika z podróży po Egipcie. Opisał w nim budowlę w kształcie ostrosłupa, które są ponoć w kraju Kem.

— Są w Egipcie takie budowle! — wykrzyknął podekscytowany Puimre. — To groby królów, które budowano za dawnych dni, aby umożliwić im spokojną wędrówkę ku wschodzącemu słońcu. Dzisiaj niewiele o tamtych czasach wiadomo, bo mało zachowało się dokumentów. Ale teraz i ja rozumiem, czym może być ta przepowiednia. Kto ją spisał?

— To tekst anonimowy. Ale nie powiedziałem wam jeszcze, co może naprowadzić was na ślad tego chłopca. W domu Enaburiasza mamy człowieka, który donosi nam o wszystkim, co się tam dzieje. Wasz chłopiec i Hetyta mieszkali w pomieszczeniach dla służby. Kiedy Hetyta zniknął, zniknął również chłopiec. Ponoć Enaburiasz wyrzucił z domu jakąś niewolnicę i chłopaka, który nie wyglądał na Babilończyka. Mogą więc być wszędzie, jeśli jeszcze żyją.

— Bogowie! Wielka Izydo! Wielki Ozyrysie! Nie przeszkamamy Babilonu nawet za pół roku!

— Módlcie się do waszych bogów, ale pamiętajcie, że jesteście w mieście Marduka.

— Ofiar nie zaniedbamy — zapewnił Nehi. — Ale do poszukiwań potrzeba nam również ludzi!

— Nie martwcie się o to. Wciąż dużo znaczą w tym mieście — uspokoił go Utnapisztim. — Zbliża się święto Akitu,

więc ja i moi kapłani zajęci będziemy obrzędami, dlatego zostało nam niewiele czasu. Spieszcie się. Nadchodzi przesilenie wiosenne, wtedy silnie objawiają się bogowie, a ten, którego szukacie, jest ich dzieckiem. Bądźcie dobrej myśli.

Egipcjanie złożyli starcowi głęboki ukłon. Puimre zapewnił go o przyjaźni między Amonem i Mardukiem. Obiecał też, że prześle kapłanowi wzmacniające zioła, ponieważ medycyna Amona jest najlepsza na świecie. Utnapisztim dał im na pamiątkę talizmany Marduka z jadeiru.

Puimre był pod wielkim wrażeniem mądrości starego kapłana, a jego imię brzmiało dziwnie znajomo. Czyżby mistrz Seti o nim wspominał? Nie... A może wymieniono je w poemacie o Gilgameszu, który czytał, studiując w Kamaku? Najstarszy człowiek świata, który uratował się z potopu, także miał na imię Utnapisztim. I znał tajemnicę życia i śmierci, bo sam był nieśmiertelny. Lecz Puimre nie dowiedział się nigdy, czy to tylko przypadek, czy może... przeznaczenie.

— Anchnumie, Anchnumie — mówiła Charis, przecierając oczy chłopca zwilżoną szmatką. — Obudź się, błagam.

Anchnum, który powoli wychodził z odrętwienia, otworzył oczy. Blask dnia prawie go oślepił.

— Co się stało? Gdzie jest bibliotekarz? — wyszeptał. Charis przystawiła mu do ust kubek z winem.

— Przecież cię wyrzucił. Tego dnia, kiedy nie wróciłeś do domu, szukałam cię do nocy. Znalazłam cię w końcu nieprzytomnego pod murem biblioteki.

— Gdzie jesteśmy?

— Piekarz, który miał sklep obok biblioteki Nabuhora, wynajął mi izbę za sklepem. Za minę srebrem miesięcznie. Będziemy mogli brać placki i ziarno. Jesteś głodny?

Skinął głową. Dziewczyna wstała i wyszła na korytarz, z którego dolatywał zapach smażonej ryby i cebuli. Skąd Charis

ma minę srebrem miesięcznie? — zastanawiał się Anchnum. To całkiem spora suma. Za pomoc w roznoszeniu chleba tyle dostać nie mogła...

Wróciła Charis, niosąc smażonego suma i pół placka. Chłopak zaczął łapczywie jeść.

— Dlaczego tak mi się przyglądasz? — zapytał między jednym kęsem a drugim.

— Lubię patrzeć, jak jesz — odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem.

— A ty nie jesz?

— Ja już jadłam. Za chwilę wychodzę.

— Idziesz pomagać przy chlebie?

— Tak, dlatego muszę się pospieszyć...

Wstała, związała włosy i wyszła. Bogowie, czy on niczego się nie domyśla? — pomyślała. Nie wstydziła się tego, co robi. Zaciskała zęby, starając się niczego nie czuć i niczego nie widzieć. Starając się nie myśleć o tym, jak bardzo go kocha.

Gdy Puimre i Nehi wrócili do pałacu, czekała na nich niespodzianka. Na ich spotkanie wybiegł sługa, którego Nehi zabrał z Ugaritu.

— Panie, po trzykroć niech Izis strzeże twych kroków! — wykrzyknął i padł na twarz.

— Wstań natychmiast, Manche, i mów, o co chodzi — rzucił Puimre.

— Mam dwie dobre wiadomości, choć jedna jest trochę lepsza, a druga trochę gorsza.

— Mów.

— Piłem dzisiaj piwo w szynku niedaleko biblioteki Nabuhora, znanego dusigrosza i gwałtownika.

— Doprawdy, Nehi — zaśmiał się Puimre — doskonałą masz służbę, skoro opowiada ci, jak przepijają twoje pieniądze.

— Gdybym cię nie znał, Manche, złamałbym kij na twym

grzbiecie. Charakter masz paskudny, a twoja złośliwość nie zna granic, ale jesteś wiemy.

— Bogowie świadkami, że jestem złym i knąbrnym sługą, ale ty wiesz, panie, że kradną mniej, niż czyni to faraon, zabierając twoją krwawicą na podatek — odciął się Manche. — No więc piłem w gospodzie ze starym pomocnikiem tego sadysty, który opowiadał, że Nabuhor siecze swe sługi bez opamiętania. Czym więc jest wobec tego twój kij, panie?

— Uważaj, bo wkrótce poczujesz go na swoim grzbiecie — pogroził mu Nehi.

— Otóż ów pomocnik Nabuhora powiedział mi też, że spotkał pewnego Egipcjanina...

— I co w tym dziwnego? — parsknął Puimre.

— To, że tym Egipcjaninem był chłopiec, który na lewym ramieniu miał znak ibisa. Mój rozmówca widział ów znak, bo chłopiec nosił podarte szaty.

— Gdzie on teraz jest?! — wykrzyknął Nehi.

— Po dwóch kolejnych kubkach wina pomocnik bibliotekarza powiedział, że Nabuhor obił chłopaka i go wyrzucił. Narobił ponoć błędów przy przepisywaniu.

— Nehi, to wspaniała nowina, druga taka dzisiaj — uśmiechnął się kapłan.

— Manche, zanim przekażesz nam następną nowinę, posłuchaj mnie uważnie: weźmiesz czterech ludzi z mojego oddziału i pójdziesz pod tę bibliotekę. Wypytaacie dyskretnie okolicznych mieszkańców, czy nie widzieli tego egipskiego chłopca — polecił Nehi. — A teraz druga wiadomość.

— W przedsionku czeka jakiś cudak. Mówi, że go znacie i że koniecznie musi mówić z tobą, panie, i czcigodnym Puimre. Mówię mu: „Ich dostojności nie ma”, a on mi odpowiada: „Poczekam. Podaj wina i pieczonego gołębia”. Dałem mu, czego chciał, bo to chyba ktoś ważny, ubiera się jak te cudaki, Babilończyki. Tak dobrze mówi po naszemu, że pomyślałem, że to wcielenie Seta. Ma czarne oczy, a pachnie lepiej niż tchawka dziwka.

- Czy drzwi do komnaty są zamknięte?
- Od środka na skobel. Sam zamykałem.
- Puimre, chyba wiem, kim jest ten człowiek.
- Ja też. Manche, możesz odejść — rzucił Puimre.

Gościem był oczywiście Ardaszir. Gdy zobaczył Egipcjan, poderwał się na równe nogi.

— Czyż nie spotkaliśmy się dzisiaj rano? — zapytał kapłan. — Co cię do nas sprowadza?

— Dostojni panowie, zechciejcie mnie wysłuchać. Służę memu panu Enaburiaszowi od niedawna, wcześniej zajmowałem się naukami tajemnymi, ale...

— Ale co? Czy chciałbyś nam powiedzieć coś, czego o tobie nie wiemy?

— Chciałbym wam powiedzieć, że chłopiec, którego szukacie, został potraktowany przez Enaburiasza gorzej niż pies.

— Dlaczego przychodzisz z tym do nas, a nie do kapłanów Marduka? — zapytał Puimre.

— Bo pragniecie zniszczyć Enaburiasza, a ja mam informacje, które wam pomogą.

— Mylisz się, panie, wcale nie mamy zamiaru go niszczyć. Chcemy tylko odzyskać naszą zgubę. Twój pan nas nie interesuje.

— Czy wiecie, dlaczego zniknął hetycki sługa tego chłopca? — zapytał Ardaszir, jakby nie słyszał słów Nehiego.

— A zniknął?

— Okazało się, że jest synem zmarłego króla Hetytów, a Enaburiasz chce dzięki niemu przeciągnąć na swoją stronę Mitanni.

Egipcjanie popatrzyli na siebie. Kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

— To informacja godna zapłaty — przyznał Puimre. — Czego żądasz w zamian?

— Kapłani Amona słyną nie tylko z mądrości, ale i z zamożności. Panie, mała tabliczka z przekazem nie będzie wygórowaną ceną za nowego wiernego sługę — podsunął Ardaszir.

— Myślę, że nie. Przyjdź po święcie Akitu do naszego sługi, którego poznałeś.

— Niech Marduk wynagrodzi twą hojność.

Ardaszir uklonił się szybko i wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Co za obrzydliwy typ — mruknął Puimre. — Teraz jestem pewien, że donosi kapłanom Marduka.

— Tak — przyznał Nehi. — Może jednak skutecznie pokrzyżować plany Enaburiasza.

— To prawda. Nie wątpię, że po otrzymaniu zapłaty zniknie z miasta.

— Skąd weźmiesz taką sumę? — zainteresował się oficer.

— Dostanę pożyczkę w każdym kupieckim domu.

Kapłan Amona nie mylił się. Pieczęć Senemmuta, wielkiego ministra faraona, robiła wrażenie nawet w Babilonie.

Marduk, pokonawszy prastarą Tiamat, chaos wód, przychodził co roku, by odnowić życie. Miasto zmieniło się w ogród, ulice i domy przystrojono kwiatami, a kapłani wieźli na rydwanie posąg Marduka. Posąg dzierżył lejce i sprawiał wrażenie, że powozi rydwanem. Przy wtórze przeraźliwego wycia kapłanów, dźwięku grzechotek i tysięcy piszczałek procesja ruszyła w stronę świętego stawu bogini Isztar, gdzie czekały kapłanki z Enuaną na czele.

Nad stawem król Babilonu został rozebrany do naga i wykąpany w świętej wodzie. Ubrano go w nowe, białe szaty, starannie rozczesano brodę, po czym procesja zaczęła posuwać się w stronę wielkiego zyguratu Marduka. Tłumy na ulicach wpadły w ekstazę; mężczyźni wydawali dzikie okrzyki, kobiety zawodziły. Król i arcykapłanka Isztar wspięli się następnie na sam szczyt zyguratu, aby w przybytku boga dopełnić aktu miłosnego.

Król ciągnął kapłankę za włosy do świętego łoża, które ponoć zrobione było z drewna mitycznego drzewa Huluppu, świętego ongi przez samego Gilgamesza. Ów akt miłosny przywracał naturze harmonię i łaskę Marduka. Gdy został dopełniony, całe miasto zamieniło się w jeden wielki dom rozkoszy.

Pod wieczór, gdy na ulice wyszły patrole straży świątynnej, Nehi udał się do biblioteki Nabuhora. Po drodze natknął się na płaczkę i tłum gapiów. Ktoś powtarzał:

— Ten stary podlec nareszcie zdechł!

Nabuhor, jak się okazało, nie przeżył świątecznych uniesień. Manche nie natrafił, niestety, na ślad chłopca, więc Nehi postanowił pokreć się po okolicy i zasięgnąć języka.

Nad miastem zapadał zmrok, a uliczki ubogiej dzielnicy, niczym małe wąwozy, szybko pograżały się w ciemnościach.

Nagle w pustym zaułku echem odbiły się kroki. Osoba ta szła powoli, co chwila kopiąc jakiś kamyk. Nehi, stojący w bramie piekarni, po chwili doszedł do wniosku, że są to kroki kobiety. Nie mylił się. Z mroku wyłoniła się wiotka postać otulona długą chustą.

— Kto się tu czai? — krzyknęła po akadyjsku. — Wyłaż, bydlaku, z tej bramy! Czas dawania rozkoszy już się skończył! — W jej ręku błysnął nóż. — Gadaj, czego chcesz, a jak nie, wynoś się, bo wepchnę ci ten nóż w bebechy!

— Uspokój się, kobieto — wyjąkał Nehi. — Nie chcę zrobić ci krzywdy.

— Wielu tak mówiło. Ktoś ty? Dlaczego wieszysz tu po nocy?

— Jestem Nehi, oficer faraona.

— A ja jestem Isztar bladowłosa! — krzyknęła dziewczyna. — Czego tu szukasz, zbrojeńcu? Ktoś ci o mnie powiedział?

— Kobieto, chcę tylko zadać kilka pytań...

— Jeśli chcesz gadać z piekarzem, przyjdź za dnia.

— Ale zrozum...

— To ty zrozum, nie zwykłam odpowiadać na pytania nieznajomych w bramie i do tego jeszcze po ciemku.

Gdzieś w głębi podwórza skrzypnęły drzwi.

— Charis, czy to ty? — zapytał ktoś.

Dziewczyna nerwowo spoglądała to na Nehiego, to w ciemną czeluść podwórza.

— Tak, to ja. Zaraz przyjdę.

— Z kim rozmawiasz? Potrzebujesz pomocy? Słyszałem jakieś krzyki.

Z mroku wynurzył się młody człowiek w lekkiej tunice. W bladym świetle księżyca Nehi dostrzegł jego twarz. Nie wyglądał na Babilończyka. O dziwo, rysy chłopca wydały się oficerowi... egipskie.

— Dlaczego wstałeś z łóżka? Jesteś jeszcze słaby! — powiedziała dziewczyna z przyganą.

— Usłyszałem krzyki. Nic ci się nie stało?

— Ludzie, niczego od was nie chcę — tłumaczył speszony Nehi. — Powiedzcie mi tylko, czy nie wiecie, co się stało z chłopcem, którego niedawno wyrzucono z biblioteki niejakiego Nabuhora?

Zapadło pełne napięcia milczenie.

— Nic o tym nie wiemy, a nawet gdybyśmy coś wiedzieli, i tak nie powiedzielibyśmy komuś, kto skrada się jak złodziej — rzuciła szybko dziewczyna.

— Jeśli go znacie, to wieście, że grozi temu człowiekowi niebezpieczeństwo.

Nehi dziękował w duchu bogom, że Puimre nauczył go w czasie podróży akadyjskiego. Zdjął z szyi amulet w kształcie głowy ibisa i podał go dziewczynie.

— To może ukraść każdy — stwierdziła z pogardą.

Nehi postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

— Jakies sześć tygodni temu Enaburiasz wysłał Ursilisa do Mitanni — powiedział głośno.

Chłopak i dziewczyna zastygli bez ruchu.

— Skąd wiesz o Ursilisie? — nie wytrzymał chłopak. — Kto cię przysłał, draniu? Enaburiasz? Jeśli tak, powiedz mu, że niczego od niego nie chcemy! Co to za podstęp? Kim ty jesteś? — dopytywał się.

— Jestem Nehi, oficer garnizonu w Ugaricie, i przybyłem do Babilonu z kapłanem Amona, Puimre, uczniem Setiego i sekretarzem dostojnego Senemmuta, wielkiego ministra faraona.

Na chłopcu nie zrobiło to wrażenia. Cofnął się o krok. Nehi powtórzył wszystko po egipsku.

— Nie rozumiem, co mówisz — wtrąciła się dziewczyna.

— Ale ja rozumiem — powiedział chłopiec również po egipsku, z trudem opanowując drżenie. — Nie zabijaj mnie, błagam cię! Pozwól mi tu zostać i mnie nie zabijaj!

Nehi zrobił krok w stronę młodzieńca. Dziewczyna mocniej ścisnęła nóż.

— Nie zbliżaj się! — krzyknęła.

Oficer stanął. Nie wierzył, że to dzieje się naprawdę: na brudnym placyku przed piekarnią w Babilonie, tak daleko od Egiptu, znalazł wychudzonego „syna królów”. Puimre mówił mu, że ten, którego szukają, będzie wyglądał jak zwykły człowiek, lecz w jego żyłach miała płynąć królewska krew.

Oficer upadł na twarz.

— Wasza Wysokość zechce mi wybaczyć zuchwalstwo i podstęp — szeptał po egipsku.

Anchnum zaczął się śmiać. Dotąd w jego życiu były tylko upokorzenie, nędza i strach, a teraz ktoś zwracał się do niego słowami, jakimi mówiono tylko do faraona.

— Dobrze, pójdę z tobą — powiedział, gdy się w końcu uspokoił, a w jego głosie brzmiała rezygnacja. — Ale Charis pójdzie także.

Minęły dwa tygodnie. Puimre oznajmił Anchnumowi, że działa z polecenia Senemmuta, wezyra faraona, ale bez wiedzy

Hatszepsut. Kapłan zapewnił chłopca, że z jego strony nie grozi mu śmierć. Anchnum zaś opowiedział o wszystkim, czego doświadczył, odkąd opuścił Egipt. Kapłan przekonał się szybko, że nie ma mowy o pomyłce: znak ibisa, tabliczki Szamaszego i odretwienie, na które cierpieli wszyscy potomkowie Ahmesa, pogromcy Hyksosów, wszystko to potwierdzało, że chłopiec jest potomkiem królów.

— Czy mógłbyś opowiedzieć mi o moich rodzicach? — poprosił Anchnum pewnego dnia.

— Z tego, co wiem, twoja matka i ojciec nie żyją. Odpowiedzialność za to ponosi siostra twego ojca, obecnie panująca w Egipcie Maatkare Hatszepsut. Twoja matka stała się brzemienną za sprawą faraona Acheperenre Totmesa Drugiego, który nie doczekał twoich narodzin. Ktoś jednak wyniósł cię z pałacu. I przez lata nikt o tobie nie wiedział. Hatszepsut jest twoją ciotką.

— Miałem brata...

— Brata? — zdziwił się Puimre. — Nic o tym nie wiem.

Anchnum ukrył twarz w dłoniach i położył głowę na kolanach Charis. Płakał. Puimre, Nehi i dziewczyna milczeli.

— Jak on ma na imię? — zapytała w końcu Charis.

— Wiem, iż życzeniem jego ojca było, aby nosił takie samo imię jak on. To ważne ze względów politycznych.

Puimre i Nehi wstali, upadli na twarze, po czym wyszli.

— Ursilisie, chciałbym, abyś teraz tu był... — wyszeptał Anchnum, podnosząc głowę.

— On cię nie słyszy, ale ja tak — zapewniła Charis.

Tak właśnie umarł Anchnum, a narodził się Totmes.

A mnie przypadło w udziale spisać jego dzieje.

Ursilis obudził się zlany potem. Bolała go głowa, paliła opuchnięta twarz. Odgarnął skóry, którymi był przykryty. Odkąd opuścił Babilon, minęły cztery miesiące. Dwa przesiedział

w lochach w stolicy Mitanni. W końcu król Parratama wysłał go do małej twierdzy na granicy Hatti, z niewielkim oddziałem, złożonym z najlepszych setników jego gwardii.

Z Wassukani wyruszyli przed miesiącem. Osobistą eskortę Ursilisa stanowiło sześciu wybranych przez samego króla wojowników. Wszyscy nosili włosy splecione w warkocze, a ich odzieniem były skóry. Dowódca imieniem Batti, który mówił po hetycku, powiedział Ursilisowi, że wszyscy należą do grupy *maryannu*, kasty najlepszych wojowników, którzy od wielu lat terroryzowali wszystkie królestwa od Morza Czarnego po równiny Babilonii.

Porośnięte lasami wyżyny Anatolii były o tej porze roku zimne i wietrzne. Od kilku dni jechali przez bory wyjątkowo gęste i posepne. Ursilis uznał, że to doskonale miejsce do ucieczki.

Jeszcze przed wyjazdem do Wassukani Batti przywłaszczył sobie miecz Ursilisa i lwią skórę. Uznał, że to zapłata za opiekę nad więźniem. Przed dwoma dniami udało się jednak Ursilisowi ukraść szpilę do ubrania i zanim znów nałożyli mu więzy, zdołał ją schować w owiniętym wełnianą onucą sandale.

Zatrzymali się na popas na dużej polanie między cedrami.

— Posiłek podano — mruknął jeden z Hurytów i rzucił jeńcowi jęczmienny placek, tak czerstwy, że trudno go było ugryźć.

— Zdejmijcie mu postronek — rozkazał Batti w dziwnym huryckim narzeczu, którego używali Mitanni, a które Ursilis ledwo rozumiał.

— Ty jeść — dodał po hetycku strażnik.

Ursilis zachowywał się spokojnie, gdy jeden z drabów zdjął mu z rąk rzemienie. Rozmasował obolałe nadgarstki i ukucnął, by sięgnąć po jedzenie. Kiedy strażnik odwrócił się do towarzyszy, namacał szpilę.

— Niech mnie któryś zmieni! — krzyknął do kamratów

Huryta. — Nie chce mi się patrzeć, jak on zre, a potem stać koło niego, kiedy będzie srał!

— Dzisiaj twoja kolej! Nie wykręcisz się! — odkrzyknął Batti.

— Baw się dobrze!

— Podetrzyj go!

Rozległ się złośliwy chichot, a potem mlaskanie.

— Żeby chociaż był babą, tobym sobie popatrzył! — narzekał strażnik, lecz po chwili zawył nieludzko. Chwycił się za lewą nogę, którą przeszył potworny ból. Ursilis zrobił użytek ze skradzionej szpili.

— Pomóście mi! — wrzeszczał strażnik.

Zanim pozostali zorientowali się, co się dzieje, Hetyta był już przy jukach. Konie rżały nerwowo.

— Dawajcie broń! — ryknął Batti.

— Nie mamy broni! Została przy koniach! — odpowiedzieli wojownicy.

Trzech rzuciło się na Ursilisa. Pierwszego ciął mieczem tak, że krew obryzgała stojącego obok gniadosza. Drugi, z braku broni, zasłonił się rękami. I znów błysk miecza. I znów trzask gruchotanych kości. Krzyk rannego odbił się echem od ściany lasu. Następne cięcie przez brzuch sprawiło, że ucichł. Trzeci Mitanni zdołał dopaść włóczni opartej o głaz, lecz Ursilis uchylił się, ciął wojownika pod pachwinę i w mgnieniu oka wzlciwały w powietrze cieniutkie strużki krwi. Nadbiegł czwarty i strzelił z łuku. Ursilis poznał, że to najmłodszy, dwudziestolatek, który jechał na pierwszą misję w swoim życiu. Strzała musnęła ramię Hetyty, ale zanim młody wojownik zdołał napiąć łuk po raz drugi, Ursilis dźgnął go w gardło. Chłopak zacharczał i upadł. Ursilis, niczym demon zemsty, stanął naprzeciw Battiego, uzbrojonego w miecz z brązu.

— Chodź, psie — wycedził Huryta przez zęby.

Polana rozbrzmiała szczękiem metalu. Ursilis oddawał cios za ciosem, ale czuł, że jest od Battiego słabszy. Mitannijski wojownik zadał cios z półobrotu, Hetyta zdołał odbić go nad

głową. I znów cięcie, i znów garda. Gdy Batti uderzył po raz kolejny, Ursilis kucnął, a miecz przeszył ze świstem powietrze. Batti stracił równowagę i w tym momencie Ursilis zdołał pchnąć go z całej siły w brzuch między kolczugę i wełniane spodnie. Po klindze pociekła krew. Popatrzyli sobie w oczy. Jedne były żywe i pełne wściekłości, drugie odchodziły w wieczność śmierci.

— Wybacz — szepnął Ursilis, kładąc ciało wojownika na ziemi.

Nagle na polanę, poprzez korony drzew, wdarło się słońce, oświetlając miejsce rzezi. Na trawie leżało pięć trupów. Wojownik ze szpilą wbitą w nogę jęczał.

— Wyjmij ją, nie weszła głęboko — rzucił Ursilis. — Zostawię ci jedzenie, konia i broń — dodał. — Możesz pochować swoich, jeśli zdołasz. Nie próbuj za mną jechać, bo będę musiał cię zabić.

Załadował wszystkie swoje rzeczy zabrane przez Battiego na konia. Jednego wziął jako luzaka. Trzeci koń, który utykał, dostał mieczem po szyi. Ursilis wyciął mięso z uda, resztę zostawił.

— Bogowie, chrońcie Anchnuma, gdziekolwiek jest — szepnął Ursilis i ruszył w drogę.

Część druga

Powrót

Byli na morzu już tydzień, a trzy miesiące minęły od momentu, kiedy wyruszyli z Babilonu.

Puimre obrał nieco dłuższą drogę, by ominąć nieprzyjazną ziemię Mitanni. Najpierw jechali szlakiem, który wiódł z Babilonu do miasta Kadesz nad rzeką Orontes, a stamtąd wąskimi drogami Fenicji do Gazy, odzyskanej przez armię egipską pod dowództwem Senenmuta, gdzie wsiedli na okręt. Wyjazd z Babilonu nie nastęczał żadnych trudności. Poselstwo egipskie opuściło miasto, mając po prostu dwóch służących wieczerzą. Ardaszir także umknął w obawie przed gniewem Enaburiasza. Aptekarz szybko dowiedział się o ucieczce Ursilisa. W jednej chwili ambitny intrygant stracił wszystko i musiał na zawsze opuścić miasto bogów.

Totmes poczuł na twarzy przyjemny powiew ciepłego wiatru. Siedział na górnym pokładzie i rozmyślał o tym, jak w ostatnich dniach odmienił się jego los.

Z zadumy wyrwał go ciepły głos Charis:

— Witaj, panie.

— Witaj.

- Nie przeszkadzam ci?
- Nie mów do mnie, jakbyś była moją poddaną. — Totmesa ciągle oneśmiała obecność dziewczyny. — Nie, nie przeszkadzasz. Rozmyślałem o przeszłości...
- Panie, musisz zostawić przeszłość za sobą.
- Z mojego powodu zginęło tak wielu ludzi. Wciąż mam przed oczyma ich twarze. Jak mogę o nich zapomnieć?
- Każdy z nas ma los, którego nie *może zmienić*. — Zniżyła głos. — Tobie przeznaczone jest być królem.
- Charis, nie mów tak. Nie wiem, czy moje pochodzenie jest błogosławieństwem, czy przekleństwem.
- Nie dowiesz się tego nigdy, jeśli nie pozwolisz prowadzić się bogom — odrzekła Charis. — Może właśnie w twoich rękach spoczywa los dziesiątków tysięcy ludzi. Nie możesz odrzucić czegoś, czego jeszcze nie znasz.
- Ale dlaczego ja?
- Totmesie, posłuchaj mnie. — Dziewczyna przykryła dłońmi jego dłonie, — Wszystkim nam pisana jest śmierć, ale po większości ludzi nie zostanie nic, a twoje imię być może przetrwa tysiące lat i będzie napawać grozą i uwielbieniem.
- I co z tego, skoro muszę być kimś, kim być nie chcę?
- Charis nie odpowiedziała, choć tak dużo chciała mu powiedzieć: że żyje tylko dla niego, że tylko nim oddycha. Podświadomie czuła jednak, że Anchnum, którego pokochała, odszedł i że stoi przed nią zupełnie inny człowiek. Tłumiąc łzy, odwróciła się i zaczęła zbiegać po schodach na dolny pokład.
- Charis, dokąd biegiesz, czekaj! — Totmes rzucił się za nią.
- Po chwili znalazł ją leżącą na korytarzu pod pokładem.
- Charis, co ci jest? Co się stało?
- Dziewczyna była blada jak płótno, z trudem oddychała.
- Boli mnie, bardzo mnie boli — wyszeptwała.
- Totmes zobaczył, że na jej sukni, poniżej brzucha, powiększa się plama krwi.

— Puimre! Puimre, gdzie jesteś?! — krzyknął w panice.

Po chwili z kajuty obok wypadł kapłan Amona.

— Co się dzieje, na wszystkich bogów?!

Jeden rzut oka wystarczył, by kapłan zrozumiał, co się stało.

— Trzeba ją zanieść na łóżko — rzucił.

Przenieśli Achajkę do kajuty, w której we dwóch mieszkali.

— Co jej jest? — dopytywał się Totmes.

— Potem ci powiem, panie. Teraz biegnij po Nehiego. Jest u kapitana. Niech zagotuje wody i przyniesie czyste ręczniki. Szybko! Leki i narzędzia mam tutaj.

Puimre chciał zostać z Charis sam, Totmes i Nehi czekali więc pod drzwiami. Ciszę przerywał od czasu do czasu krzyk dziewczyny. Wreszcie skrzypnęły drzwi kajuty i ukazał się w nich blady Puimre.

— Będzie żyła — odetchnął głęboko. — Ale mało brakowało, a znalazłaby się w Krainie Cieni.

— Co się stało? — dopytywał się Totmes.

— Nic nie wiesz? — zdziwił się Puimre.

— Czy ona...

— Tak. Chociaż nie przypuszczam, żeby była w tym stanie dłużej niż trzy miesiące.

— Skąd wiesz, Puimre? — zapytał Nehi.

— Kapłani Amona dużo wiedzą o ludzkim ciele. Uczymy się tego w świątyni.

— Ale skąd wiesz, jak długo była brzemienna?

— Nehi, widziałeś kiedyś kobietę, która nosiłaby dziecię dłużej niż dziewięć miesięcy?

— Nie, nie widziałem.

— No właśnie. To nie jest tajemna wiedza. Wiesz też, że dziecko nie bierze się ot tak, z powietrza.

— Czy uważasz, że to ja jestem winny? — wyszeptał przeżony Totmes.

Nehi zaczął oddalać się korytarzem, ale zdążył jeszcze krzyknąć:

— Niczego nie widziałem i niczego nie słyszałem!

— Totmesie — zaczął spokojnie Puimre — nie musisz się mnie wstydzić. Jeżeli byłeś z nią, to niczego sobie nie wyrzucaj, bo takie rzeczy się zdarzają. Jedne kobiety rodzą, inne nie.

— Puimre, ale ja jej nie tknąłem!

— Wierzę ci. Musiał więc być jakiś inny mężczyzna.

Krzyk, który dobiegł zza drzwi, szybko przypomniał im o Charis. W kajucie pachniało silnym środkiem odkażającym, który Puimre stosował przy skaleczeniach. Dziewczyna leżała pod pledem i wpatrywała się w Totmesa. W kącie stała duża misa przykryta zakrwawionym ręcznikiem. Chłopak wzdrygnął się na myśl o tym, co w niej jest.

— Wiem, co sobie o mnie myślicie... — wyszeptła Charis z wysiłkiem.

— Nic nie myślimy — przerwał jej Puimre. — Żyjesz i to jest ważne.

— Chcę prosić cię, panie, o wybaczenie — ciągnęła — bo to nie stałoby się...

— Nic nie mów, Charis.

— W Babilonie robiłam to, co kapłanki Isztar — łkała dziewczyna.

— Charis... — Totmes próbował ją uspokoić.

— Panie, niczego nie żałuję, bo dzięki temu mieliśmy za co żyć.

— Lepiej nic nie mów, dziewczyno — wtrącił się Puimre. — Oszczędzaj siły. Przez kilka najbliższych dni nie powinnaś wstawać. Dopilnuję tego. Wkrótce będziemy w Delcie.

— Delta Nilu... — szepnął Totmes. — Charis, nie mam ci czego wybaczać. To ty mi wybacz.

Ale Charis już tego nie słyszała. Ziola Puimre szybko sprowadziły sen.

Wyszli z kajuty. Noc mieli spędzić na pokładzie.

— Puimre, dlaczego byłem taki ślepy? — pytał Totmes.

Długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o tym, co czuje do Charis, i o tym, jak trudno mu się przyzwyczaić do nowego imienia.

Noc minęła spokojnie. Pasażerów zbudziły świst bata, bębnienie odmierzające rytm pracy, krzyki strażników i jęki bólu tych, którzy nie wytrzymywali tempa. Dzięki wioślarzom okręt ruszył rażno, nadrabiając godziny nocnego dryfowania. Stewa cięła gładkie jak lustro morze. Nad powierzchnię wody raz po raz wyskakiwały delfiny, które marynarze feniccy uznawali za boskie stworzenia, a ich towarzystwo za dobry omen. Dlatego złożono bogom morza ofiarę dziękczynną, wylewając za burtę trochę wina.

Totmes wciąż rozmyślał o Charis. Nie mógł pojąć ogromu jej dobroci, która skłoniła ją do sprzedawania własnego ciała, by uratować go od nędzy i głodu. Czuł, że nie jest godny takiego poświęcenia. Czuł do siebie obrzydzenie.

— Totmesie — zabrzmiał cichy głos Puimre. — Zbliżamy się do Egiptu. Wiedz, że dopiero teraz zacznie się walka na śmierć i życie.

— Wiem, że możemy nie wyjść z tego żywi — odrzekł chłopak — ale chciałbym, aby twoja misja się powiodła.

— Moja? — zdziwił się kapłan. — To nie jest moja misja. Jesteś przyszłością Egiptu... — urwał, bo spod pokładu wyłonił się Nehi.

— Widzicie ten punkt, który zbliża się od strony lądu? — zapytał. — To okręt patrolowy faraona. Wysyła znaki dymne, ale nie wiem, co one znaczą.

Wszyscy wpatrywali się intensywnie w nadpływający niewiarygodnie szybko okręt. Widać było, że dzięki morderczej pracy wioślarzy olbrzymi statek niebawem pokona dzielący ich dystans. Świst bata i przekleństwa niosły się po wodzie. Puimre przywołał kapitana.

— To okręt wojskowy. Czego oni mogą chcieć?

— Wielmożny panie, a któż może wiedzieć, czego chcą Egipcjanie od Fenicjan? — Kapitan próbował ich uspokoić.

— Jak to czego? — zaśmiał się Nehi. — Cła!

— Panie, ja nie mam nic do ocenia! — wykrzyknął kapitan. — Wszyscy wiedzą, że handel prawie ustał z powodu zamieszek w fenickich miastach.

— To powiedz im to — mruknął Nehi, wskazując statek patrolowy.

Nagle kapitan padł na kolana przed Puimre.

— Błagam cię, ratuj mnie, panie! Jesteś mąż Amona, świętobliwy i uczony! Ciebie usłuchają!

— Wstań, człowieku! Co wiesz na prawdę? — Kapłan badawczo przyglądał się kapitanowi.

— To, czego nie wolno — wybąkał Fenicjanin.

— Czyli?

— Syryjskie wino...

— Tylko?

— Trochę niewolników...

Nehi i Puimre popatrzyli na siebie ze zgrozą.

— Jakich niewolników? Przecież mając dowody zakupu, możesz wwieźć ich legalnie — zauważył Nehi.

— Ale to nie są zwykli niewolnicy — wyznał kapitan. — To młodzi chłopcy i dziewczęta z objętego blokadą Tyru, przeznaczeni do burdeli w Memfis.

— Ty łajdaku! — Nehi wymierzył kapitanowi siarczysty policzek. — Jak śmiesz tak nas narażać!

Nagle z części przeznaczonej dla załogi wybiegł marynarz cały we krwi.

— Kapitanie, zrobione — zameldował. — Bydło pochowa-
liśmy do skrzyń. Potem wrzucimy je do morza.

Nehi chwycił marynarza za gardło.

— Co pochowałeś do skrzyń, ty fenicki wieprzu? — syknął.

— Panie, o co ten krzyk? — zachnął się kapitan. — Sam rozumiesz, że gdyby ich znaleźli, to nie tylko nas wzięliby na spytki, ale was także. I tę dziewczę, z której wczoraj wyskrobaliście bękarta!

Nehi nie wytrzymał, zaczął okładać Fenicjanina laską i krzyczeć:

— Ty łajdaku, wykorzystałeś naszą obecność, żeby załatwiać swoje brudne interesy!

— Nehi, daj spokój, oni są już blisko. — Puimre złapał oficera za rękę.

Totmes stał jak wrośnięty w ziemię. Na myśl o tym, co marynarze zrobili z niewolnikami, wzbierała w nim furia. Musiał się jednak opanować, bo statek faraona był tuż-tuż. Na jego dziobie widniała królewska kobra. Zbliżał się od strony sterburty. Oba okręty, mając zwinięte żagle i podniesione wiosła, zaczęły z wolna dryfować w kierunku Deltę Nilu. Załoga okrętu patrolowego przerzuciła wąską kładkę, po której na pokład fenickiej galery weszło kilkunastu żołnierzy i kilku oficerów.

— To Szardanowie — szepnął Nehi.

Podszedł do nich brodaty oficer z laską i przerzuconą przez ramię zajęczką skórą.

— Co wy wiecie? — zapytał łamanym egipskim.

— Nic nielegalnego — zapewnił skwapliwie kapitan. — Ot, troszkę syryjskiego winka.

— Co? — wykrzyknął oficer. — Ty wiedzieć, że zabronione! Cło, dużo cła!

— Naturalnie — zgodził się Fenicjanin. — Ale za tak dobre, mocne i stare wino cło nie będzie chyba wysokie, prawda?

— Ty mnie chcesz przekupić — zarzucił mu brodac, ale zaraz się uśmiechnął, pokazując kikuty spróchniałych zębów.

— Ja? Ja przekupić? Ja dbam o żołnierzy faraona. Nie lepiej napić się dobrego winka niż tych szczochów, którymi was poją?

— Nie oszukiwać? Skąd ja wiedzieć, że ty wiec wine?

— Sam się przekonaj, dostojny panie. Dam dziesięć amfor dla twoich żołnierzy.

— Ty mi się coraz bardziej podobać — rzekł do kapitana oficer, gdy jego ludzie ochoczo wynosili spod pokładu amfony. — Ty być wcześniej przygotowany.

— Dobry kupiec zawsze jest przygotowany — rzekł Fenicjanin, uśmiechając się szeroko.

— Mądrze mówić — pochwalił oficer. — No, dawać kubki, spróbujmy tego specjału!

Żołnierze zaśmiali się gromko. Gdy odbito korki i wosk, po pokładzie rozszedł się przyjemny aromat. Szardanowie, pijąc, uronili kilka kropel na pokład na ofiarę bogom.

— Dobre wino — mlasnął oficer. — A teraz dość już tych gierek. Co wiesz, kapitanie? — Powiedział to najczystszy egipskim. Nehi uśmiechnął się za ich plecami.

— Jest rozkaz, aby dokładnie przeszukiwać wszystkie statki przybywające do kraju Kem — wyjaśnił oficer.

— A któż go wydał? — zapytał Puimre.

Oficer odwrócił się w jego stronę, mrużąc oczy, by lepiej widzieć pod słońce. Puimre miał na sobie białe szaty, a w rękę kapłańską laskę.

— Wasza dostojność zechce wybaczyć, ale taki jest rozkaz ministra wojny.

— Rozumiem, ale posłuchaj, człowieku, nie można ot tak zatrzymywać statków handlowych — zaczął Puimre.

— Właśnie, nie można! — zawtórował mu kapitan.

— Panie, widać, że wracasz z daleka. Minister Seti już dawno ma takie uprawnienia. Dlatego pozwól mi wypełnić moje obowiązki.

Kapitan skinął głową. Żołnierze zeszli pod pokład. Kapitan zaczął trząść się ze strachu.

— Tylko nie porozbijajcie moich naczyń z lekami, są w kajucie, którą zajmuję z tym tu Egipcjaninem — wskazał na Totmesa. — Jest tam również śpiąca kapłanka mrocznej bogini z Syrii, która źle znosi morskie podróże i będzie bardzo zła, jeśli ją zbudzicie.

— Nie mam zamiaru budzić dostojnej kapłanki — zapewnił oficer, znikając pod pokładem.

— Jak się czuje Charis? — szepnął Totmes.

— Jeszcze śpi — odpowiedział Puimre.

— A jeśli znajdą trupy? Ten drań, który wyszedł z luków okrwawiony jak rzeźnik, owinał sobie szmatą rękę, że niby się skaleczył — zauważył chłopak.

— Puimre, czy nie wydaje ci się dziwne, że Szardanowie trzymają straż na statkach? — wtrącił się Nehi. — Przecież do tej pory robili to najemnicy z Krety.

— To pułki ładowe. Nie podoba mi się to. Źle, że ministrem wojny jest Seti.

— Przecież to ponoć twój mistrz?

— Mój mistrz stoi przed Ozyrysem. Ta osoba się pod niego podszywa. Ale to długa historia. Musiało się coś stać. — Puimre zamyślił się głęboko.

— To, że Szardanowie są na statkach — mówił Nehi — oznacza, że nie ma pieniędzy na fenickich i kreteńskich najemników, a rodzime pułki egipskie są niezadowolone.

— A co to oznacza dla nas? — zapytał Totmes.

— Bunt w kraju.

Tymczasem spod pokładu wyszli Szardanowie.

— Niczego tam nie ma! Masz szczęście, kapitanie. Powiedz tylko swojemu armatorowi, żeby mył ładownię po zwierzętach, jest cała we krwi — rzekł do kapitana oficer z brodą.

Żołnierze zaczęli przechodzić po kładce na swój okręt.

— Wino zostawcie w porcie w magazynie garnizonu! — krzyknął Szardana. — A do portu możecie wpłynąć zaraz po nas.

Gdy egipski okręt, przy wtórce uderzeń wiosł o wodę, zaczął się oddalać, pod pokładem zaczął się ruch.

— Popatrzcie! — krzyknął Totmes, wskazując za burtę.

Woda pieniała się od krwi, a na jej powierzchni unosiły się ludzkie szczątki.

Biegł najszybciej, jak mógł. Liczyło się tylko jedno — przeżyć. Czuł na twarzy żar słońca, a za plecami nienawiść goniącego go tłumu.

— Otwierać! — krzyczał, dopadłszy wreszcie do bramy obozu.

Gdy brama się uchyliła, wbiegł na dziedziniec i padł na kolana w piach. Otoczyło go wojsko. Zza wrót dobiegały wściekle wrzaski.

— Słyszycie? — zapytał jakiś przerażony żołnierz.

Żołnierze pułków gwardyjskich stacjonujący w Tebach pochodzili na ogół z małych wiosek w Delcie. Odkąd w mieście zaczęły się zamieszki, nikt nie chciał wyjść poza garnizon.

— Dostojny Aszerkare — zwrócił się do klęczącego oficera jeden z żołnierzy, niemłody już człowiek w wełnianej peruce. — Co mamy robić? Czy tłum zaatakuje obóz?

— Nas jest tysiąc — krzyknął drugi żołnierz — a to tylko motłoch!

— Słuchajcie mnie... Faraon nie pozwoli skrzywdzić swoich najlepszych żołnierzy... Mam zapewnienie kapłanów Amona... — wysapał młody oficer.

— Ten stary szczur coś ci obiecał? — krzyknął ktoś.

— Prędzej dostaną coś pułki świątynne niż my! — dodał inny głos.

— Nic nie rozumiecie — rzekł Aszerkare, wstając. — Pułki świątynne mogłyby przyjść nam z pomocą...

— Aszerkare, szanujemy cię za to, co dla nas zrobiłeś — odezwał się jeden z Szardanów — ale pułki świątynne są egipskie, nie pójdą przeciw swoim, żeby nas ratować!

— Racja! — krzyknęli żołnierze.

— Faraon i kapłani nie poświęcą was! — próbował uspokoić ich Aszerkare. — Przysięgaliście na wierność Egiptowi i jego władcy!

— Egiptowi tak, bo tutaj się urodziliśmy, mimo że Egipcjanami nie jesteśmy!

— Przysięgaliśmy faraonowi, który jest kobietą, a jak ziemia długa i szeroka nie słyszano o czymś takim!

Nagle zza wału posypały się kamienie. Jakiś żołnierz upadł, trafiony w skroń.

— Na wały! — krzyknął jeden z podoficerów. — Strzelać!

Żołnierze napięli cięgiwy i w tłum poleciał deszcz strzał.

Mimo to cizba napała na bramę i byłaby ją wyważyla, gdyby z kotłów nie wylano gorącej oliwy. Tłum cofnął się, czemu towarzyszyły straszliwe krzyki poparzonych. Zaczęto wołać z wałów o więcej kamieni i strzały, tymczasem tłum zawył i znowu ruszył do ataku. Tym razem nie pomogły ani strzały, ani oliwa. Brama runęła. Pierwsza fala tebańczyków starła się z dwoma setkami Szardanów, którzy na dziedzińcu obozu ustawili się w bojowym szyku. Pierwszy szereg biedoty nadział się na włócznie, następnych dosięgły miecze i topory. Od czasu do czasu w ręce tłumu wpadał jakiś nieszczęsny żołnierz i ginął, rozszarpany żywcem. W końcu Szardanowie zaczęli się cofać. Ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, padali obok zabitych przez siebie Egipcjan.

Po godzinie na obozowym placu nie było ani jednego żywego żołnierza.

Zapadła noc. Kilku wyrostków z pochodniami kręciło się między trupami, odzierając je z ubrań i wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Nagle jedno ciało się poruszyło. Szabrownicy minęli je, bo człowiek ten nie miał nic wartego zrabowania. Gdy odeszli, mężczyzna ostrożnie podczołgał się do stosu ciał i z pierwszego z brzegu trupa zdał nędzne łachmany. Włożył je i rozglądając się trwożnie, uciekł z polowiska.

Tego samego dnia statek z Totmesem zawinął do portu w Memfis. Nehi opuszczał pokład, lżąc kapitana i odgrażając się, że go zabije. Wyładunek skrzyń trwał dosyć długo, bo Puimre zakupił w Tyrze nieco tkanin, by nikt nie domyślił się prawdziwego celu ich podróży.

— Nie wiem, jak wam, ale mnie się tutaj nie podoba —

mruknął Nehi, opędzając się od komarów i spoglądając podejrzliwie na żołnierzy kręcących się po porcie.

— Niezwłocznie udamy się za miasto — pocieszył go Puimre. — Senenmut ma tam pałac.

— Co to za żołnierze? — zapytał Totmes.

— Czerwony kolor bransolety na ramieniu oznacza, że to wojska opłacane przez skarb Amona.

— Czy są tu z naszego powodu? — dopytywał się chłopak.

— Nie sądzę. O mojej misji nie wie nikt oprócz Senenmuta. Ale wiedz, że Hatszepsut jest jednym z najbardziej bezwzględnych władców, jacy kiedykolwiek zasiadali na tronie faraonów, i jeśli chcemy przeżyć, powinniśmy być równie bezwzględni jak ona. Musimy jak najszybciej znaleźć się pod opieką Senenmuta, wtedy będziemy bezpieczni.

Totmes miał jednak wrażenie, że gdy znajdą się w pałacu Senenmuta, będzie jedynie marionetką w ręku potężnego ministra. Ale tego Puimre nie powiedział.

— Ruszać! — rozkazał Nehi.

Pochód ruszył. Czterech najsilniejszych służących niosło lektykę, w której siedział Puimre. Przed lektyką chorąży niósł laskę w kształcie głowy kobry, wokół której obwiązano skórę lamparta, co oznaczało, że w pochodzie idzie arcykapłan. W ziemi Kem darzono szacunkiem i bano się kapłanów Amona. Kult tego boga rozprzestrzenił się szybko szczególnie za rządów obecnie panującej dynastii, która była ponoć osiemnastą od czasu, kiedy Egipt zjednoczono.

Słońce paliło, a nieprzyjemny klimat Memfis, miasta położonego w odnogach Nilu, dał o sobie znać smrodem, jaki wiatr przynosił od mokradeł. Charis niesiono w lektyce na końcu kolumny, a Nehi i Totmes, który występował jako skryba Puimre, jechali na koniach pobranych przez Nehiego z garnizonu. Tuż przed bramą rozległy się grzechotki obwieszające,

że kapłan Amona opuszcza mury miasta. Gdy tylko pierwszy żołnierz z eskorty przekroczył bramę, został uderzony kamieniem przez człowieka wykrzykującego jakieś niezrozumiałe słowa. Pochód stanął.

— To pewnie jakiś Libijczyk. Zawsze powtarzałem, że należy przegnać drani z tego kraju! — wykrzyknął Nehi.

— Skąd wiesz, że to Libijczyk? — zapytał Totmes.

— A któż inny mógłby zachowywać się w taki sposób?

Gdy Nehi przechodził obok lektyki Puimre, ten wyjrzał zza zasłony.

— Dokąd idziesz?

— Uciszyć tego szaleńca.

Puimre dał znak, by postawiono lektykę. Wysiadł i razem ruszyli w stronę bramy.

— I co, zatrzymałeś się? Wiem, kogo wieziecie! — rzekł mężczyzna, wynurzając się z cienia.

Był bez wątplenia Egipcjaninem, ale jego włosy sięgały do ramion, a broda była długa i skołtuniona.

— Jesteś Widzący, więc idź między piaski pustyni, gdzie mieszka twój bóg — rzekł spokojnie Puimre, który pierwszy zorientował się, z kim ma do czynienia.

— Myślisz, że odejdę? Pan kazał mi czekać u bramy!

— Odejdź między cienie, skąd przyszedłeś. Nie możesz stawać nam na drodze!

Nieznajomy rzucił się na Puimre. Nie zdążył jednak użyć krótkiego sztyletu, który wyciągnął z rękawa. Krzyknął, chwycił kapłana za ramię i patrząc mu w oczy, osunął się na ziemię. W plecy, aż po rękojeść, wbity miał krótki miecz.

Nehi ukląkł przy zwłokach, odwrócił je delikatnie i wyciągnął z niego ostrze.

— Co się stało? — krzyknął Totmes, który właśnie nadbiegł.

— To kapłan Seta — szepnął zaszokowany Puimre. — Patrzcie...

Na szyi trupa połyskiwał amulet — srebrny wisiołek przedstawiający psa z wielkimi sterczącymi uszami. Tłum wokół

nich zgęstniał. Ktoś krzyknął, że kapłani Amona zabili człowieka.

— Gdyby nie ty, Nehi, już by mnie nie było — rzekł Puimre. — Stała się rzecz straszna. — Odwrócił się do Totmesa.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytał chłopak.

— Wiedzą, kim jesteś, ale nie wiedzą, jak wyglądasz. Ten kapłan Seta miał zabić ciebie.

Totmes popatrzył na nieruchome ciało. Poczł skurcz w gardle. Znów otarł się o śmierć.

Memfis

Stary kapłan patrzył przez wielkie okno w świątyni Ptaha na zachodzące nad Memfis słońce. Ostatnie promienie rzucały na ściany cienie trzech postaci siedzących za kapłanem. Kapłan odwrócił się i powiódł wzrokiem po pomarszczonych twarzach. Wszyscy czekali na to, co powie.

— Hapusenebie — rzekł Chaemhat, starzec siedzący po lewej — wróciłeś niedawno z Syrii, opowiedz o wszystkim, czego doświadczyłeś.

— Te ściany nie mają uszu, możesz mówić — zapewnił drugi starzec, niezwykle wysoki mąż o orlim nosie imieniem Senenu.

— Dostojni — zaczął Hapuseneb — moje serce zasnuły ciemne chmury, albowiem stoję przed najtrudniejszym wyborem mego życia. Muszę wybierać między Egiptem i panującym faraonem.

— Daruj sobie, Hapusenebie, ten patetyczny ton — parsknął trzeci z kapłanów, niski, krępy, o nalanej czerwonej twarzy i wyłupiastych oczach. — Świątynia Amona nigdy nie musiała stawać przed takim wyborem i teraz też nie musi.

— Nie pochlebiaj sobie, Ramose, ty nigdy nie grzeszyłeś lojalnością wobec niczego prócz własnego brzucha — odparował Hapuseneb.

Kapłan popatrzył na Hapuseneba z nienawiścią. Nie musiał jej ukrywać. Nienawidzili się wszyscy czterej, choć przyświecał im jeden cel.

— Odkryłem tajemnicę, która pomoże nam w dokonaniu tego wyboru — kontynuował Hapuseneb.

— Domyślamy się, co to za tajemnica — wtrącił Chaemhat — choć nigdy nie raczyłeś nam jej zdradzić.

— Nie, nie zrobiłem tego, albowiem dowiedziałem się o wszystkim dopiero niedawno — odpowiedział Hapuseneb, patrząc na Chaemhata, którego cenił najbardziej z rady. — Tajemnica, którą ukrył czas przeszło piętnaście lat temu, teraz powinna zostać ujawniona. Nie mam innego wyjścia.

— Nie, Hapusenebie, nie masz — przyznał Senenu. — Ale na pocieszenie dodam, że większość dworu poprzedniego faraona o tym wiedziała.

— Tylko że ludzie, o których mówisz, nie żyją, a ja tak — zauważył Hapuseneb.

— Nie rozpraszajmy się — wtrącił Chaemhat. — Mów, Hapusenebie.

— Jestem przekonany, że ten, którego szukaliśmy przez tyle lat, żyje i prawdopodobnie jest już w Egipcie. Mam wiadomości od Puimre.

— Puimre jest sekretarzem Senenmuta i naszym byłym wychowankiem. Nie liczyłbym na jego lojalność. Mów dalej — poprosił Chaemhat.

— Wiedziony przecuciem, udałem się do Syrii — ciągnął Hapuseneb. — Na rozkaz faraona. W Ugaricie trafiłem na ślad naszej zguby. Podróżował z hetyckim niewolnikiem w towarzystwie bardzo podejrzanego kupca i szpiega, Babilończyka. Był to bardzo osobliwy typ, że tak powiem, legenda Ugaritu.

— O kim mówisz? — zainteresował się Chaemhat.

— Nazywał się Szamaszi, ale, jak podejrzewam, to imię chyba nic wam nie mówi. Prawdopodobnie zdołał wyprawić naszą zgubę do Babilonu. Ruszyłem za nim w towarzystwie naszego namiestnika w Ugaricie, lecz ślad się urwał.

— Bardzo nam przykro, ale ty, oczywiście, jakoś sobie poradziłeś? — zasyczał Ramose.

— Tak, na koniu dawałem sobie radę doskonale, w przeciwieństwie do ciebie, który nie dajesz sobie rady nawet w lektyce z kochanką.

— Na wszystkich bogów, przestańcie, bo nie skończymy do rana! — krzyknął zirytowany Senenu.

— Jedno wiemy na pewno: chłopiec przeżył i jest tym, kogo szukamy — ciągnął Hapuseneb.

— Skąd ta pewność? — spytał Senenu.

— A jak wytłumaczysz fakt, że przebywał w domu Minmose, zięcia Setiego, a potem nagle uciekł? Mam wrażenie, że we wszystko zamieszany był ten stary szczur Seti i że to on pomógł mu uciec.

— Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego Seti tak bardzo zbliżył się do Hatszepsut? Siedział przez dziesięć lat w papiirusach i nagle zawędrował tak wysoko? — kręcił głową Chaemhat.

— To nie jedyna zagadka w tej sprawie — zauważył Ramose. — Jeśli nawet przyjmujemy, że był w to zamieszany Seti, to jak wytłumaczyć fakt, iż chłopiec tak nagle odnalazł się po tylu latach? I dlaczego Seti tak bardzo się zmienił?

— Nie wiem, czy pamiętacie, że Seti był blisko starego Totmesa Drugiego. Chcieli jakoś ukryć przed Hatszepsut narodziny chłopców, których ona faraonowi nie mogła dać.

— Nie mogła, bo interesowały ją tylko damy dworu — wtrącił Ramose.

— Bogowie, jakiś ty trywialny! Nie była przecież bezpłodna! — parsknął zniecierpliwiony Hapuseneb. — Na chłopcu nie kończą się jednak nasze problemy. Nie interesuje was, co mam jeszcze do powiedzenia? Myślę, że niedługo przekonamy się, czy chłopiec jest tym, za kogo się podaje. Ale pragnę zauważyć, że sprawa zniknięcia dzieci była więcej niż zagadkowa.

— Skąd to wszystko wiesz, Hapusenebie?

— Bo odbierałem poród. — Kapłani popatrzyli na niego z niedowierzaniem. — Ale, niestety, nie zdołałem uratować drugiego dziecka. Zostało zabalsamowane razem z matką. I złożone w grobowcu, w malutkim sarkofagu.

— Co stało się z dzieckiem, które przeżyło? — zapytał Chaemhat.

— Kiedy poród się zakończył, a Isis rodziła w pałacyku pod Tebami w całkowitej tajemnicy przed Hatszepsut, wpadli słudzy z wiadomością, że stary faraon zmarł i że jada żołnierze. Zdołałem odciąć pepowiną i zawinąć dziecko w prześcieradła, ale było bardzo słabe. Wydawało mi się, że nie oddycha. I wtedy wpadłem na prosty sposób, żeby pobudzić je do życia. Sposób, jakiego używają koczownicy na pustyni: przyłożyłem mu do ramienia gorący kawałek metalu.

— Noworodkowi? Czyś ty zmysły postradał?! — wykrzyknęli kapłani.

— Nie miałem wyjścia. Pod ręką był tylko brązowy amulet matki w kształcie głowy ibisa.

— Co stało się potem? — przynagłał go Chaemhat.

— Ból wstrząsnął organizmem na tyle, że chłopiec zaczął oddychać. Właśnie wjeżdżali siepacze Hatszepsut... Słudzy stawili im opór, lecz wszyscy zginęli, a ja w tym czasie wymknąłem się z dzieckiem i uciekłem daleko za miasto. Poszedłem do kobiety z majątku Isis, która miała pokarm, i zostawiłem u niej chłopca. Był tam przez parę miesięcy, chorował, bo rana na ramieniu nie chciała się zagoić. Trzy miesiące później, gdy sytuacja na dworze nieco się uspokoiła, pojechałem tam znowu, lecz nikt z tej rodziny już nie żył... Ktoś się dowiedział. Chłopca nie znalazłem. Myślałem, że wszystko stracone, że syn faraona zginął. Trafiłem w końcu na jego ślad, ale w sprawę wmieszał się Seti i kazał mi się zająć czym innym.

— W więc obaj podejrzewaliście, kim jest chłopiec? — zapytał Ramose. — I nic nam nie powiedziałaś?

— A co miałem zrobić innego? Każdy z was postąpiłby tak samo na moim miejscu.

Tej nocy Hapuseneb długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o wydarzeniach sprzed szesnastu lat i nie miał wątpliwości, że dobrze zrobił, okłamując kapłanów z rady Amona. Myślał o drugim chłopcu, który wcale nie umarł. I nie był nim Totmes.

Kolumna Puimre znajdowała się już za Memfis, kiedy zarządzono popas.

— Puimre, uczyć się czytać z twojej twarzy — rzekł Totmes. — Jesteś niespokojny.

— Masz rację, niepokoję się.

— Czym?

— Kapłanem Seta.

— Tym, który zginął?

— Tak, i zapewniam cię, że on nie będzie jedyny. Jeśli królowa dowie się, że jesteś w Egipcie, zrobi wszystko, żeby dostać cię w swoje ręce.

— Puimre, czy ty się boisz?

— O siebie, nie. O ciebie, tak. Widzisz, jak wygląda Egipt. Nie ma władzy, każdy robi, co chce.

Totmes chciał zapytać o coś jeszcze, lecz na horyzoncie wzbily się tumany kurzu. Podjechał do nich Nehi.

— Co znowu? — zapytał Puimre.

— Duży oddział na drodze z Memfis — oznajmił oficer.

W ich stronę maszerowały szeregi piechurów. Nehi kazał zająć wszystkim sługom pozycje obronne.

Totmes zdawał się nie zważać na to, co się wokół niego dzieje. Wydawało mu się, że widzi pustyнный świat śmierci i zielony, nadrzeczny pas życia. Myślał o tym, że jako faraon będzie żył na granicy światła i cienia, życia i śmierci, miłości i nienawiści. Z zadumy wyrwał go głos Puimre.

— Co ci jest? Totmesie, czy mnie słyszysz?

— Nic mi nie jest, ja tylko...

— Panie, jesteś błądy...

Totmes poczuł mrowienie w członkach, przed oczami zaczęły wirować kolory. Stracił przytomność.

Obudził się w nieznanym pokoju. Przez okno wpadała przyjemna bryza.

— Jak się czujesz? — pytał Puimre.

— Dobrze. Ja tylko czasami... — wyszeptał Totmes.

— Zapadasz w odurzenie. Chorowali na tę dziwną chorobę wszyscy królowie obecnej dynastii, począwszy od Ahmesa, który wygnał Hyksosów, a skończywszy na twoim ojcu, Totmesie Drugim — dokończył za niego kapłan.

— Proszę, nie teraz... Gdzie jestem?

— Niedaleko od Memfis. Pod opieką Senenmuta. Jesteś u ludzi, którzy chcą pomóc i tobie, i Egiptowi.

— Co to znaczy „pomóc”?

— To znaczy zmienić króla.

— Puimre, boję się twojego Egiptu. To kraj, którego nie znam. Panuje w nim chaos. — Chłopak próbował zebrać myśli.

— Uważam, że sprawiedliwe rządy mogą wszystko naprawić — zauważył Puimre.

— Przepaść między ludem i wami, kapłanami, nigdy nie zniknie.

— Oczywiście, że nie. Ona jest, była i będzie.

— Dlatego myślę, że zmiana panującego niczego nie zmieni.

— Kto ci to, powiedział?

— Nikt. Po prostu każda władza jest taka sama. Zawsze gardzi ludem.

Puimre wyszedł. Totmes czuł, że nie zdoła obronić swojego serca przed pokusą władzy nieograniczonej żadnymi prawami. Bał się władzy, a jednocześnie zaczynał jej pożądać.

Tebańczyków zbudziły tego ranka kolumny libijskich wojsk. Ulicami niósł się miarowy tupot nóg, obwieszczający pograżonemu we śnie miastu, że nadszedł nowy czas. W powietrzu unosił się zapach tysięcy spoconych ciał. Nikt nie śmiał mówić otwarcie o wojnie domowej, lecz ludzie wiedzieli, że wojsko do miasta sprowadziła Hatszepsut.

— Niech szlag trafi tych drani — pomstował gruby Egipcjanin, którego otaczała grupka mężczyzn i kobiet — będą żyli na nasz koszt!

— Nie narzekaj — odciął się chudy poganiacz mułów, który stał z przodu — twoja piwiarnia zarobi krocie na tych draniach, nie to, co my.

Szynkarz popatrzył z niechęcią na chudzielca. Gardził biedotą, ponieważ kiedyś sam wyglądał jak poganiacz mułów.

— Z nimi nie będzie tak łatwo jak z tymi szardanijskimi psami — orzekła kobieta.

— Kobieto, to najlepsze wojska Hatszepsut!

— Co ty tam wiesz! Pilnuj lepiej tego obszczonego chlewu, w którym mieszkasz — mruknął do grubasa poganiacz mułów.

Nieopodał, pod ścianą domu stanął kilkunastoletni chłopak w podartej tunice. Cofnął się, gdy tylko wspomniano los Szardanów.

Aszerkare postanowił, że wróci do garnizonu wojsk na żoździe świątyni Amona.

Memfis powoli zasypiało, delikatnie wtulało się w ciemny welon Nut, Pani Nieba.

W wielkiej świątyni Ptaha zebrali się wszyscy, którzy mieli decydować o losie tronu faraonów. W sali kolumnowej niewolnicy zapalili dziesiątki lamp oliwnych, w powietrzu unosiła się woń kadzidła. Sala powoli się zapełniała. Byli tam co ważniejsi urzędnicy z Teb, którzy zdołali uciec z rodzinami przed gniewem Hatszepsut, stronnicy Senenmuta, zarówno wojskowi, jak

i większość kapłanów Ptaha i Amona, mimo że na co dzień ze sobą rywalizowali. Strach przed siepaczami Hatszepsut był jednak silniejszy. Gdy otworzyły się drzwi prowadzące w głąb przybytku, kapłani Ptaha weszli pierwsi, byli bowiem gospodarzami uroczystości. Za nimi kroczyli kapłani Amona, w tym Hapuseneb, Senenu, Ramose, Chaemhat i młody Puimre. W mu-ry świątyni uderzyła święta pieśń Ptaha:

*Ty, który nie masz początku
i sam dla siebie jesteś końcem.
Ty, który widzisz daleko
i sam jesteś oczami świata.
Ty, który stworzyłeś człowieka
i brzydzisz się nieprawością,
i z bogami jesteś złączony.*

Między dwoma rzędami kapłanów pojawił się Senenmut, który wprawdzie nie śpiewał, ale tak jak wszyscy szedł wolno i majestatycznie. Ubrany był na biało niczym kapłan Amona, choć wszyscy wiedzieli, że kapłanem Amona nie jest. Nie miał też na sobie żadnych oznak władzy królewskiej, dlatego po sali przeszedł szmer zdziwienia. Za kapłanami szły najlepsze muzykantki z Memfis, miasta boga Ptaha, które wtórowały kapłanom na fletach. Ku zdziwieniu zebranych, pochód zamykali oficerowie w białych tunikach. Gdy stanęli w świetle pochodni i lamp, tłum zafalował. Wojskowi bowiem nieśli tron, na którym siedziała biała ubrana postać, z królewską chustą i twarzą skrytą za złotą maską faraona Totmesa II, który miał odejść do Krainy Cieni bezpotomny.

Procesja zatrzymała się. Pośrodku stanął Senenmut, którego łysa głowa lśniła od najlepszej oliwy, a szaty były białe jak szyje bocianów, które do ziemi Kem przylatują na lato. Jednak oczy wszystkich zwrócone były ku postaci na tronie ustawionym na cokole za Senenmutem i kapłanami. Zapadła cisza. Po chwili z szeregu wystąpił jeden z kapłanów w masce Ptaha.

— Dostojni mieszkańcy wielkiego Memfis! — przemówił głośno. — Wielcy bogowie Ptah, stwórcy świata i rzemieślnik czasu, i Amon, Ten, który jest ukryty, takie oto słowa polecieli wam powtórzyć: Umiłowaliśmy kraj Kem nade wszystko i odwracamy od niego nasze oblicza, dopóki na jego tronie nie zasiądzie godny król. W sercu kraju Kem wylęła się zdrada i chciwość, zniknął szacunek wobec bogów, dlatego dajemy ziemi Kem dowód naszej łaski — prawdziwego syna Totmesa Drugiego. Ten oto jest waszym królem i jego imię jest Totmes.

Jak pamięć ludzka sięgała, nie zdarzyło się w kraju Kem, aby dwaj bogowie, których kapłani ze sobą rywalizowali, zmówili się, chcąc decydować o tym, kto ma zasiąść na tronie. Było dla wszystkich jasne, że stoi za tym Senenmut. W niezmażonej ciszy na środek sali wyszedł Puimre.

— Dostojni mieszkańcy Memfis! — zaczął. — Dla kraju Kem nadeszły nowe czasy! Totmes Trzeci, który pragnie powrócić na tron swego ojca, daje wam dwadzieścia talentów do podziału, a wojskom kolejne dwadzieścia. A teraz idźcie w pokój!

Goście wznieśli pełen uwielbienia okrzyk na cześć młodego faraona, lecz kapłani wiedzieli, że dworzanie, oficerowie i kupcy kochają każdego władcę, który sypie ze skarbca złoto. I wiedzieli jak nietrwała może okazać się taka miłość.

Aszerkare długo błąkał się po pograżonych we śnie Tebach, zanim dotarł do kwater oficerskich po drugiej stronie rzeki. Żołnierze pułków świątynnych początkowo nie chcieli wpuścić do obozowiska nędznego obdartusa, ale kiedy przyniesiono pochodnie, Aszerkare mógł wreszcie pokazać twarz. Na jego widok żołnierze parsknęli śmiechem.

— I co, panienko, który piekarz tak ci dogodził?

Młody oficer przeszedł obok nich obojętnie i skierował się

prosto do swego dowódcy, generała Imhotepa. Na jego widok generał nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Aszerkare, na wszystkich bogów, zrób coś ze sobą, bo nie przystoi, aby oficer faraona wyglądał jak zwykła ulicznica!

— Panie, byłem w obozie Szardanów, kiedy ich wyrzynano — rzekł cicho młody oficer. — Ledwo uszedłem z życiem.

Imhotep popatrzył na niego z politowaniem. Aszerkare był najmłodszym oficerem, bo liczył sobie zaledwie szesnaście wiosen. Mówiono, że został oficerem dzięki protekcji kogoś bardzo wysoko postawionego. Kto był tajemniczym opiekunem chłopaka, tego nie wiedział ani Imhotep, ani sam chłopak.

Aszerkare nie wyglądał wcale jak człowiek z ludu, umięśniony i tępy jak wół. Był delikatnej, niemal dziewczęcej urody, choć na jego inteligentnej twarzy o subtelnych rysach często malowały się hardość i zawziętość.

— Aszerkare, miałem nadzieję, że nie wyjdiesz cało z tej rzezi, bo jesteś pośmiewiskiem wszystkich oficerów w Tebach. Wyglądasz jak faworyt pięknych dam, a nie jak oficer. A teraz idź się przebierz i, na wszystkich bogów, nie pokazuj mi się na oczy.

Gdy chłopak dotarł do swojej kwatery, rzucił się na posłanie i zaczął płakać ze złości i poniżenia.

— Myślę, że to było bardzo nierozsądne — rzekł Senenmut. — Nierozsądne i głupie. Puimre, skąd weźmiesz czterdzieści debenów złota?!

Puimre nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo do rozmowy włączył się Totmes:

— Kieruj te słowa, dostojny Senenmucie, nie do Puimre, tylko do mnie.

— Do ciebie, młokosie? — zapytał wściekły i zaskoczony dostojnik.

— Do mnie, albowiem arcykapłani Amona Tebańskiego wyłożą sumę, której wspomniałeś. — Totmes wskazał na czterech starców. — Ponadto to podarek ode mnie, a nie od ciebie.

Twarz Senenmuta spąsowiała.

— Młody człowieku, zachowujesz się w sposób niedopuszczalny, narażasz na szwank mój autorytet, a przypominam ci, że jestem ministrem. I nawet ty jesteś tutaj dlatego, że wysłałem po ciebie tego oto kapłana — wskazał na Puimre. — Więc bardzo proszę, zamilknij i usiądź.

Nawet Ramose, który miał opinię najbardziej bezczelnego, wymienił znaczące spojrzenia z trzema pozostałymi arcykapłanami i Puimre, podobnie jak wszyscy bardzo zaskoczonym.

— Czcigodny Senenmucie, jeżeli chcesz mi powiedzieć, że jestem niczym, to zapewne masz rację, ale pozwól, że zadam ci pytanie — odpowiedział spokojnie Totmes i nie czekając na odpowiedź Senenmuta, ciągnął: — Czy pragniesz wywołać wojnę domową? Taka wojna będzie kosztowała dziesięć razy więcej, że nie wspomnę o tym, iż armia nawzajem się powyrzyna. Trzeba będzie więc stworzyć nową. To kolejny wydatek. Czy postąpiłem zatem głupio, prosząc Puimre o złożenie tej obietnicy?

Widać było, że Senenmut nie ma ochoty odpowiadać. Spoglądał wściekły to na Totmesa, to na milczących kapłanów.

— Nie swoje pieniądze będziesz rozdawał i nie swoją władzę! Pamiętaj, gdyby nie ja, byłbyś niczym, i zapewniam cię, zanim wstanie ranek, będziesz niczym! — wyszczał, kiedy przechodził koło Puimre, po czym wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Totmes zapragnął znaleźć się jak najdalej od tych ludzi. Chciał znów przemierzać z Ursilisem syryjskie łąki i czuć na twarzy ciepły wiatr. Ale wiedział, że nie można zawrócić czasu.

— Totmesie — zabrzmiał melodyjny głos Hapuseneba — nie bierz do serca tego, co powiedział dostojny Senenmut.

— On nie czuje się ostatnio najlepiej — dodał Chaemhat.

— Jest wyczerpany pracą — rzekł poważnie Senenu.
— A takie wyczerpanie może powodować lekkie zniecierpliwienie — wyjaśnił gruby Ramose.
— Rad jestem to słyszeć — mruknął Totmes i opuścił komnatę.

— I co o nim myślicie? — zwrócił się Ramose do pozostałych kapłanów.

— Głupi, zarozumiały szczeniak — syknął Hapuseneb.

— Za dwa miesiące będzie jadł nam z ręki... — rzekł Senenu.

— A Senenmut? — zapytał Chaemhat.

— Nim nie trzeba się przejmować — zapewnił Hapuseneb. — Uwierzcie mi. Niejeden raz w dziejach Egiptu kapłani Amona byli świadkami upadku większych jeszcze niż Senenmut dostojników. — Hapuseneb uśmiechnął się. Zauważyli to trzej pozostali kapłani. Wiedzieli, że taki uśmiech nie wróży nic dobrego.

Podczaszy Senenmuta rażno wkroczył na pokoje swego pana. Ściany pokryte były malowidłami najlepszych mistrzów z Memfis, przedstawiającymi dostojnika jako młodego chłopca, który poucza kolegów i starszych, aby przestrzegali przykazań bogów, jako dorosłego męża, podającego małemu chłopcu podwójną koronę Egiptu, wreszcie jako wybrańca Horusa z sokołem nad głową. To malowidło zawsze intrygowało podczaszego. Czy mój pan jest ważniejszy od samego faraona? — zastanawiał się.

Spodziewał się zastać go przy biurku. Gdy go tam nie zobaczył, zajrzał do sypialni, a następnie do łazienki. Senenmut zażywał codziennych kąpiei, często w towarzystwie dam. Kamień spadł podczaszemu z serca; jego pan leżał na sofie

w ciemnych szatach, jakby nie przebrał się po nocnej uczcie. Sługa podszedł bliżej, by go zbudzić. Dopiero wtedy z przerażeniem odkrył, że ubranie Senenmuta jest lepkie od krwi.

Hapuseneb szedł szybkim krokiem, wyprzedzając strażników, niemogących za nim nadążyć. Kierował się wprost do pokojów młodego Totmesa.

— Jest u siebie? — zapytał Puimre, którego spotkał przed drzwiami.

— Tak. A co się stało?

— Zaraz się dowiesz.

Już od progu poczuli przyjemną woń kadzidła. Z głębi dobiegał śmiech Totmesa i Charis.

— Może lepiej poczekajmy. — Puimre zawahał się.

Hapuseneb jednak nie posłuchał i wkroczył zdecydowanie na królewskie pokoje.

— Co was sprowadza? — zapytał Totmes, przerywając rozmowę z Charis.

Dziewczyna poczuła na sobie wzrok kapłana. Wyglądała jak bogini, trzymając harfę w kształcie głowy byka. Nosiła się teraz na modłę egipską, choć nie goliła głowy, wpinając własne, kruczoczarne włosy, tak jak Egipcjanki upinały peruki.

— Wielki Senenmut właśnie opuścił ten świat i udał się na spotkanie z bogami — oznajmił spokojnie Hapuseneb.

Totmes wstał i podszedł do arcykapłana.

— Gdybyś, dostojny Hapusenebie, schwytał mnie dwa lata temu w Ugaricie, czy pozbyłbyś się mnie i Ursilisa tak samo, jak pozbyłeś się Senenmuta? — zapytał szeptem Totmes.

Hapuseneb milczał.

— A więc tobie, dostojny Hapusenebie — ciągnął już głośniej — pozostawiam zaszczyt przygotowani* jego ciała do spotkania z bogami. Jego majątek przechodzi po połowie na własność faraona i świątyni Amona.

— To, co mówisz, jest bardzo rozsądne — rzekł niewzruszony Hapuseneb. — Pewny jestem, że jego śmierć była całkowicie naturalna, tak jak naturalny jest porządek pór roku i wylewów Nilu.

— Uważam, że moim obowiązkiem jest objąć opieką sługi zmarłego. Nie chcę, aby zostali zesłani do kopalń.

— Chylę czoło przed twą wielkodusznością. Amon widzi bystrość twego umysłu i z pewnością okaże ci swoje błogosławieństwo.

— Chylę czoło przed tobą i Amonem, który jest ukryty — odpowiedział Totmes, uznając rozmowę za skończoną.

Gdy obaj kapłani wyszli, Totmes pomyślał, że oto znów ktoś zginął z jego powodu. Te rozmyślania przerwał głos Charis.

— Pozwól mi się kochać — szepnęła, muskając ustami jego szyję.

Tej nocy poznał smak miłości.

Życie w Tebach toczyło się utartym torem. Nikt w mieście nie przeczuwał, że nadchodził koniec rządów Hatszepsut. Tymczasem Minmose, po powrocie z kraju Punt, zaczął pić jeszcze więcej niż zwykle. Wieczorami w złotej lektyce niesiono go do domów rozpusty, gdzie wino lało się strumieniami, półmiski pełne były pieczonych mięs, a wokół tańczyły nagie tancerki z Syrii.

— Bogowie, znowu niosą tego opoja! — wykrzyknął gruby, zadbany i pachnący właściciel lupanaru.

— Przeszkadza ci to? Znów zarobisz dużo złota! — zauważyła skryta za kotarą stara Egipcjanka, jego matka.

— Ale on jest intendentem Hatszepsut!

— O Izis i Hathor, jakiegoż głupiego spłodziłam syna! — syknęła staruszka. — Rusz się, daj mu tyle młodych dziewcząt i chłopców, ile będzie chciał. Czy nie widzisz, że jego policzki są obwisłe, a brzuch wzdęty jak brzuch hipopotama? Długo nie pociągnie.

Grubas podwinął długą nocną szatę, jaką zwykle noszą kobiety, i ruszył na spotkanie gościa.

— Witaj, szlachetny Minmose! — zakrzyknął. — Co mogę dla ciebie zrobić?

— Dzisiaj wieczorem chcę w twym domu zażywać rozkoszy! Jestem Minmose Wielki! — krzyczał, a był tak pijany, że / . trudem utrzymywał równowagę, mimo iż wspierał się na niewolnikach.

— Precz z Hatszepsut! — wrzasnął nagle.

Część rozneglizowanych gości wyległa na ulicę. Okrzyk Minmose spodobał się tłumowi. Zebrało się też wielu gapiów z biedniejszych dzielnic, którzy przychodzili pod domy rozpusty, licząc na resztki z kuchni. Minmose nie przestawał krzyżeć. Po chwili okrzyki te podchwyciła ulica, potem następna i następna. Wkrótce wszyscy mieszkańcy dzielnicy dawali upust swej nienawiści do królowej i do sprowadzonych przez nią Libijczyków. Kilku z nich natychmiast wytropiono w burdelach i zabito. Rozwścieczony tłum ruszył w stronę dzielnic, gdzie zakwaterowani byli libijscy żołnierze. Posypały się na nich kamienie, z dachów lano gorącą oliwę. W mgnieniu oka miasto zamieniło się w pole bitwy.

Tej nocy Aszerkare pełnił służbę w głównej kwaterze garnizonu Amona. Wszyscy oficerowie poszli do gospody Pod Hipopotamem, by świętować ślub syna generała Imhotepa. Jego nie zaproszono. Stał przy oknie, gdy do izby wpadł stary podoficer, który również został na noc w obozie.

— Aszerkare! — krzyknął. — Ulica bije się z Libijczykami!

— A czy to nasza rzecz? Mam nie opuszczać obozu, dopóki nie wróci Imhotep.

— Aszerkare, on nie wróci! Wiesz, że dzisiaj było wesele jego syna. Wszyscy się spili. Motłoch uznał ich za Libijczyków i wy tłukł do goli!

Aszerkare zbłądł. Zrozumiał, że został najstarszym rangą oficerem garnizonu Amona w Tebach.

— No to rusz się! — krzyknął żołnierz. — Zrób coś! Wszys-

cy w garnizonie mają cię za oferę, ale jesteś oficerem, a bez rozkazu oficera magazynierzy nie wydadzą nam broni!

— Wszyscy na plac! — rozkazał Aszerkare, przypinając pas z mieczem i wybiegając na dziedziniec. — Ściągnij z za rzeki wszystkie pułki, które zdołają się przebić!

Czuł, że nadchodzi jego czas.

Wschodzące nad Tebami słońce oświetliło żołnierza, który z zakrwawionym mieczem szedł chwiejnym krokiem między setkami ciał. Tebańczycy i Libijczycy leżeli obok siebie, jedni zwarci w śmiertelnym uścisku, inni z twarzami wykrzywionymi wściekłością i żądzą krwi. Aszerkare z brzękiem upuścił miecz, padł na kolana i gorzko zapłakał.

ROZDZIAŁ 16

Dwie korony

— Odsuńcie się, to wariatka! — krzyknął ktoś.

Ludzie zaczęli rozstępować się przed kobietą, która bardziej przypomniała dzikie zwierzę niż człowieka. Podeszła do straganu, chwyciła owoc granatu i rzuciła się do ucieczki.

— Ty złodziejko! — wrzasnął kramarz.

Kobieta biegła jak szalona. Od wielu miesięcy żywiła się tym, co zdołała ukraść, spała na ulicach wśród zwierzęcych odchodów. Przed dwoma dniami, jeszcze przed wielką bitwą 7. pułkami libijskimi, zgwałciło ją czterech pijanych żołnierzy, a ona chciała zapytać ich tylko, gdzie jest jej dom. Była pewna, że miała kiedyś dom, wiele pięknych rzeczy i niewolników. Pewnego dnia przyszli ludzie z ogolonymi głowami w białych szatach i wszystko jej zabrali. Wiedziała też, że miała kiedyś imię. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, jak ono brzmi.

Totmes szedł szybkim krokiem między dwoma szeregami żołnierzy, którzy na jego widok zaczęli bić włóczniami w tarcze. Z zaciekawieniem przyglądali się człowiekowi, za którego mieli teraz umierać, a którego prawie nie znali. Podśmiewali się z niego po cichu, bo jego członki były wątle, a twarz delikatna

jak u kobiety. Za młodym Totmesem szli Nehi, który został generałem wojsk kapłańskich, i Puimre, z zarzuconą na białe szaty skórą lamparta, oznaką władzy arcykapłańskiej.

— Jesteście pewni tego, co stało się w Tebach? — zwrócił się Totmes do Nehiego.

— Gdybyśmy nie byli pewni, nie wyruszałibyśmy, panie.

Faraon wsiadł na rydwan i dał znak woźnicy.

— Jak *uważasz, Nehi, czy mu się uda?* — *zapytał kapłan,* gdy Totmes odjechał.

— Już mu się udało — odpowiedział Nehi i ruszył w stronę żołnierzy.

Puimre zaś podszedł do grupki arcykapłanów, którym był teraz równy.

— Puimre, chcielibyśmy cię o coś zapytać. Tylko odpowiedz szczerze — zaczął Ramose.

— To zależy od tego, jakie będzie pytanie.

— Kim jest kobieta, którą wczoraj widzieliśmy przy Totmesie, a na którą patrzy jak na swoją żonę?

— O ile pamięć mnie nie myli, kapłani Amona nigdy nie zaglądali do alkowy faraona.

— I nie zaglądają — oburzył się Chaemhat. — Pytamy, bo nie wiemy, kim ona jest.

— To Achajka, która opiekowała się nim, kiedy był w Babilonie. — Wypowiedziawszy te słowa, Puimre zorientował się, że nie powinien mówić głośno, iż Totmes był kiedykolwiek zwykłym śmiertelnikiem. To niezgodne z etykietą.

— Puimre, posłuchaj nas — rzekł Senenu—jesteśmy starzy i wiemy, że młodego człowieka najłatwiej można podejść, posługując się kobietą. Ponieważ młody Totmes będzie władał Egiptem, chcemy wiedzieć, czy masz pewność, że ta achaj ska dziewczyna szczerze go kocha, czy też jest z nim z jakiegoś innego powodu. Faraon może mieć wiele kobiet, ale takich, które nie będą mądrzejsze od pawia. Nałożnice nie powinny interesować się polityką. Wiesz dobrze, że przez ostatnie trzydzieści lat o losach kraju decydowała kobieta i nic dobrego

z tego nie wynikło. Dlatego chcemy wiedzieć wszystko o tej dziewczynie.

Puimre musiał przyznać, że ich rozumowanie nie jest pozbawione logiki, pospieszył więc z wyjaśnieniami:

— Totmes poznał ją, gdy opiekowała się hetyckim księciem, który zmarł w Babilonie. Był on bratem Ursilisa, towarzyszącego faraonowi...

— On był z królewskiego rodu? — wykrzyknął Hapuseneb bezgranicznie zdumiony, żałując, że nie wiedział tego wcześniej. Bo gdyby tak było, nigdy nie wypuściłby Ursilisa z Egiptu. Księżę obcego mocarstwa, wzięty jako zakładnik, to gwarancja uległości. Taka okazja może się więcej nie powtórzyć.

Hapusenebowi nie pozostało więc nic innego, jak posypywać łysą głowę popiołem i pościć, żeby przeprosić bardziej siebie niż bogów za własną głupotę. Lecz Puimre zazdrościł po cichu Hapusenebowi głupoty, która nie przeszkodziła mu zajść tak daleko.

Okręt Irhuanaksa z Szamaszim na pokładzie zawinął do portu w Memfis tydzień po wydarzeniach w Tebach. Jego przybycie wywołało niemałą sensację, gdyż od wielu miesięcy nie widziano w tym porcie kreteńskiego okrętu. Wyładowano z niego mnóstwo skrzyń i wielkie amfory. Słudzy podróżnika i marynarze, których wygląd był bardzo odmienny od wyglądu mieszkańców ziemi Kem, nosili krótkie miecze, a włosy mieli długie i czarne jak smoła. Dobytek kupca załadowano na wozy, a on sam zszedł na ląd w purpurowej szacie z ciężkim złotym łańcuchem na szyi.

Wkrótce wśród pospólstwa rozeszły się plotki o bardzo bogatym kupcu, który za każdy uśmiech rozdaje srebrne bransolety. A gdy okazało się, że bogaty przybysz złożył Setowi ofiarę z pięćdziesięciu kóz, wielu mieszkańców zapragnęło poznać go osobiście.

— Cóż to musi być za człowiek, skoro robi takie rzeczy! — wykrzykiwał jakiś marynarz.

— Co ty tam wiesz! — wołali inni. — Jest podobno bardzo gruby i ma brodę do pasa. Może to jakiś Fenicjanin?

— Set, może to Set we własnej osobie przybył do swego miasta! — krzyczeli kapłani, których usta ociekały tłuszczem z zabitych kóz.

Szmaszi tymczasem wyruszył z karawaną do Teb. Kupiec cieszył się, że znowu zawitał do Egiptu.

*

Gdy tylko w Tebach rozeszła się wiadomość, że do miasta zbliża się kolumna wojsk Totmesa, mieszkańców ogarnęło szaleństwo. Zrywano kartusze z imieniem Hatszepsut, przystrajano kwiatami domy, usuwano ślady po walkach z Libijczykami. Aszerkare, któremu dziwnym zrządzeniem bogów przypadło w udziale zebranie chwały za pokonanie Libijczyków, czuł się wyczerpany. Tak naprawdę umożliwił większej części libijskich wojsk wycofanie się daleko poza miasto, ale ponieważ Libijczycy zrobili to nocą, wszyscy byli przekonani, że większość znenawidzonych cudzoziemców nie żyje. Oficerowie egipscy z garnizonu Amona zginęli podczas zamieszek i Aszerkare został, mimo młodego wieku, najstarszym rangą oficerem na żołdzie Amona.

Minmose, znany rozpustnik, pijak, aferzysta i łapówkarz, został bohaterem tebańskiej ulicy. Był jednak tchórzem, dlatego zaszył się w swoim domu i niewolnicy nie mogli go skłonić, by chociaż przespacerował się po ogrodzie. Pod domem zbierały się tłumy miejskiej biedoty, wznosząc na jego cześć okrzyki. Pewnego dnia grupa ludzi wdarła się do środka, porwała Minmose i zaczęła nieść go na rękach w stronę garnizonu Amona po południowej stronie świątyni. Tak oto stał się ofiarą swoich marzeń o władzy i sławie.

— Postawcie mnie, ukochani, postawcie mnie! — krzyczał

tak, że ochrypl. — Hej tam, żołnierze, oto przyszedł ten, który uratował Teby! Słyszycie?

— Biegnij po Aszerkare — rzekł do żołnierza podoficer stojący na murze. — Powiedz mu, że pod bramą zebrały się lysiące ludzi.

— Słyszycie mnie? Jestem Minmose, intendent faraona!

— Nie jesteś żadnym intendentem, tylko dziwkarzem! — odcinali się niektórzy żołnierze, ale ich głosy tonęły we wrzasku tłumu.

— Słyszycie mnie? Jestem Minmose, intendent faraona! — krzyczał wezyr.

— Panie, czy słyszałeś coś podobnego? — zwrócił się podoficer do Aszerkare, który właśnie nadbiegł. — Jeśli oni zaatakują, zginiemy. To szalenie! Wali pięściami w bramę!

— Tłum jest na razie szczęśliwy — rzekł Aszerkare. — Niech będzie szczęśliwy jak najdłużej. Przyleciały dziś rano gołębie pocztowe z Memfis. W stronę Teb od północy idą wojska pod nowym faraonem Totmesem.

— Co mówisz, panie? Przecież Hatszepsut miała być ostatnia z rodu!

— Wiem tyle, co i ty — uciął Aszerkare. — Posłuchaj, w Tebach podczas zamieszek zginęły setki ludzi. My, żołnierze Amona, musimy znaleźć prowodyra tych zamieszek, bo jeśli nie, to nasze ciała rzucą na pożarcie krokodylom, kiedy przyjdą nowe władze. Będą potrzebowali kozła ofiarnego, rozumiesz?

— Co więc mamy robić, panie? — zapytał przerażony podoficer.

— Widzisz tego głupca na dole? To właśnie nasz prowodyr.

— Co zamierzasz?

— Przemówić do tłumu.

Krzyknął na żołnierzy, by byli w pogotowiu, a oni usłuchali go, zawstyżeni, że dotąd mieli go za durnia. Podoficer na murze zawołał na Minmose, by zechciał wejść z trzema przedstawicielami ludu. Zgrzytnęła brama. Pijany Minmose wtoczył

się na dziedziniec w towarzystwie ludzi, którzy byli brudni, spaleni przez słońce i cuchnący potem. Aszerkare podszedł do nich i powiedział z ostentacyjną uprzejmością:

— Witaj, przedstawicielu ludu.

— Kim jesteś, młodziku? Wyglądasz jak...

— Uważaj, co mówisz, to nasz oficer, nie obrażaj go! — krzyknęli żołnierze zebrani wokół swego dowódcy.

— Wybacz, panie... Ja jestem Minmose...

— To już wiemy — rzucił zimno Aszerkare.

— Jestem intendentem...

— I dlatego nosisz kobiece fatałaszki?

Żołnierze parsknęli śmiechem. Minmose spojrział na siebie i zobaczył, że przez tkaninę jego tuniki prześwituje kobieca suknia nocna.

— To nie moje — wyjąkał.

— Brać ich! — rozkazał Aszerkare.

Po chwili wszyscy leżeli skrępowani powrozami i otoczeni przez żołnierzy.

Tymczasem Aszerkare wyszedł na mury obozu.

— Synowie ziemi Kem! — krzyknął. — Jestem Aszerkare, oficer na żołdzie Amona! Dostojny Minmose znajduje się pod opieką tego boga i teraz modli się do niego. Nie godzi się wszakże, by wasz wybawiciel chodził po ulicach, podczas gdy wokół pełno jest szpiegów i zdrajców.

— Mądre słowa! — rozległy się okrzyki.

— Mieszkańcy Teb, słuchajcie mnie! Mam dla was wspa-
niałą nowinę!

Tłum zafalował.

— Ale zanim o niej powiem, wiedźcie, że miasto nie może wyglądać jak chlew, gdy wjedzie do niego Totmes Trzeci. Uprzątnijcie zatem ulice i przygotujcie się na wielkie święto! Wasz nowy ojciec zaprasza was na ucztę. Będziecie jedli mięso, ryby i pili piwo!

— Totmes, Totmes! — Tłum, krzycząc i wiwatując, zaczął się rozchodzić. Aszerkare odetchnął, choć serce biło mu jak

młotem. Gdy zszedł z muru, poszedł do grupki urzędników i kapłanów, którzy schronili się przed tłumem w murach obozu.

— Czy wiesz, co uczyniłeś? — zapytał jeden z tłustych kapłanów.

— Obiecałem ucztę, o której nowy faraon jeszcze nie wie — odparł spokojnie młodzieniec.

— To było bardzo nierozsądne, mój chłopcze — skarcił go kapłan.

— A wolałbyś dać tłumowi własną głowę? — zapytał Aszerkare.

Kapłan nie odpowiedział.

Wojska Totmesa zbliżały się do stolicy. Zapadła noc i młody władca zarządził postój. Gdy rozbito namioty, do faraona podszedł Puimre.

— Wybacz, że przeszkadzam, panie — zaczął — ale sprawa, z którą przychodzę, jest delikatna...

— Mów.

— Rada Amona z pewną podejrzliwością odnosi się do Charis...

— Chyba postradaliście zmysły! — krzyknął Totmes.

— Idzie nam tylko o dobro Egiptu.

— Więc dbajcie o dobro Egiptu, a nie o to, co robię w nocy... — Totmes jednym szarpnięciem odsunął zasłonę i wszedł do namiotu. Puimre natomiast skierował się w stronę namiotów zajmowanych przez kapłanów.

— Dostojni, myślę, że ta achajska dziewczyna nie stanowi żadnego zagrożenia. Przede wszystkim dlatego, że wydaje się pozostawać poza wszelkimi układami. Poza tym on jest w niej do szaleństwa zakochany.

— Czy jest ambitna? — zapytał Ramose.

— Jest twarda... Gdy byli w Babilonie, sprzedawała się na ulicy, by go wyżywić.

— Jak Isztar — zaśmiał się Senenu.
— Nie drwicie z bogów — syknął Puimre.
— Puimre, to tylko żarty—uspokajał go Hapuseneb. — Lecz prawdajest, że najwięcej kłopotów sprawiają kobiety faraonów.
— Na razie jest jedna — mruknął Puimre.
— Na początku zawsze jest jedna — stwierdził kwaśno Chaemhat. — Jeśli pozwolisz, będziemy ją obserwowali.
— Jeśli obawiacie się, że będzie miała na niego jakiś wpływ, mylicie się.
— Bardzo chcielibyśmy się mylić, ale jesteście starzy i nasze oczy widziały niejedno — rzekł Hapuseneb.

*

W Tebach zapanował spokój. Aszerkare wraz z całym miastem oczekiwał przybycia nowego władcy. Siedział właśnie w swojej izbie w garnizonie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Co tam znowu?

Do izby wszedł żołnierz.

— Panie — rzekł, a Aszerkare poznał, że to jeden ze strażników więziennych — więzień Minmose domaga się widzenia z tobą.

— Dajcie mu parę batów, to się uspokoi.

— Już daliśmy. Nie pomogło. Zaczął rzucać odchodami w strażników. Domaga się widzenia z tobą. Mówi, że ma ważne informacje.

— A jakież on może mieć informacje?

— Panie, błagam cię, zechciej do niego pójść. Nie możemy z nim wytrzymać.

Gdy Aszerkare zszedł do lochów, pierwszym, co usłyszał, były krzyki więźniów.

— Zabierzcie od nas tego szaleńca!

— Jesteśmy uczciwymi złodziejami, nie zboczeńcami!

— Zamknijcie się! — krzyknął strażnik. — Oficer Aszerkare przybył na inspekcję!

— Kim są ci ludzie? — spytał Aszerkare.

— Przeważnie złodzieje. Kilku siedzi za lżenie bogów, dwóch za zabójstwa.

— Tylko dwóch? Całe Teby należałoby tutaj zamknąć po tym, co się ostatnio działo — mruknął oficer.

Nagle usłyszeli śmiech, a potem mokre plaśnięcie.

— Minmose, przestań rzucać w nas tym, co zrobisz pod siebie! — wrzasnął strażnik.

— Przyprowadziłeś tego oficera, który mnie tutaj zamknął? — Głos dobiegał z głębi korytarza.

— Czego chcesz? — krzyknął Aszerkare, nie zamierzając zbliżyć się do więźnia.

— Dostojny panie, to, co mam do powiedzenia, dotyczy faraona. Nie mogę krzyczeć na cały korytarz.

— Panie, mówiłem ci, że to wariat — rzekł strażnik.

— Jeśli tak, to nie widzę przeszkód, by do niego pójść. Szaleństwo nie jest zaraźliwe — stwierdził Aszerkare. — Jestem — rzekł, stając przed celą intendenta. — Podejdź do krat.

Twarz Minmose nie przypominała już twarzy opoja i rozpustnika. Przed Aszerkare stał człowiek zaszczuty i przerażony, który czuje, że śmierć jest blisko.

— Minmose, jeśli uczynisz coś, co mi ubliży, wiedz, że jeszcze dzisiaj zawieszysz głowę w dół na murze — ostrzegł oficer.

— Panie, niczego takiego nie zrobię — zapewnił Minmose. — Muszę ci powiedzieć, że wiem o nowym faraonie coś, czego nikt nie wie.

— A co ty możesz wiedzieć?

— Bardzo dużo. Tylko posłuchaj, panie. Dwa lata temu, kiedy byłem intendentem Hatszepsut, miałem wszystko. Mój stół ugiął się od wykwintnych potraw, szkatuły pełne były klejnotów i miałem każdą kobietę, jakiej zapragnąłem. Moją żoną była Satre, córka kapłana Amona, Setiego, człowieka wielkiej wiedzy i mądrości, choć nigdy go nie lubiłem. Pewnego dnia do mego domu przybył chłopiec, młody kapłan Sobka

z Fajum. Nie zwróciłem na to uwagi, bo zajmowały mnie inne sprawy. Stało się jednak coś niezrozumiałego: chłopiec, który miał na imię Anchnum, i mój najlepszy niewolnik, Hetyta Ursilis, uciekli, moja żona wkrótce także przepadła bez wieści, a jej ojciec zmienił się nie do poznania, jak gdyby stał się innym człowiekiem. Potem dowiedziałem się, że moja żona popełniła samobójstwo, które, jak wiesz, jest najgorszą zbrodnią wobec bogów. Nie uwierzyłem w to, a murzyńskie niewolnice, bliźniaczki, powiedziały mi, że w dzień po ucieczce tamtych dwóch do mego domu przyszli żołnierze i człowiek, którego one opisały jako jej ojca. Zabrali moją żonę i słuch po niej zaginął, choć jej ojciec napisał mi, że popełniła samobójstwo.

— A ty gdzie wówczas byłeś? — zainteresował się Aszerkare.

— W drodze do Punt. Moim światem był dzban najlepszego wina i łona najdroższych nierządnic w Tebach. Nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Lecz gdy wróciłem do Teb, poznałem prawdę. Mój teść, Seti, został zamordowany, a jego miejsce zajął człowiek łudzaco do niego podobny. Wiem teraz na pewno, że to on zamknął moją żonę w lochu. Tam poroniła bękarta, którego spłodziła za moimi plecami, okrywając mnie hańbą przed bogami. Ale mniejsza o to. Otóż ten człowiek o twarzy mojego teścia działał na polecenie Hatszepsut i rzekł mi kiedyś po pijanemu, że ten chłopiec, Anchnum, jest synem Totmesa Drugiego i prawowitym spadkobiercą tronu faraonów.

— Tyś chyba oszalał! — krzyknął Aszerkare, podnosząc do góry ręce, by przeprosić bogów za bluźnierstwo, jakie usłyszał.

— Przysięgam na wszystkich bogów, że mówię prawdę! Wiem też, że moja żona i jej ojciec wiedzieli o tej sprawie o wiele więcej i dlatego nie ma ich wśród żywych.

— Straszne są twoje słowa, Minmose. Dlaczego mówisz to właśnie mnie?

— Bo wiem, że wkrótce mnie zabijesz, i chcę, abys i ty

cierpiał, bo to ty mnie tutaj zamknąłeś! I to wcale nie dlatego, że wywołałem zamieszki! — wrzeszczał Minmose. — Wiedz, że dobrze pamiętam tamtego chłopca i mogę przysiąc, że miał taką samą twarz jak ty!

Wrzask Minmose usłyszeli inni więźniowie.

— Faraon bękart! Już wszystko wiemy! — krzyczeli.

— Zabierzcie wszystkich więźniów i zetnijcie ich na dziedzińcu jeszcze dzisiaj, rozumiecie? — zwrócił się Aszerkare do strażników.

— Tak, panie, choć twój rozkaz jest okrutny.

— Jeśli tego nie zrobimy, zginiemy wszyscy. — Aszerkare mówił to szeptem, a jego serce prawie stanęło z trwogi.

— A Minmose?

— Wyrwiecie mu język i przeniesiecie go do innej celi.

— Stanie się według twój woli.

Wieczorem na żerdzie przed garnizonem pułków Amona wbitych zostało trzydzieści siedem głów. Aszerkare nigdy sobie tego nie wybaczył, choć wiedział, że gdyby rozniosło się po mieście, co wykrzykiwał Minmose, dla niego i strażników nie byłoby ratunku.

Jeszcze kilka miesięcy temu Hatszepsut była córką Ra, teraz /ostała uciekinierem zdanym na łaskę lub niełaskę ludzi ze swojej gwardii. Nikt nie szanuje upadłych władców. Hatszepsut o tym wiedziała i bała się. Widziała rzucane ukradkiem spojrzeń i rozumiała, że prędzej czy później stanie się zakładnikiem swoich ludzi. Była jednak zbyt dumna, aby oczekiwać łaski Totmesa.

Wszyscy zsiadli z koni. Hatszepsut odeszła na bok i usiadła na piasku, okryta lnianym pledem. Wpatrywała się w horyzont. Czuła, że nie zdąży dotrzeć nad Morze Czerwone. Cały jej orszak znajdował się na wschodzie, o dwa dni drogi od Teb.

— Wasza Wysokość zechce coś zjeść.

Hatszepsut odwróciła się. Poznała swój cień, Ramzesa.

— Nie chce mi się jeść ani pić. Ale chcę czegoś innego — powiedziała ochrypłym głosem. — Zabij mnie. Nie chcę już dłużej uciekać. Zresztą dokąd mogłabym uciec?

— Pani, nie mógłbym...

— Przecież lubisz zabijać! Będziesz sobie mógł wziąć moje klejnoty. To ci zapewni godziwe życie.

— Lepiej teraz zjedzmy — rzekł Ramzes, starając się, by zabrzmiało to niefrasobliwie. — Po co mówić o smutnych rzeczach przy jedzeniu?

— Pamiętaj, Ramzesie, że nie chcę odejść sama — ciągnęła królowa, nie zważając na jego słowa. — Zabij czterech strażników, którzy dobrze mnie traktowali. Pamiętaj też, żeby zabiło wszystkie służące. Potem, jeśli twe serce nie zna trwogi, pojedź do Teb i stań przed moim następcą. Niech pochowa moje ciało w Dolinie Królów.

— Nie boisz się gniewu Amona?

— Nie. Bardziej boję się gniewu Seta. On na pustyni jest silniejszy.

Hatszepsut wstała i ruszyła w stronę służby, która zajęta była przygotowaniem posiłku. Usiadła na dywanie. Po chwili nadzedeł Ramzes i zanim ktokolwiek zdążył coś zauważyć, zarzucił jedwabny sznur na jej szyję i pociągnął mocno do tyłu. Hatszepsut nie broniła się, tylko drganie nóg zdradzało, że uchodzi z niej życie.

Wiatr lekko unosił zasłonę namiotu Totmesa.

— Kocham cię, Charis — szeptał chłopak, pokrywając pocałunkami każdy skrawek ciała ukochanej. Leżeli, zmęczeni ogniem, któremu pozwolili zapłonąć. — Nigdy cię nie opuszczę. Niech mówią, co chcą..

— Przytul mnie, kochany.

W ciszy słyhać było tylko szelest skrzydeł pustynnych motyli. One na miłość mają tylko jeden dzień, potem przychodzi śmierć...

Wszyscy mieszkańcy Teb wylegli na ulice i place, by oglądać uroczysty wjazd nowego faraona i jego koronację. Ze świątyni Amona Tebańskiego wyruszyła wielka procesja, a za nią korowód płaczek, których lament miał odstraszać zło, a przede wszystkim przypominać, że odszedł władca poprzedni. Właśnie zakończył się siedemdziesięciodniowy okres, w czasie którego przygotowywano mumię Hatszepsut do wiecznej wędrówki ze Słońcem.

Orszak nowego króla wolno zbliżał się do wielkiego obelisku symbolizującego Słońce, stojącego przed pałacem królewskim.

Aszerkare obserwował wszystko z murów garnizonu położonego za świątynią. Pochód okrążył obelisk, kolumna kapłanów i dostojników zatrzymała się przed wielkimi drzwiami świątyni. Kilkunastu oficerów wniosło do środka wielki tron z nieruchomym jak posąg królem. Gdy postawiono tron przed ołtarzem, Totmes wstał. Przy wtórze pieśni zaintonowanej przez dwustu kapłanów zdjęto mu złotą maskę oraz szaty, jednak tak, aby nie obnażać go całego, po czym Totmes zanurzył się w świętym stawie Amona na mniejszym dziedzińcu świątynnym. Obrzęd obmycia oznaczał, że faraon wyzbywa się swojej ziemskości. Zagrały rogi. Ich dźwięk i śpiew kapłanów był znakiem, że wszyscy mają pochylić głowy. Mokre od świętej wody ciało faraona stało się teraz święte i śmiertelnicy nie mogli go oglądać. Żołnierze i oficerowie na murach cytadeli ukłękli.

Gdy znów rozległ się ryk rogów, faraon ubrany był już w białą szatę. Z czterech stron świątynnego dziedzińca wyszło czterech kapłanów w maskach. Ten, który szedł od zachodu, nosił maskę Seta, Pana Pustyni. Drugi, nadchodzący od wschodu, miał maskę Horsa, świętego ptaka. Kapłan zbliżający się do faraona od północy był to bóg Ptah, Stworzyciel człowieka, a od

południa kroczył kapłan przebrany za Tota. Gdy wszyscy czterej doszli do stojącego nieruchomo władcy, młody król musiał przyjąć pocałunek od świętego węża, bogini Maat, niesionego przez kapłana przebranego za Tota. Była to długa laska z owiniętym wokół wężem. Na skronie Totmesa kapłani włożyli dwie korony —białą i czerwoną, symbolizujące Egipt Dolny i Egipt Górny.

Kapłani krzyknęli: „Mencheperre, Mencheperre!”, bo każdy faraon po koronacji otrzymywał nowe imię. Gdy faraon znów usiadł na tronie, kapłani wynieśli go przed świątynię. Tysiące ludzi padły na twarze przed swoim królem i bogiem. Mencheperre otrzymał wówczas złote berło i bicz, *hah* i *nehah*. Został faraonem, wielkim domem, tchnieniem bogów.

Moim życiem i moją śmiercią.

Ramzes dotrzymał obietnicy. Postanowił zawieźć ciało swojej pani do Teb. Czuł, że jeśli nowy władca będzie chciał rozpocząć panowanie w zgodzie z bogami, nie pozostawi na wieczne pohaniebienie duszy królowej Maatkare Hatszepsut.

Serce Ramzesa nie znało trwogi. Przez wiele lat żył w samotności na pustyni i służył swemu panu, Setowi. Zły brat Ozyrysa zawsze wydawał mu się potężniejszy. Zaczął nienawidzić ludzi. Zabłąkani kupcy oraz pustynni koczownicy z pustyni libijskiej widywali go czasami w towarzystwie hien i szakali, które łąsiły się do niego. Wśród pospólstwa zaczęły krążyć o nim legendy. W końcu również królowa dowiedziała się o jego istnieniu i postanowiła go odnaleźć. Dała mu nowe życie na dworze i pozwoliła zemścić się na Setim, rodzonym bracie, przez którego Ramzes został wygnany.

Teraz jednak wszystko było skończone. Ramzes nie miał złudzeń, jaki czeka go los, gdy stanie przed nowym faraonem. Nie liczył na litość. Przywiózł ciało władczyni do Domu Śmierci, gdzie pod nadzorem kapłanów miało zostać przygotowane do spotkania z bogami. Totmes nie odmówił swojej ciotce królewskiego pochówku, jednak Puimre dopiłnował, aby kar-

tusze z imieniem królowej zniknęły ze wszystkich świątyń, które wybudowała w Tebach.

Nie mógł przeboleć straty swego mistrza Setiego i w końcu odnalazł Ramzesa ukrywającego się w Domu Śmierci. Powiadomił o tym Totmesa. Chciał, by skazano go na śmierć. Jednak faraon odrzekł:

— Śmierć dla Ramzesa będzie zbyt łagodną karą. Niech zostanie tam na zawsze. Niech patrzy codziennie na błękitne niebo ze świadomością, że nigdy nie opuści tego miejsca.

Kapłani i balsamiarze w Domu Śmierci całe życie spędzali w odosobnieniu. Ale Totmes popełnił błąd, wymierzając taką karę. Nie mógł przypuszczać, że wszystko obróci się na korzyść Ramzesa. Balsamiarze wyczuli w skrytym i posepnym starcu pokrewną duszę. Pozwolili mu zgłębić tajniki swego zawodu. Ramzesa zafascynowało to zajęcie. Ponieważ górował nad wszystkimi pracownikami Domu Śmierci inteligencją i przebiegłością, w krótkim czasie zdołał opętać młodszych balsamiarzy. Lubieżny starzec wybierał dla siebie młode i piękne ciała. W końcu, któregoś ranka znaleziono go martwego obok zwłok młodej kobiety, która umarła w połogu. Być może zabił go któryś z balsamiarzy, a może starzec zmarł podczas zaspokajania swojej wynaturzonej żądzy. Nikt nigdy nie dowiedział się, jak było naprawdę. Rodzina zmarłej powiadomiona została o tym makabrycznym zajściu przez jednego z młodszych kapłanów. Wybuchł skandal. Przeprowadzono drobiazgowy śledztwo, które wykazało, do jak strasznych czynów dochodziło w Domu Śmierci. Postanowiono wówczas, że ludzie powołani do tej służby muszą znajdować się pod czujnym okiem kapłanów Amona, którzy będą strzegli porządku oraz przestrzegania wszystkich religijnych nakazów dotyczących postępowania z ciałami zmarłych.

Zwłoki Ramzesa rzucono na pożarcie krokodylom. W ten sposób Totmes, nie mogąc należycie ukarać zbrodniarza za życia, odebrał mu szansę na życie wieczne.

ROZDZIAŁ 17

Nubia

Zanim nowy faraon rozpoczął rządy, Teby przeżyły jeszcze jedną uroczystość. Było to święto Sed, święto odnowy wszystkiego przez nowego władcę. Odegrano wówczas spektakl ćwiartowania ciała Ozyrysa przez Seta i jego odnalezienie przez Izydę. Jako Ozyrys wystąpił sam Totmes.

— Wasza Wysokość może zająć skarbiec świątyni Amona — rzekł Puimre, który był teraz ministrem. — Choć jestem kapłanem, wiem, że złoto świątyni bardziej przyda się ludowi niż bogom.

— Nie, Puimre, nawet o tym nie myśl.

— Dlaczego? Przecież zagarnięcie skarbów świątynnych umożliwiłoby spełnienie tego, czego lud chce od dawna. Ludzie chcą zmniejszenia podatków. Panie, wyszedłem z ludu i wiem, że podatki, jakie lud płaci na rzecz chciwej świątyni Amona i dla faraona, są bardzo uciążliwe. Nie pozwól świątyni na gnębienie prostych ludzi. W ten sposób zdobędziesz ich miłość — nalegał Puimre.

— Nie, Puimre — powtórzył Totmes. — Jestem młody i nie mam doświadczenia w rządzeniu, jednak nie uważam, by naruszenie skarbów Amona było teraz możliwe. Czy pamiętasz, jak Senenmut obraził mnie w Memfis?

— Trudno zapomnieć o takiej zniewadze.

— Na drugi dzień Senenmut już nie żył. Jestem pewny, że zginął za sprawą Hapuseneba. Bo tak naprawdę Egiptem rządzą ci czterej kapłani, wszędzie mają oczy i uszy. Nie mam zamiaru ich teraz prowokować.

— Masz rację, Wasza Wysokość, są bardzo potężni. Nie możemy pozwolić sobie na otwarty konflikt ze świątynią Amona. Chcesz jednak wykorzystać potęgę świątyń?

— Tak, ale osiągnę to tylko dzięki sile. Dlatego muszę mieć za sobą i armię, i lud, oficerów z pułków egipskich, a także Szardanów, którzy na razie śmieją się ze mnie, bo jestem młody i niedoświadczony.

— Oficerów możesz być pewny, panie — zapewnił Puimre.

— Przy ich pomocy chcę zaprowadzić porządek i karność w armii, która nawet podczas naszego marszu do Teb zachowywała się niczym stado leniwych gęsi.

— Ale żeby to zrobić, trzeba rzucić im coś na pożarcie.

— Wiem, i dlatego myślę o Nubii, która całkowicie wyzwoliła się spod władzy Egiptu. Ponoć bandy murzyńskie plądrują wioski na południu. Tak mówił Nehi, którego chciałym mianować wodzem tej wyprawy.

— Słusznie myślisz, panie. Ponowne zdobycie Nubii da armii poczucie siły i zwiąże ją z tobą, a napływ tanich niewolników odciąży lud.

— Wiem, że wicie rodzin oddaje swe dzieci w niewolę, bo nie są w stanie ich utrzymać. Dlatego musisz mi pomóc odnaleźć złoto, które Hatszepsut gdzieś ukryła. Myślę, że gdy skończymy z Nubią, nadejdą dla mnie ciężkie chwile...

— Dlaczego?

— Czuję, że kapłani Amona nie chcą mieć nad sobą faraona, który pozgina im karki. Na pewno nie pogodzą się łatwo z silną władzą faraona. Musisz dowiedzieć się, co knują przeciw mnie.

— Stanie się, jak pragniesz, panie — odpowiedział Puimre.

— Musimy też obserwować, co dzieje się w Syrii. Syria to prawdziwa kopalnia skarbów. Gdy ją zdobędę, wówczas kapłani skłonią przede mną głowy.

Puimre nie odpowiedział, bo wizja młodego faraona tak naprawdę go przerażała. Nie przypuszczał, że w człowieku, który stoi obok niego, drzemie tak wielka determinacja i wola walki.

— Puimre, jeszcze jedno — rzekł faraon.

— Słucham cię, panie...

— Znajdź moich rodziców. Sipu i Mepa, chłopcy spod Fajum.

Proszą...

— Rozumiecie, co faraon zamierza zrobić? — zapytał Ramose.

Rada Amona zebrała się w sekretnej komnacie na terenie świątyni, przeznaczonej do poufnych rozmów.

— Spodziewam się najgorszego — rzekł Chaemhat. — Niedługo uderzy w świątynię. Na przykład nałoży na nas wysokie podatki. Mencheperre jest młodym królem, ma ogromne ambicje. Na razie tylko go obserwujmy, a czas przyniesie odpowiedź, jakie powinniśmy podjąć kroki, by zachować potęgę Amona. Uważam, że kluczem do odgadnięcia jego zamiarów będzie sprawa Nubii. Czy zauważyliście, ilu gońców z południa przybywa codziennie do pałacu?

— Wojna będzie na pewno, ale kiedy? — zapytał Hapuseneb.

— Musimy mieć kogoś, kto będzie nas informował o zamiarach faraona. Niestety, nie może to być Puimre, choć to kapłan taki jak my — westchnął Ramose.

— Gdybyśmy zdołali wpłynąć jakoś na nałożnicę faraona... — podsunął Hapuseneb.

— Niezła myśl, Hapuseniebie — pochwalił Senenu. — Ale czy mamy kogoś, kto zdołałby się do niej zbliżyć?

— Jest taka jedna kobieta — rzekł Ramose. — Dobrodziejka moja i świątyni...

— Jak się nazywa? Czy ją znamy? — dopytywał się Hapuseneb.

— To Szima.

— Bogowie, chyba nie mówisz o tej, którą miał w łożu każdy minister faraona?! — krzyknął Senenu.

— Nie unoś się, bracie — uspokajał go Hapuseneb. — Znam Szimę i muszę powiedzieć, że oprócz kilku oczywistych zdolności, które są znane szerszemu ogółowi dostojnych oficerów i urzędników, ma również inne talenty,

— Na przykład jakie? — mruknął drwiąco Chaemhat.

— Potrafi uważnie wsłuchiwać się w to, co mówią ludzie, i doskonale wszystko zapamiętuje.

Lektyka Szimy, niesiona przez sześciu silnych Murzynów, zmierzała w stronę pałacu. Piękna Szima pragnęła przypomnieć się kilku dworzanom, którzy po przewrocie wrócili do łask faraona. Obojętnie przypatrywała się mijanym twarzom, aż nagle zobaczyła coś tak strasznego, że z jej gardła wyrwał się krzyk przerażenia. Niewolnicy stanęli, a ten, który szedł na przedzie, podbiegł do okienka lektyki.

— Pani, co się stało? — spytał zaskoczony.

— Ta kobieta... — wyszeptała pobladła Szima.

— To tylko jakaś żebraczka w łachmanach! — uspokajał ją sługa.

— Wracamy do domu! — krzyknęła Szima.

To niemożliwe, rozmyślała gorączkowo. Przecież nikt nie może wstać z grobu. Nawet Satre.

— Ruszajcie się, do stu demonów! Nawet Frygowie, którzy na miłą pachną kozłem, są mądrzejsi od was! — krzyczał Szamaszi.

— Panie, w pierwszym wozie pękło koło! — bronili się słudzy.

— No to je wymieńcie! Z tym wozem ciągle są jakieś kłopoty.

— Bo jest stary — powiedział ktoś za plecami Szamaszego. Kupiec odwrócił się zirytowany i zobaczył egipskiego oficera, który w rękę trzymał laskę zakończoną głową kobry. — Chciałbym zwrócić ci uwagę, dostojny cudzoziemcze — ciągnął — że blokujesz drogę. Dzisiaj mają nią przemaszerować pułki nowego faraona.

Nowego faraona? — pomyślał Szamaszi. Na wszystkich bogów, czy ja śnię? Kupiec patrzył osłupiały na oficera.

— Cudzoziemcze, czyżby odjęło ci mowę? Mówię, żebyś usunął się z drogi!

— Panie, powiedz, kto jest teraz faraonem? — wyszeptał Szamaszi, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie oficera.

— Jak to możliwe, że o tym nie wiesz! W ziemi Kem panuje teraz Mencheperre Totmes Trzeci.

Oblicze kupca rozpromieniło się nagle. Szamaszi zaczął się śmiać, jak śmieje się ktoś, kto usłyszał właśnie najradośniejszą nowinę. Gdy oficer wrócił do swoich żołnierzy, ze zdumieniem pokazywał złote bransolety, jakimi tamten go obdarował.

Totmes oddał do dyspozycji Charis piękną willę blisko pałacu. Chciał trzymać ukochaną z dala od intryg. Kapłani dowiedzieli się jednak, gdzie jest, bo przeprowadzki Charis nie było można ukryć przed wzrokiem setek dworzan.

Charis siedziała właśnie w swojej komnacie, gdy w progu pojawiła się piękna kobieta.

— Kim jesteś? — zapytała Charis zaskoczona.

— Mam ci służyć. Nazywam się Szima.

— Jesteś piękna. Czy przysłał cię Totmes?

— Ten, który jest jasny jak Ra — odrzekła Egipcjanka.

— Powiedz więc coś o sobie. Tylko wolno i wyraźnie, bo nie rozumiem jeszcze zbyt dobrze waszej mowy.

— Jestem Egipcjanką. Mam umilać ci czas, pani, i wiedz, że robię to doskonale. — Szima wzięła małą harfę z drewna sandałowego, a bransolety zadzwoniły na jej rękach. — Znam poematy Ipuwera — mówiła, kłękając, by grać w najwygodniejszej pozycji. — Był to wielki poeta. Napisał słynny w naszym kraju poemat o wielkiej wojnie domowej. Znam też ludowe pieśni o wspaniałych grobowcach królewskich...

— Piramidy. Słyszałam o nich. — Charis poczuła sympatię do tej powabnej, smukłej kobiety.

— Ipuwer, który zapewne jest takim samym bogiem dla poetów jak dla lekarzy boski Imhotep, napisał setki lat temu poematy o potężnym Egipcie, w którym budowano piramidy, oraz o wielkiej wojnie i o utraconej wielkości Egiptu.

— Poeta polityczny? — zapytała zaciekawiona Charis.

— Nie, najdostojniejsza — rzekła Szima, podnosząc na Charis piękne sarnie oczy. — To poezja o bólu, smutku i tęsknocie za dawną potęgą.

— Czy znasz jakieś pieśni o miłości?

— To najdelikatniejszy z kwiatów — uśmiechnęła się Szima. — Znam *Opowieści Sinuhe*, które mówią o miłości silniejszej niż śmierć, a także pieśni Izidy dla Ozyrysa, ale...

— Ale?

— Niektóre wiersze są zbyt śmiałe, by recytować je głośno, najdostojniejsza. — Szima zakryła usta dłonią. Charis szybko zrozumiała, co Egipcjanka ma na myśli.

— Czy znasz świątynię bogini, która jest najbliższa sercu egipskich kobiet?

— Masz zapewne na myśli Hathor. Znam pewną kapłankę...

— Chciałabym ją poznać.

Pepi, dowódca garnizonu w Ugaricie do wielkiego faraona.

Obyś żył wiecznie!

Śludzy Twoi wzywają pomocy, albowiem Syria i loszyskie

jej księstwa, królestwa i miasta zamieniły się w pole bitwy. Wylano już tyle egipskiej krwi, ile Nil niesie wody. Prosimy o pomoc, aby dokonać pomsty na Twych wrogach. Nasza armia w Ugaricie liczy siedem tysięcy ludzi, którzy głodują. Błagam Cię, Dziecko Słońca, o przysłanie żywności i wojska. Potrzebne nam też okręty, abyśmy dłużej opierali się Twym wrogom. Pojawiili się nowi nieprzyjaciele, o których świat jeszcze nie słyszał. Noszą helmy zakrywające twarze, długie włócznie, a w powożeniu rydwanami nie mają sobie równych. Lecz zoielu z tych nieprzyjaciół zabiliśmy, choć byliśmy zdumieni ich męstwem. Idąc do walki, wydają oni okrzyk, którego nigdy jeszcze nie słyszeliśmy, w starciu zaś są zaciekli jak dzikie bestie. Są to wojownicy wielkiego króla Mitanni, który domaga się od nas darów w złocie i srebrze.

Więść niesie, że krwawa wojna domowa rozpoczęła się w państwie Hetytów, które jest podległe wielkiemu królowi Mitanni. Hetyci zgładzili swego króla Telpinusa i obrali nowego, o którym schwytni przez nas wojownicy Mitanni powiadają, że jest bardzo srogi. Kąsa ponoć zachodnią granicę Mitanni tak uporczywie, że Mitanni nie widzą dla siebie nadziei.

Jesteśmy w Ugaricie sami, a królowie syryjscy i miasta fenickie są nam wrogie i domagają się od nas złota i drogocennych kamieni lapis-lazuli. Wielka złość jest w ich sercach przeciwko Tobie, Synu Ra, i ziemi Kem. Obyś żył wiecznie.

Puimre skończył czytać. Zapadła cisza. Starsi kapłani milczeli, porażeni tak strasznymi wieściami, a młodszy nie śmieli odezwać się pierwsi. Oficerowie mieli przed oczyma samotną twierdzę, otoczoną ze wszystkich stron przez wrogów. Totmes siedział nieporuszony.

— My, Mencheperre — odezwał się w końcu — widzimy, że przeciw naszej ziemi i naszemu ludowi wznosi się złowrogi las rąk, które trzymają ostre miecze. Są również wrogowie

wewnątrz państwa, po stokroć groźniejsi. Lecz my, Mencheperre, znajdziemy ich i wymierzmy karę! A kara ta nie ominie ich żon i dzieci. My, Mencheperre, mówimy też do armii, która jest naszym mieczem: każdy z oficerów otrzyma deben srebra za rok służby, a żołnierze dwa debeny złota na pułk do podziału. Armia wyruszy wkrótce do Nubii, aby ukarać ją za bunt.

— Obyś żył wiecznie! Mencheperre, ty jesteś Ra! — zawołał oficerowie.

Faraon wstał. Wszyscy upadli na twarze.

— Słyszeliście?! — krzyczał wściekły Hapuseneb. — Znowu obiecał nie swoje pieniądze! Nie mogę tego znieść! Co za bezczelny smarkacz! Czy ten młodzik nie wie, że złoto Egiptu jest przechowywane przez Amona?!

— Nie unoś się, Hapusenebie — uspokajał go Senenu.

— Myślę, że to nie jest zamach na świątynny majątek, lecz zachęta do wojny z buntownikami — wtrącił się Ramose.

— Mówisz, Ramose, jak stara kucharka — parsknął Hapuseneb.

— Licz się ze słowami, Hapusenebie — rzekł gruby kapłan. — Skarby Amona nie są zagrożone, zapewniam cię.

— Uspokójcie się — upominał Chaemhat. — Amon będzie spokojny, a jego chwała wzrośnie, gdy zachowacie spokój i rozwagę.

— Co zatem powinniśmy zrobić? — spytał Hapuseneb.

— Moim zdaniem powinniśmy czekać — odrzekł Ramose. — Może faraon poniesie klęskę w Nubii, a wtedy zrobi to, co mu każemy.

— A jeśli nie?

— Przyłoży nam miecz do gardła. Puimre już się o to postara — mruknął.

Ramose zachował spokój. Czuł, że musi się dobrze zastano-

wić, czy konflikt z młodym faraonem będzie się mu opłacał. Ale nie zdradził swoich myśli trzem pozostałym członkom rady Amona.

Aszerkare przez wiele dni po egzekucji nie mógł ochłonać. Nie mógł też zapomnieć słów Minmose, które przeniknęły do jego umysłu niczym jad zmił. Rozpoczął poszukiwania wszystkich, którzy znali intendenta. Wkrótce natrafił na kilkudziesięciu wierzycieli, u których się zapożyczył. Gdy o niego pytał, natychmiast podnosili krzyk, rwali włosy z głów i krzyczeli: „Nie ma człowieka bardziej podłego niż ta kreatura. Wolelibyśmy pożyczać nasze złoto krokodylom niż jemu!”.

Takie same złorzeczenia Aszerkare usłyszał od jego kochanek i służby, z którymi obchodził się gorzej niż ze zwierzętami. Jego niewolnicy mówili: „Bardzo zazdrościliśmy kotom Minmose, które mleka i mięsa miały w bród. My głodowaliśmy”.

Wszyscy znali Szimę, która spędzała w domu intendenta całe dni. Aszerkare postanowił więc złożyć jej wizytę. Z początku elegantka przyjęła go niechętnie, ale gdy powiedział, że gotów jest wrócić z żołnierzami i zająć jej dom, zgodziła się odpowiedzieć na wszystkie pytania.

— A więc mówisz, dostojna Szimo, że nie znałaś Minmose?

— Niestety, choćbym złożyła moją urodę na ołtarzu bogini Sechmet, nie mogłabym ci pomóc.

Aszerkare przełknął ślinę, ponieważ pod lekką suknią dobrze widać było jej bujne kształty.

— A więc nawet z nim nie rozmawiałaś?

— Nie powiedziałam, że z nim nie rozmawiałam, ale to nie znaczy, że go znałam.

— Wybacz, pani, ale ci nie wierzę. Sam Minmose powiedział, że byłaś jego kochanką wtedy, gdy zaginęła jego żona.

— Panie, serce moje jest czyste przed bogami! — wykrzyknęła oburzona Szima.

— Szimo, jesteś złą i rozpustną kobietą! Dowody, które mam, pozwoliłyby w majestacie prawa przywiązać cię do słupa bogini Bastet i pozwolić, by koty rozszarpały twoje ciało!

— Panie, nie możesz mnie karać za winy, których nie popełniłam! Niech Wielkie Izyda i Hathor będą mi świadkami! Być może zbłądziłam nieco w życiu, ale to przez podłość mężczyzn. Cóż miałam robić? Biedna, samotna, spragniona ciepła kobieta bez rodziny i przyjaciół...

— Żal mi cię, Szimo — powiedział z pogardą Aszerkare. — O nic cię nie oskarżę, ale musisz odpowiedzieć na moje pytania. Czy znałaś żonę Minmose?

— Widziałam ją przelotnie kilka razy. Była kobietą wielkiej urody.

— Czy wiesz, kiedy zniknęła?

— Nie, niestety nie. Wiem, panie, że to zabrzmia nieprawdopodobnie, ale widziałam ją niedawno na ulicy... — Szima urwała, jakby wróciło jakieś straszne wspomnienie.

— Przecież ona nie żyje!

— Panie, to była ona. Miała na sobie łachmany, ale to była ona, jestem tego pewna!

Aszerkare wyszedł w przekonaniu, że Szima nie powiedziała mu całej prawdy. Ale nie miało to dla niego znaczenia. Po raz pierwszy w życiu spotkał kobietę tego pokroju. Myślał o jej nagim ciele. Po raz pierwszy w życiu odczuwał pożądanie.

— Ośmielę się powiedzieć, że na kampanię w Nubii będziemy potrzebowali dwa tysiące debenów złota — zaczął Pui mre, który został wraz z Nehim wezwany w nocy przez Totmesa.

— Wasza w tym głowa, żeby znaleźć te pieniądze, ale wiedzcie, że od kapłanów Amona nie chcę ani debena. Wierzcie mi, że po zdobyciu Nubii faraon będzie dziesięć razy bogatszy niż przed wojną. Buntownik Imenemchu otworzył tam nowe

kopalnie złota, dlatego armia powinna wejść do Nubii zaraz po pierwszych żniwach. Żołnierze muszą coś jeść.

— A chłopci? — zapytał Puimre.

— Nie obawiaj się, nie zabiorę chłopom zboża na siew. Zboże na czas przemarszu dadzą nam świątynie. I zabronię świątyni pobrać od chłopów podatki, kiedy armia ruszy na południe.

Puimre uśmiechnął się. Był dumny z tego, że Totmesowi leży na sercu los ludu.

— Panie — teraz zabrał głos Nehi — byłoby najlepiej, gdyby armia pomaszerowała różnymi drogami po obu brzegach Nilu, w dwóch korpusach, aby być jak najmniejszym obciążeniem dla ludności. Korpusy mogłyby się spotkać nad drugą kataraktą. Jest jeszcze jedna kwestia...

— Jaka?

— Koczownicy pustynni. Byłoby dobrze, gdyby udało się przeciągnąć na stronę Egiptu ich wodza, który jest ponoć niezwykłym człowiekiem. Imię jego jest Ahim. Mielibyśmy świetną lekką jazdę, dobrą do przenikania na tyły wrogów.

— Dobrze. Wyślijcie jakiegoś oficera z Teb z darami ode mnie. Takie przymierze może być cenne. Kogo chcecie posłać?

— Jest młody oficer, który wykazał się dużą odwagą podczas zamieszek w Tebach. Nie wiem, jak wygląda, ale imię jego jest w mieście znane: nazywa się Aszerkare — rzekł Nehi.

Miesiąc potem rozeszła się wieść, że do Teb przybył bardzo bogaty fenicki bankier. Opowiadano, że złożył bogom egipskim bogate ofiary i chętnie udzielał pożyczek. Plotki o nim dotarły w końcu i na dwór królewski.

Było w zwyczaju, że wszyscy ważni cudzoziemcy mieszkający w Tebach musieli oddać hołd faraonowi. W wielkiej sali audiencyjnej pałacu roiło się tego dnia od kapłanów i kupców, którzy mieli złożyć pokłon swemu władcy i bogowi. Puimre,

czuwający nad przebiegiem audiencji, odczytywał imię każdego, kto zbliżał się do siedzącego na tronie faraona.

— Szamaszadadniri z Ugaritu! — zapowiedział.

Totmes nie potrafił ukryć zaskoczenia i radości. Jeszcze tego wieczoru przyjął Szamasziego w prywatnych komnatach.

*

— Szamaszi, przyjacielu! — wykrzyknął Totmes, wychodząc kupcowi na spotkanie. — Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy.

— Pani, kiedy rozstaliśmy się przed dwoma laty w Ugaricie, byłem pewny, że nie ujrzę cię żywego!

— Na wszystkich bogów! Co robiłeś przez ten czas?!

— Z Ugaritu udałem się na Cypr, bo część moich pieniędzy ulokowałem właśnie tam, i, dzięki bogom, zdołałem je odzyskać. Podróżowałem kreteńskim statkiem, ponieważ pewien kapitan, Kreteńczyk, jest moim przyjacielem.

— Znasz, panie, Kreteńczyków? — zdziwiła się Charis. — Myślałam, że wszyscy zginęli, rażeni gniewem bogów.

— Pani, twa uroda idzie w parze z wiedzą—rzekł Szamaszi, patrząc na nią z podziwem. — Prawdą jest, że przed laty Kretę dotknęła straszna klęska. Jedna z wysp, położona na wschód od Krety, Thera, wybuchła wielkim ogniem, a na morzu powstała fala tak wielka, że unicestwiła potęgę Krety. Dzieła zniszczenia dopełnili Achajowie, którzy najechali wyspę, niszcząc resztki jej świetności.

— Szamaszi, opowiadasz niezwykle historie, mimo że jeszcze nie piłeś wina — zaśmiał się Totmes.

— Znakomite jest wino egipskie, ale mam znacznie lepsze. A pochodzi właśnie z kraju Achajów — pochwalił się kupiec.

— Pani, jak myślisz, skąd ja pochodzę? — zapytała Charis po grecku.

— Chylę czoło przed córą Myken i Tirynsu — odrzekł Szamaszi w tym samym języku. — Z Cypru pozeglowałem

dalej przez tak cudowne błękity morza, jakich u wybrzeży Syrii trudno by szukać — ciągnął już po egipsku. — Przepływałem obok Krety, lecz kapitan Irhuanaks nie chciał oglądać swej zniszczonej ojczyzny. Ja podziwiałem zieleń i skały tej wyspy, a on posypywał głowę popiołem i pościł. Popłynęliśmy dalej ku lądowi otoczonemu przez dziesiątki urokliwych wysp. Następnie udaliśmy się do miasta, które w mowie Achajów zwie się Pylos. Otworzyłem tam dom kupiecki. Zwiedziłem również resztą tego niezwykłego kraju. Panują w nim obyczaje, z jakimi nie spotkałem się nigdzie indziej. Kobiety mogą ucztować z mężczyznami i same decydować o tym, z którym zażyć rozkoszy. Mężczyźni to wielcy wojownicy noszący broje z brązu. Jeżdżą na rydwanach, uprawiają również zapasy.

— Co to takiego? — zainteresował się Totmes.

— Nadzy, wysmarowani oliwą mężczyźni walczą ze sobą na piasku. Wszyscy się tym pasjonują. Zwycięzca takich zawodów uważany jest za kogoś równego królowi. A potem dotarłem do stolicy Achajów, do wielkich Myken.

— Do Myken? Opowiadaj, błagam cię, panie! — Charis z przejęcia klasnęła w dłonie.

— Miasto jest wielkie. Jego bram strzegą kamienne lwy. Dowiedziałem się tam wielu ciekawych rzeczy, które na pewno cię zainteresują, Totmesie.

— Na przykład?

— Spotkałem w Mykenach królową wygnaną z kraju Hetytów, żonę zamordowanego króla Telpinusa.

Twarz Totmesa nie zdradzała żadnych emocji. Szamaszi przyglądał mu się uważnie.

— Królowa Tuduhepa z początku nie chciała ze mną rozmawiać, tak jest załamana i rozdarta. W końcu jednak opowiedziała mi o synu, którego kiedyś skazała na śmierć, a który powrócił.

— Ursilis... — wyszeptał Totmes.

— Tak, to właśnie on. Wieść o jego niespodziewanym powrocie rozeszła się wśród Hetytów niczym błyskawica. Król

Telpinus był szczerze zniechęcony, a pamięć o Ursilisie przetrwała wśród wojowników tego niezwykłego ludu. W Hattusas wybuchł bunt, Telpinus stracił wszystko. Jego rodzinę ścięto na jego oczach, a jego samego powieszono na haku. Czy brał w tym udział Ursilis, tego nie wiem. Wiem jedno, nie zabił matki, skazał ją tylko na wygnanie, dlatego właśnie przebywa w Mykenach. Hetyci zaczęli masowo kuć broń z metalu, który tnie drewno i gnie brąz. Tajemnicy wytopu tego metalu strzegą tak zazdrośnie, że gdy tylko młodszy uczniowie posiadają tę sztukę, starsi kowale są zabijani, aby nikomu nie wydali sekretu wytopu żelaza. Najgorsze jest jednak to, że Mitanni są już w Syrii. Ursilis zadał ostatnio ich wojskom wiele strasznych ciosów. Ale król Mitanni, Parratarna, wpadł na genialny w swej prostocie pomysł. Po co się wyrzynać z sąsiadem, skoro można się z nim sprzymierzyć? Zawarł więc pokój z Hetytami.

— O bogowie! — faraon ukrył twarz w dłoniach.

— Hetyci są w miarę niezależni, choć muszą płacić symboliczny haracz do mitannijskiej stolicy, Wassukani. Lecz jeśli w Syrii wybuchnie wojna, to staną po stronie Parratarny. Podejrzewam, panie, że Ursilis nie wie, kto jest teraz faraonem. Myśli, że zginął w Babilonie.

— Straszne to wieści, Szamaszi. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Proszę cię o jedno: pozwól mi zostać w Egipcie, bo moje kości pragną spoczynku, a moje złoto i srebro przyda się faraonowi.

— Cieszę się, że to powiedziałeś. Wiesz, że wojna kosztuje, prawda?

— Wiem, ale wiem również, że wojna może przynieść zysk. Szczególnie ta zwycięska — uśmiechnął się Szamaszi.

Schwytanie przez żołnierzy Aszerkare byłego intendenta Hatszepsut, Minmose, było Totmesowi na rękę. Potrzebował

ofiary. Wiedział, że skazując byłego męża Satre, eliminuje świadka swojej przeszłości.

Nadszedł dzień egzekucji. Faraon nie miał zamiaru jej wstrzymać, bo charakter zarzutów wykluczał możliwość ułaskawienia. Byłego intendenta oskarżono bowiem o podburzanie tłumu i rozboje podczas krwawych zamieszek z Libijczykami. Żołnierze wyprowadzili go z lochu, obwiązali sznurami i spuścili na dno wyschniętej studni. Jeden z nich opuścił się wraz ze skazańcem i przywiązał go do słupa. Żołnierza wyciągnięto. Minnose został sam. Przeczując koniec, próbował oswobodzić się z więzów. Bezskutecznie.

Gdzieś ponad jego głową zamiauczał kot. Zobaczył, że w ścianach studni znajdują się duże otwory. Miauczenie dobiegało właśnie stamtąd. Zrazu żalosne, potem jednak coraz wścieklejsze. Nagle we wszystkich otworach zaczęły pojawiać się kocie głowy. Zwierzęta zeskakiwały na dno studni. Wyglądniałe, orały pazurami skórę Minnose i gryzły.

Jeszcze przez trzy godziny po zachodzie słońca słychać było rozdzierające krzyki skazańca.

Bogini Bastet, ta złośliwa i kapryśna lwica, potrafiła być bardzo okrutna.

Piechotę poprzedzały oddziały koczowników pustynnych, których do obozu egipskiego przyprowadził Aszerkare. Byli to ludzie wysokiej postury, żyli z rozboju i z tego, co znaleźli na pustyni. Opanowali do mistrzostwa techniki znajdowania wody w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Odziewali się od stóp do głów w długie czarne szaty. Uzbrojeni byli głównie w długie łuki, z których potrafili ustrzelić ptaka w locie. Faraon wystawił przeciwko Nubii prawie piętnaście tysięcy ludzi, z czego więcej niż połowa były to oddziały bitne, wyszkolone i zdyscyplinowane.

Totmes posuwał się wschodnim biegiem rzeki, a Nehi zachod-

nim. Korpus Nehiego miał przekroczyć Nil dopiero na pierwszej katarakcie, gdzie rzeka zwązala się, odsłaniając kilka brodów. W czasie przeprawy krokodyle porwały kilka mułów i ludzi z oddziałów pomocniczych. W końcu jednak cała armia stanęła nad nubijską granicą, po przekroczeniu której jedynym wrogiem przysparzającym nieco kłopotów były likaony, zdziczałe psy pustynne, które zagryzły na tyłach sporo kóz. Po wojskach /buntowanego rządcy Nubii, Imenemchu, nie było ani śladu. Dopiero po tygodniu koczownicy wrócili ze zwiadu na południu, przywożąc jeńców i wieści, które rozpały nadzieję, ponieważ jeńcy mówili, że Nubijczycy boją się faraona. Totmes puścił ich wolno.

Już dziesięć dni armia maszerowała w głąb terytorium nieprzyjacielskiego, nie napotykając żadnego oporu. To, że nigdzie nie było widać wroga, mogło oznaczać tylko jedno: Nubijczycy znajdują się przed armią faraona i wciągają wojska faraona w głąb swego terytorium.

Osiemnastego dnia po przekroczeniu granicy armia dotarła do łagodnych trawiastych równin ciągnących się wzdłuż Nilu. Tu urządzono popas. Oficerowie wypuszczali się na polowania, ponieważ nie brakowało w tych okolicach gazeli i bawołów. Wkrótce zaczęto domagać się muzykantów i kobiet lekkich obyczajów, które umilają życie oficerom podczas każdej kampanii. Totmes nie mógł patrzeć na to rozprężenie. Nie widywał nikogo, za to całymi godzinami grywał na flecie melodie tak smutne, że słudzy wzywali wszystkich bogów, aby zechcieli napełnić serce faraona radością.

Aszerkare był jednym z wielu młodych oficerów, którzy mieli w tej kampanii zdobyć szlify wojenne. Ponieważ był 7, poselstwem u wodza koczowników, Ahima, jako jeden z niewielu poznał go osobiście. Pewnego dnia Aszerkare odpoczywał w swoim namiocie, gdy na jego progu stanął właśnie Ahim.

Był tak wysoki, że niektórzy Egipcjanie wyglądali przy nim jak dzieci. Miał krótko ostrzyżone włosy, trudno było określić jego wiek. Aszerkare przypuszczał, że nie może mieć więcej niż trzydzieści lat.

— Witaj, panie. Co cię do mnie sprowadza?

Ahim nie odpowiedział od razu, tylko w milczeniu przypatrywał się twarzy młodego oficera.

— Panie... — Aszerkare był coraz bardziej zmieszany.

— Egipcjanie, patrzę na twóją twarz, dlatego że nie przypuszczałem, iż mogą istnieć na świecie tak podobni do siebie ludzie.

— O czym ty mówisz, Ahimie?

— Czy nikt ci nie powiedział, do kogo jesteś podobny?

— Nie znam człowieka, który choć trochę by mnie przypominał... — Aszerkare urwał, bo przypomniały mu się słowa nieszczęsnego Minmose.

— Egipcjaninie, opowiedz mi o swoim domu — poprosił Ahim.

— Nie ma o czym opowiadać, ale ponieważ jesteś gościem, powiem ci. To prosty dom, ojciec był garncarzem, a matka handlowała na targu. Obok naszego domku rosła mała akacja, u sąsiadów latem pachniał jaśmin. To tyle...

— Miałeś dobry dom, ale byłeś chyba samotny...

— Co masz na myśli? — Aszerkare czuł się coraz bardziej nieswojo.

— Opowiedz mi o twoich narodzinach. — Ahim nie zważał na zmieszanie Egipcjanina.

— A znasz, panie, człowieka, który pamięta swoje narodziny? Rodzice powiedzieli mi, że ktoś oddał mnie im na wychowanie, ale kto to był, nie wiedzieli. Mieli własnego syna, który został chyba kapłanem Amona.

Ahim zmarszczył brwi i rzekł:

— Poradzę ci coś, Aszerkare, bo dobrze ci życzę. Wiem, że jesteś odważnym człowiekiem. Nigdy nie pnię się po zaszczyty, unikaj ludzi z otoczenia faraona. Myślę, że może grozić ci niebezpieczeństwo.

— Co ty opowiadasz! — wykrzyknął poirytowany oficer.

— Mówię to, co wiem. Jesteś moim przyjacielem, gdyż przyniosłeś dobrą wieść, że faraon mnie potrzebuje i mój lud nie będzie musiał żyć z rabunku. Dlatego ostrzegam cię, abys nie zbliżał się do ludzi, którzy są blisko z faraonem.

Aszerkare nie wyglądał na przekonanego.

— Powtarzam, strzeż się ludzi, którzy znają faraona — ciągnął Ahim. — Kilka dni temu zostałem wezwany przed jego oblicze, oddałem mu swój lud w opiekę, a on nagroził mnie wspaniałymi darami. Widziałem go twarzą w twarz.

— Widziałeś twarz faraona?

— Tak jak widzę ciebie, Aszerkare, i dlatego mówię ci, abys się strzegł.

— Czy chcesz powiedzieć, że faraon jest podobny do mnie?

— To ty jesteś podobny do niego.

— To niemożliwe!

— Nie wiem, co jest niemożliwe, a co nie. Wiem natomiast, że nie powinienes rzucać się w oczy. Twarz faraona mogą oglądać nieliczni i w tym cała twoja nadzieja.

Aszerkare czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg i że nic już nie będzie takie, jak było.

Rankiem wpadli do obozu koczownicy, krzycząc, że idzie Nubia. Wybuchła panika. Przewracano namioty, szukając broni i siodlając konie. Jedyńm, który zachował zimną krew, był Ahim. Nakazał swoim ludziom ustawić się w szyku i czekać na rozkazy.

Pierwsze uderzenie przyjęły na siebie oddziały piechoty, dowodzone żelazną ręką Nehiego. Ich przeciwnikami były hordy groźnych Murzynów uzbrojonych w łuki, włócznie i lekkie tarcze. Wynurzyli się z wysokich traw niczym szarańcza i wkrótce nad równiną unosił się dźwięk uderzeń tarcz o tarcze. Dzikie okrzyki mieszały się z jękiem rannych. Zaprawieni

w boju Szardanowie zdołali utworzyć w miarę zwarty szyk, lecz naciskani przez tysiące napastników, doskonale strzelających z łuków, zaczęli wolno cofać się w głąb egipskich linii, które wytrzymały jednak uderzenie. Na lewym skrzydle Murzyni zaczęli rabować obóz i właśnie wtedy koczownicy obсыпали ich setkami strzał. Nubijczycy, nieprzyzwyczajeni do walki w szyku, wkrótce się załamali, zwłaszcza że wielu ich poległo od strzał i toporów. Rzucili się do ucieczki, a w pościg za nimi, prócz Egipcjan, ruszyli również koczownicy. Ciała setek wojowników nubijskich zasłały łąki nad Nilem, wielu potopiło się w panicznej ucieczce. Gdy zapadł zmrok, na brzegu zebrały się nieprzeliczone ilości krokodyli zwabionych zapachem szybko rozkładających się w upale trupów.

O zmierzchu Totmes przybył rydwanem na pobojowisko. Długo patrzył na setki półwiartowanych i splecionych ze sobą ciał.

— Wiele kosztuje zwycięstwo. Jesteśmy wstrząśnięci tym, co zobaczyliśmy — powiedział potem do oficerów. — Zabierzcie rannych na wozy i ruszajmy na południe, ku nowej granicy Egiptu.

Wodzowie wzniesli okrzyk na jego cześć. Był między nimi Aszerkare, lecz widział faraona tylko z daleka.

Zabitych Egipcjan zabrano z pola bitwy, obmyto i zakopano w piaskach, aby ich ciała przetrwały i wszyscy mogli się cieszyć życiem wiecznym.

Armia ruszyła na południe, ku miastu Aniba, gdzie spodziewano się znaleźć wielkie skarby i niewolników. Tylko nieliczni wiedzieli, że nie jest to miasto bogate, albowiem bogactwa skupione były w rękach właścicieli kopalń złota na północy.

Kilkanaście mil przed Napatą poj awili się wysłańcy możnych rodów nubijskich oraz kupcy. Wznosili do góry ręce, wzywając

bogów, rwali włosy i płakali, mówiąc, że to podszepty złego Seta sprawiły, iż zapomnieli o swej miłości do faraona. Oddali swoje kobiety i dzieci jako zakładników. Przysięgali, że nie mieli nic wspólnego z buntem przeciw faraonowi i że Nubia była zawsze częścią Egiptu. Oczywiście nikt im nie wierzył, ale że ich złoto błyszczało tak samo jak każde inne złoto, otrzymali przebaczenie faraona. W wiklinowych koszach złożyli u jego stóp odrąbane głowy buntownika Imenemchu oraz wszystkich jego żon i dzieci.

Nehi zauważył, że śmierć buntownika Imenemchu nie dostarczyła Totmesowi radości. Faraon coraz częściej grał na flecie i pił więcej wina, bo tylko pełny kielich pomagał mu zapomnieć o tym krwawym żniwie.

W świątyni Amona Tebańskiego jak co noc płonęły kaganki. Z drzemki wyrwały Hapuseneba odgłosy szybkich kroków. Dobiegały z tajnego przejścia znanego tylko arcykapłanom. Otworzyły się zamaskowane drzwi i stanęli w nich trzej kapłani.

— Co was sprowadza o tej porze?

— Przed zachodem słońca przyleciał gołąb pocztowy z Nubii, przynosząc wiadomości od naszych ludzi — powiedział Scnenu.

— Cóż to za wieści?

— Totmes opanował całą Nubię. Zdobył też kopalnie złota. Co ty na to, Hapusenebie?

— Ma nas w ręku. Nie możemy nic uczynić przeciwko armii

i ludowi. Teraz pójdą z nim nawet wojska na żołądź świątyni.

— Będzie tak, jak przepowiedział Hapuseneb — dodał Ramose. — On szykuje nową wojnę.

— Nawet jeśli będzie chciał odzyskać Syrię — podjął Chaemhat — to jak przejdzie pustynię i góry na Synaju? I jak zbierze nową armię?

— Znajdzie jakiś sposób — mruknął Hapuseneb.

— Chcecie powiedzieć, że przegraliśmy? — Ramose nie krył zdenerwowania.

— Jeszcze nie, mamy w ręku atut, zapomnieliście? — rzekł Senenu. — Mamy kogoś blisko tej Achajki, która jest brzemienna. Faraon jeszcze o tym nie wie.

— Bracia, zachowajmy spokój. Znajdziemy jakieś rozwiązanie — zapewnił Chaemhat.

— Tak. Amon jest potężny. Sami nie wiemy nawet jak bardzo — dodał Hapuseneb z błyskiem w oczach.

A taki błysk nigdy nie wróżył niczego dobrego.

ROZDZIAŁ 18

Puimre

W okolicach Aleppo dobra pogoda utrzymywała się już od wielu dni. Winna latorośl wypuściła pędy, które przetrwały zamróz i deszcze, rolnicy wyszli na pola, bo nadszedł czas siewów. Gdy drzewa wydały owoce, zaczęto składać ofiary staremu bóstwu Melkartowi. Zabijano młode kozy, a stopy posągu boga w Aleppo omywano krwią, winem i miodem. Taka była Syria. Dla nas, Egipcjan, wyuzdana, okrutna i mściwa. Jednak Egipt nie mógł bez niej żyć. Syria była jak ciągle zdradzana kochanka, nienawidząca i znieawidzona, urzekająca i niebezpieczna.

W podzielonych i zwaśnionych księstwach i królestwach syryjskich od dłuższego czasu utrzymywał się nastrój niepewności. Królowie Aleppo byli skłócenii z królami Amurru. Ambicje, żądza władzy i zazdrość doprowadzały do mordów politycznych.

Kupcy powracający z krajów północnych przynosili dziwne wieści: opowiadali o wielkiej wojnie w Babilonii, o wojownikach na rydwanach i o mieczach z dziwnego metalu. Jednak najbardziej przerażali wszystkich Mitanni. Mówiono o wielkiej stolicy tego kraju, Wassukani, która miała przepychem i wspańnością dorównywać Babilonowi. Co świątelsi Fenicjanie zdawali sobie sprawę, że między potężnym Mitanni i równie

silnym Egiptem nie będzie miejsca dla niezależnej Syrii. A ta grała na zwłokę. Co rok wysyłała haracz do Wassukani, aby zaskarbić sobie przychyłność króla. W końcu jednak rozeszła się wieść o sojuszu między królem Hetytów, Ursilisem, i władcą Mitanni, Parratamą. Wiadomości te przyjęto początkowo z niedowierzaniem, potem z przerażeniem, ponieważ Hetytów obawiano się tak samo jak Mitanni. Nie wiedziano, co robić z Ugaritem, w którym zamknęła się kilkutysięczna egipska armia. Położenie garnizonu polepszyło się, kiedy do portu zawinęła po czterech miesiącach flota wysłana przez faraona z Memfis.

Syria mimo wszystko chciała niezależności i dlatego do Aleppo zjechali wszyscy królowie, książęta, najbogatsi kupcy i kapłani, aby naradzić się co do dalszych poczynań. Przybył również Enaburiasz z Enuaną, która, tak jak brat, opuściła Babilon, pozostawiając królewskiego kochanka. Aptekarz nie mógł pogodzić się z poniesioną tam klęską, dyszał żądzą zemsty i jednocześnie drżał ze strachu przed królem Hetytów.

W atmosferze wzajemnej nieufności, w pałacu króla Aleppo, Sziszaka, rozpoczęto obrady. Ktoś musiał im przewodniczyć, lecz wybranie na przewodniczącego jednego z królów oznaczało policzek dla innych i w konsekwencji groziło zerwaniem obrad zwołanych z tak wielkim trudem. W końcu wybrano Amusipala z Megiddo. Odpowiadał wszystkim. Ponadto siedział kiedyś w egipskim więzieniu i potrafił dogadywać się z Egipcjanami.

— Dostojni zebrani, niech wszyscy bogowie będą teraz z nami — zaczął kapłan. — Jesteśmy w Aleppo po to, by radzić, jak uratować nasze miasta, nasz handel i naszą niezależność.

— Nigdy nie byliśmy niezależni! — krzyknął jeden z kapłanów. Zawtórowały mu inne głosy.

Amusipal dał znak ręką, by wszyscy się uciszeli.

— Z północy idzie ku nam potęga, której nic się nie oprze — ciągnął — a z południa zagraża Egipt. Wprawdzie Hatszepsut jest słaba...

— W Egipcie nie ma już Hatszepsut — odezwał się ktoś z tyłu sali.

Wszyscy popatrzyli w tamtą stronę. Był to Enaburiasz. Obok niego siedziała Enuana.

— Zechciej wyjawić nam swe imię, panie, i powiedzieć, skąd to wiesz — poprosił zdziwiony Arnusipal.

— Jestem Enaburiasz, kapłan Marduka z Babilonu. Powiedzmy, że mam kontakty z kapłanami Amona w Tebach, którym nie podoba się nowy władca.

— Kto jest teraz faraonem? — dopytywali się zebrani.

— Nowy faraon nosi imię Mencheperre.

— Jak to możliwe? Przecież Hatszepsut nie zostawiła potomka! — krzyczano.

— Kto to może wiedzieć? — Enaburiasz zawiesił na chwilę głos. — Może to jakiś generał, który wziął władzę w swoje ręce i podaje się za syna Totmesa Drugiego? Jedno jest pewne, Egipt to nasz wróg!

— Tego jeszcze nie wiemy — wtrącił się kapłan z Tyru, Marnubaał. — Jeżeli chcemy ocalić nasze miasta, trzeba nam opowiedzieć się po jednej albo po drugiej stronie, ale wszyscy razem, a nie jedni przeciw drugim.

— Myślisz, Marnubaału, że to nas uchroni od wojny? — wtrącił król Amurru. — Wojna jest pewna!

— Jeżeli Enaburiasz ma rację i w Egipcie panuje nowy faraon, pošlijmy mu podarki. W ten sposób zyskamy na czasie — zaproponował król Szizak.

— To dobra myśl — przyznał król Amurru.

— Czy wiecie, że armia egipska zgmiotła Nubię? — zapytał Enaburiasz. Przez salę przeszedł szmer. — Dlatego myślę, że faraon będzie chciał karmić się wojną. Ruszy na Syrię — dokończył.

— Egipcjanie będą musieli przejść przez pustynię — zauważył Arnusipal.

Po długich dysputach postanowiono więc, że królestwa syryjskie i Fenicjanie wejdą w sojusz z Mitanni przeciw Egiptowi.

Amusipal wahał się jednak. Egipskie więzienie nauczyło go ostrożności. Pamiętał, że Pepi, dowódca egipskiego garnizonu w Ugaricie, wypuścił go tylko dlatego, by mieć wśród Fenicjan informatora. Amusipal nigdy jednak nie powiedział Fenicjanom o układzie z Pepim. Wiedział, że wojna jest nieuchronna. Liczył, że jeśli Egipcjanie pokonają miasta fenickie, będzie mógł zachować swoją pozycję.

W Tebach od dłuższego czasu oczekiwano na powrót faraona. Gdy nadszedł ten dzień, na ulice wyległy takie tłumy jak podczas koronacji.

W pałacu czekała Charis. Była w zaawansowanej ciąży. Gdy Totmes wszedł do komnaty, padła przed nim na twarz.

— Charis, dlaczego leżysz przede mną? Wstań. Jak... — urwał, bo dopiero teraz zauważył jej odmienny stan. Przyklęknął.

— Panie mój, bogowie dali ci szczęście, bo urodzę niedługo twego pierworodnego.

— Nasz syn, Charis, będzie piękny i niezwykły — mówił, gładząc ją po twarzy.

— Niczego nie pragnę, jak tylko być blisko ciebie. Choć znaki mówią, że spotka mnie nieszczęście — wyszeptła Charis.

— Nie mów tak. Jakież inne cierpienie mogłoby spaść na ciebie oprócz bólu narodzin? Nie masz się czego obawiać, ponieważ bogowie mi sprzyjają.

— Mój panie, wydajesz się taki zmęczony...

— Tak, jestem zmęczony — westchnął Totmes. — Lecz ty nigdy mnie nie męczysz. — Uśmiechnął się smutno.

W tym momencie podmuch wiatru zatrzepotał zasłoną w oknie i do komnaty wpadła przerażona jaskółka. Nie mogąc znaleźć drogi powrotu, objęła się rozpaczliwie o ściany.

— Bogowie! — krzyknęła Charis. — Co to znaczy? Co to znaczy?

— Nic nie znaczy — odparł spokojnie faraon. — Po prostu ptak zgubił drogę.

— Bogowie! To zły znak! — Charis nie mogła się uspokoić.

— Cieszymy się przychylnością bogów — uśmiechnął się Totmes, obejmując ją.

— W Achai jaskółka zawsze przynosi nieszczęście. — Charis rozplakała się, kryjąc twarz na jego ramieniu.

Gdy Charis się uspokoiła, faraon kazał przyprowadzić muzykantów. Wkrótce komnatę wypełniła muzyka, jaką Charis lubiła najbardziej. Płynęły spokojne kreteńskie melodie na cztery harfy i flet. Charis położyła się na sofie, a Totmes usiadł przy niej.

Popatrzyła na jego twarz. Była prawie pewna, że zna każde jej drgnienie i każde spojrzenie jego oczu. Czowała, że jej Anchnum odszedł. Teraz jest przy niej władca życia i śmierci wszystkich mieszkańców ziemi Kem. Natomiast Anchnum, którego kochała, schował się w niedostępnych zakamarkach duszy Totmesa.

W końcu słudzy schwytali jaskółkę w sieci, lecz biedny ptak tego nie przeżył. Wszyscy byli zdania, że to znak, lecz tylko Charis wiedziała, co zwiastuje. Czowała, że nadchodzi czas, kiedy trzeba będzie za wszystko zapłacić. Czowała to z każdym ruchem swego dziecka. Bo miłość kosztuje tyle samo, co nienawiść. Strach tyle samo, co odwaga. Cierpienie tyle samo, co rozkosz. A życie tyle samo, co śmierć.

Obudziła się wczesnym rankiem. Leżąc, przyglądała się ścianom komnaty, na których namalowano harfiarzy i tancerki. Barwy mieniły się w smugach światła wpadającego przez zasłonięte okno.

— Witaj, najszlachetniejsza — odezwał się nagle melodyjny

męski głos. — Oby Izis i Hathor chroniły cię w tak błogosławionym dla ciebie czasie.

Charis usiadła na łożu. Nie mogła dojrzeć twarzy tego człowieka, ponieważ skrył się w najciemniejszym kącie.

— Kim jesteś i co tutaj robisz?

— Przyszedłem, by ci powiedzieć, że dziecko, które nosisz w łonie, nigdy nie zostanie władcą Egiptu. Jesteś tutaj obca. Jeżeli będzie to chłopiec, nie zasiądzie na tronie, jeśli urodzisz dziewczynkę, wówczas nikt nie sprzeciwi się, by była księżniczką krwi, a w przyszłości kapłanką.

— Kim jesteś? Jak wszedłeś do mojej komnaty?

— Jestem, kim jestem. Wiedz, dziewczyno, że w Egipcie są oprócz faraona siły, które strzegą potęgi Egiptu lepiej niż on. Wiedz, że twoja ciąża to nie tylko twoja sprawa. To sprawa wagi państwowej i wszystkim nam zależy, abyś urodziła jak najmniej kłopotów. Zapamiętaj to sobie, moja piękna.

Mignęły białe szaty. Nieznajomy zniknął równie cicho jak się pojawił. Charis dopadła do drzwi, lecz nie było za nimi nikogo.

Nagle uświadomiła sobie jasno swoje położenie: nosi dziecko faraona, który nigdy nie będzie mógł go uznać. Dopiero teraz zrozumiała, co mówił wzrok wszystkich młodych kobiet i służących. Pogardzały nią. Nie była wszak niczym więcej, jak tylko nałożnicą. Poczuli się bezgranicznie samotna. Wiedziała, że musi usunąć się w cień. W cień słońca.

Szamaszi założył w Tebach wielki dom kupiecki i zarządzał majątkiem faraona. Pomógł też Totmesowi stworzyć ogromną flotę, składającą się ze statków achajskich. W Memfis wkrótce zaroilo się od najemnych marynarzy. Statki miały przewieźć wielkie ilości broni, zboża i suszonego mięsa dla armii, która szła na Syrię.

Zewsząd ściągano posiłki. Samych Szardanów zgłosiło się z Deltę przeszło siedem tysięcy. Ich rodziny zwolniono za to z płacenia podatku. Aszerkare pojechał z drugim poselstwem do Ahima, a ten przyprowadził faraonowi osiem tysięcy koczołników na mułach. Młody oficer nabrał pewności siebie i doskonale wywiązywał się z powierzonych mu zadań, lecz jednocześnie unikał ludzi, bo słowa Ahima zapadły mu głęboko w pamięć. Coraz bardziej fascynował go Totmes i starał się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Mówiono, że po ulicach błąka się szalona kobieta, która twierdzi, że była kiedyś żoną Minmose, i wygraża kapłanom Amona. Aszerkare, prowadząc swoje ciche śledztwo, natrafił też na ślad dwóch Murzynek, które służyły kiedyś w domu wezyra. Jedną z nich znalazł w lupanarze i udał się tam, by z nią pomówić.

— Jak się nazywasz? — zapytał, gdy stanęła przed nim zalekniona.

— Apszu.

— Gdzie jest twoja siostra?

— Nie wiem, panie, została sprzedana.

— Czy służyłaś w domu Minmose?

— Tak, panie, służyłam tam przez dwa lata i trzy miesiące.

— Co wiesz o swojej pani, Satre?

— Była kobietą bardzo ustosunkowaną. Znała wielu ważnych ludzi.

— Co taka dziwka może wiedzieć o ważnych ludziach?

— Mówię, co widziałam. Pani Satre znała dobrze starego kapłana Amona. To była taka dobra pani, a spotkało ją takie nieszczęście! — Apszu zaczęła szlochać.

— Jakie, mów!

— Kiedy ze służby uciekli tacy dwaj, z których jeden był hetyckim niewolnikiem, do domu mej pani przyszli żołnierze i zabrali ją do więzienia.

— Mówisz, że jeden był Hetytą. A drugi?

Dziewczyna bez słowa wpatrywała się w twarz oficera.

— Mów, dziwko!

— Panie, zapewne zbijesz mnie za to, co teraz powiem, ale jestem niemal pewna, kiedy tak na ciebie patrzę, że jesteś do tego drugiego bardzo podobny. Kiedy cię zobaczyłam, myślałam, że to on!

— A skąd się wziął w domu Minmose?

— Przybył do nas z daleka, śmierdział i był bardzo zaniebany. Musiałam go kąpać.

— Jak się nazywał?

— Anchnum... — Apszu drżały ręce.

— Co się jeszcze stało po ich ucieczce?

— Mówiłam, że przyszli żołnierze. Pana Minmose nie było wtedy w Tebach, bo wyjechał z karawaną faraona do Punt. Zabrali moją panią i zabili całą jej służbę.

— A wy przeżyliście? — zapytał Aszerkare podejrzliwie.

— Ukryliśmy się i nas nie znaleźli.

— Więc jak to się stało, że was sprzedano?

— To zrobił pan Minmose, kiedy tylko wrócił. To on nas sprzedał, oby nigdy nie zaznał spokoju! — krzyknęła Murzynka. — Siostrę sprzedał gdzieś do Deltę, ale nie wiem gdzie. Panie, pozwól mi odejść, bo mój pan bije mnie kijem, gdy spóźniam się, by dać mu to, czego pragnie.

— Zaraz będziesz mogła odejść. Dokąd uciekli tamci dwaj?

— Musieli uciec bardzo daleko, bo widziałam, jak przygotowano dla nich muły i tabliczki.

— Tabliczki?

— Takie na kredyt. Wiem to, bo pan mówił, że ma takie gliniane tabliczki, które można wymieniać na złoto w domach kupieckich.

— Uciekli tylko we dwóch?

— Nie, towarzyszył im stary Chewet, który wychowywał Satre, i jeszcze jeden sługa, którego nie znałam zbyt dobrze.

Aszerkare odpiął z ramienia brązową bransoletę, dał ją Murzynce jako zapłatę i ruszył do koszar.

— Zaklinam cię, panie, na wszystkich bogów — błagał Szamaszi — abyś nie wysyłał armii przez pustynię! Nikt nie przejdzie przez pustynię na Synaju.

— Uczynię tak, bo przede mną dokonał tego jedynie Totmes Pierwszy — odrzekł faraon.

Kupiec ukląkł, zaczął rwać włosy z brody i wzywać po imieniu wszystkich bogów, jakich tylko znał.

— Na pustyni nie ma wody, a armia musi przecież pić i jeść!

— Szamaszi, przyjacielu, sam przecież kiedyś tę pustynię przeszedłem. Myślę, że przyzwyczajeni do trudnych warunków Nubijczycy przemierzą ją szybkim marszem w niecałe trzydzieści dni. Ruszemy, kiedy będzie chłodniej. Na pewno nie latem.

— Ależ panie, to prawie cały miesiąc. Przez ten czas kilka tysięcy ludzi zje kilka tysięcy kóz i kilka tysięcy worków zboża! A woda?

— Szamaszi, na to też jest sposób — odpowiedział spokojnie Totmes. — Kazałem wybudować aż do samej granicy z Kanaanem setki małych stanic, w których można trzymać wodę w wielkich stągwiach.

— Trzeba więc będzie zostawić część wojska, aby te stancie chroniła!

— Widzisz jakieś inne wyjście?

— Radziłbym wraz z całą armią iść wąskim przesmykiem nad brzegiem morza, który ciągnie się od Deltę aż po Gazę w Syrii. Armia miałaby wtedy dobre zaopatrzenie z okrętów i świeże ryby.

— Ale wówczas wojsko będzie bardzo rozciągnięte, co nie jest dobre w razie zagrożenia. Zresztą nie mam zamiaru zdobywać fenickich miast, bo nasza flota nie jest wystarczająco potężna. Wejdę do Syrii od strony Morza Martwego i pokonam jej królów w wielkiej bitwie!

— A Mitanni? — przypomniał Szamaszi.

— Nie sądzę, abyśmy musieli z nimi walczyć. Na północy

jest jeszcze Ugarit, w którym mamy garnizon. Jeżeli pojawią się Mitanni, Ugarit ich zatrzyma.

Do świątyni Amona Tebańskiego codziennie ciągnęły tłumy tebańczyków, a wśród nich żebracy, którzy zaciekle bili się o każdy ochłap, jaki zostawał ze zwierząt ofiarnych. Z okna na górze falujący tłum obserwowały cztery postacie w białych szatach.

— Uważasz, Hapusenebie, że nasza metoda walki się sprawdzi? — zapytał Senenu.

— Myślę, że tak. Jeżeli nawet teraz nie możemy osiągnąć faraona, to ugodzimy go w inny sposób.

— Co nam to da, poza satysfakcją? — wzruszył ramionami Ramose.

— Rozzłościł go — odparł Hapuseneb. — Wszyscy dobrze wiemy, dlaczego obłożył świątynię tak wielkimi podatkami i dlaczego ściąga zewsząd tysiące nowych żołdaków. Egipt to jeden wielki garnizon.

— Prawdę mówisz, Hapusenebie — przyznł Senenu. — Zgniółł Nubię, a jego pacholek Nehi wyciska z niej setki debenów złota. Ile z tego zobaczyły świątynie? Nic.

— Nie jest jeszcze tak źle, dopóki możemy opłacać ludzi, którzy dostarczają nam informacji.

— Dzięki temu wiemy, co dzieje się w armii, i kiedy dojdzie do buntu przeciw faraonowi, a kiedyś przecież dojdzie, wówczas my pospieszymy mu na ratunek. Taak, opłacanie oficerów jest dla nas bardzo korzystne. — Chaemhat wyglądał na niezwykle z siebie zadowolonego.

— Czy znamy kogoś w Syrii? — zapytał Hapuseneb. Jego oczy wpatrywały się gdzieś w dal, widać było, że głęboko się nad czymś zastanawia.

— Nie słyszałem tego pytania — mruknął Ramose.

— Wymienialiśmy wieści z kapłanami Melkarta w Tyrze,

ale wątpię, czy będą chcieli z nami rozmawiać, zważywszy na to, jaka jest obecnie sytuacja polityczna — powiedział Chaemhat.

— W takim razie innego nam trzeba sprzymierzeńca — orzekł Hapuseneb.

— Nie sądzicie, że to, co teraz robimy, to zwykła zdrada? — spytał Ramose.

— Niezwykła — sprostował Hapuseneb, uśmiechając się ironicznie. — Znam kogoś w Syrii, kto chętnie pomoże nam utrzcć nosa temu wyrostkowi. To kapłan Marduka o imieniu Enaburiasz. Jest bardzo wpływowy. Kiedyś spotkaliśmy się jako posłowie na dworze Hetytów. Potem długo o nim nie słyszałem, ale od kilkunastu miesięcy znów wymieniamy listy przez tajny kanał dyplomatyczny. Wysyłam mu informacje o zamiarach Totmesa.

Następne dni przyniosły ożywienie korespondencji dyplomatycznej między Syrią i Egiptem. Książęta wysyłali listy zapewniające o głębokim oddaniu faraonowi i Egiptowi. Zaklinali się na wszystkich bogów egipskich i syryjskich, że miłość do faraona jest niezmienna jak słońce. Szamaszi zaś przekazywał Totmesowi regularne raporty, które dostawał od Irhuanaksa. Kreteńczyk zapewniał, że flota fenicka ruszyła z portów, ale z powodu burzy, jaka rozszalała się koło Cypru, w większości poszła na dno i minie osiem do dziewięciu miesięcy, zanim Fenicjanie wybudują nowe okręty.

Totmes coraz więcej czasu spędzał z Charis, która zapomniała chyba o jaskółce. Niecierpliwie czekał na rozwiązanie.

Pewnego dnia przyszedł do niego Puimre.

— Panie, odnalazłem twych rodziców — oznajmił, ledwie przekroczył próg komnaty.

— Gdzie są? — Totmes pobladł.

— Są już szczęśliwi. Twój ojciec zmarł rok temu, a matka

tuż przed twoim powrotem do Egiptu. Pochowano ich we wspólnym grobie na pustyni pod Fajum. Natrafiłem na ich ślad dzięki przedsiębiorcy pogrzebowemu, który ma w swych rejestrach imiona wszystkich przez siebie pochowanych. Kazałem przygotować sarkofagi, zostaną złożeni w mniejszej komnacie twego grobowca, który budowany jest w Dolinie Królów.

— Czy to nie dziwne — powiedział w zamyśleniu Totmes — toczymy wojny, zabiegamy o złoto, a idziemy ku śmierci i pustce, zdani na łaskę Ozyrysa.

— Totmesie, takie jest życie! — zauważył pogodnie Puimre.

— Puimre, idź do arcykapłanów i powiedz im, że świątynia musi dać na wojnę dziesięć tysięcy debenów złota.

Młody kapłan wszedł z niewielką eskortą do czółna, którym przepłynął Nil. Na drugim brzegu skierował się prosto do wielkiego kompleksu świątyni Amona. Kroczył zamyślony i nie zdawał sobie sprawy, że śledzą go czyjeś oczy. Satre szła za nim, wtapiając się w tłum. Nie spuszczała wzroku z jego białych szat. W oddali zamajaczyły mury świątyni. Puimre przyspieszył kroku. Kobieta przyspieszyła także, roztrącając przechodniów. Gdy kapłan wszedł w szpaler żołnierzy strzegących bramy, postanowiła zaczekać pod świątynią, aż znowu wyjdzie na miasto.

Puimre przeszedł aleją sfinksów i skierował się w stronę komnat kapłanów, usytuowanych obok Domu Życia. Wiedział, gdzie szukać czterech starców, którzy ostatnio spędzali razem sporo czasu. Uderzyło go, że nie wydawali się zaskoczeni jego przybyciem.

— Patrzcie, kto przyszedł złożyć nam i Amonowi wizytę! — przywitał go Hapuseneb.

— Dostojni, chciałbym przekazać wam w imieniu faraona kilka poleceń — zaczął Puimre, nie zważając na tę niezbyt uprzejme słowa.

— Dlaczego sam faraon nie znalazł czasu, by do nas przyjść? — zapytał Hapuseneb.

— Wybacz, panie, ale jeszcze nie skończyłem. Bądź więc tak uprzejmy i mi nie przerywaj.

— Czy wiesz, do kogo kierujesz tak bezczelne słowa? — syknął starzec.

— Wiem, ale wydaje mi się, że nie wiesz, w czyim imieniu teraz mówię — odciął się Puitnre. — To mówi wasz faraon: wydacie na potrzeby wojenne dziesięć tysięcy debenów z majątku świątyni.

— Ty chyba nie wiesz, co mówisz?! — wykrzyknął Ramose, zrywając się z krzesła.

— To skarb boga i nie wolno tknąć go nawet faraonowi! — zawtórował mu Senenu.

— Skarb Amona tak! — Puimre podniósł głos. — On należy do boga, lecz pieniądze, które dał faraon na utrzymanie świątyni, należą do niego. Wypłacie je w złotych obręczach, bo wasz faraon zamierza odzyskać dla Egiptu Syrię! — Hapuseneb podszedł do niego, lecz młody kapłan nie pozwolił sobie przerwać. — I jeszcze jedno. Jeżeli coś stanie się dostojnej Charis lub jej dziecku, jeśli potknie się w pałacu, oparzy w kąpieli, jeśli posiłek nie będzie jej smakował, wówczas znajdziecie się wszyscy w więzieniu i będziecie błagali o kęs chleba i łyk wody. Żegnam was, dostojni! — krzyknął i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Czuł smak triumfu. Wiedział, że ci czterej coś knują. Wyszedł ze świątyni. Zaproponowano mu świątynną lektykę, lecz on postanowił pójść piechotą. Szedł szybkim krokiem pogrążony w myślach, gdy nagle poczuł rozdzierający ból. Chwycił się za bok. Na dłoni miał krew. Osunął się na kolana.

Przechodnie krzyknęli na widok broczącego krwią kapłana i brudnej kobiety, która ugodziła go nożem. Stała nad nim

przez chwilę, patrząc nieprzytomnym wzrokiem, lecz gdy usłyszała krzyki, rzuciła się do ucieczki. Żołnierze byli jednak szybsi. Dogonili ją tuż przed aleją sfinksów. Pchnięta włócznią, padła martwa na bruk. Strażnik, który ją zabił, odpędzał ludzi, krzycząc:

— Precz, nie dotykać tej suki! Musimy dowiedzieć się, kim ona jest!

Puimre leżał w kałuży krwi. Biodro pulsowało nieznośnym bólem. Ktoś wyjął z jego boku zwykły rzeźnicki nóż, ktoś inny starał się zatamować krew. Bezskutecznie.

— Zanieście mnie... do pałacu... — wyszeptał kapłan.

Ze świątyni przyniesiono lektykę i zabrano Puimre do pałacu faraona. Gdy dotarli na miejsce, stracił przytomność. Gdy przybiegł faraon, kapłan nie żył.

ROZDZIAŁ 19

Megiddo

Po śmierci Puimre faraon przez miesiąc nie dopuszczał do siebie nikogo. Z jego komnat dobiegała do uszu przerażonych dworzan smutna muzyka fletu. Do pałacu przyniesiono też ciało szalonej kobiety. Gdy faraon zobaczył jej twarz, zapłakał i zapadł w odrętwienie.

— *Puimre, wróć, tak bardzo cię potrzebuję.*

— *Tam gdzie jestem, nie można ani iść, ani uciekać, ani zawrócić z drogi.*

— *Dlaczego?*

— *Bo tutaj się jest.*

— *Nie rozumiem.*

— *Tutaj jest życie, którego nie zrozumiesz.*

— *A ja mogę być z tobą?*

— *Nie możesz. Strzeż się.*

— *Czego?*

— *Swego dawnego przyjaciela. On myśli, że Anchnum nie żyje. Nie wie, że jesteś faraonem. Wszystko potoczy się nie tak, jak tego chciałeś. Będziesz żył życiem, jakiego nigdy nie pragnąłeś.*

— *Mów dalej!*

— *Bogowie przeznaczyli ci sławę i gorzki kielich samotności. Będziesz największym zdobywcą w historii Egiptu...*

— *Puimre, oddałbym wszystko, żebyś znów stanął u mego boku...*

— *To niemożliwe...*

— Zbudź się, Ra, Wschodzący, zbudź się!

Totmes poczuł szarpnięcie. Światło zniknęło, pokój, w którym przed chwilą był, rozpląnął się wraz z Puimre. Powoli wracała świadomość. Czując dotyk czyjejś ręki na policzku, otworzył oczy.

— Gdzie jest Puimre? — zapytał.

— Panie mój, czyżbyś zapomniał, że Puimre towarzyszy już Słońcu na niebie? — odpowiedziała łagodnie Charis.

— Rozmawiałem z nim...

— To był sen, mój panie — tłumaczył Szamaszi. — Jesteś w boskiej niemocy już trzeci dzień. Powiedz, co takiego przeraziło cię w tej kobiecie?

— To była Satre — powiedział Totmes, siadając.

— Jak to możliwe? Przecież zaginęła wiele lat temu, po twojej ucieczce z Ursilisem.

— Nie wiem, co mam o tym myśleć. Czy kazać wszcząć śledztwo?

— Lepiej nie, bo ktoś niepowołany mógłby dowiedzieć się więcej, niż powinien. Anchnum nie istnieje, a faraon nie może mieć ludzkiej przeszłości — rzekł Szamaszi.

Totmes opadł na łożo. Był słaby i zmęczony. Zamknął oczy i zrozumiał, że jako faraon już nigdy nie będzie szczęśliwy.

— Szamaszi, przyjacielu, bardzo brakuje mi Puimre — rzekł pewnego dnia Totmes.

Na jego twarz padało światło. Szamaszi dostrzegł na niej bruzdy, których wcześniej nie było.

— Są jeszcze inni dworzanie...

— Wiem. Ale on był przyjacielem. Na bogów, z drzeniem myślę o dniu, w którym cała władza spocznie na moich barkach!

— Władzę można okiełznać jak dzikie zwierzę — zauważył kupiec.

— Władza nie jest jak zwierzę, jest dużo groźniejsza, bo stworzyli ją ludzie. Zastanawiam się, Szamaszi, dlaczego Satre zabiła Puimre. Nie wiedziała nawet, kim on jest, a to przecież i ona, i on odmienili mój los...

— Nadal uważasz, panie, że to była Satre?

— Jestem pewien. Jak musiano traktować ją w więzieniu, skoro postradała zmysły... Obawiam się wyprawy do Syrii. — Totmes zmienił temat, jakby rozmowa o Satre była zbyt bolesna. — Wiesz dlaczego?

— Nie jest wcale pewne, czy król Hetytów weźmie udział w wojnie po stronie Mitanni — pocieszył go kupiec.

— Czytasz w moich myślach. Wszystko się zmieniło. Jesteśmy po przeciwnych stronach. Boję się tego spotkania. Nie wiem, co miałbym mu powiedzieć.

Szamaszi nic nie odrzekł. Patrzył tylko na faraona i dziwił się, dlaczego w tak młodym człowieku nie ma już radości życia.

— Czy zamierzasz zabrać ze sobą Charis, panie? — zapytał w końcu.

— Chciałbym, ale myślę, że nie byłoby to rozsądne. Nie wiem, kogo zostawić w Egipcie, by miał pieczę nad wszystkim. Puimre nie żyje. A ty, Szamaszi, wybierasz się wraz z armią?

— Panie, ciało moje nie zniesie podróży lądem, a jestem w Egipcie dopiero od siedmiu miesięcy i, prawdę mówiąc, nie bawi mnie oglądanie Syrii.

— Cieszę mnie twoje słowa. Powierzyłem ci finanse wyprawy, choć jesteś cudzoziemcem i wielu kapłanów Amona patrzy na mnie jeszcze bardziej krzywo niż dotychczas. Ale nie dbam o to. Opiekuj się Charis. Tylko tobie mogę zaufać.

— A co z radą Amona?

— Najchętniej posłałbym im wszystkim jedwabne sznury, ale nie mogę tego zrobić. Rozdzielę ich. Hapuseneb pojedzie ze mną do Syrii jako więzień, a tamci trzej szybko zmiękną, gdy zabraknie najstarszego i najsprytniejszego. A ty, Szamaszi, miej oczy i uszy otwarte.

Aszerkare siedział nad kubkiem wina w drogiej gospodzie Pod Hipopotamem. Nie zwracał uwagi na innych gości, nie dał się uwieść uśmiechom pięknych tancerek. Rozmyślał o wojnie, na którą rychło miał wyruszyć.

Nagle wszyscy podnieśli się z miejsc, bo do sali wkroczyła dziwna postać: wielki, brodaty grubas w purpurowych szatach. Goście skłonili się przed nim nisko.

— Dostojny Szamaszi, niech bogowie będą z tobą! — wykrzyknął ten i ów.

— Iz wami wszystkimi. Aby wam pokazać, że bogowie, których czczę, są równie wspaniałomyślni jak bogowie egipscy, napijcie się wina na mój koszt!

— Niech żyje Szamaszi!

— Oby tylko takich Fenicjan jak ty miał obok siebie faraon!

— Nie jestem Fenicjaninem! — oburzył się Szamaszi. — Moim bogiem jest Marduk, a moim miastem Babilon, choć nie byłem tam już od ponad dwudziestu lat!

— Niech żyje Babilon! — krzyknęli goście, zarówno mężczyźni, jak i damy do towarzystwa.

Szamaszi uśmiechnął się szeroko i już miał zasiąść za stołem, gdy jego twarz skamieniała, a na czoło wystąpił zimny pot. Wydało mu się bowiem, że widzi faraona. Aszerkare poczuł na sobie jego wzrok i podniósł się, by wyjść, lecz było już za późno. Kupiec szedł w jego stronę.

— Czego może chcieć tak wielki i zacny człowiek jak ty, panie, od kogoś takiego jak ja? — zapytał Aszerkare, chcąc ubiec wszelkie pytania.

— Kimkolwiek jesteś, przedstaw się, skoro wiesz, kim jestem — rzekł Szamaszi z bijącym sercem.

— Jestem Aszerkare, oficer pułków Amona, brałem udział w kampanii nubijskiej — odpowiedział dumnie młodzieniec.

— Miło mi cię poznać, Aszerkare. Myślę, że nasze spotkanie przygotowali bogowie.

— Nie wiem, o czym mówisz — mruknął Aszerkare.

— Usiądźmy — rzekł Szamaszi i kazał podać najlepsze wino. — Czy wiesz, do kogo jesteś podobny?

— Panie, każdy zapewne jest do kogoś podobny...

— Zwłaszcza gdy jest się bliźniakiem — uśmiechnął się Szamaszi.

— Nie rozumiem... — Aszerkare był coraz bardziej zdenerwowany.

— Nie, to nic takiego — uciął Szamaszi, podnosząc puchar.

Siedzieli przy winie do późnej nocy, gawędząc o wojnie i polityce. Aszerkare pomyślał, że może nie ma się czym niepokoić, szczególnie że polubił tego dobrodusznego i wesołego cudzoziemca.

Wracał do cytadeli przez dzielnice bogaczy. Mimo późnej pory na ulicach panował duży ruch. W pewnym momencie mijała go lektyka i jeden z niosących ją czarnych niewolników potrącił go.

— Uważaj, psie! — krzyknął oficer i niewolnik poczuł na grzbiecie jego łaskę.

— Kim jesteś, panie, że ośmielasz się bić moje sługi? — dobiegł z wnętrza lektyki kobiecy głos. — Moje uszy nie przywykły do słuchania przekleństw!

— Kim jesteś, pani, że ośmielasz się mówić w ten sposób do oficera?

— To ty, Aszerkare? Prześladujesz mnie! Jeszcze nie doszłam do siebie po pytaniach, jakie mi zadawałeś.

Szima odchyliła zasłonę lektyki i Aszerkare mógł zobaczyć, iż ma na sobie szaty tak cienkie, że światło księżyca wystarczy, by widział jej ponętne ciało. Nie mógł wydobyć głosu.

— Panie, zawstydz mnie twoje spojrzenie — ciągnęła

Szima, odsuwając do końca zasłonę. — Boję się oficerów, którzy mają broń. Ja jestem bezbronna...

Oszołomiony Aszerkare nadal milczał.

— Noc jest tak gorąca, że szaty zaczynają mnie parzyć — westchnęła. — Jeśli pragniesz odpocząć po ciężkim dniu, chodź do mego domu i tam przekonasz się, że jestem niewinna i sprawy cielesne sami obce. Pragnę tylko przyjaźni i rozmowy.

Aszerkare poszedł z Szimą i przez resztę nocy uczył się na pamięć poematu jej ciała, choć przed nim czytało go już wielu mężczyzn. Jednak dla młodego oficera ciało pięknej Szimy było jak objawienie, bo kochał się z kobietą po raz pierwszy w życiu.

Dwa miesiące później Charis powiła dziecko. Był to chłopiec. Charis nazwała go Neferhue. Totmes nie zamykał się już w swoich komnatach, a służba pałacowa nie słyszała smutnej muzyki fletu.

W tym samym czasie zmarł w świątyni Amona Tebańskiego dostojny Ramose. Według oficjalnej wersji powodem jego odejścia był wstrząs, jakiego doznał po zamknięciu na rozkaz faraona w areszcie domowym. Mówiono również, że zmarł z przejedzenia. Jednak kapłani przygotowujący mumię znaleźli w jego żołądku ilość cykuty, która zabiłaby konia. Stąd też pojawiły się plotki, że Ramose umarł, ponieważ chciał donieść faraonowi o zdradzie, jaką szykowali trzej pozostali członkowie rady. Nie oplakiwano jednak zmarłego zbyt długo, a jedynymi osobami, naprawdę mogącymi się smucić, były tebańskie kurtyzany, których Ramose był częstym klientem.

Kiedy wróciły oddziały, których zadaniem było przygotowanie punktów zaopatrzenia w wodę i żywność, Totmes wyruszył w wędrówkę przez pustynię.

Armia liczyła prawie piętnaście tysięcy żołnierzy, głównie Nubijczyków zaciągniętych po ostatniej kampanii, i kilka tysięcy świętej jazdy na mułach pod dowództwem Ahima. Piechotę nubijską dowodził generał Metufer, syn jednego z wielmożów tebańskich. Aszerkare był oficerem łącznikowym między Ahimem i Metuferem. Wojska posuwały się szybko. Krajobraz stawał się coraz bardziej jałowy, aż w końcu wkroczyli na pustynię, żwirowo-kamienistą wyżynę poprzecinaną dolinami. Noce były zimne, co bardzo dawało się we znaki Nubijczykom, i oficerowie niejednokrotnie musieli używać batów, by ukrócić ich narzekania. Piętnaście tysięcy ludzi mogło przemierzać pustynię tylko dzięki stanicom z wodą i żywnością rozmieszczonym aż do granicy Kanaanu.

Koczownicy szukali wody na własną rękę. Znajdowali ją w miejscach, w których nikt by się jej nie spodziewał, i żaden z Egipcjan ani Nubijczyków nie mógł pojąć, jak im się to udaje.

— Aszerkare, jedziemy przez pustynię już dziesiąty dzień

i nie widać końca — rzekł Ahim na jednym z nocnych postojów.

— Mamy iść prawie trzydzieści dni — przypomniał oficer.

Ahim wpatrzył się w milczeniu w horyzont. Niebo ciemniało szybko, pojawiały się pierwsze gwiazdy.

— Jesteś dziwnym człowiekiem, Ahimie, i muszę przyznać, że dotąd nie spotkałem nikogo takiego jak ty.

— Ja i mój lud jesteśmy jak pustyne gołębie. Do nikogo nie należymy — zaśmiał się książę koczowników.

— Opowiedz mi o swoim ludzie — poprosił Aszerkare.

— Żyjemy w małych grupach, a najważniejsza dla nas jest przynależność do rodu. Wędrujemy po całej zachodniej pustyni, ale wiemy, jakie krainy leżą poza nią.

— Bywałeś tam?

— Tak. Za pustynią jest wiele ludów i wiele krajów, gdzie rosną akacje i pasą się stada bawołów, na które polują lwy. Leżą tam królestwa murzyńskie, lecz są one niczym w porównaniu z Egiptem. Ich królowie mieszkają w namiotach ze skór i toczą między sobą wojny o kobiety i tereny do polowania.

— Jak przeszliście pustynię? — dopytywał się zdumiony Aszerkare.

— Znamy tajemne szlaki; konie idą po twardym gruncie, nie brną w piasku, który potrafi być zdradliwy jak woda w rzece.

— A skąd bierzecie wodą?

— To tajemnica, Aszerkare, Egipcjaninie. Świata tajemnica, którą przekazujemy z pokolenia na pokolenie i której nie wolno wyjawić żadnemu obcemu. Ale chociaż jesteś obcy, chciałbym ci pomóc.

— Pomóc? W czym?

— W przeżyciu. Czasami nosimy w sobie tajemnice, o których nic nie wiemy. Podczas tej wojny trzymaj się blisko mnie — powiedział nomada z serdecznym uśmiechem, który sprawił, że Aszerkare postanowił mu zaufać.

Dopiero po czterdziestu trzech dniach armia dotarła do obszaru, gdzie żwirowa pustynia ustąpiła miejsca równinie porośniętej karłowatymi akacjami i gdzie w dolinach znaleźć można było małe jeziora. Niektórzy spośród oficerów egipskich, którzy kiedyś bywali w tych stronach jako kurierzy, mówili, że mieszkają tu bardzo dziwne plemiona. Chociaż są ze sobą skłócone, wyznają jednego boga, niemającego żadnego wizerunku i objawiającego się w słupach ognia na pustyni. Aszerkare, podobnie jak generał Metufer i inni Egipcjanie, bardzo się temu dziwił.

Narada dwunastu naczelników plemion, które wyznawały Jedynego, zebrała się na zaproszenie najstarszego pośród nich, Beniamina ben Jony.

— Uważam, że nasze plemiona, bez względu na dzielące nas różnice, nie powinny pozostać obojętne wobec nadchodzącej wojny! — zaczął Salim ben Rafael, równie stary jak Beniamin przywódca jednego z plemion.

Wybuchła wrzawa, dziesiątki mężczyzn Habiru krzyczało,

że ma rację, inni krzyczeli, że racji nie ma. Przedstawiciele plemienia Beniaminowego stali w milczeniu, czekając na to, co powie ich patriarcha. Starzec dał w końcu znak synom, aby pomogli mu podnieść się z poduszek. Jechab, Asmael i zapalczywy Josef z blizną na twarzy pomogli wstać staremu ojcu.

— Czcigodni, pozdrawiam was w imię El Szaddaja i wiem, że On nie pozwoli, by stała się krzywda plemionom Abrahama. Wiecie wszyscy, że nieczyści zawarli na północy wielkie sojusze, wobec których jesteśmy nic nieznaczącym pyłem. Moi synowie zauważyli cztery dni temu wielką armię, która przeszła pustynię. Idzie z kraju psiogłowych bogów nad Nilem. To dla nas wszystkich wielka próba.

Rozległy się głosy uznania dla słów starca.

— Wszyscy musimy wyjść z tej próby zwycięsko. Chciałbym, aby ta wojna nie dotknęła naszych plemion i abyśmy mogli przetrwać.

— Dlaczego, Beniaminie, jesteś przeciwny temu, abyśmy podnieśli miecz przeciw Egipcjom? — odezwał się Salim.

— Salimie, odpowiem ci, choć jesteś mi winien szacunek, gdyż przeżyłem więcej wiosen od ciebie. Kto mieczem wojuje, od miecza padnie. To wojna nieczystych, dlatego nie powinna nas obchodzić. Im mniej będziemy rzucali się w oczy, tym łatwiej ochronimy nasze dzieci, nasze kobiety i nasze stada. Egipcj i nieczyste królestwa mają tysiące mieczy, my nie.

Beniamin umilkł. Ta przemowa kosztowała go dużo wysiłku, a z każdym rokiem był coraz słabszy. Wszyscy przyznali mu rację. Krzyczano, że plemiona, które przywiódł do Kanaanu Abraham z Ur, nie powinny mieszać się w nie swoje sprawy.

— Synowie, odprowadźcie mnie do namiotu — poprosił Beniamin.

Josef i Asmael podtrzymali ojca, Jechab torował drogę przez tłum. Wszyscy powoli rozchodzili się do swoich namiotów.

— Ojcze, chciałbym cię o coś zapytać — odezwał się Asmael.

— Mów, synu.

— Ojczy, czy nieczyści są naprawdę tak wielkim zagrożeniem dla naszych plemion?

— Synu, tamci dwaj, o których zapewne myślisz, a których przyjęliśmy cztery lata temu, uratowali życie tobie i Josefowi. Dlatego ich przyjąłem, czego w innym wypadku nigdy bym nie uczynił. Wojna to co innego. Jej celem jest zapanowanie nad wszystkimi miastami Fenicjan, więc nic nam do tego. A ten Hetyta, który chciał mi wmówić, że jest Kreteńczykiem, i młody Egipcjanin byli uciekinierami, może nawet zbiegłymi niewolnikami. Na pewno zginęli.

Syn uwierzył ojcu, bo ten przecież nigdy się nie mylił.

Totmes postanowił niemal w ostatniej chwili, że większa część sił egipskich podąży do Syrii nadmorskim szlakiem. Wojsko maszerujące wzdłuż wybrzeża miało drogę zdecydowanie mniej uciążliwą niż żołnierze Ahima i Metufera. Faraon prowadził przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi, z czego większość była to egipska piechota. Armia ta znalazła się na granicy ziemi Kanaan po trzydziestu dniach. Totmes zarządził postój, aby poczekać na siły idące przez pustynię.

Gdy do faraona dotarły wiadomości od Ahima, nakazał wymarsz w stronę rzeki Jordan, zostawiając nadmorskie twierdze po lewej ręce. Zastanawiał się, czy nie zająć Gazy, lecz Nehi i inni wyżsi oficerowie odradzili mu to. Gdy obydwaj członkowie armii egipskiej się spotkały, faraon zdecydował przepuścić wojska nubijskie, aby z flotą blokowały wielkie miasta fenickie na zachodzie. Faraon wziął też pod swoją komendę koczowników Ahima, a Aszerkare został przy Nubijczykach. W południowym Kanaanie wybuchła panika, bo nie sposób było dłużej ukrywać wielkiej armii, która wkraczała na tę ziemię od południa.

Tymczasem korpus nubijski miał iść wzdłuż wybrzeża przez ziemię Habiru. Generał Metufer, który nigdy wcześniej nie dowodził żadnym wojskiem, nie ufał też oficerom nubijskim,

dlatego zbliżył się do Aszerkare, o którym słyszał jeszcze w Tebach. Tłumacze powiedzieli Egipcjanom, że ziemia, przez którą idą, została przyobiecana przez jakiegoś bliżej nieznanego boga plemionom ją zamieszkującym. Obydwa oficerowie zapragnęli w drodze pod Tyr zobaczyć świątynię tego boga i jego posąg, aby złożyć mu ofiarę, która sprawi, że nie okaże swego gniewu.

Pewnego dnia zastąpiła Nubijczykom drogę grupka starców i kilkudziesięciu młodszych mężczyzn na osłach. Tłumacze donieśli Metuferowi, że chcą rozmawiać z przedstawicielem faraona. Dowódca postanowił posłać do nich Aszerkare.

— Przychodzę tutaj w imieniu faraona, który przybył ukarać Syrię za zdradę. Oddajcie więc pokłon armii faraona, abyśmy wiedzieli, że nie jesteście zdrajcami — przemówił do nich młody oficer, a tłumacz przełożył jego słowa na fenicki.

— Nie jesteśmy zdrajcami, a wojna, którą wielki faraon prowadzi z królami Syrii, nie jest naszą wojną. Nie mamy nad sobą króla, a wszyscy jesteśmy potomkami plemienia Abrahama, które otrzymało tę ziemię od Najwyższego — odrzekli starcy.

— Kim jest ten Najwyższy? Jeśli to wasz bóg, to wskażcie miejsce, w którym Egipcjanie mogliby złożyć mu ofiarę, aby zaskarbić sobie jego łaski.

Habiru popatrzeli na Aszerkare ze zdziwieniem, a najstarszy pośród nich imieniem Beniamin, który przypatrywał mu się z mieszaniną zdumienia i przestachu, rzekł:

— Ziemia, po której stąpacie, jest święta, dlatego odejdźcie stąd i poprowadźcie wojska inną drogą. Twój faraon i ty nie należycie do tej ziemi, dlatego nie możecie złożyć naszemu bogu ani ofiary z wina, ani żadnej innej.

— Starcze, nikt żywy nie może zabronić przejścia armii faraona. Wiedz, że nasze miecze są ostre i możemy zabić ciebie i twoich ludzi.

— Choć twe słowa są dla mnie obraźliwe, młody człowieku, odpowiem ci tak: Najwyższy nie chce, aby lud, z którym zawarł

przymierze, zginął od egipskiego miecza. Dlatego ty i twój faraon możecie przejść przez naszą ziemię, pod warunkiem jednak, że jej nie spustoszycie.

Aszerkare nie chciał zabijać tych ludzi, dlatego przystał na jego propozycję. Gdy miał odjeżdżać, starzec rzekł:

— Dziwią ci się bardzo, zważywszy na gościnę, jaką otrzymałeś kiedyś ode mnie i moich synów. Pamiętam twoją twarz, choć teraz jesteś starszy. Wiedz, że stary Beniamin dziwi się twojej podłości, Egipcjaninie.

— Starcze, szanuję ciebie i twego boga, choć jest on najdziwniejszym z bogów, o jakich słyszałem, ale wiedz, że nigdy wcześniej nie byłem w twoim kraju.

— Doprawdy? — powiedział młodszy z synów starca. — Ja też cię pamiętam, Egipcjaninie.

— Wiedziecie, że wtedy gościliście człowieka do mnie podobnego — uciał Aszerkare, i ściągnął z ramienia srebrną bransoletę, którą otrzymał od Szimy na pamiątkę wspólnie spędzonej nocy, i wręczył ją starcowi na znak szacunku i dobrej woli. Beniamin milczał, wpatrując się w twarz młodego oficera.

Cuchnący dym ofiar całopalnych wznosił się wysoko ku niebiosom. Tego dnia złożono na ołtarzu Baala w Megiddo prawie trzysta młodych kozłat i setkę dzieci obojga płci. Gdy zabito ostatnią ofiarę, a jej krew obryzgała stopy posagu boga, z tysięcy syryjskich gardeł wyrwał się okrzyk podziwu, strachu i nadziei. Dopiero wówczas ze stopni ołtarza zeszli Arnusipal, wielki kapłan Baala w Megiddo, oraz liczni książęta syryjscy. Byli tam również Enaburiasz i Enuana.

— Dostojni zebrani — przemówił król Amurru — od południa idzie ku nam faraon i wiedzie trzydzieści tysięcy ludzi.

— Wydamy mu bitwę pod miastem wielkiego Baala — odrzekł Arnusipal. — Egipcjanie będą zmęczeni marszem, wówczas ich zaatakujemy.

— Uważajcie, bracia — powiedział młody, bogato odziany Fenicjanin z Tyru. — Druga armia egipska oblega Tyr, a flota faraona pali wsie nad brzegiem morza.

— Dlaczego wasza flota nic nie robi? — zapytał król Amurru.

— Ponieważ zatoneła kilka miesięcy temu podczas burzy i nie zdążyliśmy wybudować nowej — odrzekli Fenicjanie.

Enaburiasz i Enuana stali nieco z boku, choć kapłanka przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn. Jej szaty były z prawdziwego jedwabiu, który Enaburiasz kupił za prawie dwadzieścia talentów od kupca z wielkiego kraju na wschodzie. Syryjskie kobiety spoglądały na nią z nieukrywaną zazdrością.

— Kim jest ten człowiek? — zapytała brata, wskazując młodego Fenicjanina ze złotym łańcuchem na szyi, który właśnie przemawiał.

— To Iszmar z Tyru, syn najbogatszego kupca w mieście — odrzekł cicho Enaburiasz. — Siedzi na zlocie. Jego ojciec prowadził układy w imieniu Tyru z Mitanni i Hetytami.

— Wiesz, że nie lubię tej nazwy — syknęła Enuana.

— Mitanni sami w wojnie udziału nie biorą, trzymają tylko wielką armię na granicy. Natomiast Ugarit mają oblegać Hetyci.

— Hetyci? A jeśli on tam jest?

— Nic na to nie poradzę — wzruszył ramionami Enaburiasz.

— Dostojny Enaburiaszu, a jakie jest twoje zdanie? — zwrócił się do aptekarza młody Fenicjanin.

— Czcigodni bracia! — rzekł Enaburiasz, występując do przodu. — Uważam, że powinniśmy pokonać faraona sami. Jego wojska będą zmęczone, my mamy pięć setek rydwanów bojowych. Jeśli pokonamy go sami, wówczas miejsca faraona nie zajmą Mitanni i Hetyci, których jarzmo może być tak samo nieznośne.

Podniosły się głosy uznania. Długobrodzi królowie i dostojnicy wykrzykiwali imiona swoich bogów i przodków i nie sposób było ich uciszyć. Arnusipal i Enaburiasz byli pewni zwycięstwa. Również dlatego, że faraon miał koło siebie zacieklego wroga, który stał się ich sprzymierzeńcem, kapłana Hapu-

seneba. Był on, co prawda, więźniem przy armii Totmesa, mógł jednak wysłać do nich wiadomości, bo w armii faraona znalazło się wielu przekupnych ludzi. Gdy Enaburiasz znów stanął koło siostry, zobaczył, że ta płacze.

— Co się z tobą dzieje, na wszystkich bogów? Płaczesz publicznie w takim dniu? — syknął, wziął ją za rękę, wyprowadził z sali i zawołał lektykę. — Jedź do domu, weź kąpiel i odpocznij.

— Ale ja czuję, Enaburiaszu... — szlochała kapłanka — że nasze życie dobiega końca...

Drzewa akacji zieleniły się od dawna. Figowce obsypane były kwiatami, a zboża zaczęły pięć się ku słońcu na wielkich równinach pod miastem Megiddo, kiedy chłopci kananejscy pracujący na polach poczuli, że drży ziemia. Kilku z nich wdrapało się na drzewa, by lepiej widzieć, co dzieje się za wzgórzami.

A zza wzgórz zaczęło wylaniać się mrowie ludzi. Miarowy rytm kołatek wyznaczał tempo, z jakim szerokie na dziesięciu wojowników szeregi zaczęły schodzić na równiny. Szło dziesięć tysięcy ludzi, a grotty ich oszczepów lśniły w słońcu blaskiem brązu. Ku swemu przerażeniu chłopci zobaczyli, że z lewej pojawiają się nowe szeregi także maszerujące w rytm grzechotek i piszczałek. Ziemia jęczała od kroków kilku tysięcy Szardanów, którzy mieli tworzyć lewe skrzydło armii faraona. Ci groźni wojownicy uzbrojeni byli we włócznie, topory, łuki i tarcze. Mieli na sobie lniane tuniki, na które zarzucili kolczugi z brązowych płytek.

Faraon, dzięki zwiadowi koczowników Ahima, dowiedział się o rozlokowaniu wojsk syryjskich. Lewe skrzydło mieli zajmować wojownicy z miast fenickich, uzbrojeni w długie włócznie. Na prawym skrzydle miała stanąć piechota syryjska z Jerycha, Gubalu i Megiddo. Koczownicy zauważyli też duże zgrupowanie rydwanów z syryjskimi załogami.

Rankami, które były chłodne, pojawiała się coś, czego w Egipcie nie spotykano: w powietrzu unosił się biały, wilgotny opar, który zanikał, w miarę jak podnosiło się słońce. Budziło to przerażenie, dlatego złożono ofiary bogom. Kapłani Amona tłumaczyli zaleknionym żołnierzom, że to bogowie zsyłają na wojska faraona zasłonę, dzięki której nie zobaczą ich wrogowie.

Wieczorami Totmes słuchał w swoim wielkim namiocie muzykantów, którzy na harfach i fletach wygrywali najpiękniejsze egipskie melodie. Jednak z twarzy młodego faraona nie znikało napięcie.

— Jesteś smutny, panie — zagaił Nehi, gdy pewnego ranka Totmes wezwał dowódców na naradę.

Pozostali oficerowie popatrzyli na niego ze strachem, bo nikt nie śmiał zwracać się do króla w ten sposób. Z tym większym zdziwieniem usłyszeli jego odpowiedź:

— Masz rację, Nehi, jesteśmy smutni, bo już kiedyś widzieliśmy te pola, dotykaliśmy tej trawy i byliśmy w mieście, które jest przed nami.

Atak nastąpił rano. Powietrzem wstrząsnął dziki wrzask. Ziemia jęczała, tratowana tysiącami stóp. Nieprzeliczone rzesze wojowników starły się we mgle, nie widząc ani współtowarzyszy, ani linii nieprzyjaciela. Szczęk mieczy, trzask łamanych drzewców włóczni, jęki rannych mieszały się w jeden ogłuszający ryk. Kto padał ranny, tego zadeptywano.

Walka przeniosła się z lewego skrzydła na prawe. Zaskoczona piechota pod wodzą Nehiego, miotając się we mgle, zasypana została gradem strzał. Egipcjanie ruszyli biegiem i spadli na długie szeregi syryjskie jak lew na antylopa. Baraon stał na szczycie wzgórza na rydwanie i chociaż mgła przesłaniała widok, wiedział, że wodzowie syryjscy przy takiej pogodzie nie będą mogli użyć rydwanów, i w tym właśnie widział

przewagą swoich wojsk. Dał znak Ahimowi. Koczownicy spali rumaki i spadli z prawego skrzydła na tyły armii syryjskiej.

Bitwa stawała się coraz bardziej zacięta. Napór długobrodych wojowników z Fenicji był nieubłagany. Gdy jednak faraon rzucił Szardanom na pomoc tysiące Libijczyków, front zatrzymał się, a ziemia piła krew jak deszcz po suszy. Mgła zaczęła się podnosić i oczom faraona ukazały się setki ludzi zwartych w walce na śmierć i życie. W pewnej chwili zobaczył, jak koczownicy atakują stojące do tej pory beczynnie rydwany syryjskie. Wypuścili tysiące strzał, które dosłownie przygwoździły do ziemi ich załogi.

Widząc duże straty wśród swoich piechurów, faraon dał znak, by przerwać bitwę. Rozbite wojska syryjskie rozpoczęły odwrót w stronę miast fenickich na wybrzeżu. Za uciekającymi pognali koczownicy, a wojska faraona, upojone zwycięstwem, podeszły aż pod mury Megiddo. Egipcjanie w szale bitewnym wycięli mieszkańców wszystkich wiosek pod miastem, a faraon nie zrobił niczego, by temu zapobiec. Oficerowie wysypali przed nim setki worków z uciętymi dłońmi zabitych wrogów. Do niewoli trafili władcy Jerycha i Gazy oraz wielu dostojników, którzy rwali włosy z bród i błagali faraona o darowanie życia. Nehi wrócił spocony i ubrudzony krwią i pierwszy wznosił okrzyk, który powtórzyły tysięczne rzesze.

Bitwa pod Megiddo dobiegła końca.

Syria w ogniu

Nad Ugaritem zapadał zmrok. Obleżone miasto przetrwało kolejny dzień. W obozie Hetytów płonęły setki pochodni i nikt nie myślał o nocnym odpoczynku.

Mężczyzna szedł wolno, oddając pokłony mijającym go hetyckim wielmożom. Niektórzy z nich nosili długie szaty, przypominające syryjskie, lecz różniące się wzorami i delikatnością barw. Zmierzał do namiotów króla Hetytów, był Syryjczykiem, posłem króla Aleppo. Przed namiotem stali wartownicy, a groty ich oszczepów lśniły w blasku pochodni. Mężczyzna wiedział, że są ze stali.

— Ach, gdybyśmy mieli takie włócznie! — westchnął, pewien, że nikt go nie zrozumie.

— Na szczęście nie macie — odpowiedział po akadyjsku głos za jego plecami.

Odwrócił się zaskoczony. Zobaczył człowieka koło trzydziestki, ubranego podobnie jak mijani wojownicy, lecz jego szaty sprawiały wrażenie kosztowniejszych. Ich ciepły brąz kontrastował z pięknym złotym łańcuchem na szyi.

— Przybywam z poselstwem do waszego wielkiego króla Ursilisa — wyjaśnił.

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, nasz król jest wielkim władcą. Jeśli chcesz, możesz poczekać na niego w namiocie.

Skinął ręką, a strażnicy natychmiast odsunęli się od wejścia. W środku panował półmrok, pachniało delikatnie piżmem i kwiatami.

— Piękny zapach — pochwalił przybysz.

— To fiołki — odrzekł młodzieniec.

— Co takiego?

— Fiołki. Nie znasz, panie, tych kwiatów? Wasze życie w Syrii musi być bez nich smutne.

Hetyta usiadł na pięknie zdobionym, cedrowym stołku i nalał wina do srebrnego pucharu.

— Człowieku, czy obyczaje w twoim kraju pozwalają ci pić z pucharu króla?! — wykrzyknął Syryjczyk, nie kryjąc oburzenia.

— Zabraniają pod groźbą śmierci.

— W takim razie upominam cię, abys tego nie czynił.

Hetyta upił spory łyk wina i zapytał:

— Powiedz, panie, skąd wiesz, że kielich, z którego piję, należy do mojego króla?

— Nie mam takiej pewności, ale skoro jest to namiot królewski, to bez wątpienia ten kielich należy do króla.

— W istocie jest tak, jak mówisz. Wszystko w tym namiocie należy do króla, nawet skóry lwów, po których stąpasz.

— Zuchwalcze — zawołał poseł — gdy tylko stanę przed twym królem, powiem mu, w jaki sposób jego sługa znieważa go w jego własnym namiocie!

— Chcesz więc, panie, zobaczyć króla Hatti?

— Natychmiast, gdy Jego Wysokość zechce mnie widzieć.

— I poskarżysz się na mnie?

— Oczywiście, bo twoje zuchwalstwo jest niesłychane.

— Więc mów, Syryjczyku. Stoisz właśnie przed królem Hetytów — rzekł poważnie nieznanomy.

Przybysz zadrżał. Dopiero teraz poznał Ursilisa.

— Jesteś głupcem, Ardaszirze. Byłeś nim w Babilonie i jesteś nim teraz. Czyżbyś mnie nie poznał? Przecież widzieliśmy się tyle razy.

Ardaszir osunął się na kolana, patrząc na tę twarz tak odległą, a zarazem przerażająco znajomą.

— Przypatrz mi się dobrze, psie skundlony — wycodził Ursilis — a zobaczysz tego samego człowieka, którego ty i twój zawszony chlebobawca wydaliście na śmierć. Ja jednak przeżyłem, a to oznacza dla ciebie śmierć.

Król wstał i podszedł do klęczącego i bliskiego omdlenia Ardaszira.

— Oszczędź mnie... — Syryjczyk upadł na twarz.

— Wstawaj, szcurze! Zanim zdecyduję, co z tobą zrobić, powiesz mi wszystko.

Ardaszir na przemian jęczał, płakał, zaklinał bogów i trząsał się jak dziecko.

— Wstawaj, kundlu, jesteś żaloszny. Skąd się wziąłeś w Aleppo?

— Uciekłem Enaburiaszowi. Jest prawdziwym nieczystym psem. Uciekłem do Aleppo i znalazłem tu dom.

— Król Szyszak wie, kim byłeś, zanim przybyłeś do jego miasta?

— Nie, nie wie. Błagam cię, panie, nie mów mu o tym i nie zabijaj mnie, a zrobię dla ciebie wszystko!

Ursilis błyskawicznym ruchem wyjął sztylet i przyłożył go Ardaszirowi do gardła.

— Wiesz, łajdaku, co chcę wiedzieć, prawda?

Oczy Ardaszira wyszły z orbit, przez moment zdawało się, że zabraknie mu oddechu, ale dał znak głową, że wie, co król chciałby usłyszeć. Oczy Ursilisa były zimne jak lodowate strumienie w górach Anatolii. Przez jego twarz biegła blizna.

— Gadaj.

— Po waszym wyjeździe z mitannijskim poselstwem do Babilonu przybyli Egipcjanie. W tym kapłan Amona. Była

to wizyta oficjalna, więc Enaburiasz nie mógł ich śledzić. Aleja...

— Śledziłeś tych ludzi?

— Tak.

— Ależ z ciebie drań. Mów dalej.

— Wiem, że Egipcjanie szukali jakiegoś egipskiego chłopca. Chyba tego, który był z tobą, Wasza Wysokość, w Babilonie.

— Wiedziłeś, że chcą go zabić?

— Nie, królu, nie wiedziałem, przysięgam! A nawet gdybym wiedział, to cóż mógłbym zrobić? Mogę jedynie przypuszczać, że go znaleźli.

— Enaburiasz oddał go w ich ręce?

— Nie, po wyjeździe waszej wysokości Enaburiasz wyrzucił tego chłopca i niewolnicę, która była przy śmierci waszego brata w Babilonie.

— O tym też wiedziłeś, ty gnido?

— Enaburiasz i Enuana ukrywali przede mną swoje zamiary, a ja chciałem tylko trochę zarobić i uciec, co, dzięki bogom, mi się udało. Nie wiem, co stało się z tym chłopcem.

— Dobrze, to mi na razie wystarczy, możesz wracać do Sziszaka. Ale pamiętaj, że jeśli mnie zdradzisz, dopadnę cię i zabiję. Będziesz mówił mi o wszystkim, co król Sziszak zamierza, rozumiesz?

— Tak, panie, niech wszyscy bogowie cię strzegą!

Gdy Ursilis odsunął sztylet od jego szyi, Ardaszir padł na twarz i czołgając się, opuścił namiot. Ursilis usiadł i odgarnął z twarzy długie włosy.

— Wiele przelałem krwi — rzekł do siebie — ale twoją śmierć, Anchnumie, pomszczę straszliwie...

Kilkanaście dni później w obozie sprzymierzonych zaczęło wrzeć. Mówiono tylko o spotkaniu, podczas którego przy

jednym stole mieli zasiąść król Hetytów i król Aleppo. Zaproszono też wielu hetyckich wielmożów.

Król Sziszak przybył do obozu Hetytów w okazałej lektyce. Towarzyszyło mu ponad stu gwardzistów i szambelanów. Przyjęty został iście po królewsku. Na wielkich stołach stały półmiski pełne mięs i owoców oraz dzbany z winem.

— Skąd u was takie cuda? — zapytał król, biorąc do ręki srebrny puchar.

— Dar wytopu metali otrzymaliśmy od bogów. To tajemnica, której pilnie strzeżemy — uciał Ursilis i dał znak, by wszyscy usiedli.

Sziszak przyglądał się z ciekawością twarzom Hetytów, nieporuszoną i zagadkowym.

— Dlaczego poprosiłeś mnie o to spotkanie, mój bracie? — zapytał Ursilis króla Aleppo.

— Potrzebuję waszej pomocy.

— Wielkie dzięki składam ci, bracie, bo bex wojsk Aleppo nie byłibyśmy tutaj, gdzie jesteśmy — odpowiedział Ursilis, nie kryjąc sarkazmu. Wszyscy wiedzieli, jak ciężkie było oblężenie. — O ważnych sprawach porozmawiamy jednak później. Teraz niech doskonale mięsa i wyborne wina uradują wasze podniebienia.

Po uczcie Sziszak zwrócił się do Ursilisa:

— Bracie, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności. Przynoszę złe wieści — powiedział. — Armia naszych sojuszników padła pobita pod Megiddo.

— Słyszałem o tym i dziwię się tej klęsce.

— Do południowej Syrii armia egipska weszła dwoma różnymi drogami. Fenicjanie obserwowali z okrętów patrolowych jedną jej część, idącą od Deltę po przesmyk Gazy, cały czas brzegiem morza. Towarzyszyło jej wiele okrętów achajskich, dlatego załogi z Tyru i Sydonu nie mogły podejść bliżej.

— Okręty achajskie na służbie faraona? To ciekawe — mruknął Ursilis.

— To byli zapewne najemnicy — rzekł Sziszak. — Ale najdziwniejsze jest to, że kiedy wojsko idące wybrzeżem doszło do Gazy, wówczas pojawiły się kolejne oddziały. Takich wojowników i takiej piechoty jeszcze nie widziano. Skórę mieli ciemną jak smoła.

— To mogli być Nubijczycy.

— Bracie, powiem szczerze, że ten faraon, którego nie znamy, budzi we mnie lęk. Otrzymałem od niego list. Żąda od nas złota i srebra.

— Jak on ma na imię?

— Mencheperre.

— To musi być ktoś niezwykle... — powiedział w zamyśleniu Hetyta.

— Bez wątpienia. Poczyna sobie śmiało. Rządzi od roku, lecz niewiele o nim wiadomo.

— Skąd się wziął?

— To właśnie jest najciekawsze. Hatszepsut nie miała ponoć krewnych — mówił Sziszak. — Być może pod imieniem Mencheperre kryje się jakiś dostojnik z jej otoczenia.

— Prędej już wojskowy. To tłumaczyłoby jego sprawność w dowodzeniu armią — zauważył Ursilis.

— Ma opozycję.

— Skąd to wiesz, mój bracie?

— Dostałem tabliczki od wielkich kapłanów Amona, w których nazwali go bękartem aż dwa razy. To wystarcza, żeby stwierdzić, że to jakiś uzurpator.

— Uzurpatorzy również mogą być wybitni — zauważył Ursilis. — A jak wpadł na pomysł, by przeprowadzić armię Nubijczyków przez pustynię?

— Myślisz, że zdecydował się na taki krok?

— A w jaki sposób jego wojsko znalazło się nagle pod Gazą? Jest odważny i może być groźnym przeciwnikiem.

— Masz rację, mój królewski bracie... — rzekł Sziszak, upijając solidny łyk wina.

Król Aleppo wiedział, że nowy faraon może być groźny.

Ale tacy przeciwnicy mogą stać się cennymi sprzymierzeńcami...

Ursilis od kilku godzin siedział sam w swym namiocie i zastanawiał się, kim może być nowy faraon.

— Panie, widzę, że coś cię trapi...

Ursilis odwrócił się. Zobaczył młodego Arnuwandasa, trzynastoletniego chłopca, jedynego członka rodziny, którego zachował przy życiu, nie licząc matki.

— Rozmyślam... Miałem kiedyś przyjaciela, przemierzyłem z nim wiele krain...

— I co się z nim stało?

— Nasze drogi się rozeszły. Obawiam się, że nie żyje.

— Został zamordowany?

— Tak.

— Wielu moich przyjaciół zostało zamordowanych, moi rodzice też — powiedział cicho chłopak.

Ursilis popatrzył na niego. Wiedział, że każdego dnia ten chudy i blade chłopiec, przez wszystkich uważany za niedorajdę, obawia się o swoje życie. Mógł kazać go stracić, nie zrobił tego jednak, bo Arnuwandas przypominał mu kogoś, kogo dobrze znał...

Egipcjanie zdobyli Megiddo prawie bez wysiłku. Tego samego dnia, kiedy faraon do niego wjechał, dwie postacie w ciemnych płaszczach przemykały wśród dymiących zgłiszcz. Minęły siedzibę dowódcy egipskiego garnizonu, do niedawna podrzędną winiarnię, i ruszyły w kierunku murów miejskich. Za nimi, niezauważony, podążał Aszerkare. Gdy doszedł do bramy, dwaj egipscy strażnicy stali na warcie, jak gdyby nic się nie stało.

— Kim byli ci ludzie, którzy przed chwila tędy przeszli?
— Czcigodny panie, nikt tędy nie przechodził!
— Kłamiecie! — syknął wściekły oficer.
Strażników wzięto na męki.

*

Armia faraona wzięła do niewoli wielu dostojników, w tym wielkiego kapłana Arnusipala.

— Pozdrawiam cię, panie, ty, który jesteś Słońcem, niech Izyda i Hathor strzegą twych kroków.

Nehi schylił głowę przed swoim władcą, który podszedł do niego i do więźnia.

— Nehi, chcemy zostać z więźniem sam na sam.

Oficer skłonił się raz jeszcze i wyszedł ze strażnikami.

— Co masz nam do powiedzenia, Arnusipalu? — zapytał Totmes po akadyjsku.

Kapłan milczał, lecz po chwili podniósł głowę i spojrzał faraonowi w twarz. Wydało mu się, że twarz ta jest mu skądś znajoma.

— Arnusipalu, ty wciąż stoisz — rzucił zimno Totmes.

Więzień spuścił głowę i ukląkł, mówiąc:

— Panie, jeśli taka jest twoja wola, skaz mnie na śmierć, ale oszczędź mój lud i świątynię mego boga.

Faraon zaśmiał się szyderczo.

— Arnusipalu, ty, zdaje się, lubisz być bohaterem, prawda? Bardzo nas interesuje, czy potrafiłbyś umrzeć bez skargi, tak jak umierali ci, których skazywałeś? Ciekawi jesteśmy, czy pod świątynią nadal są lochy?

— Panie, nie oszczędzaj mnie, bo nie boję się śmierci. Ale przysięgam, że wszyscy więźniowie żyją i są wolni, a moje ręce są czyste.

— Więżniowie, o których mówisz, poumierali z pragnienia, a w lochach znaleziono tylko głodne dzieci, które ty zabijałeś na kamieniu ofiarnym — rzekł gniewnie faraon.

— Te dzieci rodzice dobrowolnie oddają Baalowi...

— Milcz, jeszcze nie skończyliśmy. Wstań... A teraz popatrz na nas, Arnusipalu, i przypomnij sobie egipskiego chłopca. Chciałeś go kiedyś złożyć na ołtarzu twego boga, którym się brzydzę.

Arnusipal wiedział już, skąd zna twarz faraona.

Faraon klasnął. Natychmiast wszedł Nehi z żołnierzami, którzy wywlekli przerażonego Arnusipala z namiotu. Nad ranem skonał na palu.

Namiot więźnia stanu, jakim był Hapuseneb, stał nieco na uboczu wielkiego obozu wojsk egipskich, rozbitego wkrótce po bitwie niedaleko murów Megiddo. Jednak kapłan, mimo odosobnienia, zdołał, dzięki przekupionym oficerom, zapewnić sobie możliwość prowadzenia korespondencji i snucia intryg.

Pewnej nocy ktoś zapukał w palik jego namiotu.

— Kto mnie niepokoi? — rzucił niechętnie.

— Wysłannik Marduka — zabrzmiała odpowiedź w języku egipskim.

— Proszę odejść. Nie mogę z nikim rozmawiać.

— Hapuseniebie, wielki kapłanie, nigdy się nie widzieliśmy lecz wiele razy wymienialiśmy listy.

— Enaburiasz? Kapłan Marduka? — zapytał zaskoczony Hapuseneb.

— Tak, panie. Czy wpuścisz nas, zanim przybiegną strażę?

— Nas? Ktoś jest z tobą?

Hapuseneb ostrożnie odsunął zasłonę. Strażnicy gdzieś zniknęli. Do namiotu wszedł brodaty mężczyzna.

— Panie, jestem zaskoczony tym, jak się tutaj znalazłeś — rzekł kapłan. — Gdzie są strażnicy?

— Nie ma ich. Przekupiłem jednego z wyższych oficerów. Hapuseneb popatrzył podejrzliwie na gościa.

— Gdy tylko dowiedziałem się, że jesteś przy armii faraona — mówił Enaburiasz — postanowiłem, że muszę cię stąd zabrać.

Zanim Hapuseneb coś odpowiedział, rozległo się energiczne pukanie w palik.

— Jesteś tam, Enaburiaszu? — dał się słyszeć nerwowy szept.

Kapłan pomyślał, że taki głos musi należeć do pięknej kobiety. Nie mylił się. Kiedy do namiotu weszła Enuana, osłupiał.

— Dlaczego ryzykujecie swoje i moje życie? — wykrztusił.

— Panie, wiemy, że faraon nie jest życzliwy świątyni Amona. Chcemy cię uwolnić, żebyś pomógł nam udowodnić, iż pragnie tylko rozlewu krwi i sławy, a nie pokoju — powiedziała Enuana.

— A więc, jednym słowem, mam wpłynąć na opinie królów i sprawić, by zwrócili się przeciw Totmesowi?

— Czytasz w naszych myślach, Hapusenebie — uśmiechnął się przebiegle Enaburiasz.

— Kiedy więc ruszamy?

Kapłan nie miał nic do stracenia. Do Egiptu nie mógł wrócić, bo tam czekała go śmierć. Zdążył poznać smak władzy i za nic nie chciał jej utracić. Obojętnie, czy była to władza w Tebach, czy władza u boku syryjskich królów.

— Choćby natychmiast — rzekł Enaburiasz. — Ale zanim stąd wyjdziemy, powiedz nam, kim jest człowiek, który został faraonem?

— O, to długa historia...

Kilkaset kroków dalej Aszerkare przesłuchiwał żołnierzy, którzy wypuścili z miasta tajemniczych uciekinierów.

— Więc kto przeszedł przez bramę?

Żołnierz do niedawna pełniący wartę teraz zwiślał głową w dół rozpięty między gałęziami młodego figowca. Z jego pleców spływały strużki krwi.

— Nie wiem. Dobrze zapłacili — jęczał nieszczęśnik.

— Kto to był? — krzyknął oficer i strzelił batem, a ciszę rozdarł krzyk żołnierza.

— Przysięgam, że nie wiem—jęczał. — Jakiś nieznany mi oficer powiedział, że mamy przepuścić mężczyznę i kobietę, którzy będą szli przez południową bramę! Nie mówili po egipsku. Mieli kaptury, więc twarzy nie mogłem rozeznaczyć.

— Dobrze — powiedział po namyśle Aszerkare. — Jest wojna i faraon potrzebuje każdego żołnierza. Będziesz żył.

Nieszczęśnika ściągnięto więc z drzewa, oblano wodą, by zmyć krew, i puszczono wolno. Aszerkare ruszył w stronę świątyni Baala Hannona. Mijał setki żołnierzy faraona, którzy zamienili miasto w wielki obóz wojskowy. Jedni grali w kości, inni czyścili broń. Część pułków zabrała się do rabowania kramów i szynków.

Gdy wyszedł poza obręb murów i skierował się do obozu, powiał lekki wiatr i przyniósł zapach kwitnącej Syrii, a zaraz potem smród prowizorycznych latryn. Młodzieniec skierował się ku grupce rozmawiających z ożywieniem szardanijskich oficerów.

— Co się stało? — zagadnął.

Popatrzyli na siebie jak dzieci, które wiedzą, że napsociły.

— Panie... wielki kapłan Hapuseneb uciekł — wyjąkał jeden z nich.

— Na bogów, jak to się stało?!

— Ktoś musiał mu pomóc. Nasi ludzie natknęli się na trzech podejrzanych jeźdźców. Jednym z nich była kobieta. Hapuseneba poznali po ogolonej głowie. Gdy kazali im się zatrzymać, tamci spięli konie i rzucili się do ucieczki. Łuczniczka wypuścił strzałę, raniąc jednego konia. Nasi ludzie dobiegli do człowieka, który z niego spadł. To jakiś wiel-

moża syryjski z długą brodą. Teraz przesłuchuje go generał Metufer.

— Dlaczego on?

— Bo faraona ani generała Nehiego nie ma w obozie. Nad ranem wyjechali z koczownikami na obchód.

Aszerkare skłonił się oficerom i poszedł do Metufera. Domyślał się, kim był oficer, który kazał żołnierzowi w bramie przepuścić tajemniczych przybyszów.

Szamaszi do Totmesa Trzeciego, oby żył wiecznie.

Ziemia Kem, wierna starodawnej rzece, wydała obfity plon i dlatego wiele zboża popłynie statkami, by nakarmić Twoje wojska. Lud cierpi z powodu nieobecności faraona, ponieważ potrzebuje słońca tak jak trawa. Kapłani Amona zanoszą modły do bogów, aby Twoja armia szybko odniosła zwycięstwo i abys znów obdarzył świątynię swoją łaską.

Wybrano dwóch nowych arcykapłanów, tak że imiona wszystkich czterech brzmią teraz: Senenu, Chaemhat, Gemmaure, Sethnehub.

Senenu i Chaemhat przedstawili dowody zdrady Hapusebeba.

Twój syn jest silny, jego matka modli się do bogów o Twój rychły powrót. Tak samo jak ten, który pisze ten list.

Gdy Aszerkare wszedł do namiotu, zobaczył, że generał Metufer, zamiast przesłuchiwać więźnia, przyjacielsko z nim rozmawia. Na widok młodego oficera wyraźnie się zmieszał.

— I co, chłopcze, uciekłeś ode mnie z Babilonu tylko po to, żeby zostać oficerem w armii faraona? Enuana mogła dać ci stokroć więcej — odezwał się drwiąco Enaburiasz.

— Wy się znacie? — zapytał zaskoczony Metufer.

Aszerkare zaniemówił, bo oto po raz kolejny ktoś wziął go za kogoś innego.

— Tylko z widzenia — wyjąkał w końcu.

— Tak bym tego nie ujął — zaśmiał się Enaburiasz. — Spędziliśmy w Babilonie całkiem miłe chwile. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy?

— Ależ skąd...

— Usiądźmy — zaproponował Metufer. — A zatem, Aszerkare, to dobrze, że znasz dostojnego Enaburiasza.

— Aszerkare? Tak się teraz nazywasz? — zdumiał się Syryjczyk.

— Tak. Tamto imię nie było godne tego, co przeżyłem pod twoją opieką, panie — odrzekł pośpiesznie oficer.

— Aszerkare, zawsze wydawałeś mi się człowiekiem godnym zaufania — podjął Metufer. — Już podczas marszu przez pustynię bardzo mi pomagałeś. Dlatego pozwól, że zapytam cię otwarcie, czy bliski jest ci Amon i dobro jego wielkiej świątyni?

— Twoje słowa mnie zaszczycają, Metuferze. Amon jest dla mnie największym z bogów i pragnę mu służyć.

— To bardzo dobrze, ponieważ dobro Amona wymaga, aby dostojny Enaburiasz, schwytany przez żołnierzy faraona, mógł bezpiecznie opuścić obóz egipski i dołączyć do czcigodnego Hapuseneba, który opuścił naszego władcę, by przysłużyć się Egipcjowi.

— Rozumiem. — Aszerkare skinął spokojnie głową.

Gdy wyszli z kwatery Metufiera, nagle otoczyli ich koczownicy z Ahimem na czele. Po chwili generał i kapłan mieli do gardel przyłożone miecze.

— Ty psie! — syknął Metufer. — Nie ujdzie ci to płazem!

— Mylisz się, generale — rzekł wódz koczowników. — Dzięki Aszerkare mamy dowód na to, że zdradziłeś faraona, który dowie się o wszystkim.

— Panie, to nieporozumienie — odparł butnie Metufer. — Z tym czcigodnym kupcem z Megiddo załatwiałem sprawy związane z daniną dla korpusu nubijskiego.

— Dokładnie tak było — potwierdził Enaburiasz. — Jestem Szamaszi, sławny kupiec, o którym i ty musiałeś słyszeć.

Na to bezczelne kłamstwo Ahim odpowiedział uderzeniem pejcem w twarz.

— Aszerkare, weź moich ludzi i zaprowadź tych zdrajców do lochu. Ja powiem o wszystkim faraonowi.

Konie pędziły jak wiatr, lecz w końcu Hapuseneb poczuł, że jego wierzchowiec zaczyna tracić siły. Postanowił zatrzymać się na odpoczynek.

— Panie, jak daleko jesteśmy od Megiddo? — zapytała Enuana, zsiadając z konia.

— Jakieś dziesięć do piętnastu mil egipskich, Enuano. Odpoczniemy nieco, a potem ruszymy dalej. Jestem pewny, że już wysłali za nami pościg.

— Lecz dokąd mamy uciekać? Do Ugaritu? Do Hetytów? — pytała kapłanka, a w jej oczach widać było strach.

— Znasz króla Ursilisa?

— Spotkałam go kiedyś w Babilonie, kiedy razem z bratem chcieliśmy wykorzystać go w intrydze uknutej razem z Mitanni. Jestem pewna, że gdy mnie zobaczy, każe mnie zabić.

— Spotkałaś Ursilisa w Babilonie? — zdziwił się Hapuseneb. — Czy był sam?

— Nie. Towarzyszył mu młody Egipcjanin, którego potem odnalazło jakieś egipskie poselstwo. Panie, dlaczego interesują cię tak dawne sprawy?

— Bo ten młody Egipcjanin, którego tak lekkomyślnie wypuściliście, jest teraz faraonem! — parsknął zirytowany kapłan.

Enuana oniemiała. Czuli upokorzenie i bezsilną wściekłość. Siedzieli w milczeniu, dopóki ciszy nie rozdarł tętent końskich kopyt. Ukryli się za wielkim figowcem. Na pobliskim wzgórzu Hapuseneb dostrzegł siedem sylwetek jeźdźców, pustynnych koczowników, których czarne szaty powiewały na wietrze.

— Widzisz ich, pani?

Enuana skinęła głową.

— Potrafią znaleźć zającą w morzu trawy — rzekł cicho Hapuseneb. — Jeśli nas złapią, nie będzie dla nas ratunku.

— Panie, wiem już, dokąd powinniśmy się udać. Jediną nadzieją jest dla nas Aleppo. Znam króla Sziszaka, on nie odmówi nam pomocy.

Patrzyli na oddalających się koczowników. Hapuseneb po raz pierwszy w życiu poczuł się jak ścigane zwierzę.

Ahim zastał faraona w namiocie, oddającego się sjeście. Na jego widok Totmes wstał.

— Co sprowadza cię do mnie, mój wierny przyjacielu?

— Panie, mam złe wiadomości.

— Mów.

— Kiedy towarzyszyłeś nam podczas zwiadu, z obozu uciekł Hapuseneb. Dopomógł mu osobnik o imieniu Enaburiasz, który jest chyba kimś ważnym w Megiddo.

— Enaburiasz? — Faraon roześmiał się z niedowierzaniem.

— Jemu zaś pomógł Metufer, generał twoich wojsk, który zaprzedał duszę złotu świątyni Amona.

Faraon natychmiast spoważniał.

— Przesłuchajcie obu. Chcę wiedzieć wszystko.

Aleppo

Od czasu spotkania z Ursilisem król Sziszak ciągle rozmyślał o wojnie, której koalicja syryjska wygrać nie mogła. Zrozumiał, że aby ocalić głowę, musi się z niej jakoś wycofać.

— O czym myślisz, mój panie? — zagadnął Ardaszir, nieodstępujący króla na krok.

Sziszak, który z lubością oddawał się magii, patrzył, jak na srebrnej misie ofiarnej rozlewa się krew gołębia.

— Wrzuć na nią kostki — rozkazał.

— Co tam widzisz, panie?

— Nic, tylko śmierć... — wyszeptał Sziszak, pochylając się nad misą.

— Czyją?

— Nie wiem... — Król mówił łamiącym się głosem, na jego czoło wystąpiły krople potu. — Jesteś zdrajcą, Ardaszirme, synu Artaszimy, i twoje ciało będzie gnić na palu na uciechę wronom. Sziszak też jest zdrajcą, a jego głowa będzie zwisała na murach Aleppo — głos króla zaczął przypominać beczenie kozy.

— Panie, Wasza Wysokość, ocknij się! — wołał przerażony Ardaszir.

— Sziszak nie przeżyje swej zdrady! — Teraz głos władcy był jak głos kobiety, łagodny i melodyjny. — Ursilis jest zdrajcą

i zdradzą go wszyscy. Hapuseneb jest zdrajcą, a jego zdrada będzie tak niespodziewana jak grom w pogodny dzień.

Zaszokowany Ardaszir cofnął się pod ścianę. Teraz głos należał do młodzieńca, spokojnego i dostojnego.

— Mencheperre jest zdrajcą, bo zdradzi tego, komu przysiągł wierność. Aszerkare jest zdrajcą, bo zdradzi siebie samego — odezwał się głos starej kobiety.

— Kim ty jesteś? — wyjąkał Ardaszir.

— Dobrze wiesz, kim jestem, wieprzu — odrzekł Sziszak, słodko jak młoda dziewczyna.

— Kim?

— Moim imieniem jest zdrada!

Król zadrżał i padł bez zmysłów. Kiedy Ardaszir go ocucił, wyszeptał:

— Co się ze mną działo? Daj mi pić...

Hetyccy wojownicy mieli żal do dowódców, że oblężenie Ugaritu zakończono tak prędko. Poległo zbyt wielu wojowników, by łatwo można było zapomnieć o pomszczeniu przelanej przez nich krwi. Wojsko maszerowało szybko, pokonując do trzydziestu mil egipskich dziennie, choć król Aleppo celowo opóźniał marsz, by jego ludzie mogli dzięki pełnym sdom i rek wizycjom bydła i świń wzbogacić się i najeść do syta.

Ursilis jechał w towarzystwie kilku dostojników.

— Marnusilisie — odezwał się do jadącego najbliżej starca, którego cenił za mądrość i rozwagę — odkąd ruszyliśmy spod Ugaritu, nie opuszcza mnie niepokój. Straciliśmy tam dużo czasu, a Sziszak szuka tylko sposobności, by nas zdradzić.

— Dlaczego tak uważasz, panie?

— Po co ciągnie nas do Aleppo? Bardzo boi się tego nowego faraona, więc będzie chciał wkraść się w jego łaski, wydając nas Egipcjom. Jesteśmy w tym kraju zdani tylko na siebie.

Słońce stało jeszcze wysoko. Długie kolumny hetyckie

piechoty szły wśród malowniczych wzgórz północnej Syrii, złojących się dojrzewającym jęczmieniem. Ursilis przypominał sobie, jak przed czterema laty przemierzał te równiny z chłopcem, który był dla niego jak brat. Zdumiał się, jak wiele szczegółów zatarło się w jego pamięci.

Stary Marnusilis bacznie przyglądał się swemu królowi.

— Panie, myślę, że nie powinniśmy wchodzić z Sziszakiem do Aleppo — powiedział w końcu. — Jeżeli przyśle ci bogate dary lub człowieka z zaproszeniem, będzie to oznaczało tylko jedno...

— ...że nas sprzedał — dokończył Ursilis. — Wiem o tym, ale królowi Aleppo towarzyszy człowiek, który jest mi coś winny.

Do wschodu słońca zostały jeszcze dwie godziny, lecz ptaki już rozpoczęły koncert. Hapuseneb i Enuana nie byli jednak w nastroju do słuchania ptasich śpiewów. Mijał trzeci tydzień ich ucieczki. Hapuseneb bezbłędnie odnajdywał drogę, kierując się położeniem gwiazd.

— Enuano, zbudź się — szturchnął drzemiącą w siodle kapłankę. — Zatrzymamy się na popas.

Tygodnie spędzone na koniu sprawiły, że Enuana wyglądała jak cień. Z jej urody pozostał ledwie ślad. Na szczęście Hapuseneb znalazł się na ziołach i w pakunkach aptekarza znalazł mieszanekę odurzającą, którą podawał Enuanie, dzięki czemu mogła jechać przez wiele godzin, nie zważając na ból i niewygodę.

Okryta łachmanami, w jakie zamieniły się jej szaty, zwlokła się z konia. W milczeniu zjedli placek i popili wodą.

— Za pięć dni będziemy w Aleppo, Enuano. Czy to dobrze, czy źle? — zapytał Hapuseneb.

— Czy to dobrze, czy źle? — powtórzyła półprzytomna kapłanka.

Hapuseneb uśmiechnął się. Lubił mieć władzę nad ludźmi.

— Enuano, czujesz coś? — dopytywał się. — Popatrz mi w oczy. Nie czujesz niczego.

— Nie czuję...

Ardaszir miał właśnie udać się na naradę do króla Sziszaka. Trząsał się ze strachu. Gdy wszedł, padł przed królem na twarz.

— Szambelanie, wstań, na bogów, nigdy nie musiałeś w ten sposób okazywać mi czci — rzekł Sziszak. — Podać mu wina! — krzyknął do niewolników.

Ardaszir usiadł i upił łyk cierpkiego napoju.

— Co się z tobą dzieje? — dopytywał się król. — Nigdy nie widziałem cię tak roztrzęsionego.

— Panie mój, cieszę się, że czujesz się dobrze — wyjąkał Ardaszир.

— Dlaczego miałbym się źle czuć? — zdziwił się król.

Dwie niewolnice, które były teraz ulubienicami króla, parsknęły śmiechem. Drżący ze strachu Ardaszир wyglądał nad wyraz zabawnie.

— Cicho, trzpiotki—rzucił rozbawiony Sziszak.—Pomówmy poważnie. Co myślisz o naszych sprzymierzeńcach Hetytach?

— Nie jest ważne to, co ja myślę, ale to, co myślisz ty, mój panie.

— A ja myślałem, że porozmawiamy poważnie! — parsknął król. — Nasza sytuacja jest... dosyć nieszczególna. Czy mnie rozumiesz?

— Staram się, mój panie.

— Starsz się! To już lepiej! Słuchaj mnie uważnie: wiemy, co stało się pod Megiddo. Koalicja miast i państw syryjskich nie istnieje i Egipcjanie maszerują już prawdopodobnie na północ. Ponieśliśmy również klęskę pod Ugaritem... Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Ależ tak, panie, oczywiście — zapewnił skwapliwie. — Wybacz mi, ostatnie dni bardzo mnie wyczerpały.

— Sądzę, że nadszedł czas, abyśmy zastanowili się nad naszym położeniem.

— A jakie jest nasze położenie? — Ardaszir był wyraźnie zdezorientowany.

— To właśnie jest kluczowe pytanie! Moja armia już od dwóch tygodni maszeruje spod Ugaritu, gdzie zostawiłem setki ciał mych wojowników. Czy wiesz, ile kosztuje mnie ta wojna?

— Zapewne bardzo dużo...

— Bardzo dużo. Tysiąc talentów na miesiąc. Przemnóż to wszystko razy osiemnaście, bo tyle miesięcy trwa ta wojna. Doszedłem do wniosku, że drogi pokój jest tańszy niż najtańsza wojna.

— Mądre słowa, mój panie.

— Miasta fenickie i inni królowie, z którymi do tej pory nie mogłem współzawodniczyć w handlu, dużo stracili. Czas, by ktoś nareszcie na tej wojnie zyskał. Czy rozumiesz mnie, Ardaszirze?

— Myślę, że tak. Ale nasuwa się jedno pytanie...

— Jakie?

— Czego zażąda faraon.

Król rozparł się na krześle, i choć długa broda maskowała wyraz zadowolenia, jaki pojawił się na jego twarzy, Ardaszir zrozumiał, że król znalazł rybę, teraz zaś należy dobrać do niej haczyk.

— Właśnie. Pamiętaj też, że Egipcjanie wiedzą, jak walczy się z wojownikami syryjskimi, ale śmiem wątpić, czy kiedykolwiek mierzyli się z Hetytami. Uchrońmy ich od tego.

— Nie rozumiem, mój panie...

Król zmarszczył brwi.

— Sprawmy, by faraon nie musiał z nimi walczyć. — W jego głosie brzmiało lekkie zniecierpliwienie.

— Teraz rozumiem. — Ardaszira oblał zimny pot.

— Ty, Ardaszirze, wszystko zorganizujesz. Pod miastem urządzimy wspaniałe przyjęcie. Niech zarzną setki kóz. Hetyci nie będą niczego podejrzewali. Ich krew poleje się szeroką rzeką.

— Kiedy więc mam jechać do stolicy?

— Jeszcze dzisiaj. Konie pocztowe są już rozstawione. Nie obawiaj się po drodze niczego, bo wyprzedzamy Hetytów o ponad dwa dni.

— Panie, stanie się, jak pragniesz — rzekł Ardaszir, czując, że znalazł się między młotem a kowadłem.

Tymczasem armia faraona posuwała się na północ Kanaanu. Minęła groźną górę Horeb i weszła w pas dolin i wzgórz, które latem wysychały, lecz wiosną pokrywał je dywan traw i kwiatów. Faraon często ukazywał się na rydwanie zaprzężonym w sześć białych koni, a żołnierze wznosili okrzyki na jego cześć. Wojownicy napełnili mieszki złotem i srebrem zdobytym w Megiddo i teraz pałali żądzą nowego zwycięstwa.

W końcu nadeszła chwila narady, a wzięli w niej udział wszyscy wyżsi oficerowie. Pierwszy przemówił Ahim, który w krótkim czasie zdobył sobie szacunek i uznanie Egipcjan.

— Synu Słońca, świetni panowie! Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, lecz musimy zachować czujność, bowiem w naszą stronę idą dwie armie: króla Aleppo i hetycka.

Rozległ się szmer niedowierzania.

— Obydwie zachowują się tak, jakby wcale nie było wojny — ciągnął Ahim. — Idą nieosłonięte, a ich wojownicy na koniach chyba o nas nie wiedzą.

Faraon siedział nieruchomo i milczał.

— O ile dni drogi od nas są te wojska? — zapytał Nehi.

— Król Aleppo o siedem, a król Hetytów o dziewięć. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że idą spod Ugaritu.

Podniosła się radosna wrzawa, bo to oznaczało, że oblężenie zakończyło się niepowodzeniem.

— Czy nasze drogi się przetną? — dopytywał się Nehi.

— Miną nas równoległe, jeżeli nas nie zauważą.

Dla wszystkich stało się jasne, że oto nadarza się sposobność

zgniecenia obu tych armii. Wszystko jednak zależało od tego, co powie faraon. Zapadła pełna oczekiwania cisza.

— My, syn Ra, Mencheperre — odezwał się w końcu władca — pragniemy, aby obydwie te armie doszły do Aleppo bez przeszkód.

Oficerowie popatrzyli po sobie zdziwieni.

— Być może król Aleppo i król Hetytów będą chcieli z nami rozmawiać — dodał.

Aleppo nigdy nie było tak bogate jak Ugarit czy Babilon, lecz mogło się podobać. Szczególnie zapadała w pamięć ta część miasta, w której wznosił się pałac króla i wielkie domy bankierów, kupców i wielmożów.

Ardaszir otrzymał od Sziszaka mnóstwo poleceń. Musiał dopilnować, by rozdano mieszkańcom broń z magazynów, i wtajemniczyć w plany króla pewną część wielmożów i bankierów. Urzędował w królewskim pałacu i nie dopuszczał do siebie prawie nikogo, ponieważ śmiertelnie bał się zamachu na swe życie. Wielkie było jego zdziwienie, gdy doniesiono mu, że koniecznie pragnie zobaczyć się z nim dwoje przybyszów.

— Przeçońcie ich na cztery wiatry! — krzyknął do służby.

— Panie, mówią, że ich znasz i z pewnością przyjmiesz.

Ardaszir po chwili namysłu postanowił zobaczyć, co to za intruzi.

Goście czekali w wielkiej błękitnej sali, do której wstęp mieli ludzie z miasta.

— Czyżbyś mnie nie poznawał? — usłyszał Ardaszira.

Od razu poznał Enuanę i ugięły się pod nim nogi.

— Proszę, jak nisko upadłaś, pani — wycodził, patrząc na kapłankę odzianą w łachmany. — A gdzie to podział się twój brat?

— Nie mógł, ku mojemu szczeremu żalowi, przyjść osobiście, żeby wbić ci nóż pod żebra, ty zdrajco — odcięła się

Enuana, a jej oczy miały skry. — Czy możemy porozmawiać bez świadków? — zapytała, patrząc znacząco na strażników.

• — Kpisz sobie chyba, Enuano. Ani przez moment nie zostanę z wami sam na sam.

— To, co mamy do powiedzenia, jest ważne dla króla Sziszaka.

— Ja decyduję o tym, co jest ważne dla mego króla — odpowiedział zimno Ardaszir.

— Jesteś głupcem, Ardaszirze, synu Artaszimy! Przybywamy z daleka, z samego Megiddo.

— A kim jest twój towarzysz?

— Jestem Hapuseneb, wielki arcykapłan Amona w Tebach, przywódca opozycji przeciwko faraonowi.

— A ja jestem królem Babilonu — mruknął Ardaszir, a strażnicy parsknęli śmiechem. — Wysłucham was, choć naprawdę nie wiem, dlaczego to robię. Jestem bardzo zapracowany.

Ardaszir i towarzyszący mu strażnicy zaprowadzili Enuanę i Hapuseneba do nieco mniejszej sali, której podłogę pokrywała misterna mozaika, a ściany ozdabiały malowidła przedstawiające Baala Hannona dziwnie podobnego do króla Sziszaka.

— Co więc macie mi do powiedzenia? — zapytał, wygodnie rozsiadając się na sofie.

— Tobie nic, ale królowi tak — rzekł Hapuseneb.

— Króla nie ma w mieście i jedyną osobą upoważnioną do rozmów na tematy dotyczące państwa jestem ja.

— Nie straciłeś tupetu — zauważyła Enuana.

— Za to ty straciłaś urodę — warknął Ardaszir.

Oczy kapłanki zwęziły się złowrogo.

— Sprowadzają nas tutaj sprawy najwyższej wagi — odezwał się Hapuseneb.

— Słucham — odrzekł Ardaszir łaskawie.

— Mamy informacje, które pomogą twemu królowi w walce z faraonem.

— Ty już zdradziłeś faraona, dlaczego więc mam ci zaufać?

— A pamiętasz, głupcze, tego egipskiego szczeniaka, z któ-

rzym udawałeś przyjaźń w Babilonie? — wtrąciła się Enuana. — To on jest faraonem!

Ardaszir oblał się zimnym potem.

— Kłamiesz... — Zerwał się z sofy.

— Zrób raz coś pożytecznego! Uwierz nam, a nie pożałujesz. Twój król będzie ci wdzięczny do końca życia! — krzyknęła kapłanka Aszarte.

— Enuana mówi prawdę. Ten człowiek jest teraz faraonem — rzekł Hapuseneb. — Czy teraz, panie, powiadomisz o wszystkim króla? Chcielibyśmy również otrzymać nowe szaty i coś zjeść.

— Wyobraź sobie, panie — wycedził Ardaszir — że nie omieszka tego uczynić. A w pałacu możecie czuć się jak u siebie w domu — dodał z uśmiechem, od którego Hapusenebowi przeszły ciarki po plecach.

— Marnusilisie, moje obawy się potwierdziły — powiedział zmartwiony Ursilis, pokazując miejsce obok siebie. Dostojnik usiadł na lwiej skórze. — Dzisiaj rano przybył goniec z listem od króla Aleppo. Mój człowiek nie mógł do nas przyjechać, żeby wyjaśnić nasze wątpliwości, ponieważ jego król skierował go do miasta, aby przygotował dla nas kwatery. Wyobraź sobie, że dostaliśmy zaproszenie na ucztę w pałacu, a wszyscy nasi wojownicy na biesiadę.

— Panie, nie ma wątpliwości, że to zdrada — rzekł stary Marnusilis. — Trzeba od razu uderzyć na miasto.

— Chcesz zdobyć Aleppo z marszu? To nie jest zła myśl... — Ursilis zamyślił się na moment. — Przyjmiemy zaproszenie, a w noc przed ucztą mały oddział przekradnie się do miasta i opanuje jedną z głównych bram. Żołnierze obwiążą nogi szmatami, by nie było słychać, jak nadchodzą.

— To trochę ryzykowne. Czy wiemy, gdzie jest teraz faraon i jego wojska?

— Gdzieś na południu, ale nie podejrzewam, żeby pragnął jeszcze jednej bitwy.

— A czy nie będzie szukał porozumienia?

— Z kim? Król Aleppo jest dla niego zwykłym buntownikiem, a nie partnerem do rozmów.

— A ty?

— Ja jestem tutaj z pobudek osobistych, choć nie ukrywam, że z tej wojny wyjdziemy silniejsi. Na razie policzę się z Szaszakiem. Myślę, że faraon będzie czekał na rozwój wypadków, jeśli wie, że oblężenie Ugaritu się skończyło.

Zagrały rogi obwieszczające wymarsz. Do Aleppo zostały cztery dni drogi.

Szamaszi urzędował w pięknym pałacu, który kazał wznieść w dzielnicy najbogatszych. Wprowadził się niedawno, po domu kręcili się jeszcze architekci i niewolnicy zaopatrujący kuchnię w najbardziej wykwintne produkty, bo Szamaszi, bez względu na okoliczności, uwielbiał dobre jedzenie i dobre wina.

Gdy przybył do Egiptu, wyglądał jak bogaty Babilończyk. Wkrótce jednak zgolił brodę i przywdział egipskie szaty.

Siedział przy biurku, które kazał ustawić w najjaśniejszej komnacie, i wpatrywał się w rzędy słupków na tabliczkach. Chociaż wybornie znał język egipski, do prowadzenia księgowości używał klinów, ponieważ mało kto potrafił je odczytać, a poza tym pismo kapłanów zajmowało zbyt dużo miejsca, a papirus był bardzo drogi. Trwała wojna i Szamaszi nie pozwalał sobie na rozrzutność. Chyba że wydawał własne pieniądze.

Nagle przypomniał sobie, że kazał niewolnikowi przynieść sok. Zadzwonił dzwoneczkiem raz jeszcze. Nic. Niech no ja dorwę tego obiboka. Przysięgam, że złamię na nim kij, pomyślał z irytacją, wstał i ruszył w stronę drzwi, które w tym momencie otworzyły się z trzaskiem. Do komnaty wpadł Tote, szambelan kupca, wołając:

- Panie mój, niezwykle wiadomości!
- Cóż się stało?
- Panie, przynoszę cudowną wiadomość, o której właśnie dowiedziały się Teby. Przywieźli ją marynarze przybywający z Delty.
- Mówże, do krośset!
- Faraon pobił syryjskie miasta pod Megiddo. Tyr, Sydon i Byblos przeszły na naszą stronę!
- Szamaszi klasnął w dłonie.
- Wiedziałem, że tak będzie! Sprzed ilu tygodni jest ta wiadomość?
- Sprzed miesiąca. Panie, do twego domu zmierza dostojna Charis z dzieckiem.
- I dopiero teraz to mówisz? Ruszaj do kucharza, niech poda, co ma najlepszego.
- Syn faraona miał już osiem miesięcy, a bankier zadbał o najlepszą mamkę w mieście.
- Charis bardzo źle zniosła poród, a kapłani, którzy poród odebrali, powiedzieli jasno, że jeśli chce żyć, nie może więcej rodzić. Szamaszi oraz Chaemhat i Senenu, którzy zaprzestali wszelkich kłowań przeciw faraonowi, zdecydowali, że dziecko będzie Egipcjaninem i członkiem rodziny faraona. Szamaszi wyszedł do ogrodu, by przywitać gościa. Zagrały kołatki, niesione przez służbę przed Charis. Dziewczyna przybyła w towarzystwie kilku zaprzyjaźnionych młodych Syryjek, które wychowywały się na dworze faraona jako zakładniczki.
- Szamaszi, gdy cię widzę, natychmiast znikają wszelkie troski — wykrzyknęła po grecku rozpromieniona Charis.
- Zawsze wiedziałem, że mój dom to szczęśliwe miejsce, ale największym szczęściarzem jestem ja, ponieważ jednego dnia do mego domu zawitało tak wiele diamentów i szmaragdów.
- Komplement spodobał się nie tylko Charis, która już zdażyła przywyknąć do górnolotnego sposobu wyrażania się bankiera, ale również kilku urodziwym damom, ceniącym towarzystwo swej wysoko postawionej przyjaciółki. Szamaszi podchwycił

ich spojrzenie i jego serce zabiło szybciej. Bogowie, przeżyłem wojny i przewroty, ale małżeństwa na pewno bym nie przeżył, pomyślał. Po co Charis przyprowadziła te kobiety? Klasnęła, a słudzy otworzyli drzwi prowadzące z ogrodu do komnat. Towarzystwo ruszyło za Tote, który był podczaszym, gońcem i sekretarzem w jednej osobie.

— Charis, czemu zawdzięczam twoją wizytę? — zapytał Szamaszi, zapraszając damy, by rozsiadły się wygodnie na sofach.

— Są ważne sprawy, o których tylko z tobą mogę szczerze pomówić.

Szamaszi znów klasnęła i do komnaty weszła grupa muzykantów. Wkrótce goście bawili się i śmiali, jedli i pili najlepsze wina, które lano z wielkich srebrnych czar. W zabawianiu gości celował zwłaszcza młody Tote, który szybko zyskał sobie sympatię dam. Po jakimś czasie Szamaszi poprowadził Charis do ogrodu.

— Szamaszi, nie wiedziałam, że takie cuda kryje twój dom — rzekła Charis, muskając dłonią nurseny, lilie i orchidee, których nasiona bankier sprowadził niemal z całego świata.

— Prace w ogrodzie skończono dopiero kilka dni temu, ale ja lubię zaskakiwać moich przyjaciół. Jak miewa się twój syn?

— Na szczęście dobrze.

— Czy słyszałaś już o Megiddo?

— Tak. Dlatego do ciebie przyszedłem. To wiele zmienia.

— Bez wątpienia, ale nie chcesz chyba mówić ze mną o wojnie?

— Chcę pomówić z tobą o przyszłości mego syna i o mojej pozycji na dworze.

— Czy coś się stało?

— Szamaszi, nie udawaj, że nie rozumiesz. Wojna zmieni właśnie tę sytuację. Ceną ewentualnego pokoju z Mitanni będzie małżeństwo faraona. Nie boję się o siebie. Chcę tylko, żeby Neferhue był bezpieczny.

— Charis, mało jest na świecie takich kobiet jak ty...

— Ach, przestań...

— Mówię to z bólem, ale najlepiej będzie, jeśli sama się usuniesz, gdy do pałacu przybędzie jego małżonka. Totmes nie będzie musiał wybierać między tobą i dynastią.

— Męskie wybory! — krzyknęła Charis. — Szamaszi, kobiety zawsze dokonują trudniejszych wyborów. Zawsze! To, co muszę zrobić, jest niesprawiedliwe, ale taki jest los kobiet, podczas gdy wy oddajecie się władzy i wojnie.

— Charis, to nie jest kwestia wyborów. Twój los to życie w cieniu leżącego sokoła. Jeżeli odejdziesz teraz, Totmes to zrozumie i będzie ci wdzięczny. Będziesz mogła żyć spokojnie.

— Spokojne życie? Czy to nie jest sen? Powiedz — pytała Achajka z goryczą.

— Chyba bardzo przyjemny sen, tak jak przyjemne jest każde złudzenie — westchnął bankier.

— Moje życie było złudzeniem, Szamaszi. Masz rację, żyłam w cieniu sokoła.

— Nie ty jedna, Charis, wierz mi. Jest jeszcze ktoś, kto żyje w cieniu sokoła faraonów, ale jeszcze o tym nie wie.

Charis nie dosłyszała jednak ostatnich słów Szamasiego, bo do grodu wszedł Tote z rozbawionym Neferhue na rękach.

Metufer został stracony trzy dni po tym, jak Aszerkare i Ahim wykryli jego zdradę. Enaburiasz jednak był więźniem, który wiedział dużo o knowaniach syryjskich władców, Aszerkare chciał więc wydobyć z niego jak najwięcej.

— Weźcie go na słup Seta! — krzyknął do żołnierzy.

Żołnierze przywiązali ręce Enaburiasza do poprzecznej belki zawieszanej między drzewami.

— Opuście mnie, przekłęci dranie, nie wiecie, kim jestem! — krzyczał aptekarz.

— Z kim się zadawałeś w egipskim obozie? — spytał Aszerkare, nie zważając na jego krzyki.

— Z nikim i wcale nie jestem Enaburiasz.

— Nie? Do góry go! Co robiłeś w egipskim obozie?

Twarz aptekarza była czerwona z bólu i wściekłości.

— Opuśćcie mnie, zapłacę! — jęknął.

— Podciągnijcie go jeszcze wyżej. Zaczynam tracić cierpliwość, a kiedy całkiem ją stracę, będzie z tobą naprawdę źle.

Enaburiasz podjechał w górę o jeden łokieć. Dał się słyszeć trzask rozciąganych stawów. Enaburiasz wył z bólu.

— Z kim przybyłeś do obozu faraona?

— Z Enuana, to moja siostra, przecież ją znasz — wydyszał.

— Pomyliłeś mnie z kimś — warknął Aszerkare. — Dlaczego interesują cię ministrowie faraona?

— Znałem Hapuseneba... jestem kapłanem Marduka... utrzymywaliśmy kontakty...

Aptekarz zaczął rzeźić. Aszerkare zdał sobie sprawę, że jeśli powisi jeszcze trochę, wyzionie ducha.

— Opuśćcie go — rozkazał.

Żołnierze poluzowali liny i więzień zwałił się jak kłoda na ziemię, jęcząc przeraźliwie. Kości rąk miał wyrwane ze stawów. By je nastawić, żołnierze obwiązali jego ręce sznurami i pociągnęli. Enaburiasz zawył i stracił przytomność.

Gdy król Sziszak przybył do Aleppo, Ardaszir powiadomił go o przygotowaniach do uczyty i o tym, że w pałacu przebywa Enuana i kapłan Amona, który uciekł z egipskiego obozu.

— Panie, uważają cię za największego wroga faraona! — oznajmił Ardaszir.

— To dobrze, to bardzo dobrze. A co robi Enuana? Czy jest w pałacu? — dopytywał się król dziwnie ożywiony.

— Odpoczywa. Byli bardzo utrudzeni. Dostojna kapłanka bierze kąpiel w mleku.

— Rozumiem — mruknął Sziszak.

— Czy znasz ją, panie?

— Oczywiście. Każdy wielmoża w Syrii ją zna. Muszę

się z nią zobaczyć! — Król spacerował tam i z powrotem po wielkiej sali.

— Twa wizyta na pewno sprawi jej przyjemność, panie. Nie mylił się. Wizyta była przyjemna dla obu stron.

— Kto tam? — krzyknął strażnik, spoglądając z muru w ciemność. Mury Aleppo nie były wysokie, lecz księżyc skrył się za chmurami i niewiele było widać.

— Kto tam? — wrzasnął jeszcze raz.

— Hej tam, na południowej bramie, zamknijcie się, dobrze? — odkrzyknęli inni strażnicy.

Żołnierz właśnie miał się odwrócić do tych, którzy śmieli go upominać, gdy poczuł silne szarpnięcie. W ułamku sekundy zrozumiał, że zarzucono mu na szyję sznur. Ktoś szarpnął znowu i strażnik nie żył. Na mur zaczęli wspinać się uzbrojeni ludzie. Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Drugi strażnik, który miał właśnie zmienić niezującego już kolegę, spadł na dół z krzykiem. Napastnicy zaczęli schodzić ku południowej bramie.

Nieopodal tej bramy stała wysoka wieża, która była miejscem spotkań magów i wróżbitów, badających pozycje gwiazd i czytających z nich przyszłość. Kończyło się właśnie takie spotkanie, na którym był obecny również Hapuseneb. Wróżby wypadły bardzo pomyślnie, faraon miał ponieść klęskę w najbliższych miesiącach.

— Co tam się dzieje? — zapytał jeden z magów.

Do ich uszu dobiegło skrzypienie otwieranej bramy. Lecz kto mógłby otwierać bramy miasta o tak późnej porze? Odpowiedź nadeszła po sekundzie; ulice Aleppo wypełniły setki ciemnych postaci. Każdy, kto stanął im na drodze, ginął.

— Do wieży! — krzyknął Hapuseneb.

W chwili gdy ostatni z magów zaryglował masywne odrzwia, już rozbijali je toporami hetyccy wojownicy.

— Enuano, jesteś niezrównana — westchnął król Sziszak, leżąc koło kapłanki.

— Panie, muszę ci wyznać, że nigdy nie było mi lepiej z żadnym mężczyzną.

— Zrobię dla ciebie wszystko — wyszeptał król, wciąż ciężko dysząc po miłosnych zapasach.

— Panie, nie pragnę niczego innego, jak tylko tego, byś mi rozkazywał. A teraz obejmij mnie, jak czynią to lwy.

Sziszak miał właśnie zamienić się w królewskie zwierzę, gdy nagle drzwi się otworzyły i do komnaty wpadł Ardaszir, a za nim eunuchowie, próbujący go zatrzymać.

— Jak śmiesz, psie! Każę cię oćwiczyć! — krzyknął król, zasłaniając swą nagość.

— Panie, rób, co uważasz za słuszne, ale musimy uciekać! Hetyci są w mieście!

Enuana zasłoniła dłonią usta.

— Czy nie słyszycie odgłosów walki? Hetyci wyrzynają gwardię pałacową! Uciekajmy! Chyba nie sądzicie, że ten drań Ursilis zostawi was przy życiu?

Gwardia królewska została zaskoczona w koszarach. Żołnierze, którzy pełnili wartę, leżeli martwi u stóp schodów prowadzących do pałacu.

Miastem wstrząsnął tętent setek kopyt. To wjeżdżał Ursilis na czele doborowej konnicy. Wkrótce powiadomiono go, że Sziszaka nie ma w pałacu. Podejrzewano, że uciekł tajnym przejściem. Wśród eunuchów znaleźli się zdrajcy, którzy je wskazali.

Ściany korytarza pachniały grzybem i wilgocią. Panowały nieprzeniknione ciemności. W końcu Ardaszir z ulgą poczuł powiew świeżego powietrza.

— Jesteśmy blisko wyjścia — rzekł Sziszak. — Przed nami są schody zakończone klapą. Wystarczy ją pchnąć.

Weszli na górę. Król uchylił klapę. Przez moment nasłuchiwali, ale ciszy nie mącił żaden dźwięk.

— Ardaszir pierwszy — rzucił król.

— Dlaczego ja?

— Bo tak każe.

Mag zniknął w ciemności. Powiał ciepły wiatr, niosąc zapach spalenizny.

— Ardaszirze, jak jest na górze? — zapytał przenikliwym szeptem Sziszak.

Odpowiedziała mu cisza.

— Ten przekłety drań uciekł! — syknął Sziszak, wchodząc na ostatni stopień. Enuana ruszyła za nim, lecz pośliznęła się na mokrym schodku. Chwyliła się za kostkę.

— Chyba skręciłam nogę! — jęknęła, lecz król nie odpowiedział.

Ruszyła więc do góry, podpierając się rękoma. Gdy była już blisko otworu, zobaczyła w nim męską dłoń.

— Dziękuję ci, panie — wysapała, chwytając rękę.

Pociągnięto ją do góry. Upadła twarzą na bruk. Gdy podniosła głowę, zobaczyła, że otaczają ją postacie z pochodniami. Ardaszir i Sziszak byli zakneblowani i związani. Jeden z ludzi wystąpił naprzód. Nie trzymał pochodni.

— Mówiłem ci, Enuano, że kiedyś znów się spotkamy. Nie uciekniesz mi.

Przerażona kapłanka zaczęła się czołgać, jakby miała nadzieję uciec od głosu, który tak dobrze знаła. Nie mogła uwierzyć, że jej życie zbliża się nieuchronnie do końca.

Spotkanie

Kilka dni po zdobyciu Aleppo wszyscy ocalali z rzezi kupcy i wielmoże klęczeli przed królem Hetytów, błagając o darowanie życia. Każdy z Hetytów zdołał zebrać spory worek naczyń, ozdób ze srebra i lapis-lazuli. Przed wjazdem do obozu w ziemi tkwił pal. Wbity nań człowiek już nie żył, lecz jego twarz wciąż mówiła o męce, jaką przeszedł. Był to Ardaszir.

Król Sziszak został jeńcem. Enuanę zaś zamknięto w klatce stojącej na obrzeżu obozowiska.

— Dajcie mi jeść, dranie! — krzyczała, lecz jej krzyki nie robiły na strażnikach wrażenia. Przez pierwsze dwa dni miotała straszliwe przekleństwa, potem zaczęła płakać, a piątego dnia leżała już tylko skulona w kącie klatki.

— Zbudź się, Enuano. — Z letargu wyrwał ją czyjś głos.

Przerażona rzuciła się w przeciwległy kąt klatki, osłaniając oczy przed słonecznym blaskiem.

— Wiedziałem, że pewnego dnia wpadniesz w moje ręce.

— Błagam cię, wypuść mnie, a zrobię wszystko, czego zażadasz — wyszeptała kapłanka.

— Zapłacisz za swoją podłość — powiedział zimno Ursilis, podchodząc bliżej. — I za śmierć Anchnuma.

Enuana podniosła przekrwione oczy. Jej twarz wykrzywiła się w przerażającym uśmiechu.

— Dlaczego się śmiejesz?

Nie odpowiedziała, tylko przepelzła na środek klatki, aby Ursilis lepiej ją widział.

— Ty hetycki głupcze! Twój Anchnum żyje!

— Kłamiesz! Zabiliście go z Enaburiaszem w Babilonie!

— Nic nie wiesz! Twój Anchnum to faraon, któremu wypowiedziałeś wojnę!

Ursilis miał ochotę udusić ją własnymi rękami. Powstrzymał się jednak. Zwariowała, pomyślał, majaczy.

Rozkazał strażnikom, by przestali podawać jej wodę. Żyła jeszcze przez tydzień.

— Ruszać się tam w tyle! — krzyknął hetycki strażnik. Prowadzono jeńców z Aleppo. Byli wśród nich starcy i dzieci, wojownicy i kobiety, wszyscy jednakowo wycieńczeni i przerażeni. Nikt nie wiedział, dokąd idą. Jedna tylko twarz nie zdradzała strachu. Człowiek ten szedł dumnie wyprostowany, patrząc zimno przed siebie. Ubrany był w brudne białe szaty.

. — Kim jesteś, panie? — zagadnął go wysoki, niemłody, brodaty Syryjczyk.

— A czy ma to teraz jakieś znaczenie? Jesteś kupcem, panie?

— Można tak powiedzieć — rzekł lakonicznie brodac. — Znam się na niewolnikach. Nazywam się Szebakanezar, choć mówią na mnie Sprawiedliwy.

— Wiesz, dokąd nas prowadzą?

— Myślę, że wezmą nas jako zakładników. Ponoć niedaleko stąd stoi armia egipska.

— Skąd to wiesz?

— Podслуchałem kilku oficerów hetyckich, którzy mówili o tym rano i byli bardzo poruszeni.

— Znasz hetycki?

— Rozumiem trochę. Kiedyś nawet z nimi handlowałem. Jakieś dwadzieścia lat temu. Schwytałem wówczas takiego

jednego szczeniaka hetyckiego niedaleko Kadesz. Miałem z nim potem sporo kłopotu.

— To ciekawe...

— Właściwie to wiedziałem, że ten szczur będzie tamtędy jechał... Powiedział mi o tym dostojny Enaburiasz, kupiec, podróżnik i chyba babiloński kapłan. Mówił, że ten szczeniak to jakiś hetycki książe. Strasznie się szamotał, ale znalazłem na niego sposób — kij. Chodził potem siny, tak go zlałem.

— I co dalej? Zabiłeś go?

— Skądże! Taki rarytas nie trafia się często! — wykrzyknął Syryjczyk. — Pojechałem z nim do Ugaritu, bo urodę miał niespotykaną i mogłem dużo za niego dostać. Młody, piękny chłopiec wart jest w Syrii więcej niż młoda dziewczyna. Chłopak rósł, był coraz silniejszy, więc któregoś dnia pobił jednego z klientów. Zbiłem go wówczas i sprzedałem do Egiptu.

— Do Egiptu?

— Dziwi cię to?

— Jestem Egipcjaninem.

— Egipcjanin w Aleppo? — zdumiał się handlarz.

— To długa historia...

— Myślę, że nie masz się czego bać. Armia faraona jest blisko. Powiesz mi, jak się nazywasz?

— Hapuseneb. Jestem kapłanem Amona Tebańskiego.

— Panie, błagam cię, wstaw się za mną u swego faraona.

— Uczynię to — zapewnił Hapuseneb. — Powiedz mi, jak nazywał się ten chłopak, którego sprzedałeś do Egiptu?

— Ursilis. A co, lubisz takich jak on?

— Nie, ale takie samo imię nosi król Hetytów.

Z twarzy Syryjczyka odpłynęła krew.

— Czy ty nigdy nie możesz podać mi posiłku tak, jak lubię? — krzyknął Aszerkare na starego niewolnika, Manche, którego dostał od Ahima, a ten dostał go od generała Nehiego.

Posiłki, które miały być gorące, niewolnik podawał zimne, a te, które zwykle jedzono na zimno, podawał gorące.

— Panie mój, Aszerkare, nie każ mnie kijem, a zrobię wszystko, czego zażadasz!

— Więc dlaczego podajesz mi niesmaczne posiłki?

— Panie, zechciej wysłuchać swego nędznego sługi. — Niewolnik wznosił do góry chude ręce w błagalnym geście. — Wzywam bogów na świadków, że wszystko to czynię z troski o ciebie, mój panie. Posiłki gorące podaję ci wtedy, kiedy widzę troski na twojej twarzy. Gdybyś, mój panie, zjadł coś zimnego, zachorowałbyś, a ponieważ jestem stary i słaby, nie mógłbym się tobą zaopiekować. Gdy jesteś zdenerwowany, co zawsze doskonale po tobie widać, podaję ci posiłki zimne. To uspokaja nerwy i nie grozi mi bicie!

— Na wszystkich bogów! — jęknął Aszerkare, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

— Panie, czynię to wszystko dla twego dobra!

— O wielka Izydo! Podawaj mi zimne potrawy, ale tylko takie, które jada się na zimno. Osiągniesz taki sam skutek, tylko że będę zadowolony.

— Dlaczego? — zdziwił się Manche.

— Jak to dlaczego? Bo zjem je ze smakiem!

— A czy dzisiejszy posiłek nie smakuje ci, mój panie?

— Czy gotowana soczewica jest dobra na zimno?

Stary niewolnik usiadł na krześle, wziął srebrną łyżkę swego pana i zanim ten zdążył zaprotestować, pochłonął wielką porcję gotowanej soczewicy, a na koniec wylizał miskę.

— Muszę ci, panie, powiedzieć, że mnie soczewica smakuje zarówno zimna, jak i ciepła. A skoro nie ma różnicy, będę koił twe nerwy, jak potrafię najlepiej, i nawet bogowie muszą teraz przyznać, że cię nie oszukuję.

— Ale co ja teraz będę jadł? — zapytał zrezygnowany Aszerkare.

— O, panie mój, czy nie rzekłeś mi: „Usiądź na mym miejscu i sam skosztuj potrawy, która mi nie smakuje”?

- To prawda, mniej więcej tak powiedziałem.
— A ja usiadłem i uczyniłem to, co mi kazałeś. Dlaczego więc narzekasz, panie, że nie masz co jeść?

Wkrótce potem przed mały namiot Aszerkare zajechały konie i do wnętrza wszedł Ahim.

— Witaj, choć nie mam cię czym dzisiaj ugościć. Wszystko zjadł mój sługa — powiedział oficer, wskazując na pustą miskę.

— Aszerkare, nie przyszedłem cię objadać — zaśmiał się Ahim. — Przyszedłem ci powiedzieć, że pojedziesz z bardzo ważną misją. Faraon zdecydował, że trzeba wysłać kogoś do obozu Hetytów, i mnie powierzył znalezienie odpowiedniego człowieka.

— Panie, dziękuję, że obdarzasz mnie takim zaufaniem — skłonił się Aszerkare. — Proszę, usiądź i napij się ze mną wina. Mam nadzieję, że Manche go nie wypił — dodał, patrząc znacząco na sługę, który stawał właśnie na stole puchary i dzban. Po jakimś czasie przyniósł też półmisek z pieczonymi w miodzie gołębiami.

— Aszerkare, dlaczego jadasz mięsa na zimno? — zainteresował się Ahim.

— Bo takie mi smakują — mruknął gospodarz.

Manche popatrzył z wdzięcznością, jakby nie zauważył morderczych błysków w oczach swego pana.

Ahim został do późna. Sługa dolewał wina, a koczownik i Aszerkare opowiedzieli sobie koleje swego życia, mówili o wojnie i planach na przyszłość. Wreszcie Ahim ułożył się do snu na ziemi, a Manche wznosił ręce do góry i rzekł z wyrzutem:

— Panie mój, Aszerkare, upiłeś dostojnego Ahima, wodza tych straszliwych jeźdźców! Sam ich widok przejmuje mnie drżeniem.

— Słowo daję, że złamię kij na twym grzbiecie — pogroził mu Aszerkare, ziewając, i zaległ na ziemi obok gościa.

Dwa dni później Aszerkare wsiadł na rydwan. Pokłonił się Ahimowi i strzelił batem. Konie wyrwały do przodu, Aszerkare poczuł na twarzy uderzenie wiatru, cudownie świeże i wyzwalające. Kilka mil przed Aleppo zwolnił na tyle, by jego eskorta, złożona z najlepszych jeźdźców z oddziałów Ahima, mogła go dogonić. Koczownicy patrzyli na niego jak na szaleńca. Jeden z nich, młody chłopak, powiedział po egipsku:

— Myśleliśmy, że twoje konie poniosły. Napędziłeś nam strachu.

— Wybaczcie, chciałem nacieszyć się jazdą. Byłoby dobrze, gdybyśmy razem wjechali do obozu Hetytów, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie.

— Popatrzcie! — krzyknął jeden z koczowników.

Z obozu Hetytów jechała w stronę oddziałku Aszerkare grupa jeźdźców. Jeden z nich wysunął się do przodu. Jego pierś opinała zbroja złożona z setek małych płytek wykutych z nieznanego Aszerkare metalu, przez ramię miał przerzuconą skórę lwa. Do hełmu zasłaniającego twarz przymocowana była barwiona na czerwono kita z końskiego włosia. Długie włosy zaplótł w warkocz.

— Witaj, panie — rzekł najczystszym egipskim. — Co sprowadza cię na ziemię Hatti?

— Nie wiem, dostojny panie, czy ziemia, na której jesteśmy, należy do króla Hetytów, ale wiem na pewno, że należy ona do faraona — odrzekł Aszerkare, dziwiąc się, skąd Hetyta tak dobrze zna jego język. — Jestem Aszerkare, oficer pułków Amona, i mam list od mego faraona do waszego króla.

— Możesz, panie, pojechać ze swymi ludźmi do obozu, aby pokazać ten list naszemu wielkiemu królowi — powiedział wojownik, wpatrując się uważnie w młodego oficera.

— Dlaczego mi się przyglądasz?

— Znałem kiedyś kilku Egipcjan... — rzekł Hetyta wymijająco. — Jedźmy do obozu, milej będzie ci oczekiwać na odpowiedź króla przy winie i muzyce.

— Mam nadzieję, że wino macie równie wyborne, jak broń i wojowników. Ale jestem skłonny iść o zakład, że prześcignę cię na rydwanie.

— Dam miecz z żelaza, bo wiem, że twój rydwan nie prześcignie mego konia.

Aszerkare popatrzył na konia Hetyty, pięknego karego ogiera o lśniącej sierści.

— Przegrasz, Hetyto — orzekł z przekonaniem.

— Nic nie prześcignie mego ogiera.

— Zobaczymy. Jeśli wygram, wyjawisz mi swe imię. A skoro tak bardzo chwalisz swego konia, panie, wiedz, że moi towarzysze, którzy są synami pustyni, mogą prowadzić konie w galopie łeb w łeb.

— Nie wierzę ci, Egipcjaninie. Każdy koń chce być najszybszy.

Hetyta w hełmie odwrócił się do swoich ludzi i powiedział do nich coś, czego Aszerkare nie zrozumiał. Hetyci wzniesli okrzyk i Aszerkare odgadł, że zgodzili się wziąć udział w wyścigu.

Ruszyli. Aszerkare strzelił batem i egipski lekki rydwan pognął niczym pustynny wicher. Przez chwilę Aszerkare nie mógł złapać tchu. Hetyta, przywarłszy do końskiego grzbietu, pędził tuż za nim. Zdało się, że ziemia jęczy pod końskimi kopytami. Egipskie klacze, ku wściekłości Aszerkare, nie mogły już galopować szybciej. Koń Hetyty prawie się z nimi zrównał, a po chwili wyskoczył o pół łba do przodu. Aszerkare ściągnął wodze i koła rydwanu zaryły w piach. Gdy podjechał do niego Hetyta, wysapał, z trudem łapiąc oddech:

— Panie, rzekłeś prawdą, twój koń nie ma sobie równych. Rzadko który rumak potrafi wyprzedzić o pół łba rydwan na tak krótkim odcinku.

— Nigdy nie miałem takiego przeciwnika jak ty, Egipcjaninie — przyznał Hetyta. — Ale jeszcze nie skończyliśmy zawodów.

Z obozu wysypała się setka wojowników, by obserwować wyścig. Teraz otoczyli tajemniczego jeźdźca oraz Aszerkare, wznosząc okrzyki na ich cześć. Człowiek w hełmie dał znak ręką.

Wszyscy zwrócili się w stronę otwartej przestrzeni, na której miał się rozegrać drugi wyścig między koczownikami i Hetytami. Koczownicy początkowo galopowali równo z Hetytami, wzniesając tumany pyłu, lecz po chwili pokazali, co potrafią. Spięli rumaki i zaczęli wysuwać się przed przeciwników, a ich konie nie przestawały iść łeb w łeb. Hetyci patrzyli z zachwytem, okrzykami zagrzewając zawodników do walki. Jedyne wojownik w hełmie nie śmiał się i nie krzyczał, tylko ukradkiem zerkał na egipskiego oficera.

Hetyci, mimo że zmusili konie do szaleńczego pędu, nie byli w stanie dogonić koczowników. Aszerkare krzyczał na ten widok z radości.

— Pierwszy wyścig przegrałem i możesz żądać od mnie, czego tylko chcesz, panie. Lecz drugi wygrałem ja i chciałbym poznać twe imię — rzekł do Hetyty, który właśnie zdejmował z głowy hełm.

Oczom Egipcjanina ukazały się włosy jasne jak pszenica i młoda twarz, od której biła jednak niezwykła powaga, w oczach zaś krył się bezbrzeżny smutek.

— Jestem Ursilis, król Hetytów.

— Czego się napijesz, Aszerkare? — zapytał król, gdy rozgościli się w jego przestronnym namiocie.

— Wina. Mam list dla ciebie, panie, od mego faraona.

Ursilis złamał pieczęcie i zaczął czytać.

— Dostojny Aszerkare — powiedział po chwili, rzucając tabliczki na ziemię — przekaz swemu faraonowi, że ani ja, ani moje wojska stad nie odejdziemy. Nasze armie niechybnie spotkają się na polu bitwy.

— Czy to jest twoja ostateczna odpowiedź, królu?

— Tak.

— Dlaczego, Anchnumie, przybrałeś inne imię i czy naprawdę mnie nie poznajesz? — zapytał nieoczekiwanie król, zmieniając ton.

— Panie, nie jestem Anchnum — odrzekł spokojnie Aszerkare. — Mój przyjaciel, wódz koczowników, powiedział mi, do kogo jestem podobny. I że mogę za to podobieństwo zapłacić życiem.

Król Hetytów wstał i podszedł do Aszerkare, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

— Bogowie — wyszeptał — a więc nie wiesz, kim jesteś?

— Panie, twe słowa mnie przerażają.

— Przysięgam ci, że ode mnie twój faraon nie dowie się niczego, Egipcjaninie — zapewnił Ursilis, przechadzając się nerwowo po namiocie. — Czy to wszystko, co miałeś mi do przekazania?

— Królu, wódz koczowników, Ahim, który rozmawiał z faraonem w cztery oczy, rzekł mi słowa, przeznaczone tylko dla twoich uszu: „Powiedzcie memu królewskiemu bratu, niech wyjdzie na środek równiny między liniami naszych armii, ja uczynię tak samo, i wówczas mój królewski brat przypomni sobie inną drogę i innego człowieka”.

— Egipcjaninie, powtórz to jeszcze raz — poprosił Ursilis, błędąc.

Aszerkare powtórzył.

— Aszerkare, wróć do swego obozu i przekaz wodzowi koczowników moje słowa, a on niech zanieś je faraonowi: „Wiele jest dróg i ludzi, ale nigdy nie możemy oddychać tym samym powietrzem i nie ma takiej rzeki, do której można

wstąpić więcej niż raz w życiu. Król Hatti jutro wyjedzie na środek równiny sam, bez broni, i niechaj to samo uczyni faraon". Zrozumiałeś?

— Tak, panie.

— W takim razie jedź. Ale wiedz, że wkrótce cię wezwę.

Aszerkare wyszedł. Ursilis został sam. Bał się spotkania z faraonem. Bał się, że spoglądając w twarz dawnego przyjaciela, zobaczy kogoś obcego. Obaj są królami. Zbyt wiele ich dzieli.

Ursilis gorzko zapłakał.

Kolumna jeńców znajdowała się już dość daleko od Aleppo. Nagle strażnicy krzyknęli, że wszyscy mają się zatrzymać. Hapuseneb usiadł na płaskim kamieniu. Mimo swych lat, doskonale znosił trudy drogi. Schylił głowę, by zdrzemnąć się chwilę. Wtem zagrał róg. Strażnicy zaczęli spychać więźniów na jedną stronę drogi.

— Gdzie oni nas przyprowadzili? — spytał handlarz niewolników, który właśnie znalazł się koło Hapuseneba.

— Obóz faraona jest na południe od miasta, a my, sądząc z położenia słońca, poszliśmy na wschód — stwierdził kapłan.

— Co oni chcą z nami zrobić... — Handlarz nie dokończył. Powietrze wypełnił świst strzał. Sypały się tak gęsto, że nie sposób było się ukryć. Hapuseneb widział, jak strażnicy masakrują jeńców. Nagle poczuł uderzenie w ramię. Zdołał jeszcze dostrzec, że jego prawa ręka zabarwiła się na czerwono. Padł na kolana. Śmierć stała się snem, a sen śmiercią.

Zagrały trąby. Faraon z biczem i zakrzywionym berłem jechał na rydwanie we wspaniałym białym stroju, w otoczeniu kilku-nastu oficerów, w tym Ahima i Nehiego.

— Myślę, że mamy za mało ludzi — szepnął zaniepokojony Ahim.

— Nie chcę, aby to spotkanie zamieniło się w jatkę. Nie chciałby tego również Puimre, gdyby żył — odparł Nehi.

— Nehi, nie wiesz wszystkiego. Wczoraj jeden z moich oddziałów zwiadowczych patrolował tereny na wschodzie. Znaleźli coś strasznego.

— Co takiego?

— Setki ciał podziurawionych strzałami jak sito.

— Co to za ludzie?

— Jeńcy z Aleppo. Kupcy, handlarze i kapłani.

— Kiedy ich zabito?

— Moi ludzie mówią, że kilka dni temu.

— Widać Hetyci tak jak Asyryjczy zabijają swoich jeńców — westchnął generał. — Nic nie możemy już zrobić.

Orszak faraona wkroczył na trawiastą równinę. Od strony obozu Hetytów jechało kilkudziesięciu jeźdźców. Na środku równiny Nehi wstrzymał pochód, gdyż to samo uczynili Hetyci. Wszyscy skłonili głowy, kiedy faraon oddał bicz i berło, wziął w ręce lejce rydwanu i ruszył. Na jego spotkanie jechał Hetyta w pięknej zbroi, ze skórą lwa na ramieniu. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów obaj zsiadli z rydwanów.

Przez wiele dni po tym spotkaniu faraon nic nie jadł i nikogo nie przyjmował. Z jego namiotu dochodziła smutna muzyka fletu.

Pewnej nocy do egipskiego obozu przybył hetycki poseł Marnusilis, który chciał widzieć tylko Aszerkare.

— Aszerkare, Egipcjaninie, wybacz tę niespodziewaną wizytę, lecz król Ursilis pragnie cię widzieć i byłoby dobrze, gdybyś natychmiast udał się ze mną.

— Co się siało?

— Król oświadczył wodzom na naradzie, że nie będzie walczył z faraonem. Wszyscy wodzowie są wściekli. Obawiam się najgorszego Pospiesz się, Egipcjaninie, bo mój król chciałby opowiedzieć ci o spotkaniu z faraonem.

*

Aszerkare wymknął się z obozu. Marnusilis podał mu hasło i Egipcjanin bez przeszkód znalazł się w samym środku obozu wrogów. Wszedł do królewskiego namiotu i zastał w nim kilku Hetytów siedzących na sofach i rozmawiających z ożywieniem.

— Witaj, Aszerkare, czekałem na ciebie — rzekł Ursilis, zapraszając gościa gestem, by usiadł.

Nalał wina do pucharu, skosztował go i dopiero wtedy podał Aszerkare.

— Dlaczego wyświadczasz wrogowi taki zaszczyt, królu? — Egipcjanin nie posiadał się ze zdumienia.

— To prawda, Aszerkare, jesteś wrogiem. Ale jesteś też bardzo podobny do swego faraona... — Król zawiesił głos i westchnął ciężko. — Było kiedyś dwóch przyjaciół, których rozdzielili bogowie, a potem uczynili z nich wrogów. Kiedyś przysięgali sobie, że się nie zdradzą. Złamali tę przysięgę... — Uśmiechnął się gorzko. — A ty, Aszerkare, czy dopuściłeś się kiedyś zdrady?

— Czy kłamstwo też jest zdradą?

Król skinął głową.

— Kłamałem wiele razy...

— A czy zdradziłeś samego siebie?

— Nie. Nie wiem, jak można tego dokonać.

— Posłuchaj mnie, Aszerkare, znałem Totmesa, zanim został faraonem. Wyobraź sobie, jak to jest zobaczyć po latach twarz człowieka, który był dla mnie jak brat. Rzekł: „Witaj, Ursilisie”. Ja powiedziałem: „Witaj, Anchnumie”. „Nie nazywaj mnie dawnym imieniem. Tamten człowiek umarł”, odrzekł. Zapytał mnie, czy zamierzam go zabić, mówił, że muszę odejść wraz

z armią. Odparłem, że nie chcę z nim walczyć. „Kiedyś przysięgliśmy sobie, że nigdy się nie zdradzimy”, przypomniałem mu. A faraon odpowiedział: „Nie powinniśmy byli się spotykać. Wszystko się zmieniło. Przysięgi również”. „Czy to naprawdę koniec?”, zapytałem. Faraon odpowiedział, że tak. „W takim razie, żegnaj”. Odszedł, a ja patrzyłem, jak się oddala, ten mój brat i przyjaciel...
Król spuścił głowę.

— Nie wiem, co powiedzieć... — szepnął poruszony Aszerkare.

— Nic nie mów. Proszę, abyś powiedział faraonowi, by nie gnębił mego ludu, kiedy mnie zabraknie.

— Ależ, królu...

— Powiedz również, aby zawarł przymierze z nowym królem Hatti, lecz niech wystrzega się Mitanni. Czekają jak hiena, aż Egipt opadnie z sił.

— Panie, dlaczego to robisz?

Ursilis gniewnie pokręcił głową.

— Bo jestem wiemy przysiędze! A teraz idź już, Aszerkare, bo Egipcjanie zaczną coś podejrzewać.

Faraon postanowił wymierzyć karę Enaburiaszowi. Wzburzony, wszedł energicznie do namiotu jeńców.

— Wstawaj, psie — warknął, gdy stanął nad kłęczącym z twarzą przy ziemi aptekarzem.

Więzień wstał. Nie był to już elegant, jakiego Totmes pamiętał z Babilonu. W jego włosach i brodzie zaległy się robaki, których nie mógł usunąć opuchniętymi palcami. Oczy miał przekrwione, z niedożywienia tracił wzrok. Stał na środku namiotu, drżąc ze strachu.

— Enaburiaszu, twoja siostra nie żyje, zginęła z rąk Ursilisa—rzekł zimno Totmes. — Ardaszir także nie żyje, a jego ciało jest już pokarmem dla sępów. A jaką śmiercią ty chciałbyś umrzeć?

Enaburiasz zaczął płakać.

— Ty najbardziej zasłużyłeś na śmierć, ponieważ rozdzielilesz braci, którzy nigdy nie powinni być rozdzieleni — ciągnął faraon. — Nie zabijemy cię jednak. Śmierć jest dla ciebie zbyt łagodną karą. Zostaniesz napiętnowany bydłęcym znakiem i dostaniesz psa, a potem możesz iść, dokąd chcesz. Ale jeśli trafisz choćby przypadkiem na ziemię, którą my będziemy rządzyli, zginiesz na palu. Zrozumiałeś?

Faraon odwrócił się i wyszedł, zostawiając osłupiałych strażników i oszołomionego Enaburiasza. Kilka dni później oczy Enaburiasza zamknęły się na światło dnia na zawsze. Wyszedł z egipskiego obozu, prowadzony przez wychudzonego psa. Może umarł, a może wiódł żywot żebraka. Podobno prosił pokornie o odpadki ze stołu bogaczy, a jego pies wskazywał mu drogę na wyspiska. A może stał się bezwzględny, ślepy intrygantem, który wśród miernot tego świata, nędzarzy i tanich dziwek nadal knuł i spiskował?

Kilka dni potem, kiedy armia egipska zajęła pozycje naprzeciwko Hetytów, do Aszerkare znów przybył posłaniec, przynosząc zaproszenie na ucztę do Ursilisa. Młody Egipcjanin uradował się na to spotkanie. Znów potajemnie wymknął się z obozu, tym razem jednak go śledzono.

Uczta w namiocie króla Hetytów była wspaniała. Podawano najprzedniejsze wina i pieczone mięsa. Młode dziewczęta tańczyły przy dźwiękach fletów i piszczałek. Ursilis siedział na miękkich poduszkach, po prawej ręce miał Marnusilisa, a po lewej wielmożę Tuthalijasa, pochodzącego z rodu niemal tak starego jak ród królewski.

— Aszerkare, Egipcjaninie, opowiedz nam o twoich koniach — poprosił król, który był tego wieczoru w nadzwyczaj dobrym humorze.

— Panie, jesteś wielkim królem i twoje konie, które prze-

grały w wyścigu, są o stokroć lepsze od moich wszarzy — rzekł Aszerkare.

Goście wybuchnęli gromkim śmiechem. Wtem do namiotu wbiegli młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy odtanńczyli niezwykły taniec lwów i uciekających antylop. Gdy skończyli, rozległy się oklaski.

— Na bogów, nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy! — wykrzykiwano.

Ursilis kazał dolać sobie wina, by wznieść toast za pomyślność wojowników Hatti. Wszyscy wstali i unieśli zgodnie puchary. Król upił łyk wina i nagle chwycił się za gardło. Wypuścił kielich i osunął się na poduszki.

— Zdrada! — krzyknął Marnusilis, lecz strażnicy wykręcili mu ręce, a Tuthalijas dobył miecza i wbił mu go w brzuch. Powstał nieopisany tumult. Aszerkare podbiegł do króla i ranego Mamusilisa. Chciał zatamować krew, lecz siny z bólu starzec chwycił go za ręce i wycharczał:

— Nie mnie... jego ratuj... zabierz go... oni tu wrócą...

Aszerkare zdał sobie sprawę, że są w namiocie sami. Hetyci zniknęli. Spojrzał znów na Mamusilisa, lecz ten już nie żył. Ursilis leżał, wstrząsany drgawkami. Egipcjanin wziął królewski miecz i przypiął go do pasa, po czym zarzucił sobie króla na plecy. Tak dotarł do bramy, lecz zaczynał tracić siły. Nagle usłyszał świst, odwrócił się i zobaczył Hetytów uzbrojonych w łuki, biegnących w jego stronę. Pierwszy z nich zamachnął się włócznią, lecz Egipcjanin uchylił się zwinnie i ciął go przez gardło królewskim mieczem. Powalił też drugiego. Trzeci trzymał gruby kij. Aszerkare poczuł uderzenie i padł bez czucia.

Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą błękit nieba. Uderzył go paralizujący ból, który pulsował w lewej ręce. Próbował się poruszyć, ale wtedy ból stawał się silniejszy. Zdał sobie sprawę, że jest do czegoś przywiązany. Spróbował uklęknąć, lecz poczuł,

że jakieś ostrze tnie mu łydki. Był przywiązany do miecza. Upadł na wznak. Chciało mu się płakać z wściekłości. Po raz pierwszy przyzwał śmierć, jednak nie nadchodziła. Nie wiedział, jak długo leżał w malignie. Gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą Ahima, który polewał mu twarz wodą z bukłaka.

— Aszerkare, żyjesz, bogom niech będą dzięki!

Dwaj silni koczownicy podnieśli go, odwiązali od miecza i posadzili na koniu. Ktoś podał mu bukłak z wodą, Aszerkare wyciągnął po niego lewą rękę i krzyknął przeraźliwie. Nie miał czterech palców.

— Masz szczęście, że żyjesz! — zawołał Ahim. — Czy wiesz, co to znaczy?

— Nie... — Egipcjanin próbował stłumić szloch.

— To ostrzeżenie. Hetyci, gdy puszczają wolno jeńców, zawsze obcinają im cztery palce. Mam dla ciebie niewesołe wieści — mówił dalej Ahim. — Ktoś doniósł faraonowi, że utrzymywałeś stosunki z Hetytami. Faraon uzna to za zdradę. Chciałem się ostrzec. Manche powiedział mi, że zostałeś porwany. Zacząłem cię szukać.

— Jak mnie znalazłeś?

— Patrol moich ludzi znalazł cię przypadkiem — odrzekł wódz. — Opowiedz, co się z tobą działo.

Gdy Aszerkare skończył swoją opowieść, Ahim zdecydował:

— Aszerkare, musimy wracać do obozu, abyś oczyścił swe imię. Faraon chce cię zobaczyć. Nie muszę ci mówić, że to spotkanie będzie dla ciebie szokiem. Jednak od niego zależy twoje życie.

Faraon długo wpatrywał się w pokaleczoną, zmęczoną i brudną twarz Aszerkare. Nie mógł mówić. W końcu zrobił kilka kroków w tył i usiadł na stołku.

— Wasza Wysokość zechce wysłuchać tego tutaj oficera — rzekł Ahim. — Zapewniam o jego uczciwości.

Faraon wciąż milczał. Dopiero po długiej chwili zapytał:

— Co ci się stało w rękę, żołnierzu?

— Zyskałem przyjaźń króla Hetytów — zaczął Aszerkare — choć nie wiem dlaczego. Być może dlatego...

— Nie chcę o tym słyszeć — uciał Totmes.

Aszerkare po raz pierwszy spojrzął na faraona, którego twarz była dobrze oświetlona przez lampy oliwne. Był na niej strach, zaskoczenie, rozpacz i coś, czego Aszerkare nie potrafił określić.

— Król Hetytów — podjął oficer — przekazał mi takie oto słowa: „Proszę, abys powiedział faraonowi, aby nie gnębił mego ludu, kiedy mnie zabraknie”.

Faraon zerwał się i podszedł do Aszerkare. Stanął tak blisko, że ich twarze niemal się stykały.

— Co to ma znaczyć? — syknął.

— Król Ursilis nie żyje...

I młody oficer zaczął opowiadać o wszystkim, czego był świadkiem. Faraon stał jak skamieniały. Gdy opowieść dobiegła końca, wyszedł bez słowa.

Aszerkare nie był wprawdzie więźniem, lecz nie wolno mu było wychodzić poza obóz. Koczownicy, na prośbę Ahima, zaopiekowali się nim troskliwie, co sprowadziło na niego nienawiść egipskich oficerów.

Nazajutrz w obozie Egipcjan rozeszła się wiadomość, że Hetyci mają nowego króla, a jego imię brzmi Arnuwandas. Jest to ponoć młody chłopiec, ostatni z dynastii. Mówiono też, że Hetyci pod osłoną nocy wycofali się na północ. Ahim przywiózł ze zwiadu okaleczoną odciętą głowę, a faraon poznał, że to głowa Ursilisa, i zapłakał. Koczownicy natychmiast podjęli pościg za Hetytami.

Nad brzegami górnego Eufratu do Hetytów dołączyły silne oddziały piechoty i ciężkich rydwanów, którym przewodził syn wielkiego króla Mitanni. Stało się wówczas jasne, że morderca Ursilisa, Tuthalijas, porozumiał się z Mitanni, aby pozbyć się

znenawidzonego przez nich króla. Wkrótce faraon dowiedział się od zwiadowców, że w tajemniczych okolicznościach zginął również młody Arauwandas, a królem Hetytów z polecenia Mitanni został Tuthalijas. Totmes ścigał ich aż nad Eufrat, gdzie w morderczej bitwie pokonał po raz pierwszy mitannijskiego króla. Nad Eufratem zatknął Stellę ze swoim imieniem. Aszerkare nie wziął udziału w walkach. W przeddzień ludzie Ahima zdjęli z jego okaleczonej ręki bandażę i powiedzieli mu, że jeśli nie odetną dłoni, w ranę wejdzie jad gnilny, a wraz z nim śmierć. Nie pomogły modły do bogów. Aszerkare został odurzony sokiem z maku i odjęto mu dłoń, przypalając kikut. Gdy się ocknął i zobaczył, że nie ma dłoni, zawył z bólu i rozpaczy. Wkrótce nadszedł rozkaz faraona kierujący go do fortu Maneekel nad górnym Eufratem.

W cieniu Słońca

Minęły cztery lata. Charis zamieszkała z synem w Memfis. W Tebach nie było już dla niej miejsca, albowiem żoną faraona została mitannijska księżniczka. Pałac zamienił się w siedlisko intryg, a faraon co roku wyprawiał się do Palestyny i Syrii, aby umocnić swoje panowanie.

Charis czekała właśnie na Szamasziego, który jak zwykle się spóźniał. Gdy wszedł, pomyślała, że się postarzał. W ciągu tych lat upodobił się do Egipcjan tak bardzo, że tylko nieliczni wiedzieli, że jest Babilończykiem.

— Szamaszi, jesteś jak zwykle mile widziany w moim domu — rzekła na powitanie.

— Dostojna... — zaczął kupiec.

— Daruj sobie te uprzejmości. Czy przynosisz mi wieści od faraona?

— Tak, lecz nie obawiaj się, on pragnie cię ochronić. Życzy sobie, abyś udała się z synem do wspaniałej rezydencji w Nubii, którą kazał wznieść specjalnie dla ciebie. To kraj spokojny i zasobny, odkąd namiestnikiem króla jest tam Nehi.

— Wiedziałam przez te wszystkie lata, że tak się w końcu stanie — westchnęła smutno.

— Charis, posłuchaj, proszę, starego głupca — rzekł łagodnie Szamaszi. — To nie jest wygnanie.

— Nie skarżą się na mój los. Wiem, dlaczego serce faraona jest dla mnie zamknięte. To wszystko przez tę mitannijską kokotę. Znajome damy z Teb pisały mi, że jest zazdrosna nawet o niewolnice...

— Charis, służba może podsłuchiwać. Mówmy po grecku — zaproponował Szamaszi. — Zmieniła się sytuacja polityczna. Totmes co roku jest w Syrii, a Mitanni po śmierci króla Par-ratarny straciło na znaczeniu. Asyria znów podniosła łeb. Od Babilonu aż po Kadesz płonie ogień wojny.

— Co to ma wspólnego ze mną?

— Mówię ci to po to, abyś zrozumiała, że on nie miał wyjścia. Musiał zawrzeć z Mitanni pokój, a małżeństwo to jedyny sposób...

— Szamaszi! — rzekła z rozpaczą Charis — nie interesuje mnie polityka! Nie usprawiedliwiał tego małżeństwa. Nie wiesz, jak się czuje odrzucona kobieta...

— W każdym razie twoja decyzja, żeby usunąć się z dworu, była słuszna — dokończył kupiec.

— Jaka ona jest... żona Totmesa... — zapytała Charis ze łzami w oczach.

— Widziałem ją tylko dwa razy. Ma siedemnaście lat i jest córką króla Mitanni. Nie wiem, jaka jest naprawdę.

— Kiedy mam jechać do Nubii?

— Bez pośpiechu, jak wszystko będzie gotowe, przyślę moich służących, aby pomogli ci się przeprowadzić. Jak się miewa Neferhue?

— Bardzo dobrze. Jest taki mądry! — Uśmiech rozświetlił twarz Achajki, a serce Szmasziego zabiło mocniej.

— Muszę powiedzieć ci coś jeszcze... Cięży mi na sercu pewna tajemnica... Totmes miał brata...

— Szamaszi... — Charis zakryła usta dłonią.

Gdy wyszedł, przez cały dzień nie chciała nikogo widzieć.

Aszerkare, po czterech latach spędzonych w forcie Maneekel, miał wracać do Egiptu wezwany przez faraona. Nie wiedział dlaczego, lecz musiał się podporządkować.

W forcie został pocziwy Manche, którego wyzwolił, a który był najwierniejszym spośród ludzi, jakich oficer spotkał w życiu.

Udał się do Ugaritu, gdzie wsiadł na statek płynący do Memfis. Podróż trwała dwa miesiące.

Tego ranka Aszerkare zbudził dziwny dźwięk. Zdawało mu się, że słyszy krzyk sokoła. Wiedział, że to sen, lecz od tej pory powtarzał się on co noc. Nie wiedział jeszcze wtedy, że wzywa go święty ptak Horusa.

— Zbudź się, Aszerkare, jesteśmy na redzie portu w Memfis — powiedział kapitan, pukając we framugę drzwi.

Gdy tylko Aszerkare wyszedł na pokład, poczuł znajomy mdławy zapach Memfis. Port tętnił życiem. Pożegnał kapitana i zszedł na ląd. Nie zrobił nawet kilku kroków, gdy podeszli do niego dwaj kapłani Amona i kilkunastu żołnierzy.

— Czy ty jesteś Aszerkare, oficer pułków Amona? — zapytał jeden z kapłanów.

— Tak, to ja...

— Jesteś aresztowany za ubliżanie Amonowi i spiskowanie z Hetytami przeciwko faraonowi.

— Kto wydał rozkaz zatrzymania mnie?! — wykrzyknął zaskoczony oficer.

— To bez znaczenia. Naszym obowiązkiem jest doprowadzić cię do więzienia.

Przez pierwsze tygodnie Aszerkare wył z rozpacz. Głód, wściekłość i poniżenie zamieniły go w zwierzę. Podkrażał innym więźniom poobgryzane kości i resztki jęczmiennych placków. Potem przyszedł ośpienie i gorączka. Współwięźniowie, widząc jak słabnie, odwdzięczali mu się z nawiązką za to,

czego od niego doznali. On jednak nie zwracał na to uwagi. Trwał oślepiały, przypominając sobie wszystkie chwile, kiedy jego biedni rodzice uczyli go, jak modlić się do Ozyrysa, który jest panem ludzkiego życia i śmierci. On jednak nie potrafił się już modlić. Nie wiedział też, czy wierzy jeszcze w jakichkolwiek bogów. Mijały dni. Cierpienie zlewało się ze snem i każda chwila wydawała się wiecznością. Pewnego dnia obudziło go kopnięcie w brzuch.

— Wstawaj! — krzyknął naczelnik więzienia.

Strażnicy chwycili pod pachy osłabionego więźnia i zawlekli na obszerny dziedziniec przed budynkami garnizonu. Przez moment myślał, że przyjdą z mieczem i kubelkiem i jego cierpienie wreszcie się skończy. Kiedy żołnierze go puścili, osunął się na bruk.

— Aszerkare, wstawaj — syknął oficer. — Nie widzisz, kto na ciebie czeka?

Żołnierze podnieśli Aszerkare, który dopiero wtedy zobaczył podpartego laską Szamaszkiego.

— Aszerkare, cieszę się, że widzę cię żywego! Odnalezienie cię kosztowało mnie wiele złota.

Oczy więźnia odwykły od dziennego światła, bolały i łzawiły. Stał bez słowa.

— Aszerkare, trafiłeś do więzienia na rozkaz faraona. Twoja sytuacja jest poważna, wiesz o tym?

— Wiem tylko jedno — wycharczał Aszerkare — faraon chce, abym zgnął w lochu, i jeżeli znasz go, panie, poproś, aby mnie zabito, bo nie chcę dłużej tak cierpieć.

— Posłuchaj mnie uważnie. Wkrótce przybędzie do ciebie Ahim. Przez te wszystkie lata, kiedy przebywałeś w Syrii, wódz koczowników stał się moim przyjacielem. Razem spróbujemy wyciągnąć cię z więzienia, ale potrzeba nam na to czasu. Poza tym, Aszerkare, faraon nie wie, że tutaj jestem.

— Dlaczego to robisz?

— Bo jesteś dla mnie kimś ważnym i muszę cię uratować, tak jak zrobiłem to już raz przed laty.

— Nie rozumiem... — Aszerkare miał wrażenie, że wszystko to mu się śni.

— Nie musisz. Wkrótce zostaniesz przewieziony do więzienia w Tebach i tam będziesz czekał na dalszy rozwój wypadków. Módl się do bogów, żeby wszystko się udało.

— A czy wiesz, kto oskarżył mnie o zdradę?

— Nie, ale myślę, że to oskarżenie to jedynie wybieg. Prawdziwym powodem twojego uwięzienia jest to, że jesteś tak podobny do Totmesa. Faraon wprawdzie odesłał cię daleko, bo aż nad Eufrat, ale dlaczego zmienił zdanie, tego nie wiem. Jak tylko zdobędę te informacje, dam ci znać przez Ahima. Teraz żegnaj, bo naczelnik więzienia zgodził się tylko na kilka chwil widzenia.

Minęło sześć miesięcy. Aszerkare obudził się w swojej celi w tebańskim więzieniu.

— Bracie, zbudź się!

— Kim jesteś? — zapytał nieprzytomny Aszerkare, przekonany, że to sen.

— To ja, Ahim. Już raz uratowałem cię od śmierci, lecz widzę, że muszę zrobić to jeszcze raz.

— Ja chyba śnię! — wykrzyknął Aszerkare, siadając na barłogu.

— Nie śnisz, Aszerkare, jestem przy tobie i chcę ci pomóc.

— Możesz mi pomóc tylko w jeden sposób. Muszę zobaczyć się z Totmesem. Zostałem niesłusznie oskarżony, faraon jest przekonany, że przeciw niemu spiskowałem... — Więzień był coraz bardziej rozgorączkowany.

— Posłuchaj uważnie — przerwał mu Ahim. — Niedawno umarł wielki arcykapłan Amona, Senenu. W jego rzeczach znaleziono skrzyneczkę z papirusami należącymi do Hapuseneba, który zaginął podczas kampanii w Fenicji cztery lata temu. Okazało się, że Hapuseneb opiekował się tobą przez

wszystkie lata twojej młodości. Wiedział o tobie wszystko. A że zawsze był wrogiem faraona, więc Totmes uznał, że byleś zaangażowany w spisek, mający na celu zrzucenie go ze świętego tronu.

— O niczym nie wiedziałem!

— Ja ci wierzę, faraon nie. Przysłał mnie do ciebie Szamaszi, ponieważ sam nie mógł przybyć, bym sprawdził, czy ci czegoś nie trzeba.

— Ahimie, błagam cię, pomóż mi. Muszę zobaczyć się z faraonem!

— Nic nie rozumiesz! Jesteś przestępcą politycznym! Muszę ci powiedzieć, że moje stosunki z faraonem nie są już tak dobre jak kiedyś. On chce mój lud skoszarować w jednym miejscu jak Szardanów. Chyba rozumiesz, co to dla nas oznacza?

— Będiesz z nim walczył?

— Jeżeli to uratuje mój lud, tak. Znasz mnie i moich ludzi i wiesz, że potrafimy przeżyć wszędzie.

— Dokąd się udacie?

— Jest taki kraj... Zachwycił nas bardzo. Leży nad Morzem Czerwonym.

— Ahimie, chcę być wolny tak jak ty. Lecz wolność przyniesie mi tylko widzenie z Totmesem.

Wkrótce do Teb dotarła straszna wiadomość, że w Memfis wybuchła zaraza. Ludzie umierali setkami w zatłoczonym mieście i nie pomagały żadne ofiary składane bogom. Nikt też nie słuchał kapłanów Tota, boga mądrości, którzy mówili, że zaraza wzięła się z brudu. Kapłani Amona jej przyczyn doszukiwali się w lekceważeniu Amona i pogardzaniu jego kapłanami.

Szamaszi dostał od Charis tabliczkę, której treść go przeraziła. Nie zdążyła wyjechać do Nubii. Achajka pisała, że oboje z synem są prawdopodobnie zarażeni i żeby nie przyjmował się

ich śmiercią, która, wedle jej słów, będzie niczym dla wszystkich, którzy żyli w cieniu Słońca. Nie bacząc na błagania sekretarzy, minister natychmiast wyruszył do Memfis. Wiedział już, że faraon kazał otoczyć miasto szczelnym kordonem wojsk, aby zaraza nie rozprzestrzeniła się na cały kraj. Poza tym Szamaszi czuł, że jego czas na dworze Totmesa dobiega końca. Nienawidził żony faraona, która zamieniła pałac w siedlisko intryg. Wszyscy dworzanie panicznie się jej bali.

Już jakiś czas temu Szamaszi zrzucił egipskie szaty i na powrót zapuścił brodę, jakby przypomniał sobie, że bije w nim twarde serce Babilończyka.

Wyruszył statkiem, jaki do jego dyspozycji oddał faraon. Zamierzał dotrzeć Nilem do miejsca, skąd do położonego na lewym brzegu wielkiej rzeki Memfis było już niedaleko. Szamaszi zauważył, że na brzegu rzeki libijscy żołnierze zabawiają się, strzelając z łuków do zwłok ofiar zarazy. I zrozumiał, że Egipt faraonów, który za panowania Totmesa stał się potężniejszy niż kiedykolwiek, zdradza już objawy upadku. Nic nje trwa wiecznie, pomyślał kupiec.

Aszerkare obudził nad ranem silny kopniak. Do jego celi wpadło dwóch kapłanów Amona. Był pewny, że zabiją go gdzieś nad Nilem, a jego ciało rzucą na pożarcie krokodylom i w ten sposób zostanie pozbawiony możliwości życia po śmierci. Jakież było jego zdziwienie, gdy poprowadzono go do świątyni Amona, umyto, wysmarowano palącą pastą, by zabić wszy, i ubrano w nowe szaty. Kapłani nałożyli na jego stopy sandały i namaścili wonnym olejkiem. Na koniec przewiązali mu chustą oczy i zaczęli prowadzić w nieznanym kierunku.

Czuł chłód murów i zapach stęchlizny. Szli w milczeniu podziemnymi korytarzami. W końcu usłyszał skrzypienie drzwi. Znaleźli się w sekretnej komnacie pod świątynią. Zdjęto mu z oczu chustę i kazano paść na twarz.

— Zostawcie nas samych — rozległ się władczy głos i do komnaty wszedł faraon. — Wstań — rzekł, gdy za kapłanami zamknęły się drzwi.

— Chciałbym ci podziękować, panie, za to, że żyję — odezwał się drżącym głosem Aszerkare.

Faraon milczał.

— Jestem twoim sługą, panie — ciągnął oficer — i nigdy nie uczyniłem nic przeciwko twojej woli.

— Żaden człowiek w Egipcie nie zasłużył sobie na śmierć bardziej niż ty.

— Jesteś władcą mego życia, ale czy pamięć o równie wielkim królu, którego, panie, znałeś i którego poznałem także ja, sprawi, że zanim umrę, zechcesz mnie wysłuchać?

Faraon milczał.

— Choć jestem niczym wobec ciebie, muszę powiedzieć, że szedłem twoim śladem, choć ty nie wiedziałeś o moim istnieniu. Zyskałem przyjaźń króla Hetytów, mimo że nikt inny oprócz ciebie nie miał prawa do tej przyjaźni. Nie wiem, dlaczego tak się stało, choć zapewne nie było bez znaczenia to, iż jestem ludzako do ciebie podobny. I pewnie dlatego umrę. A może dlatego, że poznałem twoją tajemnicę, Anchnumie. I to jest moja wina. To jest moja zbrodnia...

— Jesteś szalony, widzę to aż nazbyt wyraźnie — odpowiedział zimno faraon. — Nic nie wiesz o Anchnumie, nigdy go nie znałeś.

— Znam Anchnuma dzięki królowi Hetytów.

— O Ursilisie także niczego nie wiesz — syknął Totmes.

— Mylisz się, panie. Wiem na przykład, kto go zabił.

— Doprawdy?

— Ty, Anchnumie.

— Milcz, głupcze! — krzyknął faraon, lecz natychmiast się opanował.

— Panie, wiem, o czym rozmawiałeś z królem Ursilisem pod Aleppo. Opowiedział mi wszystko. Powiedział ci, że nie będzie przeciwko tobie walczył, choć wiedzieliście, że to

nieuniknione. Szpiedzy donosili ci o opozycji, jaką miał przeciwko sobie. Wiedziałaś więc, że gdy dotrzyma obietnicy, zapłaci za to życiem. Gdybyś był jego przyjacielem, to twoje i jego wojska stoczyłyby walkę na śmierć i życie pod Aleppo. Faraon zamknął oczy. Aszerkare zrozumiał, jak bardzo zraniły go te słowa.

— Za dużo sobie pozwalasz — wycedził Totmes. — Jesteś niebezpiecznym szaleńcem.

— Panie, nie jestem szalony i dobrze o tym wiesz. Jestem tylko cieniem Słońca, którym jesteś ty. Ale wiedz, panie, że nikt nigdy nie będzie rozmawiał z tobą tak szczerze jak ja. Jesteś bardziej samotny niż ja. Ja niedługo umrę, a ty będziesz żył wśród ludzi, którzy cię nienawidzą i się ciebie boją.

— Jesteś niczym, Aszerkare, nie wiem, dlaczego z tobą rozmawiam. Ale jeśli myślałeś, że czeka cię śmierć, myliłeś się. Śmierć jest zbyt łagodną karą dla takich nędzarzy jak ty. Jesteś szaleńcem i jako szaleniec zostaniesz wygnany na zawsze ze wszystkich ziem, które należą do Egiptu. Jeśli twoja stopa stanie choć na granicy — umrzesz. Masz czternaście dni na opuszczenie Egiptu. Teraz możesz iść do Szamasziego, któremu zawdzięczasz tę rozmowę.

*

W domu Szamasziego panował wielki smutek.

— Dlaczego bogowie są tak okrutni! Nawet wtedy, gdy nasz pan bił nas kijem, byliśmy szczęśliwi, bo był to dobry pan. Nigdy nie będziemy mieli tak dobrego pana! — zawodzili niewolnicy.

— Gdzie on jest? — zapytał Aszerkare, który przybył do domu kupca wraz z dwoma kapłanami Amona, pilnującymi go do czasu opuszczenia Egiptu.

— Leży w wielkiej sali. Jego dni są policzone.

— Dostojny Szamaszi, poznajesz mnie? To ja, Aszerkare — rzekł oficer, nachylając się nad leżącym w łóżu kupcem. Krzatali

się koło niego słudzy, chłodząc wodą jego rozpalone czoło i wachlując go.

Odpowiedzią był jęk tak przejmujący, że Aszerkare zdał sobie sprawę, iż Szamaszi jest u kresu drogi. Uniósł więc do góry ręce, jak to czynią pobożni Egipcjanie na znak żałoby, i wzywał bogów, by skrócili jego mękę.

— Zostawcie nas samych — szepnął po chwili kupiec.

Słudzy wyszli, został tylko Tote, który wraz z Aszerkare pomógł Szamaszemu usiąść, podkładając mu pod plecy poduszki.

— W Memfis zaraza, Charis i jej syn nie żyją... Nie zdążyłem ich uratować — wycharczał umierający.

— Szamaszi, rozmawiałem z faraonem i mam czternaście dni na opuszczenie Egiptu.

— Cieszę się, że żyjesz... Wiesz, dlaczego faraon darował ci życie?

— Nie...

— Bo wiedział to, czego ty zaraz się dowiesz. Wiele lat temu byłem w Egipcie jako kupiec i wracałem z Nubii do Memfis, żeby złapać statek do Ugaritu. W okolicach Teb zabłądziłem, chcąc ominąć Dolinę Królów, ponieważ każdy, kto się tam znajdzie, może zostać zabity przez strażników Doliny. Moi słudzy znaleźli pod uschniętym krzakiem kosz z wikliny, a w nim dwoje słabych niemowląt. Nie było wątpliwości, że ktoś musiał je zostawić tego samego dnia, kiedy ja się tam zjawiłem. Niemowlęta miały umrzeć, ale bogowie wybrali mnie, abym czuwał nad ich losem.

Głowa Babilończyka ciężko oparła się o poduszki. Tote zwilżył mu czoło wilgotną chustką. Po kilku chwilach Szamaszi podjął cicho:

— Jednego z chłopców, który był bardzo słaby, oddałem tego samego dnia na wychowanie do kapłanów Amona w Tebach i więcej go nie zobaczyłem. Byłem przekonany, że nie żyje. Chciałem jak najszybciej wyjechać z Teb, bo kilka dni przedtem, kiedy byłem w drodze, umarł wielki faraon. Drugie

dziecko, które było silne i zdrowe, zabrałem ze sobą, lecz ono również słabło, więc oddałem je do świątyni Sobka w Fajum.

— Tym chłopcem ze świątyni Sobka był Anchnum! — wykrzyknął Aszerkare.

— Tak, ale drugi chłopiec przeżył. Dowiedziałem się o tym dopiero niedawno, kiedy umarł wielki arcykapłan Senenu, który miał dokumenty i tabliczki należące do Hapuseneba. Aszerkare, tym drugim chłopcem z koszyka byłeś ty. Ale nie miałeś tak jak twój brat wypalonego znaku na maleńkiej rączce.

Aszerkare zamarł.

— To właśnie Hapuseneb był twoim opiekunem przez całe życie. Pamiętam jak przez mgłę, że ten kapłan w średnim wieku, który uprzejmie wpuścił mnie, obcego, na teren świątyni Amona, to był on. Był wstrząśnięty twoim widokiem. Wziął cię z moich ramion i zniknął. Podobno potem szukał mnie w Tebach, ale mnie już w mieście nie było. Przysięgam na Ozyrysa, Izydę, Marduka i wszystkich znanych mi bogów, że powiedziałem ci prawdę. Jestem szczęśliwy, że umieram ze świadomością, iż zrobiłem wszystko, do czego przeznaczyli mnie bogowie.

Szamaszi opadł na poduszki. Z trudem oddychał.

— Aszerkare, idź już. Chcę umrzeć w spokoju.

— Panie, błagam cię, powiedz mi, czy umierasz przeze mnie? — zapytał ze łzami w oczach Aszerkare.

— Kiedy umarła Charis i Neferhue, umarłem i ja, bo kochałem ją najbardziej na świecie. Poszedłem do faraona i powiedziałem mu: „Skoro zabiłeś wszystkich ludzi, którzy cię kochali, to przynajmniej pozwól żyć swemu bratu”. On odpowiedział, że zgotował ci śmierć w swoim sercu, bo może być tylko jeden syn Ra. Na to ja odrzekłem: „Zamieńmy się, ty dasz mi życie twego brata, a ja dam ci moje”. Totmes wyszedł bez słowa, a ja wróciłem do domu i czekałem, aż przyjdzie z pałacu wiadomość, że cię uwolniono. Wówczas wziąłem koszyk...

Aszerkare poczuł, że po jego policzkach płyną łzy.

— Aszerkare, mój pan, Szamaszi, wziął koszyk z kobrą w środku — dokończył Tote, szlochając.

Aszerkare ujął dłoń Szamaszego. Była spuchnięta, widniały na niej dwie małe ranki po zębach węża.

— Aszerkare, moje złoto jest twoje. Tote będzie ci przyjacielem, tak jak był nim dla mnie.

— Szamaszi!

— Idź już i pozwól mi umrzeć.

Lecz młody człowiek został aż do chwili, w której Szamaszego opuściło życie. Wówczas poszedł z wiernym Tote na brzeg Nilu w Tebach i wsiedli na statek do Delt. Kiedy płynęli, Tote zawołał, że widzi jakiegoś jeźdźca, który galopuje brzegiem. Jeźdźcem tym był Ahim, wódz koczowników, wolny jak pustylny sokół. Zatrzymał konia i stał na brzegu, dopóki statek nie zniknął mu z oczu.

Epilog

Kiedy przed wieloma laty opuszczałem mój kraj, błogosławioną ziemię Kem, czułem, jak pustylny wiatr smaga moją twarz. Widziałem stada antylop uciekających w popłochu przed ludźmi i zazdrościłem im wolności. Udawałem się na wygnanie i jad goryczy zatruwał moje serce. Błagałem bogów, by skrócili moją mękę. Suszył mnie wiatr nienawiści. Na każdą radość rzucałem się jak szakal, by ją zdusić. Byłem na krawędzi obłędu.

Teraz jestem starcem i ze smutkiem patrzę na moje marnejące ciało, w którym płynie święta krew faraonów. Teraz już wiem, co znaczyło kwilenie sokoła, towarzyszące mi w przestworzach przez wszystkie dni mego życia. To przyzywał mnie mój ojciec, bóg Horus. Czasami widzę siebie w snach pod postacią sokoła. Tak jak ten święty ptak zrywam się do lotu nad padołem brudu, podłości i cierpienia.

Przez całe życie nie zaznałem miłości, jednak teraz, kiedy każdy dzień przybliża mnie do śmierci, wiem, że moje życie było warte o wiele więcej, niż myślałem. Jestem wybrańcem bogów, bo u kresu drogi wyzbyłem się wszelkiej nienawiści i zyskałem zdolność odróżniania dobra od zła. Wiem, że popełniłem wiele nieprawości, lecz teraz czuję szczery żal, a złoto, które zdobyłem jako najemnik Mitanni w wielu podbitych krajach, już mnie nie cieszy. Żyję z dnia na dzień, w oczekiwa-

niu na to, co nieuniknione. Pragnę zanurzyć się w lodowatym strumieniu śmierci. A potem spłynie na mnie wieczny sen i rozkoszne ukojenie.

Jestem bratem wielkiego faraona Mencheperre Totmesa Trzeciego, który jako jedyny wyprawił się siedemnaście razy do Syrii i kraju Mitanni. Wyznaję, że będąc najemnikiem, walczyłem przeciwko niemu. Teraz jego mumia spoczywa zapewne w Dolinie Królów.

Góry Krety oświetliła błyskawica. To przemawiają bogowie. Od Babilończyków i Achajów nauczyłem się odczytywać ich wolę z lotu ptaka, z wątroby byka i błysku pioruna. Oto co do mnie mówią:

Płynie w tobie krew faraonów i pewnego dnia wrócisz, Aszerkare, i wraz z bogiem Horusem wzniesiesz się niczym sokół ponad ziemię i będziesz wędrował razem ze słońcem, które stanie się twoim domem. Znow ujrzysz kraj Kem i będziesz do niego wracał w piaskowej burzy, w sile wód Nilu i w błysku pioruna. Wrócisz za tysiące lat, ty, Aszerkare, który jesteś dzieckiem bogów.

Postówie

Wydarzenia przedstawione w książce *Krew faraonów* są fikcją literacką. Ponieważ jednak występują w niej postaci (np. Totmes III, Hatszepsut, Hapuseneb, Senenmut, Puimre i.in.) i fakty historyczne (np. przemarsz wojsk faraona przez pustynię), warto powiedzieć kilka słów o tym, jak było naprawdę.

Ponad wszelką wątpliwość ustalono, że po śmierci Totmesa II koronowano nieletniego Totmesa III, a Hatszepsut została regentką i nigdy nie próbowała odsunąć go od władzy.

Totmes III podejmuje decyzję o usunięciu wizerunków i imion Hatszepsut dopiero ok. dwudziestu lat po jej śmierci, kierując się względami politycznymi, należało bowiem usunąć świadectwa panowania faraona-kobiety, które było groźnym precedensem komplikującym spory dynastyczne. Warto wspomnieć, że osłabienie państwa Hetytów i Mitanni spowodowały takie właśnie spory.

Jak zakończył swoją karierę Senenmut, faworyt królowej, nie wiemy. Wysłano kilka teorii. Według pierwszej Senenmut po prostu umiera pod koniec panowania Hatszepsut, osiągnąwszy podeszły wiek. Istnieją jednak poszlaki wskazujące na to, iż popadł on w niełaskę królowej i został pozbawiony wszelkich urzędów, a nawet uśmiercony. Niektórzy egiptolodzy sądzą, że przeżył kobietę-faraona nawet o dwadzieścia lat. Wydaje się to jednak nieprawdopodobne i wynika z błędnej interpretacji jednego tekstu.

Władcy 18. Dynastii mianowali kapłanów spośród zaufanych ludzi. Za ich pośrednictwem sprawowali kontrolę, między innymi nad kap-

łanami Amona, którzy nie tworzyli jeszcze samodzielnego ośrodka władzy. Sama Hatszepsut sprawowała godność Małżonki Bożej, co wiązało się z ważnymi funkcjami kapłańskimi. Do godności tej przypisane też były majątki ziemskie, tworzące wraz z majątkami związanymi z władzą królewską, ekonomiczną podstawą władzy faraona.

Jan Karkowski

Spis treści

Prolog.....	7
CZEŚĆ PIERWSZA.....	9
Rozdział 1 — Znak ibisa.....	11
Rozdział 2 — Dni i noce w Tebach.....	24
Rozdział 3 — Przez pustynię.....	35
Rozdział 4 — Beniamin ben Jona.....	49
Rozdział 5 — Fenicka awantura.....	65
Rozdział 6 — Szamaszi.....	87
Rozdział 7 — Ugarit.....	107
Rozdział 8 — Hatszepsut.....	129
Rozdział 9 — Droga śmierci.....	140
Rozdział 10 — Enaburiasz.....	163
Rozdział 11 — Brama bogów.....	180
Rozdział 12 — Rozstanie.....	193
Rozdział 13 — Ścieżki przeznaczenia.....	212
CZEŚĆ DRUGA.....	235
Rozdział 14 — Powrót.....	237
Rozdział 15 — Memfis.....	251
Rozdział 16 — Dwie korony.....	267
Rozdział 17 — Nubia.....	282

Rozdział 18 — Puimre	303
Rozdział 19 — Megiddo	317
Rozdział 20 — Syria w ogniu	333
Rozdział 21 — Aleppo	348
Rozdział 22 — Spotkanie	365
Rozdział 23 — W cieniu Słońca	383
Epilog.....	395
Posłowie	397

WOJCIECH DUTKA (ur. 1979) - absolwent historii i dziennikarstwa na KUL; od 2003 roku doktorant Instytutu Historii KUL i konsultant rektora tej uczelni ds. europejskich programów badawczych. Interesuje się historią nowożytną i dziejami Kościoła w starożytności; współpracuje z czasopismami społeczno-kulturalnymi *Vox Patrum* i *Brama XI Tysiąclecia* oraz II Programem Polskiego Radia. Jego dorobek literacki obejmuje tomik poezji (2001), opowiadanie „Zazdrościłem kamieniom” (2004) oraz powieść historyczno-przygodową „Krew faraonów” (2005). W fazie redakcyjnej znajdują się dwie kolejne książki - thriller historyczno-religijny w stylu „Imienia Róży” Eco i powieść szpiegowska rozgrywająca się w okresie II wojny światowej.